

DLA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW SERIALU DOWNTON ABBEY

ELIZABETH COOKE

Tajemnice
RUTHERFORD
PARK



Tajemnice
RUTHERFORD
PARK

ELIZABETH COOKE

PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA ROSŁAN

WYDAWNICTWO MARGINESY

W nocy spadł śnieg. Wielki dom stojący na krańcu doliny przywodził na myśl starodawny samotny okręt żeglujący po białym oceanie. Tego wrażenia nie zakłócały rozciągające się w sporym oddaleniu od niego park, las, ogrody i patia ani wznoszące się za nim rozległe, porośnięte lasem i wrzosowiskiem wzgórza. Granicę posiadłości od południa i wschodu wyznaczało szerokie zakole rzeki, na zachód zaś lśniła szara, obwiedziona falbaną lodu lustrzana tafla jeziora.

Choć było jeszcze wcześniej, Rutherford nie spało. Nigdy zresztą nie zapadało w sen do końca – aby wielki majątek funkcjonował sprawnie, musiała się w nim nieprzerwanie toczyć ciężka praca. Rutherford wzniesiono dzięki wpływom i potędze; potęga i wpływy były udziałem jego właścicieli po dzień dzisiejszy. Główny budynek w stylu Tudorów, pod który kamień węgielny położono w 1530 roku, rozrastał się o wciąż nowe przybudówki, aż po te ostatnie, późnowiktoriańskie. Majątek Rutherford obejmował przyległe farmy i wioski, całą długą dolinę w kierunku Yorku, zmieniał wszystko na swej drodze, warunkował ludzkie życie i kształtował krajobrazy.

Na pierwszym piętrze, w oknie nad tarasem, paliło się światło, a ciężkie zasłony w największym pokoju zachodniego skrzydła zostały już rozsunięte. Nie wybiła jeszcze siódma, lecz Octavia Cavendish nie spała już od jakiegoś czasu. Siedziała otulona długim do ziemi czarno-białym satynowym szlafrokiem od Poireta, podszytym sobolami, który William przywiózł jej z Londynu półtora roku temu. W obłożonym wapieniem kominku płonął ogień, a na bocznym stoliku czekała już poranna herbata.

Wokół pani domu krzątała się Amelie, jej pokojówka. Wykładała właśnie stroje na nadchodzący dzień – cztery komplety. Do lunchu suknia lawendowa, a może ta poranna, szara, aksamitna? A oto popołudniowa. Na wieczór zaś strojna, z białego tiulu, z zieloną aplikacją. Na toalecie Amelie rozłożyła biżuterię należącą niegdyś do matki męża Octavii – ciężkie szmaragdy, oprawione w złoto i opale, których szczególnie nie znosiła. W pokoju pełnym jedwabiu i innych wytwornych tkanin Octavia wyglądała – i czuła się – niczym przekwitła róża, wędnąca w bijącym od kominka ciepłe.

– Lawendowa – postanowiła w końcu. Amelie zgodnie skinęła głową, przewiesiła suknię z szarego aksamitu przez ramię i wycofała się do garderoby.

Octavia wstała i wyjrzała przez okno na ośnieżony świat. Już ponad godzinę temu zauważyła ogromną brzozę, która zwała się u samego szczytu alei dojazdowej. Teraz przyglądała się mężczyznom zgromadzonym u stóp wygiętych w łuk stopni – ich jednobarwnym sylwetkom na tle gołych gałęzi i zrudziałych zeszlórocznych liści.

Poczuła przemożną chęć, by wyjść na dwór – wyjść i posłuchać, o czym rozmawiają. Mogłaby pobiec przez śnieg, jak robią to dzieci. Przypomniała sobie, jak biegła przez ten sam nieskazitelny trawnik i to samo idealnie wypoziomowane patio, kiedy po raz pierwszy przyjechała tu z Williamem jako jego dziewiętnastoletnia narzeczona. Tryskała wtedy szczęściem, które tak szybko unicestwiono, i, jak się okazało – zupełnie niepożądanym entuzjazmem. Wróciła myślami do chwili, kiedy tamtego pierwszego dnia, jadąc starym zaprzężonym w dwa konie powozem mijając dom zarządcy przy bramie do majątku. Powóz przechylił się i zachybotał, skręcając w aleję, a jej oczom ukazała się rezydencja Rutherford ze swymi wieżami, wielodzielnymi oknami i spiralnymi kominami. W blasku popołudniowego słońca prezentowała się tak pięknie.

Octavia wyprostowała się podświadomie. Oczywiście wyjście na dwór nie wchodziło w grę. Nie oczekuje się tego od pani domu, z wyjątkiem sezonu polowań z udziałem gości i tych

wiosennych lub letnich dni, kiedy w specjalnie przeznaczonym do tego stroju można od czasu do czasu wyjść na spacer. Poza tym widok żony ósmego hrabiego biegnącej przez śnieg uznano by za nieprzyzwoity. W żadnym razie nie mogłaby też podejść do służby i przysłuchiwać się jej pogawędkom.

Obraz przewróconego, złamanego drzewa wydawał jej się mało realny. I ta cisza, którą przyniósł wszechobecny śnieg. Panowała jakaś upiorna atmosfera. Raz, niedługo po narodzinach Harry'ego, śniło jej się, że Rutherford zniknęło. Że cały teren majątku zamigotał na ułamek sekundy i przepadł – szklarnie, jeziora, długa aleja ciągnąca się aż na skraj wzgórz – wszystko to w mgnieniu oka przestało istnieć, zostało unicestwione jednym oddechem, odesłane w niebyt jednym długim, duszącym westchnieniem.

Ciekawe, dlaczego pomyślała o tym akurat teraz? Była wigilia Bożego Narodzenia 1913 roku. Przez następne cztery dni w domu będzie roić się od gości, więc jako gospodyni ma zbyt wiele zajęć, by oddawać się fantazjom. Odwróciła się i ogarnęła pokój spojrzeniem, ze zmarszczonym czołem dokonując w myśli obliczeń. Zanosilo się na dość skromne święta – spodziewała się tylko szesnastu osób. To prawda, na Boże Narodzenie wołała gościć samych najbliższych przyjaciół. W ciągu roku i tak musiała wydawać zbyt wiele bardzo uroczystych przyjęć.

Nie miała wątpliwości, że mały parowóz, dla którego niestraszna była żadna przeszkoda, dojedzie doliną z Washwaite, ale zastanawiała się, jak konie poradzą sobie z pokonaniem zasypanej śniegiem drogi ze stacji. Uruchomienie w taką pogodę któregoś z samochodów nie wchodziło przecież w grę. Napier to wóz z temperamentem, ba, to mało powiedziane, więc nie podjedzie się nim pod górę przed bramą, koła zaczną buksować. Natomiast jeśli chodzi o metza, to była to zachcianka Harry'ego, kupiona wyłącznie po to, by jakoś zająć chłopaka i odciągnąć go od obsesji latania. Ten mały, zielony, dwuosobowy roadster nie poradzi sobie na śniegu. William jednak z całą pewnością się uprze, żeby wziąć napiera, którego, ku zgorszeniu służby, uwielbiał prowadzić sam. Miał do tego specjalny strój – ogromną futrzaną kurtkę, tak sztywną, że można by ją śmiało nazwać pomnikiem kurtki – i dziś bez wątpienia go przywdzieje. Aleja zostanie odśnieżona, droga też, i podjazd pod górę – razem bite cztery mile. William każe służbie odśnieżać. Cztery mile. Jeszcze ośmioro gości prócz tych, którzy już przybyli. Jeszcze dwa pociągi i dwukrotny wyjazd na stację. Charlotte i Louisa wrócą jednym pociągiem, tym popołudniowym, a Hélène de Montfort – tym przed lunchem.

– O, Boże – mruknęła pod nosem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Amelie pospieszyła otworzyć. Octavia wiedziała kto to. Trzy donośne, zdecydowane stuknięcia nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Jaśnie panie – wymamrotała pokojówka, otwierając drzwi przed mężem Octavii.

W obitym żółto-białą tkaniną sanktuarium Octavii William Cavendish wyglądał jak zawsze nie na miejscu. Podszedł sztywno do żony i złożył na jej policzku suchy, oszczędny pocałunek. Pachniał mydłem do golenia i – gdzieś w tle – psem. Jego spaniel Heggarty sypiał w jego pokoju. Apartament Williama urządzono znacznie bardziej spartańsko niż jej sypialnię i Octavia rzadko przekraczała jego próg. Pomalowany na niebiesko, skąpo i prosto umeblowany, wyglądał na uderzająco męski. Ściany zdobiły tylko obrazy przedstawiające sceny myśliwskie oraz kosztowne płótno Landseera, według Williama zdecydowanie zbyt sentymentalne, ale i tak je kupił. William nachylił się teraz ku żonie, lecz sprawiał wrażenie, jakby nie chciało mu się zginać pleców. Był wysoki i barczysty.

– Schodzisz na śniadanie? – zapytał.

Uniosła brew.

– Przyszedłeś specjalnie, by mnie o to zapytać? Najdroższy, jakież to romantyczne.

William nie uśmiechnął się w odpowiedzi. Ledwie dostrzegalnym spojrzeniem zaznaczył, że uważa obecność Amelie za niepożądaną.

– Zostaw nas samych – rzuciła Octavia. Pokojówka zniknęła, zabierając ze sobą tacę z nietkniętą herbatą i zamykając drzwi sypialni.

– Źle się czujesz?

– Nie, bynajmniej – zaprzeczyła. – Czemu pytasz?

Wydął wargi i zakołysał się na piętach. Był od niej o dwadzieścia lat starszy. Czasem, gdy tak stał z rękami założonymi za plecami, przypominał jej ojca, który za chwilę mógł wybuchnąć gniewem.

– Cooper mi mówił, że rano byłaś na dole – wyjaśnił.

Cooper, jego kamerdyner.

– Cooper? – powtórzyła rozbawiona. – A dlaczego miałoby to interesować Coopera?

William pozwolił, by jej łagodny żart zawisł na chwilę w powietrzu.

– Coopera to nie interesuje – odparł – ale pani Jocelyn mu powiedziała.

Octavia westchnęła.

– Boże, jak oni plotkują.

– Octavia – upomniął ją William. – Widziała cię pokojówka. Zresztą sama z nią rozmawiałaś.

Machnęła lekceważąco ręką, jakby chciała, by dał spokój tym dochodzeniom.

– Spodziewam się, że to koniec świata.

– Co ty sobie myślałaś?

Spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję. Uznałaś właśnie, że w ogóle myślałam – mruknęła z uśmiechem. – Chciałam tylko popatrzeć na drzewo.

– Popatrzeć na drzewo? Po co?

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna zdradzić, że poczuła dziecinny impuls, by wyjść i przebiec się po śniegu, ale zrezygnowała.

– Nie mam pojęcia – odparła w końcu. – Po prostu wcześniej się obudziłam.

– Wprawiałaś służbę w konsternację – oznajmił.

– Niezmiernie mi przykro.

Przez chwilę patrzył na nią, potrząsając głową. Czasem specjalnie wprawiała go w zakłopotanie. Myślała sobie, że to mu dobrze zrobi. Poza tym gdzieś głęboko, daleko w jej duszy wciąż tliło się nikłe światełko. Poczucie humoru. Coś, czego nie udało się zdusić ani jemu, ani temu brutalowi jej ojcu.

– W takim razie zobaczymy się na lunchu – powiedział, odwracając się. – Jadę po Hélène de Montfort.

– Nie zapomniałam. – Odwróciła się do lustra i skrzywiła się na samą myśl.

Było jeszcze ciemno, kiedy Emily Maitland przystąpiła do pracy.

Jej dzień zaczynał się o piątej trzydzieści, a więc zimą na długo przed świtem. Obudziła się jak co dzień skostniała z zimna w swym metalowym łóżku, w pokoiku na ostatnim piętrze, który dzieliła z dwiema innymi pokojówkami – Cynthią i Mary. W ciemności naciągnęła bieliznę, po omacku, z zamkniętymi oczami zapięła długą granatową wełnianą sukienkę i zawiązała w pasie biały płócienny fartuszek. W pokoju na poddaszu było lodowato, nawet jej myjka przymarzła do miski z wodą. Emily przebiła palcem cienką warstewkę lodu w dzbanku i rozsmarowała sobie po twarzy parę kropli. To musiało wystarczyć.

Od dwóch miesięcy zawsze wstawiała pierwsza. Ubierała się szybko. Czasem zdarzały się jej zawroty głowy – przytrzymywała się wtedy nocnej szafki. Nie miała pojęcia, jak czuje się

człowiek pijany, ale teraz myślała, że na pewno jakoś podobnie. Odkryła, że aby zwalczyć to uczucie, trzeba uszczypnąć się w szyję tuż nad obojczykiem. Pomagało. Widziała, jak jej matka tak robiła.

– Wstawajcie – szepnęła do koleżanek. Cynthia, jak zawsze niezadowolona, odepchnęła rękę Emily, która spoczęła na jej ramieniu. – Mary – ponagliła Emily, ale Mary już nie spała. Poruszając się jak automat, zwijała włosy i spinała je pod czepkiem.

– Zamarznę na śmierć po tej stronie – narzekwała. – Cyn, dzisiaj ty tu śpisz. Jesteś gruba jak beka, sadło cię ogrzeje. – Odwróciła się do Emily. Jej twarz w mroku była tylko jasną, zamazaną plamą. – Czemu tu jest tak cholernie zimno? – zapytała.

– Chyba śnieg spadł – odpowiedziała Emily, po czym po ciemku doszła do okna i uchyliła lichą zasłonę. – Bo światło jest jakieś inne. – Wyjrzała. Śnieg leżał na dachu z ołowianej blachy i na finezyjnych spiralach kominów, jaśniejących w półmroku.

– Nic dziwnego – mruknęła Mary, naciągając wyjęte spod poduszki wełniane pończochy, by nie stawiać stóp na lodowatej podłodze. – Do jasnej cholery, nic dziwnego.

– Bo panna Dodd cię usłyszy – ostrzegła ją Emily, która stała już z ręką na klamce.

– Wszystko mi jedno – odszepnęła Mary. – Ma drzwi obite filcem. U niej jest o wiele cieplej niż u nas. Jeszcze trochę, a rzucę tę robotę i wrócę do domu.

Wszystkie wiedziały jednak, że to niemożliwe. Mary musiała zarobić swoje czternaście funtów rocznie, żeby wysłać je ojcu. Nie mogła sobie pozwolić, by zarządzająca pokojówkami panna Dodd zwolniła ją za niewłaściwe słownictwo, a wystarczyło jedno zuchwałe słowo, by to zrobiła. Emily słyszała, jak Mary klnie w poduszkę, ale na dole zachowywała się jak wszyscy: z lekko pochyloną głową i spuszczonego wzrokiem, w całkowitym milczeniu, na kolanach czyściła dywany lub szorowała ruszt w kominku.

Na pierwsze piętro schodziło się po wąskich schodach. Tam zaczynał się korytarz prowadzący do schodów dla służby na drugim końcu domu. Dokładnie poniżej znajdowała się sypialnia jaśnie pana. Dziewczęta musiały nauczyć się szczególnie lekko stąpać po drewnianej podłodze, tak by pan nie słyszał ani jednego słowa, ani nawet echa kroku. Najważniejszym zadaniem pokojówki jest pozostać niezauważoną – być widmem, które co rano roznosi węgiel po sypialniach. Zjawą bez ciała i oddechu. Do chwili, kiedy ręka nie dotknie jej szyi, dopóki nie pogłaska ramienia wystającego spod podwiniętego rękawa sukni.

Na klatce schodowej dla służby Emily zacisnęła oczy, marszcząc przy tym twarz. W tym miejscu tydzień temu ochmistrzyni przyłapała ją na płaczu – nadbiegła po schodach, zanim Emily zdołała doprowadzić się do porządku.

– Co się z tobą dzieje? – wykrzyknęła ostro pani Jocelyn. – Zejdz z drogi!

Emily zrobiła, co jej kazano. Tak czy inaczej, czuła się dziwnie. Zapomniała już, jak to w ogóle jest – płakać. Płacz został wyparty przez wstyd i przerażenie. W tych nieszczęsnych chwilach stawała z suchymi oczami i spieczonymi ustami, wpatrując się w przyszłość, daleko poza swój obecny smutek. Zabrał jej serce, myślała sobie. Zabrał i połamał tak, że ledwie biło, odmierzając czas niczym zepsuty zegar.

Jak najszybciej ruszyła do piwnic i koło kuchni natknęła się na Alfreda Whitleya.

– Daj węgiel – syknęła do niego i wyrwała mu wiadro. Potem pożałowała, że zachowała się wobec niego niegrzecznie. Alfred był głupi, ale miły. Jego usta wydawały się za duże. Miał szczerą, mało inteligentną twarz i wiecznie kapalo mu z nosa, który wycierał w rękaw.

– Nasz Alfred jest jak deszczowy weekend – mówił John Gray, zarządca majątku. – Nie ma się czemu dziwić, pochodzi ze wsi. Rozumu tam nie hoduują. Za to gnoju dużo.

Mimo wszystko szkoda tego Alfreda. Biedy Alfie. Można mu tylko współczuć. Niespełna trzynaście lat, a robi najgorszą robotę, jest chłopakiem do wszystkiego. Z drugiej strony, kiedy

się na niego patrzy, to można sądzić, że nic sobie z tego nie robi. Deszcz nie deszcz, a on na podwórzu, włosy przyklepione do czoła, i ciągle tylko rąbie drewno na opał. Reszta służby pilnuje, by zarządzający męską częścią służby pan Bradfield nie zobaczył nigdy Alfiego w najgorszym stanie – kiedy wykończony, ubłocony i mokry siedzi na tylnych schodkach z kubkiem kakao. Pan Bradfield bez wahania zegnałby go stamtąd kopniakiem. Bo pan Bradfield lubi, kiedy schodki są czyste i zamiecione.

Emily przemknęła teraz przy drzwiach do pokoju pana Bradfielda. Widziała, że pali się u niego oliwna lampa – w drzwiach była szybka. Pospieszyła dalej z dostawą węgla. Weszła po drugich schodach i pchnęła obite grubym zielonym sukmem drzwi.

Schody wyprowadziły ją do południowego skrzydła. Znalazła się obok gabinetu jaśnie pana, archiwum i biblioteki. Nie lubiła tych pomieszczeń – nie tyle samego gabinetu, który był raczej przyjemnym, niewielkim pokojem z pięknym biurkiem i małym kominkiem – rozpałała w nim w pierwszej kolejności – ile przede wszystkim archiwum pełnego rzymskich pamiątek należących niegdyś do ojca lorda Williama. Należało tu odkurzać wszystkie półki, pełne poplamionych ptaszków i alabastrowych kotów, małych rzeźb i doniczek, kości wykopanych na Beddersley Hill, gdzie, jak mówiono, pochowani byli starożytni królowie. Dziwne, zabawne przedmioty. Od samego patrzenia przechodziły ją ciarki. Nienawidziła zwłaszcza dwóch wydłużonych figurek kotów strzegących obu stron drzwi.

Upewniwszy się, że ogień chwycił, przysunęła osłonę kominka i wróciła do holu. Przecięła marmurową posadzkę pod wysokim, łukowatym sklepieniem. Znajdowała się w najstarszej części domu, która kiedyś, zanim piętnaście lat temu za fortunę lady Cavendish lord William rozbudował budynek, stanowiła jego główną część. Mówiono, że jedynym powodem, dla którego Cavendish w ogóle zawracał sobie głowę małżeństwem, był dochód żony z przędzalni wełny, ale Emily nie miała pojęcia, czy to prawda. Jej zdaniem ogromny stary hol, którego sufit podpierały potężne wiekowe belki, wydawał się zagubiony pośród nowoczesnych przybudówek. Alfred zapalił już lampy przy wejściu i przy głównych schodach. W ciemnościach rozlewały się kałuże kolorowego światła.

Emily weszła do salonu. O tej porze dnia pośpiech był sprawą kluczową. Na tym piętrze należało rozpałać w pięciu kominkach, a o szóstej, najpóźniej tuż po – w sypialniach. Cynthia i Mary pomagały dziewczynie do wszystkiego rozpałać pod kuchnią, pozamiatać korytarze i podać poranną herbatę z tostem wyżej postawionej służbie: Amelie, pokojówce pani, panu Cooperowi – kamerdynerowi jaśnie pana, oraz pani Jocelyn. W zeszłym miesiącu pomagały też dziewczce kuchennej, której zadaniem było utrzymywanie ogólnego porządku w kuchni. Enid Bliss rozchorowała się na bronchit i pewnego dnia obudziła się i nie mogła oddychać. Fakt ten trzy służące próbowały ukryć przed ochmistrzynią.

Emily, pracując, w myśli prowadziła obliczenia. Trzy grupy gości już przybyły, co dawało osiem pokoi na górze. Jej ręce wprawnie układały papier, rozpałkę i węgiel. Skończywszy, wytarła ręce o fartuch, wstała i natychmiast poczuła nudności. Czekaając, aż przejdą, rozejrzała się dokoła. W mrocznym pomieszczeniu majaczyło mnóstwo kształtów: krzesła, stoły, lampy, boczne stoliki z wazonami kwiatów, inne z kwiatami w doniczkach, półki z finezyjnymi porcelanowymi figurkami, bardzo drogimi, jeśli wierzyć słowom pana Bradfielda, osłony kominkowe, puffy.

– Pewnego dnia wrzucę tę całą kolekcję do rzeki – podobno powiedziała raz pani, zdenerwowana, że pokojówka jeszcze po śniadaniu polerowała meble. Tak przynajmniej twierdziła pani Jocelyn.

– Postępowa kobieta – brzmiał werdykt ochmistrzyni. – Ale wątpię, żeby naprawdę miała zamiar to zrobić. Przecież klasa wyposażenia wnętrza ma wielkie znaczenie.

Emily uznała to za zabawne. Nie samą uwagę, ale sposób, w jaki została wypowiedziana. Pani Jocelyn nie mogła, choć bardzo się starała, ukryć swojego akcentu. Dwadzieścia siedem lat służby u Cavendishów, a mimo to w jej głosie nadal pobrzmiwały szerokie, płaskie dźwięki typowe dla mieszkańców Leeds.

Emily wpatrywała się w przestrzeń. Czy to prawda, że pani Jocelyn była kiedyś mężatką? Do każdej ochmistrzyni należało zwracać się per „pani”, niezależnie od tego, czy miała męża czy nie. Nie mogła sobie jednak wyobrazić, by ktokolwiek trzymał kiedyś panią Jocelyn w ramionach, tulił ją do siebie i całował jej pospolitą twarz. Ochmistrzyni nosiła wprawdzie obrączkę, ale to o niczym nie świadczyło, podobnie zresztą jak tytuł „pani”. Obrączkę mogła włożyć sobie sama. Zawsze kiedy przy porannej modlitwie służby w głównym holu pani Jocelyn z nabożeństwem składała ręce, jej obrączka pobłyskiwała jasno. Emily zdjęła sobie włos z oka. Cóż, może mimo wszystko ktoś kiedyś kochał panią Jocelyn. Może gdzieś na świecie istnieje jakiś pan Jocelyn, a pani Jocelyn potrafiła sprawić, że mężczyzna otoczył ją uwielbieniem. Czyli umiała dokonać tego, co nie udawało się Emily. Przycisnęła ręce do fartucha. Serce łomotało jej w piersi. Nic nie było widać: nic, zupełnie nic prócz tego, co znajdowało się w tym pokoju i w tym ogromnym domu. Poza tym – zupełnie nic. Nic prócz nocy. Nigdy nie znajdzie się już w świetle. Nigdy, nigdy.

Podeszła do drzwi salonu. Było jej ciężko na sercu, ciężko na duszy. Miała dość pokoiów, schodów i kominków, i tajemniczej ręki, która dotknęła jej ręki, miała dość jego, dość otchłani, która otwierała się wokół niej coraz szerzej i szerzej, jakby była żywym, chcącym ją pożreć organizmem. Emily wiała się i skręcała w ciemnościach od poczucia winy, lepkiego jak asfalt na szosie, który latem przylepia się do podeszew butów.

– Boże, pomóż mi – mruknęła pod nosem i wyszła do holu.

Niedaleko od niej, u stóp głównych schodów, stała lady Cavendish.

– Och, jaśnie pani – szepnęła Emily. Nie wiedziała, co zrobić. Lady Cavendish nigdy nie schodziła o tej porze. Zresztą nikt z rodziny tego nie robił, nikt nigdy nie ruszał się ze swojej sypialni przed śniadaniem. Emily próbowała usunąć się pod ścianę. Tego właśnie od niej oczekiwano, w razie gdyby nieoczekiwanie pojawił się ktoś z państwa. Miała rozpląszczyć się przy ścianie i patrzeć w podłogę.

– Czy to... Malham? – zapytała lady Cavendish.

– Maitland, jaśnie pani. – Emily ośmieliła się rzucić krótkie spojrzenie w górę. Jaśnie pani patrzyła na nią z rozbawieniem. Była owinięta czymś zdumiewającym, podszytym czarnym futrem, i miała do tego idealnie dobrane kapcie.

– Znalazłam się w niewłaściwym miejscu, Maitland – powiedziała lady Cavendish, a z jej twarzy nie zniknął uśmiech. Pochyliła się nieco do przodu. – Ale przyszłam na coś popatrzeć.

Emily nie odpowiedziała. Jaśnie pani minęła ją i poszła dalej korytarzem. Okrycie ciągnęło się za nią po marmurowej posadzce. Potem obejrzała się przez ramię.

– Drzwi są otwarte? – zapytała.

Drzwi wejściowe do domu były masywne. Pan Bradfield miał otworzyć je dopiero za godzinę.

– Nie, jaśnie pani – szepnęła Emily.

Lady Cavendish zatrzymała się.

– Och, jakież to męczące – rzuciła najwyraźniej do siebie. – Zostać więźniem we własnym domu. – Słowa te wypowiedziała lekkim tonem, kierując się z powrotem w stronę schodów. – Pewnie niedługo Amelie przyniesie mi herbatę – dodała. – Czy mogłabyś jej przekazać, że czekam?

Emily wpatrywała się w nią w osłupieniu. Zgodnie z hierarchią zwykłej służącej nie

wolno było odezwać się do osobistej pokojówki jaśnie pani. Sama zarządzająca żeńską służbą ośmieliłaby się zwrócić do Amelie tylko w ostateczności.

– No tak, oczywiście, że nie mogłabyś – poprawiła się zirytowana lady Cavendish na widok zdumionej twarzy Emily.

– Jeśli pani sobie życzy, jaśnie pani, pójdę powiedzieć pani Jocelyn.

Lady Cavendish spojrzała na nią z wysokości piątego czy szóstego stopnia. Jest taka ładna, pomyślała sobie Emily. Właściwie piękna. „Jak ptak w złotej klatce”, powiedział kiedyś pan Bradfield. Teraz wyglądała jak pozłacana – piękne włosy, piękny strój, bardzo blada cera. Może jest chora, przyszło Emily do głowy. Trzeba przecież być chorym lub szalonym, by o tej porze wałęsać się po schodach, czyż nie? Ale jaśnie pani nachyliła się ku niej lekko, przyłożyła palec do ust i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Ależ jestem niegrzeczna, że przychodzę tu i ci przeszkadzam – powiedziała. – Nie martw się, nie pisnę ani słowa. I ty też nic nie mów.

Emily znowu utkwiała wzrok w podłodze. Ani słowa. Nie piśnij ni słowa. W porządku, była do tego przyzwyczajona.

Słyszała szelest szlafroka jaśnie pani na stopniach, a potem dobiegł do niej jej głos:

– Na podjeździe zwałiło się wielkie drzewo – zawołała beztrąsko. – Miałam zamiar na nie popatrzeć. Widać je z mojego pokoju, to przed samym domem. Zresztą wszystko jedno, możesz to powiedzieć pani Jocelyn.

Nie wybiła jeszcze siódma, kiedy wszyscy pracujący na zewnątrz: główny ogrodnik Robert March i trzech jego pomocnicy, woźnica i zarazem kowal Josiah Armitage, jego syn Jack oraz dwóch chłopców stajennych, zgromadzili się na podjeździe. Alfiego, okrytego kocem ze stajni i przepasanego starym skórzanym pasem, wysłano im do pomocy.

Wielka brzoza leżała na boku. Latem okrywało ją bujne listo wie, którego część, teraz pożółkła, wciąż wisiała na gałęziach. Robert March podrapał się po głowie i stwierdził, że to tajemnica. Stare drzewo – aleję obsadzono brzozami w roku 1815 – musiało mieć słaby system korzeniowy, oświadczył, choć nie było ku temu wyraźnej przyczyny. Wszyscy przenieśli wzrok na pięćsetjardową aleję wysadzaną takimi samymi białymi brzozami, których gałęzie spotykały się wysoko w górze.

– Oby tylko kolejna się nie zwałiła – mruknął March pod nosem, po czym wraz z chłopcami chwycili za siekiery i piły.

Robota na mrozie należała do ciężkich. Kiedy już usunięto drobniejsze gałęzie, March kazał chłopcom pociąć je i ułożyć przed domem, pośrodku szerokiej pętli podjazdu. Będą albo na rozpałkę, albo na budowę przeszkód jezdzieckich – nic się nie zmarnuje.

Josiah Armitage spojrzał na Marcha. Orodnik pochodził z miasta York. Miał już siedemdziesiąt jeden lat. Teraz pochylał się nad robotą, a kłęby wydychanej pary unosiły się nad nim niczym aureola. Był krępy i mocny w barach, miał wiecznie rumianą twarz. Josiah dobrze wiedział, że nie należy zwracać mu uwagi, aby ze względu na wiek bardziej na siebie uważał. March był bowiem zgorzkniały i zapalczywy, wręcz stworzony do prowadzenia musztry w wojsku. Josiah widział, jak młodszy ogrodnicy drżą pod jego czujnym spojrzeniem. W zeszłym roku zwolnił pracownika tylko dlatego, że ten poszedł do wioski odwiedzić żonę, która już czwarty dzień rodziła pierwsze dziecko. Mężczyzna wrócił szczęśliwy, z triumfalnym uśmiechem, lecz jego euforia nie trwała długo. March natychmiast chwycił go za kołnierz, wyprowadził na koniec podjazdu i wymierzył nieszczęśnikowi sążnistego kopniaka. Już następnego dnia Josiah widział Marcha w szklarni, jak czule zapyla rośliny, z uwagą celując skręconym z trzech włosków pędzelkiem w kwiat pomidora – jak gdyby nigdy nic, jakby nie naraził młodej rodziny na biedę, pozbawiając jej jedyne go żywiciela reputacji – paszportu do

otrzymania kolejnej pracy.

Pomocnicy ogrodnika i chłopcy stajenni harowali teraz pod jego wodzą, rąbiąc i piłując zawzięcie i ani na chwilę nie podnosząc wzroku znad roboty. W końcu March rozprostował plecy.

– Idź po konia – rozkazał Josiahowi. – Po konia i po wóz na siano.

Josiah wsparł się na siekance, którą trzymał w ręku, i spojrzął Marchowi prosto w oczy. Pot spływał woźnicy po twarzy.

– Jeśli mogę pana prosić, panie Armitage – ustąpił wreszcie March.

Josiah z synem ruszyli przez śnieg, zataczając szeroki łuk po trawniku, by nie przechodzić bezpośrednio przed domem. March odprowadził ich wzrokiem. Młodszy ogrodnicy wymienili za jego plecami pogardliwe uśmiešky. Jeśli Marcha dało się porównać do głazu, to Armitage był jak krzemień – twardy, ale kruchy, lecz ostry jak długa zima. Polecenia przyjmował tylko od samego lorda Cavendisha, którego syn, panicz Harry, wychował się przy woźnicy i był weń ślepo wpatrzony, podczas gdy lord przez osiem lat przebywał w Londynie, piastując zaszczytną funkcję członka Izby Gmin. Przy ojcu Harry wolał milczeć, a że ojciec był na niego cięty, to mało powiedziane. Tymczasem przez wszystkie lata dzieciństwa spędzone przy Armitage’u Harry’emu buzia się nie zamykała. Nawet teraz, gdyby miał na to choć cień szansy, chłopak wybrałby życie w ciepłej stajni, przy koniach. March zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze jak inni. Mimo że Harry w nadchodzącym roku miał skończyć dziewiętnaście lat, nie zanosilo się, by sytuacja uległa zmianie.

Okolo dziesiątej śnieg znowu zaczął prószyć. March przelotnie ujrzał lady Cavendish w oknie porannego salonu. Stała z ramionami splecionymi na piersi, co wskazywało, że jest zaniepokojona czy podenerwowana. Odsunęła się od okna, kiedy drzwi frontowe otworzyły się i po szerokich schodach z piaskowca zszedł William Cavendish w długim zimowym płaszczu.

Na widok hrabiego zdążającego w jego stronę sprężystym krokiem March uniósł rękę do czapki.

– Jaśnie panie.

Cavendish przysłonił oczy przed bijącym od śniegu blaskiem.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Właśnie zaprzęgają konia – odparł March.

– A co z pozostałymi drzewami?

– Wygląda na to, że wszystko w porządku, jaśnie panie.

– Weź ludzi w dół alei i jak tylko przyprowadzą konia, odgarnijcie śnieg. O dwunastej chcę jechać samochodem na stację.

March skinął głową. Czekał, aż William Cavendish jeszcze coś doda – na przykład zaproponuje, żeby ludzie napili się czegoś gorącego z tyłu domu przy kuchennym wejściu lub w chacie Marcha, stojącej w ogrodach warzywnych. Cavendish jednak nic nie powiedział. Po prostu odszedł.

Koń pociągowy pojawił się po kwadransie. Josiah Armitage szedł przy nim i prowadził go za lejce, a Jack siedział na koźle. Poprzez delikatną zaslonę sypiącego śniegu cała trójka, a zwłaszcza koń – ciemnosiwym, z wielkimi, ciężkimi kopytami pokrytymi długą białą sierścią – przywoził na myśl duchy czy niewyraźne bazgroły na szarej kartce. Zbliżyli się do podjazdu, przybrali rzeczywistą postać. Zwierzę, mierzące w kłębie prawie dwa metry i ważące dobrze ponad tonę, przysłoniło całe pole widzenia. Jego oddech parował. Granulki lodu osadzały się na uprzęży i miękko wyściełanym chomacie wokół szyi. Chłopcy przestali piłować. Alfie podniósł wysoko rękę i położył ją na chomacie. Zwierzę odwróciło potężny, ciężki łeb i spojrzalo na chłopca. Alfie wtulił twarz w ciepły koński bok.

– Wenceslas – powiedział. – Dobry konik, dobry.

Octavia nie mogła sobie przypomnieć, czy była w jej życiu chwila, kiedy nie obawiała się Héléne de Montfort.

Choć słowo „strach” można uznać w tym przypadku za mocne. Uczucie, które towarzyszyło Octavii, miało nieco subtelniejszy charakter. Był to niepokój, który odczuwa kobieta, znajdując się w pobliżu drugiej kobiety – Octavię ścisnęło w dołku, kiedy Héléne przestępowała próg pokoju.

Była uroczą kobietą – trudno zaprzeczyć. Bardzo daleka kuzynka Williama, wywodząca się ze sławnych Beckforthów, mieszkała w Paryżu i z rozmachem prowadziła – o ile można wierzyć jej słowom – dom znany z gościnności. Jaka mogła więc być, jeśli nie uroczą? Octavia westchnęła i pociągnęła lekko gruby sznur od zasłony, by wygładzić ciężką aksamitną tkaninę. Héléne zawsze miała na sobie coś eleganckiego z paryskiego Wortha (domu mody House of Worth), małą, zuchwałą twarz, otoczoną masą rudoblonde włosów, a na ustach lisi uśmiešek. Octavii zapadły w pamięć zasłyszane kiedyś dawno, na jakimś przyjęciu w Londynie, czyjeś słowa, że Héléne ma „roztańczone oczy”. Być może chciały tańczyć z mężczyzną. Sama powiedziałaby raczej, że Héléne, patrząc, kalkuluje, ocenia. Jeśli jej oczy rzeczywiście tańczyły, to robiły to z żywą przebiegłością.

Octavia stała w drugim saloniku i czekała. Héléne oczywiście uzna, że śnieg to coś niezwykle zabawnego. Och, powie, to takie cudowne, tak bardzo „północne”, że spadł u nich śnieg, że jest lód, że drzewo się zważyło, że tuż przed wejściem do domu jest morze wiórów. Będzie tak niezmiernie *gauche*. Octavia powoli odwinęła sznur z palców.

Nadjechał samochód, skręcił już przy stróżówce. Rozległo się pukanie do drzwi i w saloniku ukazał się pan Bradfield.

– Madame de Montfort nadjeżdża, jaśnie pani – oznajmił.

– Wiem – odparła Octavia. – Przyprowadź ją prosto do mnie. Sprawdź, czy w pokoju na górze jest ciepło. Niech Amelie zajmie się jej garderobą.

Odchodząc, Bradfield lekko dyskretnie uniósł brew. Oczywiście wszystko to zostało już dawno zrobione.

Z holu dobiegły hałasy. Odgłos otwieranych drzwi, ożywione głosy. Nash, lokaj, znowu zbiega po schodach przed wejściem w ten swój irytujący sposób, jakby po damsku. Octavia odwróciła się w stronę lustra nad kominkiem i poprawiła włosy. Jakże to głupie, że Nash mnie denerwuje, pomyślała. To bardzo zręczny chłopak, ostrożny. Słyszała, jak wyładowują bagaże. Héléne zapewne wyduła wargi i przygląda się zamieszaniu wokół swojej osoby. Służba powinna być niewidoczna. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

I nagle Héléne już stała w progu salonu, ściągała długie rękawiczki, zrzuciła z siebie obszerny płaszcz, wyciągała przed siebie ręce.

– Och, jak strasznie zmarzłam – powiedziała ze śmiechem. Idący za nią William ominął ciśnięte na podłogę palto, a Bradfield schylił się, by je podnieść. – Omal nie zmarzłam na śmierć! Krew stanęła mi w żyłach! Tylko dotknij! – zawołała, przyciskając twarz do policzka Octavii. – Moja droga – szepnęła. Pachniała jakimiś młodzieżowymi perfumami – chyba fiołki. Odsunęła się i z odległości wyprostowanej ręki obrzuciła Octavię uważnym spojrzeniem. – Jak ty pięknie wyglądasz! – wykrzyknęła. – Co to? Callot Soeurs? Nie miałam okazji widzieć ich sukien dziennych. Jaka niezwykła, i najzupełniej doskonała! Co za odwaga, że zimą wybrałaś lawendowy. W lawendowym wygląda się tak blado. Ale nie ty! – Uśmiechnęła się do Octavii. Potężny kapelusz podróżny z pękiem bażancich piór dodawał jej jeszcze wzrostu, choć i tak była nieprzeciętnie wysoka. – Ty, kochanie – dodała, nachylając się nad Octavią, jakby zamierzała powierzyć jej sekret – potrafisz go nosić.

Jesteś parodią samej siebie, pomyślała Octavia. Wiedziała, że już wieczorem ożywioną Héléne zastąpi zamyślona, refleksyjna, inteligentna Héléne, a jej udział w rozmowie przybierze formę ciętej riposty. Ale zawsze – zawsze – ta pierwsza, natarczywa fala słów zwała ją z nóg.

– Héléne – odezwała się z uśmiechem, a przepona nieco jej się rozluźniła. – Proszę, wejdź i usiądź.

Kiedy wczesnym popołudniem William udał się do swego pokoju, sprzed domu dochodziły jeszcze odgłosy pracy.

Lunch upłynął całkiem przyjemnie. Mówiono oczywiście przede wszystkim o pogodzie. I o Stanningfieldach, którzy wprawdzie już przybyli, ale wyjechali na cały dzień do Richmond odwiedzić krewnych. O Harrym, który zabrał się z nimi. O uroczej, udekorowanej wieńcami świątecznymi stacyjce kolejowej Washwaite i o rubasznym zawiadowcy nazwiskiem Baddeley. Cała trójka rozważała, czy jest sens, by William znowu wyjeżdżał napierem, tym razem po Louise i Charlotte, które popołudniowym pociągiem wracały z Manchesteru.

Mimo to wchodząc na górę, William z każdym krokiem wypływał z siebie przekleństwo. Przeklinał samego siebie; przeklinał tę okropną kobietę, która wciąż zaprzętała mu myśli; przeklinał pogodę; przeklinał wesołość Baddeleya, Washwaite i tę całą cholerną świąteczną farsę. Wyjrząwszy przez okno, przeklął cholernego Marcha, którego nienawidził jego ojciec i którego on sam nienawidził, lecz bez którego wiedzy ogrodniczej obaj byłiby bezradni. Przeklinał swoją własną, odziedziczoną po przodkach cechę, by puszczać różne sprawy w niepamięć – pozwalać im po prostu przemijać. Wyobrażał sobie, że problem sam się rozwiąże, pod warunkiem że zostanie zlekceważony.

– Do diabła z nią – mruknął. – Do diabła, do diabła.

Odwrócił się od okna, od widoku mozolnie naprężonego karku konia, ciągnącego wyładowany wóz po śniegu. Zacisnął pięści i rozejrzał się za czymś, czym mógłby się zająć. Powiedział Octavii, że źle się czuje, ale oczywiście było to kłamstwo. Zostawił ją sam na sam z Héléne. Dobrze wiedział, że to z jego strony okrutne, wychodząc z pokoju, wychwycił nawet jej błagalne spojrzenie, a przez całą drogę przez hol słyszał zgrzytliwy głos Héléne.

Spojrzał na swe odbicie lustrze. Mężczyzna słusznej postury, niepozostawiającej wątpliwości co do swojej narodowości i pozycji. Wyprostowany jak struna, broda uniesiona wysoko, ramiona sztywne. Tę postawę wpojono mu w dzieciństwie, kiedy codziennie spędzał godzinę na ustawionym w pokoju dzieciennym specjalnym krześle ćwiczebnym, ze stopami przywiązanymi do nóg mebla, a tułowiem – do jego oparcia. Że też takie rzeczy w ogóle były na porządku dziennym, pomyślał. Zastanowił się nad swoją twarzą, tak podobną do twarzy ojca. Wciąż miał ciemne włosy, ironiczny uśmiech, zaznaczający dystans do samego siebie, a w oczach chłopięcy błysk i nutkę poczucia humoru. Wszystko to składało się, jak to ujęła Octavia, na bardzo przyjemne oblicze. Spojrzał w dal, po czym bez chwili wahania chwycił ze stoliczka ciężki porcelanowy dzbanek i cisnął nim z całej siły o ścianę przy łóżku. Naczynie rozbiło się na kawałki, które rozsypały się po podłodze. Podeszedł do nich i nogą rozsunał je na wszystkie strony.

Co robić? Jezu Chryste, oni wszyscy byli od niego zależni. Każdy człowiek pod tym dachem, w tym domu, zależał tylko od niego...

Pewnego sierpniowego popołudnia, kiedy William miał pięć, może sześć lat, jego ojciec siedział na brzegu rzeki poniżej Rutherford. Rano padało. William zapamiętał niezwykle świeżość trawy, przejrzystość wody. Ojciec z podkładką do rysowania na kolanach szkicował jakąś roślinę. Elegancki frak leżał zmięty u jego stóp, pobrudzony trawą. William zbiegł z długiej, łagodnej skarpy i chciał schować się u ojca pod pachą.

– O co chodzi? – zapytał ojciec.

– O nią.

– Czyli o kogo?

Zapadła cisza. William kopał kamyki do rzeki, zdzierając czubki butów.

– O nikogo.

Ojciec cierpliwym gestem odłożył ołówek.

– Chodź ze mną – powiedział. – Do domu.

William nie chciał się podnieść.

– O kogo chodzi? – zapytał jeszcze raz ojciec. – O panią Kemble?

To była znienawidzona niania. William zaczął płakać.

Ojciec podciągnął go na nogi i mocno, zdecydowanie złapał za rękę, splatając palce z jego palcami.

– Williamie, posłuszeństwo nie zawsze jest najważniejsze – powiedział. – Ważniejsza jest odwaga.

Odwaga, nie posłuszeństwo.

Odwaga. Chryste.

Żałował, że nie ma przy nim ojca. Tęsknił za nim z całego serca. Ojciec zmarł, kiedy William miał szesnaście lat, a matka – kiedy miał dwadzieścia sześć. Byli cichą, kochającą się parą. Trudno uwierzyć, że oboje wywodzili się z Beckforthów, tej łupieżczej, zachłannej rodziny, która niegdyś rządziła własną wyspą w Indiach Zachodnich i zagarniała wszystko, co tylko mogła: cukier, niewolników i podatki. Dziadek Williama podarował synowi Rutherford, bo wstydził się, że bardziej interesują go rośliny, kwiaty i egipskie koty niż życie w Londynie i przebywanie na królewskim dworze. Ojciec Williama został więc osadzony w Rutherford, a właściwie zesłany do majątku, by uniknąć sytuacji, w której reszta Beckforthów wyśmiewe go i tym samym wykluczy ze swego grona. Nagła śmierć wuja Williama i odziedziczenie tytułu przez jego ojca były dla wszystkich wstrząsającą niespodzianką. Mimo to ojczulek nie dbał o Londyn. Lubił hrabstwo York, miejsce swojego zesłania, a z czasem nawet je pokochał. Interesowały go farmy i ogrody, wybudował wielką szklarnię i oranżerię. Posiadał tuzin psów, stajnię pełną koni, jeden nawet brał udział w wyścigach w Yorku. Był życzliwym, dobrodusznym człowiekiem. Nigdy nikogo nie oszukał.

Nigdy nikogo nie oszukał. William opadł na najbliższe krzesło i oparł głowę na rękach.

Zawsze kiedy tęsknił za ojcem i pragnął jego obecności, szedł do archiwum i po kolei brał do rąk jego cenne amulety i kamienie. Gdyby prawda wyszła na jaw – a była to prawda, której wyjawic nie mógł nikomu, nawet Octavii – to stałoby się jasne, że wręcz trząśł się z pragnienia, by utrzymać przy sobie to, co umiłował jego ojciec. Udał się do archiwum również w dniu pogrzebu Williama Cavendisha, siódmego hrabiego Rutherford, rzucił się na egipski fotel po ojcu i przygniotła go przerażająca samotność. I równie przerażająca odpowiedzialność, że zostanie ósmym hrabią, i w konsekwencji będzie musiał tak wiele osiągnąć.

– Ojczy – wymamrotał. – Ojczy, na Boga, powiedz mi, co mam robić.

Zaczynało zmierzchać. Pocięte drewno wywieziono aż za ogrody kuchenne. Kiedy światło dzienne całkiem ustąpiło ciemności, w Rutherford zapalono lampy. W zasypanym śniegiem parku panowały cisza i spokój. W podziemiach domu zaś – atmosfera pełna napięcia.

Emily w prywatnym saloniku ochmistrzyni posłusznie odpowiadała na jej pytania.

– Co ty sobie, na Boga, myślałaś? – dopytywała się starsza kobieta.

– Nie mogłam nic na to poradzić – tłumaczyła Emily. – Ona się do mnie odezwała.

– Ona? – powtórzyła ochmistrzyni. – Jaka ona?

– Lady Cavendish, proszę pani.

– A co ty robiłaś na drodze lady Cavendish?

– Przepraszam, proszę pani, ale to ona była na mojej drodze.

– Słucham?

Głos Emily załamał się.

– Właściwie niezupełnie na mojej drodze. To znaczy, ona była na schodach, kiedy wyszłam z salonu. Stała – to znaczy lady Cavendish – stała na schodach, podeszła do drzwi i zapytała, czy są otwarte. Potem powiedziała, że chce poranną herbatę i że mam to powtórzyć panie Amelie. A potem... potem powiedziała o drzewie.

Pani Jocelyn nie spuszczała z dziewczyny wzroku.

– A ty idziesz i meldujesz to wszystko panu Bradfieldowi. – Słowa te zostały wypowiedziane tonem pełnym pogardy.

– Nie, proszę pani – zaprotestowała Emily. – Szłam powiedzieć pani... Szłam powiedzieć kucharce... byłam w korytarzu, kiedy pan Bradfield...

Pani Jocelyn uniosła dłoń, by zatrzymać potok słów Emily. Siedziała w tapicerowanym fotelu przed kominkiem i od jakiegoś czasu bacznie przyglądała się dziewczynie.

– A teraz powiedz mi, co się z tobą dzieje.

Krew zastygła w żyłach Emily.

– Nic, proszę pani.

Starsza kobieta zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Przytyłaś.

Emily nic nie odpowiedziała.

– Podejdź do mnie.

Emily z wahaniem postąpiła krok czy dwa do przodu. Ochmistrzyni chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła na podłokietnik fotela. Nie spuszczać wzroku z twarzy dziewczyny, położyła jej rękę na brzuchu.

– Myślisz, że nie wiem, co ci dolega? – spytała.

– Nic mi nie jest.

– Czyja to wina? Prócz tego, że oczywiście twoja, Emily?

– Nic mi nie jest – powtórzyła dziewczyna.

– Jacka Armitage'a? Czy któregoś z chłopaków z farmy?

Emily zachwiała się.

– Niczyja.

Pani Jocelyn westchnęła.

– Spodziewałam się, że ze wszystkich dziewcząt w tym domu akurat ty będziesz miała najwięcej rozumu – powiedziała. – I tak wszystkiego się dowiem. Znajdę winowajcę. – Przyciągnęła Emily jeszcze bliżej. – Który to miesiąc? Czwarty? Piąty? – dociekała, patrząc na dziewczynę podejrzliwie. – Czy więcej?

– Nie, nie, to nie to – upierała się Emily.

– Nie kłam mi w żywe oczy, dziecko.

– Nie o to chodzi. Żle się czułam. Za dużo jadłam.

– Ty? – Pani Jocelyn prychnęła szyderczo. – Przecież ty prawie nic nie jesz. Spójrz na swoje ramiona... na swoje ręce. Spójrz tylko. Sama skóra i kości. Głodzisz się na śmierć, żeby tylko nie było po tobie widać. Myślisz, że nie wiem? Uważasz, że nie mam oczu? Że nie widziałam tego do tej pory?

Emily zamknęła oczy.

– Nie Jack – wyszeptwała. – Nikt.

Ochmistrzyni bez ostrzeżenia puściła jej rękę. W kominku zasyczały węgle.

– Emily Maitland – powiedziała surowo. – Zważ na to, że jesteś pod bogobojnym dachem

i Bóg z całą pewnością ukarze cię za te kłamstwa.

Tej nocy w podziemiach panowała prawdziwa gorączka. Zgodnie z tradycją w wigilię Bożego Narodzenia nakrywano do stołu w wielkim holu, a nie w jadalni. Jeden koniec tego ogromnego pomieszczenia zdobił siedmiometrowy świerk wycięty na terenie majątku, a drugi – kominek w stylu Tudorów, w którym płonęły grube drwa. Cała rodzina była już w domu. Pierwsze na dół zeszyły dzieci: Harry, Charlotte i Louisa. Dziewczynki miały na sobie luźne suknie z cieniutkiej tkaniny, a Harry – nowy smoking sprowadzony z Londynu zaledwie tydzień wcześniej. Ich głosy i śmiechy rozchodziły się po całym domu. Szesnaścioro gości zajmowało dziewięć pokoi gościnnych.

Cała służba, wszyscy prócz kamerdynera pana domu i osobistej pokojówki pani domu, pracowała w podziemiach. Kucharka, podkuchenna, dziewczka kuchenna i pomywaczka z pomocą dziewczyny do wszystkiego miały po łokcie roboty z przystawkami, *relève*, daniami z dziczyzny, *entremets*. Zupy, ryby, kotlety, mięsiwa i kaczka, przynoszone z ogromnych, czarnych, ołowianych pieców na stół i przekładane w naczynia stołowe, parowały, w związku z czym w kuchni unosiły się gęste opary. Zarządzający służbą, pierwszy lokaj i obu drugich lokajów zajmowali się nakrywaniem i podawaniem do stołu.

Trzy pokojówki miały za to chwilę oddechu. O wpół do szóstej wraz z resztą służby zjadły już lekki posiłek, a następnie dwie z nich zostały zawezwane, by pomóc Amelie w ubieraniu pań. Hélène de Montfort przywiozła własną służącą, drobną paryżankę, która nie mówiła po angielsku, Ida Stanningfield też wzięła ze sobą sprawną i bezpretensjonalną dziewczynę, ale inne panie potrzebowały pomocy przy układaniu fryzur i drapowaniu sukni. Kiedy tylko goście zeszli na kolację, pokojówki wróciły do ich sypialń, by uporządkować ubrania, zaciągnąć zasłony, pozamykać okiennice, uzupełnić wodę w dzbankach i poustawić krzesła.

Wycieńczona Emily schodziła właśnie tylnymi schodami, kiedy dogonił ją Harrison, pierwszy lokaj. Odkąd złapał ją na podwórzu i przyciskając twarz do jej twarzy, próbował pocałować, unikała go jak ognia. Śmierdziało od niego piwem, które podkrażał z pokoju kredensowego Bradfielda. Miała przeczucie, że dzisiaj zechce powtórzyć atak; o północy lokajom wolno było wznieść świąteczny toast kieliszkiem brandy.

– Witaj, Maitland – powiedział. – Jesteś sama?

Próbowała minąć go bez słowa.

– Idź poszukaj Marcha.

– Co?

– Nie odburkuj mi tak.

– Pana Marcha? – powtórzyła. – Nie wolno mi wychodzić na dwór.

– Przekazuję tylko polecenie pana Bradfielda.

– Ale pan March jest w domku ogrodnika.

Harrison westchnął.

– Przecież to oczywiste, prawda? Przekaż mu, że lady Cavendish życzy sobie, żeby przyniesiono gardenie ze szklarni.

– W środku kolacji?

– Po kolacji, głupia.

– Ale muszę najpierw porzucić wodę po pokojach.

– W takim razie lepiej będzie, jak się pospieszysz, co? – Wyszczrzył zęby. – Nie chciałabyś przecież nikogo rozczarować, co? Jaśnie pani chce się pochwalić swoimi gardeniami, które zdobyły jakąś tam pieprzoną nagrodę.

Szarpnęła się do tyłu, jakby się na nią zamachnął. Ale on po prostu minął ją, zadowolony,

że udało mu się przemycić zakazane przekleństwo. Skręcając do kuchni, momentalnie przybrał obojętny wyraz twarzy. Nie minęło parę sekund, a pojawił się znowu z Nashem u boku. Obaj nieśli srebrne tace. W wypolerowanych, lekko wypukłych przykrywkach odbiła się postać stojącej w korytarzu Emily – plama białego fartuszka, skrawek bladej twarzy.

– No, idź już – rozkazał jej Harrison i skinął głową w kierunku pokoiku, w którym czyszczono i pastowano buty. – I włoż coś na siebie. Sprawiaj wrażenie, jakby ci się spieszyło.

Ruszyła biegiem. Zarzuciła na ramiona jakiś męski płaszcz, wyszła tylnymi drzwiami i ślizgając się niemal co krok, przecięła podwórze. Na końcu podwórza stał mur, a w nim furtka, przez którą można było się dostać do ogrodu kuchennego, tam z kolei skręcało się w lewo i przez furtkę w drugim murze wchodziło do ogrodu różanego. Wszędzie panowały ciemności – ogrody kuchenne miały powierzchnię około stu jardów kwadratowych i z trzech stron były otoczone murem, a z jednej – szklarnią, wybudowaną czterdzieści lat wcześniej przez siódmego hrabiego. Ogrodnicy pracowali tu w pocie czoła, by dogodzić jaśnie państwu i spełnić wszelkie ich kaprysy. Ananasy, melony i truskawki owocowały na długo przed sezonem. Rosły tu również drzewa migdałowe i morele, a w samym końcu – palmy i paprocie. Paprocie, ostatni krzyk mody, stanowiły ulubione hobby pań. Emily wciąż biegła. Buty przemokły jej od śniegu pokrywającego zamiecione ścieżki. Dotarła do drzwi szklarni i pchnęła je. Tędy prowadziła najkrótsza droga do domku ogrodnika.

Weszła do środka i przystanęła, zatrzymana nagłą zmianą temperatury. Mimo że na zewnątrz leżał śnieg, tu było parno i wilgotno, a gdzieś sponad głowy skapywała woda. Emily podniosła wzrok i na zamkniętych oknach dachu zobaczyła warstwę matowych kropelek. Na wysokości pasa, wokół ścian zewnętrznych szklarni, biegły rury z ciepłą wodą, z których wydobywały się od czasu do czasu tajemnicze trzaski i bulgotania. Tu i ówdzie wzdłuż zielonej alei pomiędzy roślinami ustawiono ławeczki. Pewnego razu na wiosnę, kiedy Emily spiesznie przechodziła obok, by załatwić jakiś niecierpiący zwłoki sprawunek, widziała tu Charlotte i Louise. Zerknęła przez okno i zobaczyła, jak ślicznie wyglądają panienki. Czytały razem, a przefiltrowane przez szyby promienie słońca rzucały plamy światła i cienia na ich białe sukienki. Mały terier dziewczynek, Max, zwinięty w kulkę spał głęboko u ich stóp. Patrzyła wtedy na córki jaśnie państwa jak na duchy z innego świata – takie piękne, bez troskie, i szczęśliwe.

Teraz też ruszyła chodniczką wzdłuż szklarni. Może sama rozpozna gardenie, może nie powinna iść po Marcha i przeszkadzać mu w kolacji, tylko zerwać kwiaty i zanieść je do domu? Jak wyglądają gardenie, zastanawiała się? Wiedziała, że to te, które pięknie pachną, ale czy rosną obok orchidei? Zatrzymała się obok kwiatów ustawionych w doskonale zaizolowanych donicach chroniących je przed najmniejszym przeciągiem. Ogarnęła wzrokiem ich ciekawskie małe główki. Śliczności – równie piękne jak córki tego domu, i wydaje się, że równie kruche. Wyciągnęła rękę, by dotknąć płatka. Zobaczyła, jak czerwona jest przy nim jej skóra.

Nie należała do tego miejsca. Nie powinna była wcale tu przychodzić, co ona sobie w ogóle myślała? Nagle przyszło jej do głowy, że lokaj wcale nie wysłał jej do Marcha, że to był tylko okrutny i głupi żart Harrisona. Gdyby dotknęła któregoś kwiatka, choćby najdrobniejszego pączka, dostałaby po uszach. Oberwie jej się już za to, że samowolnie wyszła z domu. Pan Marcha rozgniewa się, kiedy przyjdzie i mu w czymś przeszkodzi. Popęlniła błąd, głupi błąd. Może nawet teraz jej szukają, wołają – i co będzie im miała do powiedzenia? Że poszła do szklarni po kwiaty? Że wysłano ją z misją zupełnie dla niej niestosowną?

Odwróciła się i nagle go ujrzała. Stał w cieniu, przy drzwiach. Obserwował ją, a teraz podszedł bliżej.

– To był żart – powiedziała.

– Nie żart, podstęp – sprostował. – Trudno, musiałem użyć Harrisona.
– Będę miała kłopoty.
– Nie, nie – mruknął. – Nie, nie. – Otoczył ją ramionami i spojrzał w jej twarz. – Moja droga dziewczynka – szepnął.
Próbowała się wyrwać.
– Nie jestem dziewczynką – odparła. – Zresztą, za twoją sprawą.
Pocałował ją. Pozwoliła. Pragnęła być kochana – choćby przez krótką chwilę. Chciała, by widziano ją tak, jak on ją widział. Stać się dla kogoś ważna, mieć imię – Emily, Emily – wypowiedane właśnie tak, jak je teraz szeptał. Potrzebowała choć troszkę wsparcia – już ono samo warte było całej reszty. Wsparcie i ciepło. Chętnie ułożyłaby się tu, przy kwiatkach, szczelnie otulona przed zimnem.
– Wciąż jesteś moją drogą, małą dziewczynką – wyszeptał.
Znowu próbowała się wyrwać, zapierając się rękami o jego ramiona.
– Nie jestem – odparła. – Nie widzisz tego? Nie należę do ciebie.
Uśmiechał się, jakby jej nie słyszał. Wydobyl z kieszeni małą paczuszkę, granatowe pudełeczko.
– Co to? – zapytała.
– Jest Boże Narodzenie – odparł. – Mam dla ciebie prezent.
Trzymając pudełeczko w dłoni, nie spuszczała oczu z jego twarzy.
– Co to jest?
– Otwórz, to zobaczysz.
– Muszę wracać.
– Zobacz chociaż, co ci przyniosłem.
Otworzyła aksamitne wieczko. W środku leżał cienki złoty łańcuszek, a każde jego oczko miało kształt serduszka.
– Podoba ci się?
Zamknęła pudełko i podała mu z powrotem.
– Nie mogę tego przyjąć.
Zacisnął dłoń wokół jej palców.
– Niech to będzie nasz sekret.
– Nie rozumiesz? Kiedy miałabym to nosić? Inne służące by zobaczyły. Co bym im powiedziała?
– Że dostałaś to w spadku po jakiejś ciotce.
Spojrzała na niego i potrząsnęła głową.
– Może w twoim świecie to byłoby możliwe – rzekła. – Ale nie w moim.
Zaśmiał się.
– Kochanie, ty jesteś moim światem. Proszę, przyjmij to.
Drżała na całym ciele. Powietrze nagle stało się za gęste, by nim oddychać.
– Muszę stąd odejść – powiedziała.
– Co masz na myśli, na Boga?
– Że będę musiała odejść. Wrócę do domu – odparła.
Przekrzywił głowę i zmarszczył czoło.
– Ktoś zachorował? – spytał. – Twoja matka?
– Nie. Matka nie.
Nagle stanęła jej przed oczami twarz matki. Dokładnie wiedziała, co powie matka, kiedy Emily wróci do domu. Jak my się teraz pokażemy w kościele. Kościół był dla niej wszystkim. To dzięki niemu po śmierci ojca rodzina przetrwała. To dzięki Kościołowi miały pomoc z parafii. To

dzięki Kościołowi nie umarły z głodu. Nie było nic ważniejszego. Nic. Nie istniało nic ważniejszego niż szorowanie kamiennych kościelnych schodów, zamiatanie pokojów na plebanii i wysyłanie dzieci do nowej szkółki niedzielnej, i tego, żeby dzieci były czyste. Wszystko musiało być czyste. Schodek przed drzwiami ich maleńkiego domku na brudnej uliczce. Bo należał do Kościoła. Ona, jej dwóch braci i dwie siostry musiały chodzić do kościelnej szkoły, jeść kościelne jedzenie, polerować kościelne mosiądze i ławki, i robić miny świadczące o tym, że są dobrymi, cichymi dziećmi. Czyste i porządne, z rączkami równo złożonymi do modlitwy, siedzą w ostatniej ławce, nauczone na pamięć całych fragmentów Biblii. Nauczone bezwzględnie szanować starszych i wyższych pozycją, tych, którzy uchronili ich przed katastrofą. Mieli szczęście, zawsze powtarzała matka, że ludzka życzliwość ocaliła ich po śmierci ojca, który utopił się w płynie wypełniającym mu płuca. I mieli wielkie szczęście – naprawdę, wielkie szczęście – że poznano ich z panią Jocelyn, która wyraziła chęć zatrudnienia Emily, ponieważ sama była gorliwą, prawdziwie oddaną sługą Kościoła. Jej siostra, mieszkająca w tym samym miasteczku, podkreślała, że Emily to dobra, chętna dziewczyna.

Kiedyś mu to wszystko opowiedziała. Trwało lato. Ostatnia fraza wprawiła go w dobry humor.

– Chętna – powtórzył wtedy i, ku jej zaskoczeniu i przerażeniu, przyciągnął ją blisko.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytał teraz.

Spuściła oczy na pudełeczko.

– Może mógłbyś się o mnie zatroszczyć – szepnęła.

– Zatroszczyć się? – powtórzył.

– Na wypadek, gdybym była chora.

– Ależ oczywiście – odparł z uśmiechem. – A jesteś?

Nie mogła znaleźć słów. Miała je na końcu języka, ale nie potrafiła ich wypowiedzieć.

– Gdybym... – Słowa jednak wciąż nie przychodziły.

– Ale ty nie będziesz chora, Emily – powiedział. – Nie zachorujesz jak twój ojciec. To się nie zdarzy, ponieważ mieszkasz tutaj. – Znowu ją pocałował i obejrzał się za siebie. – Chyba powinnaś już iść – przyznał. – No, wiesz. Bradfield, Jocelyn i tak dalej.

Zajrzała mu w oczy. Włożył jej pudełko do ręki.

– Przypuszczam – rzekł – że wpałabyś w okropne tarapaty, gdyby to się dalej ciągnęło.

– Ciągnęło? – zapytała.

Zrobił figlarną minę.

– To znaczy, gdyby stało się... – przerwał. – Emily, jesteś taką cudowną dziewczyną.

Naprawdę.

I odszedł. Gdy był już w połowie alejki, odwrócił się i spojrzał na nią. Stała nieruchomo niczym posąg między orchideami. Rozłożył ręce w geście bezradności. – Jesteś taka ładna – rzekł. – Proszę, postaraj się to nosić, jeśli tylko będziesz mogła.

Drzwi szklarni zamknęły się za nim. Spojrzała na pudełeczko, ale nic nie zobaczyła.

Zupełnie nic.

Panowie przyłączyli się do siedzących w salonie pań. Zbliżała się północ.

Octavia siedziała z córkami. Louisa czule trzymała ją za rękę. Piętnastoletnia Charlotte, której po raz pierwszy pozwolono uczestniczyć w kolacji wigilijnej, trzymała się sztywno wyprostowana, jakby chciała się zmusić do czujności i koncentracji. Było to niezaprzeczalnym znakiem, że jest kompletnie znudzona. Wszystkie trzy słuchały Harry'ego, opowiadającego jakąś historię o Blériocie, która zdawała się nie mieć końca.

– Chciałbym latać, a wy nie?

– Harry, co ty mówisz, latanie? To takie niebezpieczne, i w dodatku bezsensowne.

– Bezsensowne! – wykrzyknął. – Mamo, przecież to najwspanialsza rzecz pod słońcem!
– Ale tak po prostu dryfować w powietrzu, jak ci w balonach... – zaczęła Louisa.
– To coś zupełnie innego niż dryfowanie – odparł uszczypliwie Harry. – Nie pamiętasz Beaumonta dwa lata temu?
– Pamiętam, jak pojechałeś do Harrogate tylko po to, aby omal nie zmiażdżył cię tłum idiotów – wtrącił się William.
– Obleciał całą Wielką Brytanię i zdobył dziesięć tysięcy funtów – odparował Harry. – Według mnie to niesamowite.
– Słyszałam, że pewnego ranka Bellingtonowie z Dorking wstają, a tu jeden utknął u nich na drzewie – oznajmiła Louisa. – To znaczy, po prostu wisiał.
– Kto wisiał? – zapytał Harry, marszcząc czoło.
– Balon. Zaczęli krzyczeć do pasażerów i okazało się, że byli w drodze do Dover. Wyobrażacie sobie? – Louisa, jak to ona, wybuchnęła perlistym śmiechem. – To raczej mało... hm, dostojne.
– Czy ty w ogóle potrafisz skoncentrować się na jednym temacie dłużej niż przez dziesięć sekund? – zapytał chłopak.
– Harry – wtrąciła się Octavia. – Przestań, kochanie.
– To tylko kaprys – oznajmił William.
– Ale pocztę przesyła się już drogą powietrzną, prawda? – zauważył Edward Stanningfield. – Wydaje się, że to bardzo wydajne.
– Zastosowania praktyczne na pewno będą ograniczone – William wyraził swoją opinię.
– Beaumont wygrał trzy wyścigi – przypomniał Harry. – Jeden z Paryża do Rzymu, drugi wokół Europy...
– Ale jego towarzysz nie żyje – przerwał William. – A teraz dwóch następnych pilotów zginęło, kiedy wybuchły im zbiorniki z paliwem.
– Och, William, przestań – wymamrotała Octavia. – Przecież to Wigilia.
– Cóż... – nie dawał za wygraną Harry. – I tak nauczę się latać.
– Jeżeli dam na to zgodę – zaznaczył William. – Czego nie zamierzam robić. Tu, na ziemi, jest wystarczająco dużo rzeczy, którymi możesz się zająć.
Ojciec i syn mierzyli się wzrokiem. Louisa pogładziła brata po kolanie, William zapalił cygaro.
Octavia poklepała Charlotte po ramieniu.
– Zagraj coś na pianinie, kochanie – poprosiła cicho. – Widok rozżłoszczonego Harry’ego zupełnie mnie rozstraja.
– Nie mam pojęcia, co w tego chłopaka wstąpiło – mruknął William, siadając obok Louisy.
– Młodość – odparła Octavia – nic innego, Williamie. Młodość.
Hélène stała naprzeciwko francuskiego lustra przywiezionego z Paryża. Zabawiała Alexandra Kenta długą rozmową, a Elizabeth Kent z najbliższej kanapy mierzyła ją lodowatym wzrokiem. Hélène miała na sobie oszałamiającą niebieską kreację, przerobioną, jak wyznała pani Stanningfield przy kolacji, z sukni balowej z 1890 roku.
– Jeśli chodzi o pieniądze, jestem bardzo ostrożna – zaśmiała się lekko. – Paryż jest taki drogi.
Ida Stanningfield wyraziła się o stroju bardzo pochlebnie.
– Jest piękna... ten krój...
– To atlas z plantacji Bluebird. Miałam z niego uszyte różne rzeczy. Własnego projektu.
– Bluebird? – powtórzyła starsza kobieta. Octavia widziała, że Ida próbuje wyrobić sobie

zdanie co do H el ene, rozs adzi c, czy upływ lat wpłyn ł jako  na jej reputacj . Dawniej H el ene uważano za skandalistk , a na ile to prawda, najlepiej wiedzieli sama zainteresowana i William. Dzi , patrząc na ni , trudno by o w to uwierzy . Octavia, cho  nikomu by si  do tego nie przyznała i zawsze miała z tego powodu poczucie winy, uważała, że wytwornie ubrana H el ene podejrzenie przypominała m ężczyzn . Stała i poruszała si  w bardzo charakterystyczny, niezwykly sposób. Octavia wolałaby, żeby H el ene nie rzucała Williamowi spojrzeń sugeruj cych, że łączy ich jakie  cudowne, sekretne porozumienie. Była wi cej ni  pewna, i  H el ene zachowuje si  w ten sposób, by co  ugra , ale co  to mogłoby by , Octavia, mimo upływu czasu, wci ż nie wiedziała.

Spojrzała na ni  zza suto zastawionego stołu i misternej kompozycji kwiatów, staraj c si , by ocena była obiektywna. Pomyślała, że mimo wszystko H el ene trzeba odda  sprawiedliwo . Cho  rzeczywi cie jest nieco dziwaczna, to niezaprzeczalnie ma du o uroku. Octavia, zbyt skromna, by podkreśla  swoje pochodzenie, życzliwie wychyliła si  naprzód.

– Plantacja Bluebird na Jamajce – wyja niła Idzie – należała do pradziadka Williama.

– Ach, rzeczywi cie, wiedziałam o tym – ożywiła si  Ida. – No tak, wi c atlas... Jakie to pomysłowe.

Octavia u miechnęła si . Uwielbiała Id  i Edwarda, drugie pokolenie właścicieli fabryki włokienniczej w Manchesterze. Według etykiety, jako para nietytułowana nie powinni wprawdzie zasiada  przy wspólnym stole z arystokracj , ale w tym przypadku nieust pliwo  Octavii pokonała up r Williama. Edward Stanningfield nie miał za grosz ogłady, twierdził William, by  beznadziejny i za gło no mówił. A Ida jako żona była zbyt... Ale tu William nie miał do końca sprecyzowanej opinii.

– ...zbyt miła? – odpowiedziała Octavia z uniesion  brwi .

Stanningfieldowie zajmowali si  handlem i czerpali olbrzymie dochody z przędzalni bawełny w Manchesterze, nie zaś wełny w hrabstwie York, sk d pochodziła fortuna Octavii. Byli jednak hojni – dla swoich robotników postawili bardzo przyzwoite domy. Poniewa  w branży wie ci rozchodzą si  szybko, dwadzie cia siedem lat temu, kiedy dowiedzieli si  o śmierci ojca Octavii, natychmiast zainteresowali si  jego spadkobierczyni . Od tego czasu Edward Stanningfield nie spuszczał czujnego oka z przędzaln  Octavii, przygl daj c si  dyskretnie z oddali, czy s  prawidłowo zarz dzane.

Lady Cavendish musiała przyzna , że Ida i Edward wyróżniali si  na tle pozostałych gości: bladego lorda Dallinga o ascetycznym wygl dzie, Humphreya Villiersa z now  żon , Kentów – zubożałych, lecz chlubi cych si  zdumiewaj cym drzewem genealogicznym właścicieli najlepszych terenów polowań na ptactwo na p łnocy, a r wnie  ślicznych, drobnych, świe o po lubionych Gardinerów i ich rodziców – londyńskich s siadów Cavendishów. Towarzystwo by o dobrze dobrane i zadowolone, wszyscy starali si  zachowywa  wobec innych przyzwoicie. Goście stanowili wi c wspaniałe dopełnienie choinki, świec, jedzenia, wina, niezwyklej sali o wysokim gotyckim sklepieniu oraz mi kko wy ciełanych, przepysznych mebli salonu i olbrzymiego paryskiego lustra.

Na kt rego tle eksponowała si  wla nie H el ene.

Gardinerowie omawiali nadchodzący londyński sezon. W tym roku Louisa miała zosta  debiutantk .

– Kiedy ruszacie do Londynu? – zapytano Octavi .

– Och. Zapewne w marcu. Przed Wielkanoc , by um wi  si  z Louis  na przymiarki sukien.

Mówi c o tym wyczerpuj cym i jak  kosztownym zaj ciu, kobiety wymieniły porozumiewawcze u miechy i w spółczu j ce wzruszenia ramion. Gertrude Gardiner poklepała

Octavię po kolanie.

– Louisa bez wątpienia odniesie wspaniały sukces – zapewniła. – A czy ten Gould przyjeżdża później do Rutherford?

– O kim mówisz? – chciała wiedzieć Octavia.

Gertrude machnęła ręką.

– Och, był już u nas wszystkich, moja droga. Bardzo przystojny, potwornie amerykański, sama wiesz. Píše jakąś książkę na temat starych rodzin z długimi rodowodami. – Westchnęła zamyślona. – Miły z niego towarzysz, nie przeczę, ale to dyletant, jeśli chcesz poznać moje zdanie. Szwenda się po Europie bez konkretnego celu.

Octavia uśmiechnęła się.

– Ach, teraz pamiętam, William wspominał o kimś takim. Ci Gouldowie to jacyś bankierzy, prawda?

Gertrude prychnęła.

– Zajmują się handlem, moja droga. – Natychmiast uświadomiła sobie gafę i zerknęła w stronę Stanningfieldów. – Ale podobno są bardzo mili. Zwłaszcza on jest... rozrywkowy.

Octavia zniżyła głos.

– Henrietta de Ray mówiła... – zaczęła i przeniosła wzrok na Williama, by upewnić się, że nie słyszy – że jest raczej...

Gertrude zaśmiała się cicho.

– O, tak, tak – odparła. – Najlepiej zrobisz, trzymając go z daleka od Louisy, żeby ci przypadkiem nie uciekła do Nowego Jorku.

Ogień dogasał. Octavia zdawała sobie sprawę, że Bradfield i Harrison usługują już od pięciu godzin, które minęły od kolacji, skinęła więc na Williama, żeby ich zwolnił. – Chyba pora się kłaść, kochanie – powiedziała półgłosem. – Jak sądzisz?

Towarzystwo wstało. Panie odszukały swoje szale i torebki. Octavia zwróciła uwagę na młodych małżonków, którzy rzucili się do drzwi niemal biegiem. To było takie słodkie. Rodzice trzymali się z tyłu. Alice Gardiner zainteresowała seria małych, oprawionych szkiców, wisząca przy drzwiach.

– Były wystawione na sprzedaż na Bond Street, kiedy ostatni raz gościliśmy w Londynie – wyjaśnił William. – Są raczej nie w moim guście, ale Octavii bardzo się spodobały.

– Takie małe portrety – dodała Octavia. – Lautreca.

– To jakiś malarz? – zapytał Villiers.

– Jakiś francuski malarz – wyjaśnił William, kiedy Bradfield otworzył przed nim drzwi.

Octavia zerknęła na żonę Villiersa – skromną kobietę, która sprawiała wrażenie, że ma znacznie więcej zdrowego rozsądku niż przeciętna arystokratka. Wymieniły znaczące uśmiechy.

W holu wiało chłodem. Było znacznie zimniej niż godzinę temu.

Octavia przepuściła gości przodem i zaczęła chwilę na schodach, ponieważ Ida Stanningfield zatrzymała się, by obejrzeć portret pędzla Singera Sargenta. Potem patrzyła w ślad za nimi, kiedy oddalali się górnym korytarzem w lewo. Słyszała ciche zamykanie drzwi pokojów gościnnych. Wszystkie światła na półpiętrze już pogaszono.

Podniosła wzrok na ogromne okno. Było wysokie na trzy piętra, a ojciec Williama kazał wymienić wszystkie szyby na witraże przedstawiające winorośl i drzewa. Delikatne w kolorze maswerki, prześwietlone bijącym od śniegu blaskiem, otaczały fragment widoku na podjazd i park, łagodnie schodzący do rzeki.

Octavia stała cicho w półmroku. Nagle na dole usłyszała jakiś ruch. Spojrzała w tamtą stronę. Najpierw nic nie zauważyła, ale po chwili z salonu wyłonił się William, spoglądając przez ramię. Widocznie po coś wrócił – już miała go zawołać. Zatrzymał się jednak i spuścił wzrok.

Z pokoju wychynął teraz Bradfield. Zamienili parę słów, po czym Bradfield odszedł w stronę obitych zielonym suknom drzwi obok schodów.

Hol oświetlał teraz tylko dogasający w kominku ogień. Blask jego płomieni pełzał po wysokich kamiennych ścianach. Z salonu wyszła Hélène i powiedziała coś tonem, który wydawał się nagłący. William wykonał szybki ruch ręką. Identyczny gest towarzyszył mu, kiedy zabraniał Harry'emu realizować swe marzenia. Płaska, nieugięta dłoń, skierowana wnętrzem w stronę podłogi.

Octavia widziała, jak Hélène łapie Williama za rękę. Ich głowy znajdowały się teraz bardzo blisko. Słyszała, jak coś do niej powiedział. Być może: „Nie. Nie zrobię tego”. Ostatnie słowo, pełne napięcia, rozeszło się echem po holu. W piersi Octavii coś drgnęło – jakiś ponury dreszcz przerażenia, niejasne, odległe zrozumienie, jakby powtórka dawnego potwornego snu.

A potem Hélène pocałowała jej męża. Przyłgnęła do jego ciała i na długo przycisnęła usta do jego ust. Octavia patrzyła, jak mąż cofa się najpierw krok, potem drugi. Kiedy jednak się zatrzymał, jego ramiona owinięły się wokół kobiety.

Octavia odwróciła się.

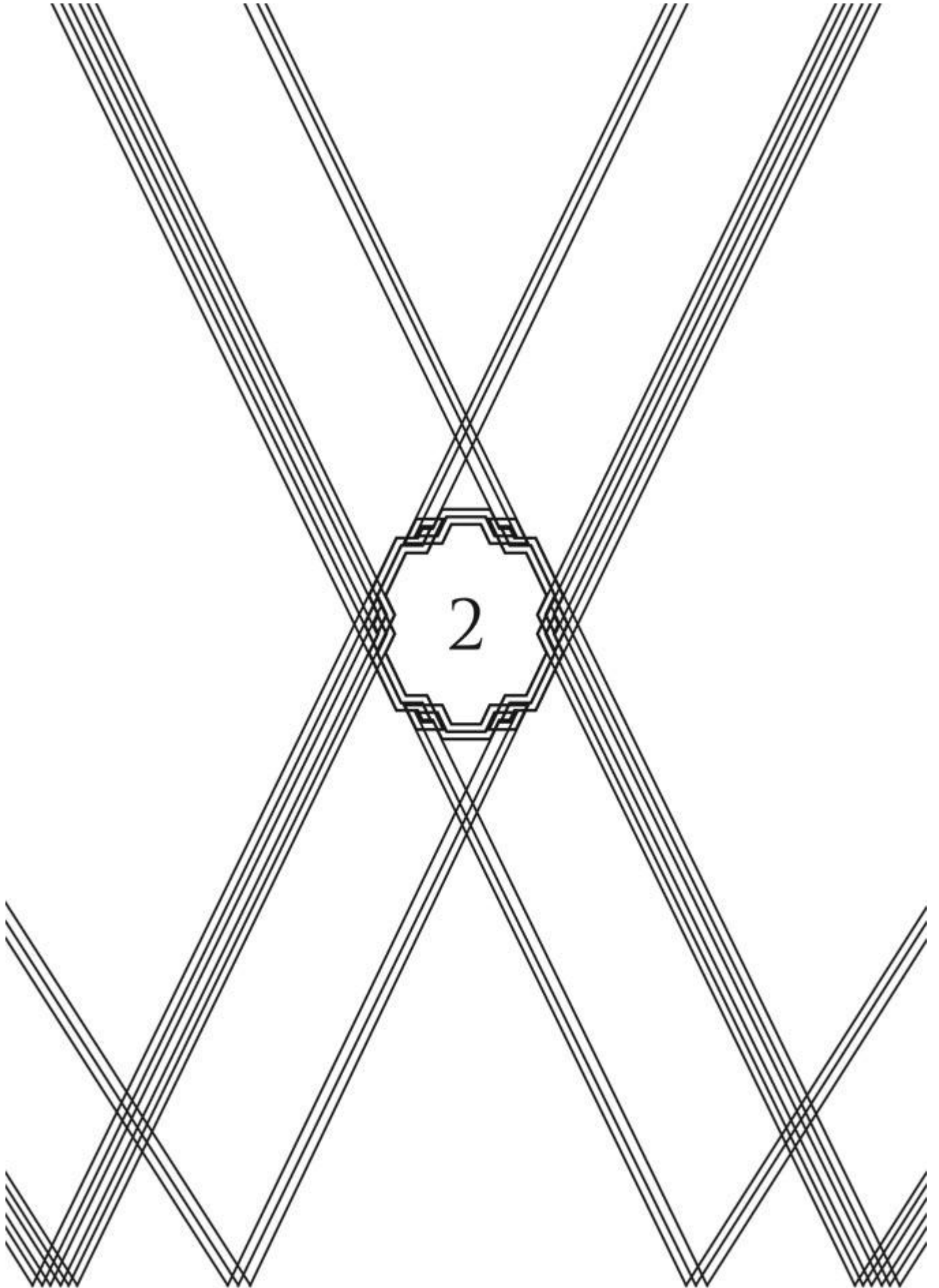
Odwróciła się i zamknęła oczy. A potem chwyciła za skraj sukni, by wejść dalej na górę. W pośpiechu zaplątała się w materiał którejś z wielu halek. Potknęła się, wystawiła rękę, by oprzeć się o parapet, i niechcący dotknęła okna.

Nie była w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że szyba jest lodowata i że dwa centymetry od jej ręki, za szybą, rozpościera się ocean bieli, a dom kołysze się na tym białym, zimnym oceanie, o ranie po ściętym drzewie i długiej, ciemnej linii alei...

Ktoś tam szedł.

Octavia zbliżyła twarz do szyby.

Na dworze, w śniegu i ciemności, Emily Maitland kroczyła samotnie w stronę rzeki.



Harry leżał na łóżku i gapił się w sufit.

Ostatnio nie mógł zasnąć, kiedy przyjeżdżał do domu. W Oksfordzie nie było tak źle – w pokoju wciśniętym między inne pokoiki czuł się swobodniej, bardziej anonimowo. Na wykładach bywał rzadko. Tutor wyraźnie dał mu do zrozumienia, że jest przede wszystkim Beckforthem, jakby tylko to się liczyło, a on sam jako człowiek nie przedstawiał żadnej wartości. Harry prychnął śmiechem, kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku profesora. To prawda, pomyślał – sześć pokoleń Beckforthów studiowało w Oksfordzie i wszyscy skończyli uczelnię bez krztyny wiedzy, której zdobycie wymagało wszak pewnego wysiłku. Przy życiu i pieniądzach utrzymywali się dzięki inteligencji, sprytowi i okrucieństwu, a tego przecież nie wynieśli ze szkoły. Ponadto często byli zwyczajnie leniwi. Harry miał i takich przodków, którzy zadowoleni z siebie nurzali się we własnym lenistwie niczym tuczniaki, żerując na okolicznej ludności, a majątek przepuszczali na intrygi na dworze królewskim i kobiety. Nie rozumiał, po co mu wykształcenie. Przecież i tak nigdy go nie wykorzysta.

Rozrzucił ręce na boki. Wciąż był ubrany – nie chciał, by Harrison, Hardy lub Nash mu usługiwali. Niech się zajmą ojcem i resztą gości. Nie znosił ich milczącej, służalczej obecności. Boże, ależ czuł się stłamszony. Naprawdę czuł się tak, jakby przepuszczono go przez wyżymaczkę i jakby uszło z niego całe powietrze. Zateśknął przez chwilę za swym pokoikiem w Oksfordzie, za małym kominkiem, na którym piekł sobie tosty i przy którym siedział, paląc papierosa za papierosem. Potem pomyślał o proszonych kolacjach, fałszywym chórze w kaplicy i poczuł obrzydzenie.

Wszystko było za stare. Może dlatego tak go irytowało? Oksford też, oczywiście, ale i Rutherford, leżące u szczytu doliny niczym piękna, zubożnięta bestia – za stare i za delikatne z tymi wieżyczkami i spiralami. Potrzebował czegoś prostego i regularnego. Domu jak dom Armitage'a – małego, zwykłego, przysadzystego, stojącego tuż przy stajniach. Zapatrzone w ginący w mroku sufit zastanawiał się, jak też Armitage'owie spędzają święta. Mógłby się założyć, że tam u nich jest miło i wesoło. Oddałby wszystko, byle tylko nie spędzać świątecznego lunchu i kolacji we własnym domu. Ojciec uważał za swój obowiązek wykorzystać każdą okazję, by przyprzeć go do muru, zaprowadzić do biblioteki i zrobić wykład o najemcach i księgach rachunkowych. Zapowiedział, że po Nowym Roku zabierze go do Blessington, do przędzalni. William Cavendish co pół roku dokonywał rytualnego spotkania z ich zarządcą, lecz Harry uważał to za całkowity bezsens. Ojciec twierdził, że ich obowiązkiem jest wizytować przedsiębiorstwo generujące część ich dochodu i przynajmniej udawać, że są tym zainteresowani.

Harry uważał, że Blessington to miejsce, gdzie rzeczywistość rozgrywa się naprawdę, a tamtejsze życie ma w sobie pełnię i intensywność, choć równocześnie miał podstawy, by sądzić, że podstawowym celem przędzalni jest jak najszybsze wymordowanie miejscowej ludności. Z jednej strony podziwiał miejsca będące źródłem dochodu jego matki – podobał mu się nigdy niemilknący, ogłuszający hałas, szybkość, wytwarzanie czegoś, nawet jeśli to coś nosiło na sobie odciski spoconych rąk, a oddech utrudniał unoszący się w powietrzu pył wełnianych włókien. Z drugiej jednak – nienawidził siebie samego, kiedy ubrany w garnitur o jedwabnych klapach musiał stać i przyglądać się pracującym bez ustanku krosnom. Nienawidził ukradkowych spojrzeń, jakie rzucały mu nachylone przy nich kobiety – spojrzeń tak ciekawskich, jakby należał do innego gatunku. Pod koniec dnia wychodzili z ojcem na brudną pochyłą uliczkę i ramię w ramię z tłumem robotników szli w świetle latarni, a nad nimi rozlegało się wycie fabrycznej syreny. Dzień roboczy był ściśle podzielony na zmiany, każdy doskonale wiedział, gdzie i o której godzinie powinien się znajdować, miał nazwisko wypisane na wymiętej i wytłuszczonej karcie, którą wsuwał w urządzenie rejestrujące czas pracy, umieszczone przy

podwójnych, zatraskujących się z łoskotem drzwiach. Harry nie należał do tego świata. Nie był jedną z twarzy prześlizgujących się przez bezmierny, kaszlący tłum o wysuszonych oczach. Był synem właściciela, należał do kolejnego pokolenia Beckforthów z linii drugiej czy trzeciej żony kogoś tam sprzed dwustu lat, i nosił imię swego kuzyna. Miał obowiązki i miał swoje miejsce. Ale nie miał co robić.

Podniósł się i podszedł do okna. Kiedy był młodszy, często wchodził na dach, by stamtąd spoglądać na tereny swego majątku i dalej, na wzgórze. Między kominami w stylu Tudorów wyglądał jak mały bożek. Patrzył, jak żniwiarze na polach powoli zamieniają łąny w rżysko, jak chwiejnie posuwają się wyładowane sianem wozy, a konie pociągowe przypominają podłużne barwne plamy. Teraz nigdy tam nie bywał. Czuł się tak, jakby życie ściągało go w dół.

Och, gdyby tylko pozwolili mu odejść. Gdyby tylko ojciec, cóż, trudno to inaczej ująć, dał mu trochę luzu. W świecie działy się przeróżne rzeczy – były nie tylko samoloty, ale też samochody. Harry chciałby podróżować, zobaczyć, jak żyje reszta ludzkości. Och, gdyby tylko spuścili go z tej smyczy. Jeden z chłopaków na uniwersytecie mówił, że jedzie do Ameryki. Przodkowie Harry'ego też podróżowali. Na przykład jego stryjeczny dziadek znany był z tego, że wciąż jeździł po Europie. Bywał we Francji i Portugalii z chłopcami z chóru, a po drodze kolekcjonował przygody erotyczne. Nikt go nie powstrzymywał, ba, matka go nawet do tego zachęcała. Jego listy z podróży później opublikowano, Harry odszukał je w bibliotece uniwersyteckiej i przeczytał. Rysował się w nich obraz mężczyzny o wątpliwej reputacji, ale i niezwykłym smaku. Tak czy inaczej – pozwolono mu robić, co chciał, i o to właśnie chodziło. Mógł ruszyć w świat w towarzystwie swej małej, skandalizującej świty i kupować kulturę na tony. Jego nazwisko stało się synonimem wszystkiego, co najgorsze, a ojciec na próżno przewracał oczami i udawał, że syn nie ma nic wspólnego z tą rodziną – bo miał. Harry ciężko westchnął. Jego życie to jawna niesprawiedliwość. Widocznie miał zginąć z braku powietrza, tak mu było pisane. Na tę myśl nagle zrobiło mu się niedobrze.

Wystarczyło poszperać trochę w gabinecie ojca i w archiwum, by przekonać się, jak włóczył się po świecie jego własny dziadek. A mimo to ojciec oczekiwał od Harry'ego, że będzie siedział bez celu w Oksfordzie, a podczas sezonu szwendał się po Londynie – po tym piekle na ziemi, pełnym krzykliwej elegancji i starszych dam, które wskazywały na ciebie końcem parasolki i mówiły, że wyrośnie z ciebie przystojny mężczyzna. Boże, ratuj. Marzył, by zobaczyć Amerykę, nigdy już nie wkładać sztywnego kołnierzyka, nie musieć sterczeć między ludźmi z właściwego towarzystwa z poczuciem, że jest się kompletnym idiotą, i przestać być obiektem pożądanym spojrzeń matek, których córki powinny już myśleć o zamęściu.

Przez cały ostatni rok tylko dzięki niej czuł, że naprawdę żyje. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy ją rzucić. Dopiero koledzy ze studiów przestrzegali go, by się za bardzo nie zaangażował i by sprawy nie zaszły za daleko. To oni wpadli na pomysł, żeby podarował jej złoty łańcuszek. Na widok strasznego niesmaku na jej twarzy, kiedy trzymała pudełeczko, omal nie pękło mu serce. Dużo go kosztowało, żeby wtedy odwrócić się i odejść.

Całe ubiegłe lato minęło mu niczym sen na jawie. Pogoda była upalna, więc służący, kiedy tylko mogli, starali się wychodzić z domu. Po lunchu i przed kolacją gromadzili się na podwórzu, w cieniu, i chłodzili się pod pompą, polewając sobie ręce i twarze lodowatą wodą. Wiedząc, że Emily jest na podwórzu, Harry zakradł się do jej pokoju, odszukał w szufladzie obdrapaną komody jej bieliznę i przycisnął ją do twarzy. Wychylając się przez okno, dojrzał skrawek jej ramienia, linię policzka, ręce zaczerpujące wodę, którą moczyła sobie włosy. Cały czas drżał z obawy, że ktoś wejdzie na górę i przyłapie go na gorącym uczynku.

Od dawna nie pamiętano bardziej upalnego lata. W czerwcu, lipcu i sierpniu panowała straszna susza. Rzeka prawie całkowicie wyschła, o czymś takim nikt w dolinach Yorkshire

nigdy nie słyszał. Harry był tam owej niedzieli, kiedy Emily wróciła od matki. Dwanaście mil musiała iść piechotą. Nie chciała, by jej towarzyszył, choćby kawałek drogi.

– Ktoś mógłby nas zobaczyć – powiedziała.

– Ale kto?

Nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby położyć ją na miękkim, lekko pofałdowanym torfie, w jednym z wielu łagodnych zagłębień wrzosowiska. Żeby położyć ją między wrzosami, trawą i krzaczkami kolcolistu. Odmówiła. Do końca dnia włóczył się po parku, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

Ale wróciła. Ścieżka schodziła ze wzgórza między drzewa, a potem nad porośniętą krzakami i dzikimi zaroślami rzekę. Tam na nią czekał. Mimo że była już piąta po południu, wciąż panował nieznośny, lepki upał.

– Nie wiedziałaś, że jesteś całym moim życiem? – pytał ją. Wtedy w to wierzył – absolutnie, bezgranicznie. Emily wypełniała wszystkie jego myśli, stała się jego obsesją. Niosła w koszyczku ciastka upieczone przez matkę, mocno pachniały cynamonem. Do dziś zapach cynamonu wywoływał u niego poczucie winy i ślepe rosnące pożądanie. Nie odpowiedziała. Próbowала go minąć.

– Ty mnie nie pokochasz? – spytał. – Wcale, Emily?

Położył rękę na jej talii, na jej szyi. W końcu oddała mu pocałunek i oboje osunęli się na kolana w cieniu drzew.

Gdzieś daleko, w głębi domu, usłyszał teraz odgłos zamykanych drzwi. Nastawił uszu. Kroki w holu, stłumione trzaśnięcie drzwi z zielonym obiciem. Może to służba wygaszała ogień w kominkach na dole? Wyjrzał za okno, na zaśniewiony świat. Daleko w parku zobaczył światła. Otworzył na oścież okno i lodowaty powiew uderzył go w twarz. Z dali dochodziły przytłumione śniegiem głosy. Światła pojawiały się i znikwały, pojawiały się i znikwały. Ktoś biegł w ciemnościach.

Kiedy lady Cavendish dotarła do biało-żółtego pokoju, Amelie już na nią czekała. Octavia stanęła przy garderobie i pozwoliła służącej zdjąć z siebie suknię, buty i pończochy. Wyszła z halek, usiadła na krześle i czekała, aż zwinne ręce dziewczyny rozwiną jej misternie upięte włosy, odłożą wypełniacz do wyściełanego satyną pudełka, wyciągną spinki i pozwolą włosom swobodnie opaść na ramiona. Nie padło ani jedno słowo. Zegar stojący w drugim końcu pokoju, na gzymsie nad kominkiem, w którym powoli płonęły grube drwa, wybił kolejny kwadrans.

Było Boże Narodzenie.

Octavia siedziała i przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

Ubiegłej wiosny skończyła trzydzieści dziewięć lat. Była o dwanaście lat młodsza od Héléne de Montfort. Spodziewała się po sobie gniewu, tymczasem czuła tylko zażenowanie – tak, zażenowanie – i rozczarowanie. Mimo skandalicznej reputacji, jaką miała Héléne – a Octavia już dawno poznała historię o jej znacznie starszym opiekunie, właścicielu cudownego domu w Bergerac, a potem, będąc na herbacie u kogoś ze znajomych, zasłyszała z drugiej czy trzeciej ręki, że Héléne widziano w towarzystwie Jules'a Chéreta, a nawet, że pozowała do plakatów Olympii – zawsze uważała, iż Héléne bardziej zależy na tym, by postrzegano ją jako ekstrawagancką i bulwersującą, niż jest taka w rzeczywistości. Sama Héléne przyznawała, że robi wszystko, by obracać się we właściwych kręgach, a nie byłaby w nich akceptowana, gdyby plotki na jej temat okazały się prawdziwe. Héléne kokietowała – to jasne, i po prostu lubiła szokować ludzi. Ale czy jej serce można zdobyć lub złamać – i czy była zdolna do prawdziwej, wielkiej namiętności – to już zupełnie inna sprawa.

Octavia przypomniała sobie pewne wiosenne popołudnie sprzed wielu lat, kiedy z Williamem byli w Paryżu na pierwszej wystawie, otwartej w kwietniu 1900 roku. Pili właśnie

herbatę w Pawilonie Cejlońskim – miejscu, gdzie należało się pokazać, i czekali na Hélène, z którą byli tam umówieni. Kiedy wreszcie przybyła, olśniewająca w malowanej szyfonowej sukience i olbrzymim kapeluszu, zrobiła wielkie wejście. Pośród oceanu francuskiej mody Octavia natychmiast poczuła się jak straszdyło, w dodatku w oczywisty sposób angielskie. Tego popołudnia Hélène mówiła o malarzach młodego pokolenia, o restauracji Maxim i o Moulin Rouge, jakby wszystkie gromadzące się tam sławy znała osobiście, i to dosyć blisko. William zbył jej opowieści machnięciem ręki i burknął:

– Niemądre gadanie.

– Nie uważasz, że Hélène jest zupełnie niezwykła? – zapytała go potem, kiedy przebierali się do kolacji. Wtedy jeszcze wiele ich łączyło. Byli przyjaciółmi. Rozmawiali ze sobą.

– Bynajmniej – odpowiedział. – Ona tylko myśli, że jest niezwykła. A to coś zupełnie innego.

Czy naprawdę tak ją oceniał, czy zwyczajnie blefował? Czy już wtedy tych dwoje potomków Beckforthów, których łączyły podobne, subtelne wady i taki sam egoizm, było kochankami? Octavia oderwała wzrok od swego odbicia w lustrze. Wciąż, mimo wieku, jestem naiwna, pomyślała sobie. W jej kręgach towarzyskich *affaires de coeur*, które w zasadzie nabrały rangi warunku koniecznego, jeśli chodzi o przynależność do wyższych sfer, toczyły się na każdym kroku. Zwłaszcza w Londynie często słyszało się plotki o lady takiej to a takiej i jej młodszym kochanku, o lordzie tym i tym, którego widziano w towarzystwie nie jednej, ale dwóch kochanek. Za starego króla panował zwyczaj, że kiedy do posiadłości zjeżdżali się goście na przyjęcie z noclegiem, na drzwiach pokoiów wieszano kartki informujące, kto gdzie śpi, by ułatwić kochankom odnalezienie się tuż pod nosem męża czy żony. Podobno doszło nawet do tego, że w niektórych domach o szóstej rano rozbrzmiewał dzwon przypominający gościom, by udali się do własnych sypialni, aby służba nie przyłapała ich w ramionach kochanków. Octavia i William byli nawet tego świadkami. Sobie jednak nigdy na coś takiego nie pozwalali. O ile, oczywiście, Octavia wiedziała.

Amelie rozczesywała jej włosy. Cóż, zapewne, jak zawsze, Octavia była po prostu naiwna. Czy naiwność to cecha, którą można u siebie wytępić? Jeśli tak, to powinna znaleźć jakiś sposób, by tego dokonać, gdyż najwyraźniej naiwność całkowicie odebrała jej rozsądek. Zastanawiała się, ilu z jej własnych znajomych widziało, jak za jej plecami, na tym czy innym przyjęciu, Hélène bierze jej męża za rękę? Czy to rzeczywiście prawda? Czy ona, Octavia, była do cna głupia? Czy William spotykał się z Hélène w Londynie? Wyjeżdżał tam często i na pewno składał ludziom zwyczajne, popołudniowe wizyty. Czy Hélène gdzieś na niego czekała – na przykład w domu przyjaciół? Do hotelu zapewne nie chodzili, a jeśli nie do hotelu, to kto ze znajomych przymknąłby na ich schadzki oko? Które kobiety z niekończącego się sznura znajomych Octavii mogły coś wiedzieć?

Octavia głęboko zaczerpnęła powietrza. Poniosła ją wyobraźnia. Nie powinna do tego dopuszczać. Bo właściwie co takiego widziała? Hélène domagającą się pocałunku i Williama, który na to odpowiada. Być może chodziło tylko o tę chwilę – przecież nie została dłużej, by sprawdzić, co zaszło dalej. Może ją odepchnął, a może ona obróciła to w żart? Na tym właśnie polegało kokieteryjne poczucie humoru Hélène. I co on do niej powiedział? „Nie zrobię tego” lub „Nie mogę”, czy coś w tym rodzaju. Przecież słyszała wyraźnie, że odmawiał, kiedy Hélène przyciskała twarz do jego twarzy.

– Coś jeszcze, milady? – zapytała Amelie.

– Nie, dziękuję – mruknęła Octavia.

Amelie pokręciła się jeszcze chwilę i poszła, ale Octavia dalej tkwiła przed lustrem. W pamięci odtwarzała sobie wydarzenia na schodach – scenę pocałunku Hélène i Williama,

a potem niespodziewany widok za oknem. Nie miała wątpliwości, że to ta sama służąca, na którą natknęła się rano, samotnie idzie poprzez śnieg, ale kiedy wyswobodziła się z halek, w które się zaplątała, i wyrzała jeszcze raz, nikogo już nie było. Cień pod drzewami, nic więcej. Oparła łokieć o elegancką, bogato zdobioną toaletkę i położyła głowę na dłoni. Naprawdę powinna się już położyć.

Następnego dnia czekało ją doroczne spotkanie z okazji Bożego Narodzenia. Zgodnie z tradycją jaśnie państwo obdarowywali wtedy nie tylko zatrudnioną w domu służbę, ale też pracowników majątku, czyli prawie całą wioskę. Wątpiła, by nawet największe opady śniegu zniechęciły miejscowych do udziału w świątecznej kolacji, wydawanej w ogromnej stodole, i występach artystycznych. Cóż, pani Jocelyn zapewne pojawi się przed jej drzwiami przed śniadaniem. Podniosła się z krzesła.

Nad rzeką panowały nieprzeniknione ciemności. Rwący nurt szumiał głośno. Zanim się ochłodziło, padał deszcz i śnieg z deszczem, więc poziom wody w Wastleet znacznie się podniósł.

Jack Armitage obejrzał się za siebie i zobaczył ojca biegnącego przez sięgający powyżej kostek śnieg. Latarnię trzymał wysoko nad głową, by dobrze oświetlała ślady butów. Prawie we wszystkich oknach Rutherford pogasły już światła.

– Tu! – zawołał ojca Jack. – Chodź tutaj! – Widział dokładnie, dokąd szła – najpewniej nad rzekę. Brzeg był tu stromy, a w błocie widniała spora wyrwa, jakby ktoś poślizgnął się i upadł. – Emily! – krzyknął.

Ojciec zrównał się z nim. Ciężko dyszał.

– Gdzie ona?

– Nie wiem.

Obaj unieśli latarnie. Na czarnej, spienionej wodzie pojawiły się dwa żółte kręgi. Było przejmująco zimno – nad rzeką unosiła się lodowata mgiełka.

– Tędy szła, nie sądzisz? – zapytał Jack, wskazując na urwiste zbocze.

– Chciała się ześlizgnąć albo upadła – zgodził się Josh. Jack widział, że ojciec trzęsie się z zimna. Wiatr przybierał na sile. W twarze powiało im śniegiem.

– Co za suka. Ta kobieta.

– Mary Richards mówi, że nie pisnęła ani słówka. Podobno siedziała na korytarzu, a potem kazali jej iść spać.

– I co, może ta suka Jocelyn nie zatruwała jej życia? Nie, nikt mi tego nie wmówi. To przez nią.

Jack gapił się na ojca.

– Co takiego? – zapytał, domyślając się odpowiedzi. – A nie przez niego?

– Mówiłem ci przecież – mruknął Josiah. – Mówiłem ci, co będzie. – Zmrużył oczy, by widzieć przez śnieg i wiatr. – Ale żeby zrobiła coś takiego...

– A może chciała iść do domu, do matki – rzucił Jack. – Do mostu jeszcze kawałek.

– Bez płaszczka, bez kapelusza? Wyobrażasz sobie, że w taką pogodę wybrałaby się drogą przez wzgórze?

Potyając się i ślizgając na błocie i śniegu, posuwali się naprzód brzegiem rzeki. Wkrótce teren stał się łatwiejszy, bardziej płaski – zbliżali się do zakrętu, do wielkiego, leniwego zakola, którym Wastleet okrążała park. Gdzieś tam była łąka piaszczystego żwiru, tworząca płyciznę, na której Jack bawił się jako dziecko. Serce ścisnęło mu się w piersi i na chwilę zabrakło mu powietrza. Po drugiej stronie rzeki – dokładnie naprzeciwko łąki, dwadzieścia jardów dalej, pod drzewami, dno gwałtownie opadało, układając się w głębię, przed którą go wielokrotnie ostrzegano. Ten sam strach wyczytał na twarzy ojca.

– Emily! – krzyknął. – Emily!

Ojciec złapał go za ramię. Coś tam było, w wodzie, w połowie szerokości rzeki. Ponad szum rwącego prądu przebiegał się ludzki głos.

Obaj zauważyli ją równocześnie. Hałas rzeki stał się teraz ogłuszający. Stała na samym końcu żwirowej płycizny, po kolana w czarnej skotłowanej wodzie. Na jej ciemnej sylwetce zatańczyły światła latarń. Obejrzała się za siebie i dostrzegła ich. Jackowi błysnęła myśl, że postradała zmysły – wyglądała jak dzikie, zagubione zwierzę albo jak fragment jakiegoś przedmiotu. Zawodziła przeciągle i piskliwie, ale zdawało się, że robi to zupełnie bezwiednie, jakby płacz nią zawładnął, ogarnął ją na wskroś, niczym konie, które pędzone po małym okręgu gryzą się po zadach i kopią, jakby dosiadał ich sam diabeł.

– Emily! – krzyknął raz jeszcze. – Emily, na Boga, stój!

Potrząsnęła głową i odwróciła wzrok, stawiając równocześnie nie krok naprzód. Jack wiedział, że żwirowe dno opada gwałtownie. Przez chwilę pod stopami były jeszcze duże głazy, ale potem prąd przyspieszał i przybierał na sile.

– Emily! – powtórzył. Zszedł nad samą wodę.

Nagle usłyszał za plecami głosy innych. Obejrzał się przez ramię i zobaczył nadchodzącego przez śnieg Sedburgha – najstarszego z chłopców stajennych. Za nim zbliżała się postać, której nie sposób było pomylić z żadną inną – March. Jack wykrzywił twarz. Uwagę Marcha musiały przyciągnąć światła przy stajniach. Sedburgh na pewno beztrudnie mu przekazał, jaką dostali wiadomość z domu, więc March chciał osobiście sprawdzić, co się dzieje. Jack patrzył, jak stary zbliża się z gniewną, nachmurzoną twarzą.

Znowu odwrócił się w stronę Emily. Chwiała się niepewnie pośrodku rwącego nurtu. Ręce wyciągnęła na boki, by zachować równowagę.

– Co tu się dzieje? – zagrzemiał March.

– Zostaw dziewczynę w spokoju – powiedział Josh. – Zostaw, wyciągniemy ją. Nie dodawaj jej strachu.

March spojrzał na niego spoje łba.

– Mogę się chyba dowiedzieć, o co chodzi, tak czy nie? – ryknął. – Wszystko się przede mną ukrywa, tak? Nieprawda? Wszystko się przede mną ukrywa!

– To nie twoja sprawa – rzucił Josiah, na co March natychmiast złapał go za ramię i okręcił wokół tak, by mężczyzna stanął z nim twarzą w twarz.

– Służba to moja sprawa. Ty, on – machnął ręką na Jacka – chłopcy...

– Ale służące z domu nie! – Josiah wyrwał rękę z uścisku.

– Bardziej moja niż twoja!

– Jedna z dziewcząt przybiegła do stajni – krzyknął Josiah. – Jedna ze służących. Mówiła, że już wszędzie szukali. Myślałeś, że co zrobię, będę siedział całą noc i zastanawiał się, co robić? Czy że obudzę cały dom? No, co?

Znad rzeki dobiegł ostry krzyk.

Emily straciła równowagę. Ręce trzymając wciąż rozłożone na boki, zanurzała się coraz głębiej. Czarna suknia nabrała powietrza i wyduła się wokół niej niczym balon. Ku swemu przerażeniu Jack zobaczył, że dziewczyna pochyla się do tyłu, a nurt szarpie nią i porywa w dół rzeki.

Rzucił się do wody.

Była mała i wąta, jej ciało szybko poddało się prądowi. Mała i wąta – nie mógł przestać powtarzać sobie tego w myśli. Prawie jej nie znał, może raz czy dwa widział ją w ogrodzie, jak dźwigała ogromną, większą chyba od siebie tacę z podwieczorkiem. Z pochyloną głową przemykała pod ścianami – jak wszyscy służący. Biedna, mała, chuda, przestraszona dziewczyna.

Ogarnęła go wściekłość.

Woda była tak lodowata, że z trudem złapał powietrze. Serce łomotało mu w piersi. Odbił się od brzegu, dziękując Bogu za skradzione godziny, które spędzał tu kiedyś w lecie. Gdyby nie one, nie wiedziałby teraz, gdzie leżą największe kamienie. Gdzieś za plecami usłyszał krzyk ojca, ale huk wody zagłuszył słowa.

Przedzierał się przez wodę, używając wszystkich swych sił, aż znalazł się blisko niej. Mokra suknia hamowała jej ruchy. Dziewczyna nie walczyła – wpatrywała się tylko w niebo. Wyciągnął po nią rękę, nie trafił. Spróbował znowu, ale jej dłoń odpłynęła dalej. W końcu udało mu się chwycić za brzeg jej sukni, okręcić materiał o nadgarstek i pociągnąć do siebie. Woda nie ułatwiała mu zadania – szarpała nimi to w jedną stronę, to w drugą.

– Emily! – zawołał. – Pomóż mi!

Odwróciła głowę i gapiała się na niego. Jej usta poruszyły się ledwo dostrzegalnie. Nie słyszał, co powiedziała. Odnalazł pod wodą jej talię i przyciągnął ją do siebie, po czym odwrócił się w stronę brzegu. Woda chłostała mu twarz, wlewała się za kołnierz. Prąd okazał się taki rwący, że Jack czuł, jak żwir osuwa mu się spod stóp. Dziewczyna była potwornie ciężka – straszny ciężar jak na postać tak małą i chudą. Przez chwilę stawiała opór, wierzgając nogami, ale potem siły ją opuściły i jej ciało obwisło bezwładnie. Jack nagle zobaczył, że inni też weszli po pas w wodę: Sedburgh i drugi lokaj, Nash. Głośno łapiąc powietrze, ciągnęli wspólnymi siłami, potykali się i znów ciągnęli. Dobrnęli w końcu do płyčizny, gdzie próbowali podnieść nieprzytomną dziewczynę. Nagle doskoczył do nich ojciec Jacka, zwrócił ku sobie twarz Emily, otworzył jej usta i włożył palec do gardła. Zwymiotowała i zaczęła się krztusić, po czym otworzyła oczy. Dopiero wtedy, pomagając Harrisonowi dźwignąć ją na kolana, Jack spostrzegł, że dziewczyna jest w ciąży. Jej brzuch wyraźnie wystawał z żałośnie wychudzonego ciała, przykrytego mokrą suknią.

Jack podniósł oczy na brzeg. Stał tam Harry Cavendish, a March go powstrzymywał.

Jack wstał. Woda ciekła mu z ubrania. Zobaczył stos koców, które najwyraźniej przyniósł Nash, więc potykając się i ślizgając, podszedł do nich, wziął jeden i podał go ojcu. Przez chwilę stał bez ruchu w padającym śniegu, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

A potem wspiął się na brzeg, wyprostował się i pięścią uderzył Harry'ego Cavendisha prosto w twarz.

Stodołę tę wciąż nazywano „stodołą dziesięciny”, nie zważając na to, że Kościół zniósł ten podatek przed pięćdziesięciu laty, a średniowieczny budynek nie służył już jako magazyn do przechowywania siana i maszyn rolniczych, ale – przynajmniej w ubiegłym roku – jako tymczasowy garaż dla napiera. Teraz wybudowano już właściwy garaż, a długi, kamienny budynek o dachu wspartym na grubych, drewnianych krokwiach był na tyle przestronny, by organizować w nim świąteczne spotkania. Oświetlony lampami olejowymi, ogrzany przywiezionymi specjalnie ze szkoły piecami również na olej, z kamienną, wygładzoną stopami wielu pokoleń podłogą, dziś przykrytą matami, wyglądał naprawdę przytulnie. Ściany udekorowano gałązkami ostrokrzewu, a stoły na kozłach, na których w sezonie podawano żniwiarzom posiłki, wniesiono do środka i przykryto czerwonymi papierowymi obrusami. Nad nimi zawieszono chińskie lampiony, często używane do dekoracji przyjęć w ogrodzie. Pod ścianą szczytową, przy wejściu, stała choinka – wprawdzie nie tak duża, jak w domu, ale równie piękna.

William siedział obok Octavii i pozostałych gości. Czekali na tradycyjne występy dzieci z wioski – najpierw jasełka, potem wspólne śpiewanie kolęd. Mimo woli zwrócił uwagę na to, że dziewczynki, wystrojone w czyste fartuszki, ogromne kokardy i wypastowane buty, stały grzecznie, podczas gdy niektórzy chłopcy wiercili się i gmerali przy białych, zapewne papierowych kołnierzykach, brudząc je palcami umazanymi od świątecznych smakołyków.

Octavia z charakterystycznym dla niej sentymentalizmem rozrzewniła się na widok Józefa ściskającego laskę pasterską dłońmi wielkimi niczym dwie szynki i wpuszczającego na scenę synów prawdziwych pasterzy, by popatrzyli na Dzieciątko Jezus – porcelanową lalkę z jaskrawo wymalowanymi, pełnymi ustami i, co z rozbawieniem zauważył William, kilkoma kędziorami brązowych włosów. Od czasu do czasu któreś z dzieci popatrywało na rodziców, pomne ostrzeżeń, że ma stać spokojnie, a mówić głośno i wyraźnie.

William uśmiechnął się do siebie. „Nie zawracaj głowy jaśnie państwu”, usłyszał raz okrzyk pewnego wieśniaka, którego dziecko wyskoczyło jemu i Octavii prosto pod nogi podczas wyścigów konnych w Yorku, za co dostało klapsa. Zastanawiał się, czy oni wszyscy tak go widzą – jako podmiot zbiorowy, na zawsze i nierozłącznie połączony z Octavią – „jaśnie państwo”. „Nie zawracaj głowy”, czyli nie naprzykrzaj się, nie odzywaj, nie pokazuj, nie narzekaj, nie wybrzydź. Teraz przypatrywał się z uwagą im wszystkim. Nawet akompaniorka, walcząca w klawiszach przy pieśni *Hark! The Herald Angels Sing* raz po raz rzucała na niego spojrzenia pełne trwogi. Wszyscy postrzegali go jako istotę stałą i niezmienną, symbol, karykaturę. Octavię, opatuloną w ogromny szal z wełny i aksamitu, w ślicznych żółtych bucikach pod kremową suknią, zapewne również. Przypuszczał, że oboje stanowią coś w rodzaju pomnika. Nie należeli do tej samej rzeczywistości co pracownicy majątku, którzy oto, z czerwonymi twarzami i kuflami ciemnego piwa w rękach, głośno powtarzali słowa psalmu. Widział, jak ci sami mężczyźni w pocie czoła taszczyli do stodoły wielką choinkę, a raz przyłapał ich na bójce w polu – młocarnia wypuszczała kłęby pary w letnie, popołudniowe niebo, a oni rzucali przekleństwami i szepieniami przewracali się na rżysko. Tydzień później w najlepszej zgodzie łowili zaś razem ryby w Wastleet. Kiedy przechodził, podnieśli na niego oczy i ściągnęli czapki na znak szacunku, ale nie sądził, by oceniali go swoimi kategoriami. Żył gdzieś na skraju ich jaskrawego świata.

Psalm dobiegł końca, zaczęła się następna pieśń. Dzieci trzymały w rękach własnoręcznie wykonaną girlandę – flagi brytyjskie i rysunki zwierząt. Wielbłądy i osły. Pałace z kopułami. Filiżanki herbaty, lokomotywy i żołnierze na koniach. Zdał sobie sprawę, że to hołd wobec imperium. Za czasów jego ojca mówiło się, że słońce nad Imperium Brytyjskim nigdy nie zachodzi, a z Londynu rządzi się ćwiercią świata. Czuł, że dziś stary świat wyhamowuje, powoli skłania się ku upadkowi niczym olbrzymi mechanizm, który zaczyna szwankować. Australia i Kanada nie wchodziły już w skład imperium, były teraz dominiami. Kiedyś nadejdzie chwila – co do tego nie miał wątpliwości – że i Indie wysmykną im się z rąk. Nastąpiło jakieś przesunięcie – widział to w oczach mężczyzn, którzy spoglądali na niego z dystansem. Nastanie dzień, pomyślał, kiedy spróbują go czymś dźgnąć, by sprawdzić, czy jest człowiekiem z krwi i kości. Wtem Octavia zaczęła uprzejmie klaskać, a jemu przyszło do głowy, że ci sami mężczyźni dźgną i ją, a kobiety zdejmą z niej ten wielki, aksamitny szal i będą ważyć go w rękach, jakby Octavia była lalką stworzoną po to, by ją głaskać, podziwiać i podkraść jej rzeczy.

Zmarszczył czoło i spuścił wzrok. Wszystkiemu, uważał, winna była Hélène. Jej pełne drwiny, a zarazem gorczy poczucie humoru, jej daremne pogrożki, jej subtelne pieszczoty i pocałunki również stanowiły formę popychania, nakłaniania. Popsuła mu świąteczne szczęście, sprawiła, że we własnym domu czuł się jak półgłówek, jak swoja własna, jednowymiarowa podobizna z tektury, zaprzeczenie prawdziwego człowieka. To stąd się wzięło to cholerne uczucie.

– Żyjesz według utartego schematu – szepnęła mu wczorajszej nocy, kiedy próbował wyswobodzić się z jej objęć. – Ale ja wydobędę cię z twojego wygodnego życia, Williamie, i zobaczymy, jak ci się to spodoba. – Wszystko to zostało powiedziane z gadzim uśmiechem na twarzy.

Podniósł oczy i zaczął głośno bić brawo. Musi pokazać, że istnieje naprawdę, że

rzeczywiście jest tu gospodarzem. Wstał, wygłosił pełną optymizmu przemowę i rozdał świąteczne podarki: wędzone szynki, wełniane koce z przędzalni w Blessington, a prócz tego każdej rodzinie żeton do wymienienia na drewno na rozpałkę w gospodarstwie. Ścisnął ręce, a kobiety dygały przed nim i uśmiechały się nieśmiało. Mężczyźni prostowali ramiona i przyjmowali podarki bez cienia pokory, bo honor nie pozwala żadnemu mieszkańcowi hrabstwa York korzystać z dobroczynności. W powszechnym rozumieniu świąteczne podarki od jaśnie państwa zostały uczciwie zapracowane. Wszyscy się uśmiechali. Śpiewano. Robiło się coraz gwarniej.

William zerknął na swoje bijące brawo, roześmiane córki. Wkrótce rozpoczną się tańce. Zaczeka, aż wyjdą na parkiet i zrobią dwa czy trzy kółka, a potem zabierze rodzinę do domu, by wieś mogła wreszcie zabawić się swobodnie. Uśmiechnął się na widok twarzy Louisy z profilu – miała blond włosy i jasną, typową dla Beckforthów karnację.

– Nie sądzisz, że wyglądam jak Dorothy Gish? – zapytała go tego samego dnia rano, kręcąc piruety i przybierając pozy tancerek z niemych filmów, które razem widzieli.

– Dorothy Gish ma ciemne włosy – odparł. Radosna, łagodnego usposobienia Louisa była jego ulubienicą.

Podeszła do niego i wzięła go za rękę.

– A więc wiesz – powiedziała zachwycona. – Tylko udajesz, że nie wiesz. Ale wiesz, kto to Dorothy Gish! – zaśmiała się. Teraz też się śmiała.

Gdzieś w tle zauważył, że Hélène również przygląda się Louisie. Odwrócił wzrok.

– A gdzie Harry? – spytał Octavię, kiedy wreszcie opuścili swoje miejsca.

– Podobno zjadł dziś wczesne śniadanie – odparła.

– I dokąd się udał?

– Nie mam pojęcia – przyznała Octavia.

William westchnął i podał jej ramię.

Pani Jocelyn patrzyła, jak zbliżają się do domu. Stała w wielkim holu – samotna postać w czerni, z kluczami do kuchni i kredensu u pasa. Octavia, zdziwiona, uniosła brew.

– Jaśnie pani, mogę prosić o chwilę rozmowy?

Zdejmowali płaszcze.

– Chodzi o kolację?

Spojrzenie pani Jocelyn na ułamek sekundy przeniosło się na Williama, który wzruszył ramionami i odszedł w kierunku swojego gabinetu. Pani Jocelyn patrzyła w ślad za nim. Octavia ruszyła w przeciwną stronę, do salonu porannego. Podeszła do okna i wyjrzała na jezioro. Pani Jocelyn weszła również i zamknęła za sobą drzwi.

– O co więc chodzi?

Starsza kobieta załamała rękę. Octavia nigdy nie widziała, żeby choć na chwilę straciła panowanie nad sobą i żeby kiedykolwiek okazała choćby cień zaniepokojenia. Ochmistrzyni w każdych okolicznościach zachowywała całkowitą równowagę i stoicki spokój.

– Jest mi bardzo przykro, że niepokoję jaśnie panią czymś takim, ale koniecznie trzeba wezwać lekarza.

– Lekarza? Do kogo?

– Do jednej ze służących, milady.

Octavia odwróciła się od okna.

– Czemu? Co się stało? Do której?

– Do Maitland, jaśnie pani. Ona... – Twarz ochmistrzyni pokryła się rumieńcem. – Myślę, że najlepiej byłoby nie niepokoić jaśnie pana.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Dziewczyna jest w ciężkim stanie.
– Mój Boże. W aż tak ciężkim, by wzywać Evansa w samo Boże Narodzenie? – spytała.
W tej samej chwili przypomniała sobie sylwetkę dziewczyny za oknem, czarną postać Emily Maitland brnącej przez śnieg – postać, która znikła prawie natychmiast po tym, kiedy Octavia ją zauważyła.
– Obawiam się, że tak, jaśnie pani.
– Cóż się stało? Czy to grypa?
Octavia zaintrygowana przyglądała się rumieńcowi, który wstąpił na twarz pani Jocelyn. Prawie cała oblała się już purpurą.
– Chodzi o... sprawy kobiece, jaśnie pani.
– Kobiece...? Co pani ma, na Boga, na myśli?
– Dziewczyna spodziewa się dziecka – odparła ochmistrzyni. – To znaczy... ona właśnie rodzi.
– Dziecko? – Octavia podeszła bliżej do pani Jocelyn. – Maitland? Czy to nie ta sama, z którą rozmawiałam wczoraj rano?
– Ta sama, jaśnie pani.
– Ależ to niemożliwe!
Pani Jocelyn zebrała się na odwagę i spojrzała swej pani prosto w oczy.
– Wczoraj w nocy rzuciła się do rzeki – oznajmiła. – Jack Armitage, Nash i jeden z chłopców stajennych ją wyciągnęli.
– Mój Boże... – A więc to rzeczywiście była ona. Octavia czuła się zdruzgotana. Widziała ją przecież i nic nie zrobiła, nikomu nic nie powiedziała.
– Była bardzo wychłodzona, milady. Umieściliśmy ją w moim pokoju. Najpierw długo nie mogliśmy jej rozgrzać, a potem... – przerwała na chwilę. – O drugiej nad ranem zaczęła rodzić.
Octavia wbiła wzrok w ochmistrzynię.
– Czy pani chce mi powiedzieć – zaczęła – że od czternastu godzin pod moim dachem trwa poród, a ja do tej pory o tym nie wiem?
Pani Jocelyn zdołała się pohamować.
– Myślałam, że to pójdzie szybko – odparła.
Octavia przyglądała się jej bez emocji.
– Myślała pani, że dziewczyna poroni, a ja zostanę o tym poinformowana po fakcie? – spytała. – Albo wcale?
– Wydawało mi się, że najlepiej będzie nic nie mówić.
– Rozumiem. – Octavia mierzyła panią Jocelyn badawczym spojrzeniem. – To haniebne zaniedbanie. Jak mogła pani do tego dopuścić?
– Dobrze się ukrywała. To siódmy miesiąc, jaśnie pani.
– Siódmy miesiąc? A więc dziecko zapewne nie przeżyje.
– Tego się spodziewam, jaśnie pani.
Octavia zebrała myśli.
– Kto ją badał? A może w ogóle nikt?
– Pani March właśnie przyszła ją zobaczyć.
– I co powiedziała?
– Myśli, że to poród pośladkowy, milady.
– O, na Boga – mruknęła Octavia. Żona ogrodnika wydała wprawdzie na świat siedmioro dzieci, ale była już dobrze po sześćdziesiątce. Trudno więc nazwać ją nowoczesnym ekspertem w dziedzinie. Zastanowiła się sekundę. – A Bradfield wie?

- Tylko tyle, że zachorowała.
- I że rzuciła się do rzeki?
- Tak, proszę pani.
- A jak mu tu wyjaśniliście?
- Że to przez chłopaka, milady.

Octavia utkwiała w niej spojrzenie.

– No, to przynajmniej prawda – skomentowała. Pokój Bradfielda znajdował się w przeciwległym krańcu domu niż pokój pani Jocelyn. Możliwe, lecz niezbyt prawdopodobne, że uda się ukryć przed nim tę sytuację, przynajmniej na razie. – Czy wiemy, co to za chłopak? – spytała. Na twarzy pani Jocelyn dostrzegła ledwie widoczne wahanie. Machnęła ręką. – Zresztą, nieważne – rzuciła. – Proszę zawiadomić Evansa.

– Tak, proszę pani.

– I na razie nic nie mówić jaśnie panu.

– Oczywiście, milady. – Ochmistrzydni skierowała się do drzwi.

– Och, sprawa jest naprawdę przykra – mruknęła poirytowana Octavia. – Znajdę winnego, pani Jocelyn. Proszę o tym wszystkich poinformować. Jeżeli ojciec dziecka zamieszkuje w tym domu, to natychmiast zostanie zwolniony. To samo dotyczy służącej. Poproś Evansa, żeby do mnie przyszedł, kiedy ją zbada.

– Oczywiście, milady. – Pani Jocelyn otworzyła drzwi.

– A o pani niewłaściwym nadzorze nad służbą porozmawiamy innym razem – dodała Octavia.

Nie padło ani słowo odpowiedzi.

Wyszedł o brzasku. Najpierw bez konkretnego celu, ale później, kiedy zawędrował już dość wysoko na wrzosowisko, przyszło mu do głowy, żeby dotrzeć aż do Penyghent, gdyby przypadkiem ktoś jechał w tamtą stronę wozem i go podwiózł. Przy okazji mógłby zobaczyć się z matką Emily.

Nigdy tam nie był, ale znał wioskę i wiedział, że dom jej matki stoi zaraz przy kościele. Na pewno będzie u siebie, przecież to Boże Narodzenie. Śnieg przestał padać, wyszło słońce, i Harry pomyślał sobie, że to nie aż tak daleko – dwanaście mil, z czego połowa z góry. Wspinając się, wciąż miał przed oczami pełną drogę i kamienne murki, ale kiedy dotarł na szczyt wrzosowiska, widok zaparł mu dech w piersiach. Niebo było lazururowe, a dolina szerokim na dwie mile łukiem rozciągała się między pokrytymi wrzosem wzgórzami. Z leżącej w dole farmy dochodziło beczenie owiec i poszczekiwanie psa. Widział nawet tego psa – maleńką, niewyraźną plamę na dalekim polu.

Już nieraz wspinał się na Penyghent – wzgórze, którego szczyt przypominał wielkiego, śpiącego wapiennego lwa. Dało się tam odetchnąć pełną piersią, położyć się na plecach i patrzeć w przestrzeń, i nic innego tam nie było – tylko przestrzeń. Nic ani nikogo.

Bezwiednie skinął głową. Tak, pójdzie i spotka się z jej matką. Tak powinien postąpić mężczyzna – stanąć twarzą w twarz z ojcem lub matką. Ojca nie było, więc wyobraził sobie siebie w małej, wąskiej kuchni przed kobietą, której nigdy nie widział. Miał zamiar powiedzieć, że da jej córce pieniądze. Taki plan sobie założył, ni mniej, ni więcej – ofiarować sumę wystarczającą, by zapewnić bezpieczeństwo Emily i dziecku. Małżeństwo nie wchodziło w grę, jego rodzina nigdy by się na to nie zgodziła, a co więcej, on sam nie brał tego w rachubę. Małżeństwo nie wchodziło w grę, ale on nie był przecież barbarzyńcą. Dopilnuje, by Emily miała bezpieczny, wygodny dom, a dziecko – właściwą opiekę. Oczywiście wszystko odbędzie się w tajemnicy – o ile, oczywiście się uda. Jego rodzice w każdym razie nie mogą się o niczym dowiedzieć. Przy odrobinie szczęścia nakłoni matkę Emily, by zachowała tajemnicę i przyjęła

choć tę sumę, którą dysponował. Przynajmniej na razie. Do czasu, gdy...

Nie potrafił jednak dokończyć tego zdania. Do czasu, gdy... będzie starszy. Ze swojego funduszu powierniczego będzie mógł korzystać po ukończeniu dwudziestu pięciu lat. W takim razie... do czasu, gdy skończy dwadzieścia pięć lat. Znajdzie Emily jakiś miły domek, będzie ją od czasu do czasu odwiedzał, i nie będzie się sprzeciwiał, jeśli ona zechce wyjść za jakiegoś miejscowego chłopaka. Zdobędzie się na to. Nie będzie oponował. Zostanie jej opiekunem. Uśmiechnął się lekko. Przynajmniej nie najgorzej to wszystko brzmiało. Wreszcie. Przecież można opiekować się dziewczyną, nie wywołując skandalu, nie zwracając na siebie uwagi – to jasne. W wiosce mogą plotkować, ale jeśli matka Emily będzie siedzieć cicho i sama Emily też, to coś się wymyśli. Zatai się fakt, że prawdziwy ojciec dziecka opuścił wprawdzie Emily, ale był na tyle życzliwy, by jej pomagać.

A jego rodzice nie dowiedzą się nigdy. Zmarszczył brew. Czy to możliwe? Żeby naprawdę nigdy nie odkryli, iż jedna ze służących, będąc w ciąży, próbowała popełnić samobójstwo na terenie ich majątku? Josiah mówił, że zatrzymają ją na dole, póki nie dojdzie do siebie, trochę nie wydobrzeje, a potem zostanie odesłana do domu. Pani Jocelyn, przyznał niechętnie, będzie musiała się dowiedzieć, nie ma rady. Harry skrzywił się na samą myśl. Jocelyn bez wątpienia uzna za stosowne poinformować jego matkę, że Emily musi odejść, a nawet, że z rozpaczy rzuciła się do rzeki. Jeżeli jednak ochmistrzyni będzie rozsądna, resztę zachowa dla siebie. Gdyby w najmniejszym stopniu zależało jej na dobru dziewczyny, to powiedziałaaby jasnie pani, że Emily odchodzi z powodów rodzinnych. Ani Jocelyn, ani sama Emily nie życzyłyby sobie przecież, aby pani dowiedziała się, że służąca zaszła w ciążę. Sprawa była wstydliva. Słyszał już o tym, że służba ma w zwyczaju zatajać przed państwem takie przypadki, aby nie wystawiać na szwank reputacji dziewczyny. Dlatego pani w żadnym wypadku nie mogła poznać prawdziwej przyczyny odesłania służącej do domu. Idąc, Harry rozmyślał dalej. Wszystko będzie zależało od tego, czy Jocelyn i Armitage pisną coś na ten temat. Jako służący powinni dbać o dobre imię jednego ze swoich, więc być może zdecydują się kryć Emily, a może po prostu nie powiedzą jego matce całej prawdy? Ale czy zechcą chronić i jego? Czy Jack Armitage, który rzucił mu w twarz taką obelgę, będzie działał na jego korzyść?

Wcisnął ręce głębiej do kieszeni. Mimo wyężonego marszu pod górę, drżał. Gdzieś w dole nie przestawał czekać pies. Słońce oślepiło go, kiedy stanął na grzbiecie górującym nad doliną. Rozmyślał o przeszłości swojej rodziny, usianej romansami i potomstwem z nieprawego łoża. Jego prapradziadek miał więcej dzieci nieślubnych niż tych, które urodziła mu żona, a inni przodkowie płodzeniem kolejnych dzieci skazywali swe żony na utratę zdrowia i sił do życia. Historie tych ludzi uważał tylko za przejaw różnorodności ludzkiej egzystencji. W głębi duszy było mu żal ich staromodnego życia i groteskowej obyczajowości, ale z drugiej strony podobała mu się odwaga, by żyć ponad prawem i zasadami, powszechnie uznawanymi za właściwe. Ich egoizm zaszedł tak daleko, że niemal udało im się stworzyć własny, szczególny, wypaczony kod moralny, według którego mężczyzna wcale nie był taki zły, o ile jego żona o niczym nie wiedziała, a kochanka łaskawie umarła, zanim zdążyła wydać na świat zbyt wiele bękartów. W jego kręgach nie brakowało takich przypadków. Słyszał, jak mężczyźni chełpili się przykurzonymi skandalami, które udało im się wywołać. Podobno pięć czy sześć lat temu uwiedziono pokojówkę lady Cunard, a ktoś z rodziny – jakaś młoda kobieta, czyjaś córka, przynajmniej tak zrozmiał – powiedziała, że to wszystko „takie osiemnastowieczne, *droit du seigneur*, i całkiem przyjemne”. Całkiem przyjemne – jak jakiś uroczy dawny zwyczaj, na przykład wręczanie pracownikom i służbie prezentów świątecznych od majątku Rutherford.

Zaśmiał się gorzko. Tak, wręczanie podarków. Sam skorzystał z tego aż w nadmiarze. Przyłożył sobie rękę do czoła, zadziwiony własnym czarnym humorem. W porządku, jeśli ktoś

głupio i beztrosko twierdził, że to „całkiem przyjemne”, ale osobiście sądził, że wcale nie było to przyjemne – to było cholerne. Próbował wymazać z pamięci twarz Emily latem, odwróconą na bok, z zamkniętymi oczami i rozchylonymi wargami. I jej twarz widzianą wczorajszej nocy – upiornie białą.

Cóż, w końcu należał do Beckforthów, przynajmniej tak mu się wydawało. Zachował się przewidywalnie i uwiódł służącą. Tak się stało, nie inaczej, był więc równie leniwy i odrażający jak cała reszta przodków – nie lepszy. Był jednym z nich. Nie potrafił odrzucić ich spuścizny.

Dotknął palcem wargi rozciętej ciosem Jacka Armitage’a. Oddałby, ale powstrzymał go silny uchwyt Josiaha na ramieniu, a potem widok Emily, wynoszonej z wody i owijanej w koce. Nash na niego nie patrzył, Sedburgh też nie, tylko Jack nie spuszczał z niego wzroku.

– Proszę stąd odejść – nakazał mu Josiah. Poprowadzili Emily w kierunku domu, a Josiah odciągnął go w drugą stronę. Harry siedział w stajni dopóty, dopóki Josiah nie nabrał przekonania, że młody Cavendish odzyskał panowanie nad sobą. Jak dzieciakowi polecono mu kłaść się spać. Kto? Służący. Wśliznął się bocznym wejściem, koło tej samej szklarni, w której się z nią spotkał. Potem schodami na górę. Przez całą noc dręczyły go koszmary.

Obudził się o szóstej. Stwierdziwszy, że za chwilę służące będą roznosić po sypialniach węgiel, wstał, ubrał się i wyszedł z domu. Dopóki nie wdrapał się ponad las, na skraj wrzosowiska, i nie ujrzał w dole Rutherford, nawet nie czuł zimna. Przyszło mu do głowy, żeby iść do ojca i skłamać, że Jack Armitage uderzył go po pijanemu i tym samym nadszarpnął zaufanie, jakim go dotąd darzono, ale natychmiast zrezygnował, oczyma duszy widząc niedowierzanie na twarzy Williama.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał Harry, co to za różnica? Jego przodkom zdarzało się zabić człowieka za mniejsze przewinienie. Na Karaibach. A przynajmniej tak słyszał. Kimże był Jack Armitage, żeby go tak potraktować? Pewnie samemu zależało mu na Emily. Tak, to pewnie o to chodziło.

Spojrzał w dół, na dolinę, na wioskę matki Emily, wciąż odległą o pięć czy sześć mil, i doszedł do wniosku, że to wszystko nie ma sensu. Nie chciał słuchać rady Josiaha, która brzmiała: „Nic nie rób, zostaw tę sprawę i tę dziewczynę w spokoju”, bo uważał, że to rada godna tchórze. I nagle uświadomił sobie, że nie jest nikim innym, jak tchórzem. Człowiekiem, którego można uderzyć, a który ani nie odda, ani nie powie ojcu. Jack o tym wiedział. Wiedział, bo go znał, znał go całe swoje życie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że on, Harry, nie zdobędzie się na to, by postąpić jak trzeba, czyli iść do matki Emily. Że wycofa się do swej chronionej, uprzywilejowanej strefy, że skłamać, że jej nawet nie znał. Prędzej czy później Emily wydobrzeje i odejdzie. A on nigdy więcej jej nie zobaczy.

Kiedy uświadomił sobie to wszystko, zrobiło mu się niedobrze. Na myśl, że wybierze łatwe wyjście, oczywiste rozwiązanie. Że wszystkiemu zaprzeczy. A jego słowo znaczy wiele wobec słowa służącego. A nawet dwóch czy trzech służących. I co można na to poradzić? Nic, kompletnie nic.

Kiedyś w przyszłości, długo, długo po odejściu, Emily zamieszka gdzie indziej jako mężatka z własną rodziną, dorosła kobieta, której twarz nie zdradzi nawet cienia tego, przez co przeszła – a on wciąż będzie w Rutherford.

Ona się zmieni i będzie gdzie indziej. A on – nie. On wciąż będzie tutaj. I wciąż będzie zupełnie taki sam.

I wciąż będzie takim samym tchórzem.

Poszedłby przed kolacją prosto do swojego pokoju, gdyby na schodach nie spotkał Louisy.

Zapadł już zmrok, zapalono lampy i świece. Za niecałą godzinę podadzą posiłek.

Dziewczyna była poza swoją sypialnią, choć nie powinna wychodzić o tej porze, a kiedy zobaczyła go w płaszczu, zbiegła do niego z góry.

– Gdzie ty się podziewałeś? – zapytała. – Ojciec o ciebie wypytywał.

– Byłem na spacerze – odparł.

Złapała go za ramię.

– Zaczekaj. – Zatrzymała go. – Co ci się stało? – Dotknęła jego rozciętej wargi.

– Siodłałem sobie konia i złapał mnie, jak mu wkładałem ogłowie.

– Ty mu wkładałeś ogłowie? Sam? – nie dowierzała.

Próbował ją wyminąć.

– Muszę się przebrać.

– I cały dzień byłeś na dworze?

– A co cię to obchodzi?

– Dużo się tu działo.

Odwrócił się do niej.

– Co konkretnie?

– Widziałam, że przyjechał lekarz.

Zakreśliło mu się w głowie.

– Do kogo?

Przekrzywiła głowę, uważnie mu się przyglądając.

– Nie wiem – powiedziała. – Ale do kogoś z dołu. Było straszne zamieszanie, a mama zabroniła mi chodzić do ojca. Ciekawa jestem dlaczego, jak sądzisz? Przecież był tylko w bibliotece.

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Myślałam, że możesz wiedzieć – mruknęła i dotknęła jego dłoni. – Jesteś pewien, że wszystko w porządku? Wyglądasz na wykończonego.

W tej samej chwili oboje usłyszeli ciężkie kroki na podeście schodów powyżej. Podnieśli wzrok. William patrzył na nich surowo.

– Gdzie byłeś? – zapytał ostro syna.

Nastąpiła chwila ciszy. Louisa, spoglądając to na jednego, to na drugiego, odezwała się:

– Był na przejażdżce, ojcze.

Twarz Williama nie zdradzała żadnych uczuć.

– Do mojego pokoju, Harry – rozkazał. – Natychmiast.

Na dole, mimo przygotowań do wieczornego posiłku, brzęku talerzy i nieustannej krzątania na schodach między jadalnią a kuchnią, w powietrzu panowało dziwne przygnębienie. Nic nie szło tak jak trzeba. Dzień, który powinien być najlepszy z całego roku, został zepsuty. Bradfield z nachmurzoną twarzą stał nieopodal kuchni, od czasu do czasu popatrując na dziewczęta kuchenne i kucharkę, jakby podejrzwał, że mogą skrywać więcej sekretów – że ukrywają przed nim coś bardzo, bardzo ważnego. Wszyscy unikali jego wzroku. Nikt się nie odzywał.

Dopiero przed południem dowiedział się, że w pokoju pani Jocelyn przebywa Emily Maitland. Między personelem niższego szczebla wieści rozeszły się szybko. Harrisonowi wypnęło się, że nocą był na dworze, na śniegu, z powodu Emily Maitland. I tak cała prawda wyszła na jaw. Bradfield ruszył prosto do pokoju pani Jocelyn, zażądał widzenia z Emily i wyszedł stamtąd już po czterdziestu sekundach.

Lunch minął w milczeniu. Podczas posiłku dla służby na tablicy elektrycznej, która zastąpiła stary system ręcznych dzwonek w korytarzu, pojawił się sygnał. Do pokoju pani Jocelyn udała się Mary.

– Zostań tu przy niej – rozkazała ochmistrzyni. – Muszę iść po panią March.

Salonik ochmistrzyni ogrzewał mocny ogień na kominku. Mary z wahaniem postąpiła dwa czy trzy kroki do przodu. Błada Emily pólleżała na kanapce, obydwoma rękami ściskając koc, którym była okryta.

– O, witaj, Em – wymamrotała Mary.

Ku jej przerażeniu z ust Emily wyrwał się dźwięk nieprzypominający żadnego z tych, które Mary kiedykolwiek dotąd słyszała, a tam, skąd pochodziła – w ciasnych, szeregowych domkach robotniczych, gdzie przez cienkie kartonowe ściany przedostawało się każde słowo – nasłuchiwała się naprawdę wiele. Słyszała, jak kobiety rodziły, słyszała ich krzyki, ale nigdy, przenigdy – takiego jęku na jednej wysokiej nucie, tak przeciągłej, że chciało się zatkać uszy rękami.

Uklękła przy koleżance.

– Wytrzymaj, wytrzymaj jeszcze chwilkę – powiedziała. – Zaraz przyjdzie pani March.

Po twarzy Emily ściekał pot. Dziewczyna obrzuciła Mary spojrzeniem zwierzęcia zamkniętego w klatce do uboju. Wydawała silny zapach – jakieś gorąco pochodzące z głębi, które nie miało nic wspólnego z ogniem na kominku.

– Jak mogę ci pomóc? – wyszeptała Mary. Wzięła Emily za rękę i natychmiast tego pożałowała – ta ścisnęła ją tak mocno, że omal nie połamala jej palców. – Aż tak źle? – spytała, choć doskonale znała odpowiedź.

Na gzymsie nad kominkiem głośno tykał zegar. Mary zerknęła w tamtą stronę. Mechanizm ukryty był w czarnej kamiennej bryle z kolumienkami po obu stronach – pogrzebowej, śmiertelnej, wiktoriańskiej. Obok niego, zamknięte w szklanej kopule, siedziały dwa wypchane ptaszki. Obie ozdoby stały na żółtej aksamitnej serwetce z frędzlami.

Długi, przenikliwy jęk ustał.

– Emily, czemu nam nic nie powiedziałaś? – Emily zamknęła oczy. – Kto to był? – pytała dalej Mary. – Gdzie teraz jest? Mam go tu przyprowadzić?

Emily potrząsnęła głową. Ciężko dyszała.

– Chcesz, żebym przygasiła trochę ogień? – zapytała Mary. – Za gorąco ci? Co mam zrobić?

Mijały minuty. Mary zdrętwiałały nogi od kucania przy leżance. Zegar wybił w pół do drugiej. Nagle rozległy się głosy w korytarzu i do pokoju wsunęła się pospiesznie pani March. Dwie starsze kobiety nachyliły się nad Emily, a do wnętrza wtargnął powiew cudownie chłodnego powietrza. Mary wstała. Przenosiła spojrzenie z zegara na wypchane ptaszki, a potem na półeczkę z książkami. Biblia, *Wędrowka pielgrzyma*, książeczka z hymnami, druga z psalmami. Mary spojrzała wyżej, na rycinę z podpisem *Elizeusz wskrzesza syna Szunamitki*. Nie wiedziała, kto to Elizeusz, i prawdę mówiąc, było jej wszystko jedno. Pragnęła tylko, żeby pani March sobie poszła i zostawiła Emily w spokoju.

W końcu starsza kobieta podniosła się.

– Trzeba powiedzieć lady Cavendish – postanowiła. – Lekarz musi ją obejrzeć.

– Boże, litości – jęknęła pani Jocelyn. – Wypruje mi za to flaki.

Mary stała jak wmurowana, podczas gdy kobiety wymieniały znaczące spojrzenia i grymasy niezadowolenia, jakby konieczność wyznania lady Cavendish prawdy o stanie Emily była czymś znacznie gorszym niż cierpienie dziewczyny. Mary poczuła do ochmistrzyni taką nienawiść jak nigdy dotąd. Nie mogła jednak zrobić nic innego, jak milczeć i patrzeć w podłogę, gdy ją mijały. Pani March kazała dać Emily wody i dopilnować, by wypła.

Mary podeszła do łóżka ze szklanką wody w trzęsącej się dłoni.

– Wszystko będzie dobrze – mówiła. – Przyjedzie lekarz. Już niedługo.

Emily spojrzała na nią i coś powiedziała. Mary przysunęła się bliżej.

– Nie słyszę, co mówisz, Em.

– Pudełeczko – wymamrotała Emily. – Granatowe.

– Jakie? – zapytała Mary.

– W szklarni.

Mary, zdezorientowana, zmarszczyła brew.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Poszukaj.

– Ale Em, nie wolno mi chodzić do szklarni. – Twardo spojrzała w twarz cierpiącej, zastanawiając się, czy mający tak samo jak jej młodszy brat, kiedy chorował na szkarlatynę. Mówił wtedy o najzróżnorodniejszych rzeczach, których nigdy nie widział i których nigdy nie zobaczy, o statkach i zamkach. Emily złapała ją mocno za rękę.

– Poszukaj w szklarni – syknęła. – Znajdź je.

– Dobrze – obiecała Mary.

Emily wyglądała na uspokojoną.

– Dał mi je – wyszeptowała. – Ale ty je weź. Weź sobie.

– Pudełeczko? – Mary zastanawiała się, po co jej było to pudełeczko, to znaczy, po co było Emily. Tak czy inaczej zgodziła się.

– Nie martw się, wezmę je – obiecała.

Emily opuściła głowę na poduszkę.

– Która godzina?

– Druga.

– Muszę już wstawać.

– Nie, nie, nie możesz.

Emily jednak już się podniosła. Z wykrzywioną bólem twarzą, tępym spojrzeniem i zaciśniętymi ustami próbowała spuścić nogi z łóżka, przesuwając przy tym całe ciało do przodu.

– Nie wstawaj – błagała Mary. – Och, błagam, nie rób tego.

– Muszę chodzić – odezwała się Emily, a w jej głosie słychać było nieoczekiwaną panikę.

– Muszę wstać. – Postawiła jedną stopę na podłodze i mocno uczepliła się ramienia Mary. – Pomóż mi.

– Em, nie mogę. Nie wolno ci wstawać.

Emily przez sekundę patrzyła jej prosto w oczy, a potem utkwiała wzrok w jakimś odległym punkcie, w który wpatrywała się wcześniej. Jakby słyszała coś, co dla uszu Mary było niedostępne. A potem wyszeptowała:

– O, Boże. O, Boże.

Wywróciła oczami i przekrzywiła się w bok, opierając się na leżance. Ręka ściskająca ramię Mary osunęła się bezwładnie, a na policzkach Emily pojawiły się rumieńce – nierównomierne, jaskrawoczerwone plamy. Chora całym ciężarem ciała runęła do tyłu, omal nie uderzając głową o ścianę. Jej tułów opadał coraz niżej, aż w końcu, mimo wysiłków Mary, by ją podtrzymać, Emily osunęła się na podłogę. Upadając, pociągnęła za sobą koc. Na odsłoniętej pościeli Mary zobaczyła strużkę krwi.

Przeżrana poderwała się na równe nogi.

– Pani Jocelyn! – zawołała. – Pani Jocelyn!

Stojąc w pokoju ojca, Harry po raz pierwszy poczuł, że mu naprawdę zimno. Śnieg, który przymarzył do poły jego płaszcza, topniał teraz i kapał prosto na wykwintny indyjski dywan. Harry spuścił wzrok i zobaczył między zawijasami kwiatów a niebieskimi medalionami ciemne plamy. William przechadzał się w tę i z powrotem, a potem zatrzymał się. Stał tyłem do

kominka. Wiszące nad nim płótno pędzla Landseera, przedstawiające jakiegoś beznadziejnego psa na szkockim wzgórzu, nadawało pomieszczeniu mdły, sentymentalny charakter.

– Zdejmij, na Boga, to palto! – poinstruował William syna. – Nie stój tu jak jakiś głupiec.

Harry wykonał, co mu kazano. Rozejrzał się wokół siebie, szukając miejsca, gdzie mógłby powiesić palto. W końcu rzucił je na krzesło przy drzwiach. Czuł wwiercający mu się w plecy wzrok ojca. Zrobiło mu się jeszcze zimniej, choć w pokoju było ciepło. Marzył, by wsadzić ręce do kieszeni. Wydawały mu się zbyt duże. Odwrócił się do Williama.

– Może mi powiesz, skąd ta rozcięta warga.

Harry otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nie zrobił tego wystarczająco szybko.

– Tylko żadnych bzdur o koniu. Nie jestem Louisą.

Harry patrzył na ojca, próbując ustalić, co ten może wiedzieć. Czuł coraz silniejszą potrzebę, by wyjawić całą prawdę. Wypalić, że poślubi Emilię, choć sam wiedział, że to oczywisty absurd, i zwierzyć się ze wszystkich myśli, z którymi bił się cały dzień. Ta potrzeba przez chwilę wydawała mu się najsilniejsza i najważniejsza. Pomyślał o ludziach pokroju Featherstone haughta – barona, który osiem lat wcześniej poślubił kobietę pracującą w mleczarni należącej do jego majątku, o skandalach z czasów regencji, o których opowiadali chłopcy w szkole. Wszyscy się z nich wprawdzie naśmiewali, ale w śmiechu tym nie brakowało nuty zazdrości. Wyłamać się z systemu, postąpić wbrew zasadom, to byłoby coś, prawda? Słyszał swój własny głos: „Na przekór!”. Poślubić kobietę z mleczarni czy pokojówkę, i co? W mózgu kołatała mu się szalona myśl, która napierała na język, jakby chciała sama wydostać się z ust. Zdał sobie sprawę, że nie trzęsie się z zimna, ale z przekonania, że stoi na skraju przepaści, a wszystko zależy od jego następnej odpowiedzi.

– Byłeś dziś w nocy nad rzeką – rzekł William. – Rozmawiałem z Armitage’em.

Domyśliłeś się chyba.

Harry próbował opanować zawroty głowy, utrzymać się jakoś na rozpędzonej karuzeli.

– Jack Armitage mnie uderzył – usłyszał swój własny głos.

William przez chwilę patrzył na syna bez słowa.

– Może zechcesz podzielić się ze mną przyczyną, dla której to zrobił.

– Nie znam jej, ojczcie.

– Aha.

– Naprawdę nie wiem – ciągnął Harry. – Wyglądałem przez okno. Zobaczyłem światła na dworze. Poszedłem tam, a oni próbowali wydobyć z wody dziewczynę, jedną ze służących... – William czekał w milczeniu. Harry zrobił krok w jego stronę, próbując się uśmiechnąć. – Ciekaw jestem, co ona tam robiła? – zapytał. – Chciałem się tylko tego dowiedzieć. Zapytałem Armitage’a.

– Zapytałeś go?

– Lub... raczej... on powiedział...

– Pytałeś Armitage’a, co to za dziewczyna?

– Widziałem, że to jedna ze służących. – Próbował wymazać z pamięci twarz Emili i kształt jej ciała pod ociekającą suknią. – I nagle Jack Armitage mnie uderzył. Nie wiem dlaczego. Nie powiedział ani słowa.

Twój William nie zdradzała śladu emocji.

– W takim razie, jeśli zrobił to bez powodu, powinienem ich zwolnić.

– Zwolnić kogo?

– Obu Armitage’ów.

W głowie Harry’ego zaczęło pulsować.

– Nie, ja...

– Nie mogę mu tego puścić płazem, Harry.
– Wolałbym, żebyś jednak to zrobił, ojczy – zasugerował Harry. – To było okropne. Ta dziewczyna i tak dalej. Nie wiem, czy Jack zdawał sobie sprawę, że to ja tam stoję. Był cały mokry, padał śnieg, nie mam pojęcia, czy mnie w ogóle rozpoznał.
William nawet nie drgnął.
– Armitage twierdził to samo – przyznał. – Mówił, że Jack był zły, ale nie powiedział ani dlaczego, ani na kogo. Utrzymywał, że nie wie.
Harry nie śmiał pisnąć ani słowa.
– Harry – rzekł William. – Musisz mi powiedzieć, i to teraz, czy zaszło coś między tobą a Jackiem. Coś, co mogłoby skłonić go do takiego zachowania.
– Nic – oświadczył Harry.
– Więc po prostu rzucił się na ciebie?
– Wychodził z rzeki. Nie wiem, czy mnie w ogóle...
William machnął ręką.
– Dobrze, dobrze. – Zmienił wreszcie pozycję. Podszedł do syna i wbił nieustępliwe spojrzenie w jego twarz, jakby chciał go osądzić. – Masz mi coś do powiedzenia?
– Nie, ojczy.
– Mów prawdę, Harry.
– Nie, ojczy.
– Nie znałeś tej Maitland?
– Nie, ojczy.
– Ale przecież musiałeś widzieć ją w domu?
Harry wzruszył ramionami.
– Wszystkich ich się widzi, przez cały czas.
William skinął głową, a potem podszedł jeszcze bliżej, tak że Harry czuł na twarzy jego oddech.
– Znałeś tę dziewczynę? – powtórzył przyciszonym głosem. – Pytam cię, Harry.
Rozumiesz mnie?
– Nie znałem.
– Dajesz mi na to słowo honoru?
– Nie znałem jej.
– Rozumiesz, co mam na myśli?
– Tak, ojczy.
– Nie jesteś odpowiedzialny za ten piekielny dramat?
– Nie, ojczy.
William jeszcze przez chwilę nie spuszczał z syna surowego, badawczego spojrzenia. Harry czuł, że zbiera mu się na mdłości, jakby nagle został odcięty od całej reszty świata – słowo honoru, jego honor... – Zdołał wziąć głęboki oddech.
– Ta dziewczyna urodziła dziś dziecko – oznajmił William. – Dziewczynkę.
Prawdopodobnie umrze. – Słowa te runęły na ziemię u stóp Harry'ego niczym ołowiany ciężar. Zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, był zdziwiony, że wciąż jeszcze stoi. William przyglądał mu się badawczo. – Okropna rzecz, i to pod naszym dachem. Twoja matka jest tym bardzo zmartwiona.
– Matka?
– Widziała tę dziewczynę. Była na dole – westchnął William z rozdrażnieniem. –
W pokoju pani Jocelyn, razem z lekarzem.
– Był lekarz?

Ku ogromnej uldze Harry'ego ojciec odwrócił się i podszedł do kominka. Zatrzymał się przy nim z rękami splecionymi z tyłu, wpatrując się w płomienie.

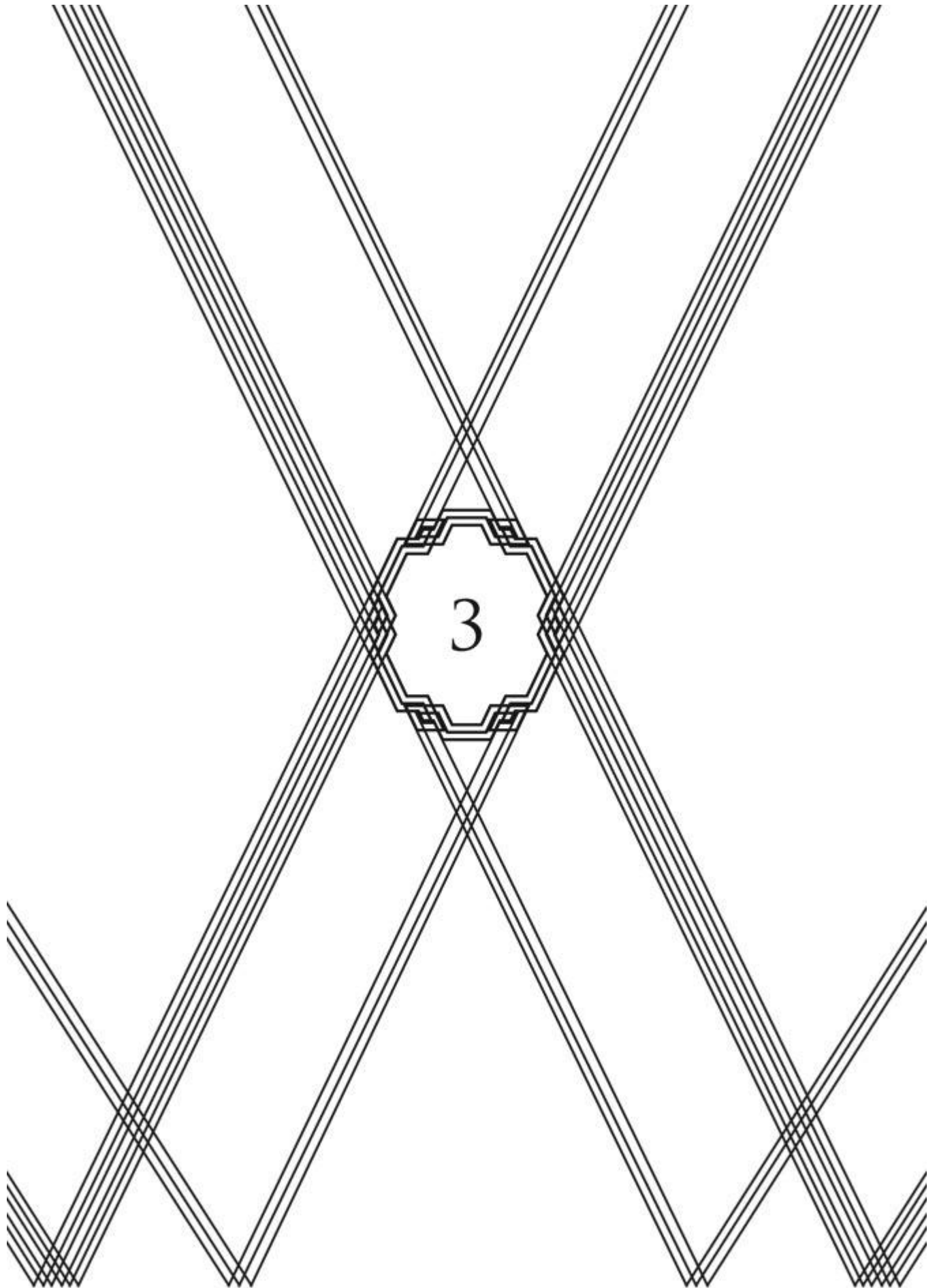
– To nie twoja sprawa – rzekł i rozwarł jedną pięść. – Co za cholerna głupota – mruknął – całkowita, bezdena głupota. – Trudno było osądzić, czy ma na myśli Octavię, czy dziewczynę, czy może panią Jocelyn, czy kogokolwiek innego. Nagle zwrócił spojrzenie na syna i mierzył go od stóp do głów wzrokiem, w którym na ułamek sekundy błysnęła niepewność, której jednak nie można było zrównać z brakiem zaufania. A potem – zgasła.

– Idź się przebrać – zarządził. – A przy kolacji zachowuj się przyzwoicie, na miłość boską. Było nie było, to jednak Boże Narodzenie. Goście nie mogą dowiedzieć się ani słowa o tej haniebnej sprawie. Zrozumiano?

– Tak jest, ojcze. – Harry odwrócił się i ruszył do drzwi. Na progu zatrzymał się na sekundę i zapytał: – A co z tą dziewczyną, Maitland? Co się z nią stało?

William obejrzał się przez ramię.

– Umarła – odpowiedział sucho. – Dwie godziny temu, o wpół do piątej.



Trzy miesiące później rodzina Cavendishów zawitała do Londynu.

W tym roku Louisa miała zostać wreszcie zaprezentowana na Dworze. Dla każdej panny był to bilet w dalsze życie i paszport do małżeństwa w odpowiednich sferach.

Sezon zapowiadał się interesująco, choć jeszcze nie wszyscy zjechali do miasta. Był dopiero marzec, do Wielkanocy zostało trochę czasu. Ranek wstał piękny i słoneczny, ale Louise patrzącej przez zaparowane szyby nie chciało się wierzyć, że Londyn ma dziś coś ciekawego do zaoferowania.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła w sięgających od podłogi do sufitu lustrach salonu krawieckiego swe zwielowokrotnione odbicie. W kominkach na dwóch przeciwległych krańcach pomieszczenia buzował ogień, a pomiędzy nią i dwiema innymi dziewczętami oraz towarzyszącymi im matkami uwijały się na kolanach szwaczki, bez końca odpinając i na nowo upinając zwoje białego tiulu i satyny. Octavia siedziała z Charlotte i starała się zainteresować zniechęconą młodszą córkę różnicami między poszczególnymi stylami strojów. Na to Charlotte oparła matce głowę na ramieniu i udawała, że śpi.

Louisa próbowała obiektywnie ocenić własne odbicie. Efekt nie był najgorszy. Dość wysoka, subtelnie błada. Jej suknia na gałę prezentacyjną odkrywała ramiona i piękny dekolt, a przezroczyste haftowane rękawy układały się w miękko opadającą falbanę. Mimo wszystko wolałaby nie być blondynką. Blondynki wydawały się takie mało interesujące. Chciałaby przypominać Lily Elsie, Daisy Irving czy Gertie Millar – mieć włosy gęste i ciemne, upięte wysoko i przytrzymane diademem. Nie wolno jej było oczywiście oglądać występów tych aktorek, znała je tylko z plotek i gazet. Jako gwiazdy miały reputację dla jej rodziny nie do zaakceptowania, a Irving, jako że występowała w kinie – jeszcze gorszą.

Niemniej jednak Louisa im zazdrościła. Jej pragnieniem było śpiewać w sali koncertowej lub na scenie, jak Lily Elsie. Podobno przed sześcioma laty Lily Elsie oglądał cały Londyn, mężczyźni przysyłali jej repliki biżuterii scenicznej wykonane z prawdziwych kamieni szlachetnych, tłoczyli się przy drzwiach do jej garderoby i w teatralnych korytarzach. Wszystko to musiało być takie ekscytujące. Louisa także pragnęła, by mężczyźni, słysząc jej głos, padali z zachwytem, by mdleli na każde jej westchnienie. Och, jak cudownie byłoby mieć wokół siebie wianuszek stęsknionych adoratorów. Widok tych paru, którzy chadzali za nią i za mamą, gdy robiły zakupy na Oxford Street, i którzy na kolacjach i koncertach ślali im ukryte spojrzenia – zabawne, zupełnie, jakby sądzili, że ona, Louisa, ich nie dostrzega! – i w ogóle to wszystko, te całe podchody, uważała po prostu za przystawkę przed daniem głównym. Louisa pragnęła być adorowana i trwała w absolutnym przekonaniu, że będzie. Adorowana – nie oglądana. Pragnęła, by pożąдали jej do szaleństwa, nie tylko za nią chodzili. Pragnęła, by umierali u jej stóp, podczas gdy ona pozostanie niedostępna i beztroska. Och, jak wspaniale czułaby się w tej roli!

Londyn w czasie sezonu zmieniał się w pracującą na pełnych obrotach giełdę matrymonialną. Wszystkie lekcje gry na pianinie, etykiety i francuskiego pobierało się właśnie po to, by dobrze tu wypaść, a docelowo zapewnić sobie tytuł baronowej – a jeśli nie tytuł, to chociaż fortunę. Louisa uważała, że to wszystko niepotrzebne – ona poradziłaby sobie doskonale bez sezonu. Jej wystarczyłby jeden dzień w Ascot, ale cóż, trzeba było się pokazać. I samej wszystko zobaczyć. Wziąć udział w śniadaniach, lunchach, podwieczorkach, kolacjach i balach, dać się wrzucić na głęboką wodę i przekonać się, czy potrafi pływać. Musiała to zrobić zarówno ona sama, jak setki innych dziewcząt zalewających Hyde Park, salony Królewskiej Akademii Sztuki i Pałacu Królewskiego, tor wyścigów konnych w Epsom w czasie derbów i Henley – podczas zawodów wioślarskich. Ona i setki dziewcząt, ubranych w kapelusze i zakiety do jazdy konnej, sukienki popołudniowe, garsonki stylizowane na strój wioślarski lub koronki i krepy

obowiązujące na terenie Royal Enclosure – na wygrodzonym fragmencie toru wyścigów konnych w Ascot, zarezerwowanym dla rodziny królewskiej i najwyższych sfer. Wyścig zapowiadał się dość długi, a ona pragnęła zwycięstwa.

Rano, gdy wstawiała, gorączka sezonu była wręcz namacalna. W ich domu na Grosvenor Square aż kipiało. Służący, których przywieźli ze sobą z hrabstwa York, sprawiali tu wrażenie znacznie bardziej ożywionych niż w leżącym na końcu świata Rutherford. Och, a samej Louisie zdawało się, że dom rodzinny jest jej zupełnie niepotrzebny do szczęścia, mogłaby tam już nigdy więcej nie wracać! Londyn był znacznie ciekawszy. Więcej się tu działo: wokół tyle ludzi, teatrów i koncertów. I było bardzo wesoło! Na ulicach tłoczyły się konne omnibusy, karety, piesi i rowerzyści. W Rutherford dało się całymi dniami spoglądać w okno i ani razu nie zobaczyć powozu, ale tutaj! W ścisłym ruchu odbywał się raczej powoli, za to jakże cudownie było siedzieć w powozie i przyglądać się przechodniom na chodniku. A kiedy powóz stawał i otwierano drzwiczki, tłum się przed tobą rozstępował. Mama ją tego nauczyła: nie zatrzymuj się i nie rozglądaj na lewo ani na prawo. Zejdź ze stopnia i idź prosto przed siebie, nie garb się i nie zastanawiaj. Patrz tylko na wprost. Drzwi sklepów otwierały się przed nimi jak zaczarowane – przytrzymywali je portierzy w liberiach, których mama omijała wzrokiem. Należało się uśmiechać, oczywiście, to świadczyło o uprzejmości. Trzeba było leciutko skinąć głową odzwrotnemu lub lokajowi, który otwierał drzwiczki powozu – tak samo jak powiedzieć „dzień dobry” do obsługi w sklepie – tylko tyle, nic więcej.

Louisa stwierdziła z zachwytem, że w nowej sukni jest piękna jak kwiat uniesiony wysoko, tak by wszyscy mogli go podziwiać, po czym uśmiechnęła się do siebie żałośnie. Nawet jeśli ktoś rzeczywiście porówna cię do kwiatu, to kiedy skończysz dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, będą cię uważali za niechciany, pozostawiony na półce towar. Kwiat rozkwita i zachwyca tylko przez pewien czas, i trzeba to wykorzystać. Któregoś dnia wchodziły z mamą do teatru na wieczorne przedstawienie. Przez widownię przeszła fala dyskretnego podziwu. Mama prezentowała się uroczo, to jasne, ale to właśnie ona – jaśnie panienska Cavendish, piękna mała różyczka – przyciągała zachwycone spojrzenia. Louisa doskonale zdawała sobie z tego sprawę i pławała się w zadowoleniu niczym kociak błogo wyciągnięty na miękkiej poduszce. Przyznawała się do tego bez oporów – kto powiedział, że tak nie wypada? Przecież po prostu uwielbiała być Louisą.

Jeśli chodzi o suknię, to pokazała mamie zdjęcie Lily Elsie i błagała, by jej strój na galę prezentacyjną został przynajmniej tak samo ozdobiony – wokół lekko obniżonego dekoltu zwoje kwiatów i płatków, a organza na piersi w całości wyszyta maleńkimi kropelkami górskich kryształów. Matka sprzeciwiła się, twierdząc, że to zbyt krzykliwe, że suknia i tak będzie strojna ze względu na długi tren, opadający na plecy welon i kwiaty, które Louisa ma trzymać w ręku, i że niekoniecznie trzeba poświęcać setki godzin na wszywanie w szwy stulistnych różyczek.

Louisa przez jakiś czas dąsała się z tego powodu. Suknia matki debutującej w roku 1891 – Octavię dzięki staraniom dziadka Louisy, mimo że nie pochodziła z rodziny arystokratycznej, na dwór wprowadziła żona ministra – wciąż wisiała w szafie owinięta w płótno. Była bardzo bogata – sam tren miał cztery metry długości, a na gorset i biodra naszyto dwa tysiące pereł. To właśnie dzięki niej mama usidliła ojca. A teraz ona, Louisa, pociła się przed ogromnym lustrem ramię w ramię z Madeleine Grosvenor – potężną, niezgrabną dziewczyną, która wręcz dymiała arystokratycznym pochodzeniem – w gorsecie zaciśniętym wokół grubej talii, wystrojoną niczym sama królowa. A Louisie Cavendish przeznaczona była rola Kopciuszka w skromnej, kusej sukieneczynie. Równie dobrze mogła umrzeć.

– Kochanie, nie rób takiej miny – odezwała się matka kojącym głosem, załamującym się między zwojami atlasu. – Jeszcze tylko jedna przymiarka. A potem napijemy się herbaty.

Louisa opuściła wzrok na szwaczkę. Dziewczyna z pochyloną głową kończyła podpinąć rąbek sukni. Oparła dłoń płasko na podłodze i oceniała długość spódnicy. Louisa z jakiegoś niezrozumiałego dla niej samej powodu poczuła nieodpartą chęć, by nastąpić na tę rękę, przydeptać ją i usłyszeć pisk dziewczyny. Zdumiona, a nawet przerażona własnymi myślami oblała się rumieńcem.

– Proszę się pospieszyć – powiedziała do pochylonej głowy. – Bo zaraz się przewrócę. Jestem potwornie zmęczona.

Dziewczyna podniosła na nią wzrok i uśmiechnęła się. Louisa pomyślała leniwie, że jest bardzo młoda, zapewne za młoda, by być kompetentną szwaczką. Ubrana w służbowy strój domu mody, sukienkę w szaro-białe paseczki, wydawała się drobniutka – a może raczej chuda i koścista. Nadeszła główna krawcowa. Praca była zakończona, suknia zdjęta. Mała szwaczka, taszcząc gigantyczny zwój tkaniny, która prawie ją przygniatała, oddaliła się do drugiej sali. Przez otwarte drzwi oczom Louisy ukazało się na chwilę pomieszczenie pełne stołów krawieckich i maszyn do szycia. Dziewczyna wycierała ręce, zapewne spocone.

Nadszedł czas na ostatnią przymiarke dnia – suknię balową, ósmą z uszytych tej wiosny dla Louisy. Wymyślna, bladuróżowa, ledwo przylegała do ramion, by halka po halce opaść aż do samej ziemi. Każda z halek była jedwabna, sama suknia również, więc kiedy Louisa w niej zatańczy lub choćby się poruszy, materiał wyda cudowny, kuszący szelest.

– Wyglądasz przepięknie – odezwała się matka. – A ty, Charlotte, co sądzisz?

Młodsza córka wykrzywiła twarz w grymasie.

– Wygląda, jakby była spuchnięta – osądziła.

– Wygląda doskonale – oceniła krawcowa.

– Tak jest – zgodziła się Octavia. – Naprawdę świetnie.

Żadna inna opinia nie wchodziła w grę.

Wyszły na Bond Street. Było cudownie chłodne popołudnie. Nad dachami dzień właśnie się kończył, powietrze przesycalo mlecznoszare, miejscami lekko żółtawe światło. Dochodziła czwarta. Ponieważ tego dnia powozu potrzebował ojciec Louisy, umówiony na spotkanie w parlamencie, na nie czekała taksówka. Wszystkie trzy wgramoliły się do ciasnego wnętrza, ze śmiechem pokonując wąskie drzwiczki.

Claridge's – wielki hotel na Brook Street – znajdował się w połowie drogi między Hanover i Grosvenor Square, niedaleko ich londyńskiego domu. Octavii bardzo podobała się nowa ceglana fasada budynku – hotel został ponownie otwarty zaledwie czternaście czy piętnaście lat wcześniej. Kolorytem przypominała jej Rutherford. Lady Cavendish weszła do foyer i rozejrzała się wokół siebie.

– Nie zatrzymujmy się – grymasiła Charlotte. – Jestem głodna.

– Umówiłam się z Hetty. Patrzę, czy już przyszła.

– Jak żyję, o czwartej po południu nie widziałam pani de Ray nigdzie indziej, jak przed tacą z herbatą, mamo.

Octavia uśmiechnęła się. Rzeczywiście – kobieta, którą William przedstawił jej kiedyś w Londynie, żona dyplomaty, spędziwszy wiele lat w różnych, zdarzało się, że niezbyt gościnnych zakątkach świata, całym sercem pokochała angielską tradycję picia popołudniowej herbaty. Hetty de Ray zwierzyła się raz Octavii, że jako młoda mężatka, kiedy towarzyszyła mężowi na placówce w Nepalu, wielokrotnie była zmuszona pić herbatę na grzbiecie jaka. Teraz więc, na dobre osiadłszy w Londynie, przysięgła zrekompensować sobie niekomfortowe popołudnia na Dalekim Wschodzie stałym stolikiem i miękko wyściełanym krzesłem w Claridge's.

Charlotte nie myliła się. Henrietta de Ray, spowita w liliową taftę, siedziała przy stoliku

na samym środku herbaciarni. Towarzyszyła jej córka Florence.

Kobiety uściśniły się, dziewczęta wymieniły uśmiechy.

– Co robisz jutro rano? – spytała Florence.

– Nie wiem. Mamy dwa zaproszenia na śniadanie. Jedno do Porretów. – Louisa wzdrygnęła się, wymawiając nazwisko odznaczającej się niezwykle brzydotą amerykańskiej dziedziczki fortuny w branży hutniczej.

– Może byśmy pojeździły razem konno w parku?

– Dobrze. Ale pod warunkiem, że weźmiemy Charlotte.

Charlotte uśmiechnęła się na myśl o zajęciu, które przynajmniej pozwoli jej spędzić trochę czasu na dworze. Od razu umówiły się na następne przedpołudnie. Potem dziewczęta zasiadły wygodnie na krzesłach i przypatrywały się swym matkom, które, otworzywszy terminarze, pogrążyły się w niekończących się ustaleniach: do tej galerii pójdą, ta kolacja to coś okropnego, ten obiad – tak, tamten bal również, ale ten wykład z całą pewnością – nie. W ten sposób wielotysięczne inwestycje innych matek zyskiwały aprobatę lub były odrzucane. Charlotte nie zwracała na to uwagi. I tak jej udziału w większości tych wydarzeń nie przewidziano. Na koniec wszystkie, siedząc nad wymyślną wieżą z ciastek i minikanapeczek, zgodziły się, że na Wielkanoc, która miała nastąpić już za tydzień, do miasta zjadą tłumy.

Hetty de Ray pochyliła się nad stolikiem w stronę Octavii.

– Co ty na to, że pani Canford jest w mieście?

– Wielkie nieba!

– Kto by pomyślał, że ją wypuści.

– Kto i kogo wypuści? – chciała wiedzieć Louisa.

Starsza kobieta odchyliła się na oparcie, ponieważ właśnie nalewano im herbatę.

– Była jedną z kochanek króla – powiedziała Florence. Matka uciszyła ją syknięciem, zrobiła wielkie oczy i skłoniła głowę w stronę Charlotte. – Cóż – mruknęła Florence. – To prawda.

– Musi być potwornie stara – zauważyła Louisa.

– Mąż zamknął ją w wielkim domu w Kent, bo uwiodła czyjegoś syna – dodała Florence.

– Miał dwadzieścia lat, a ona trzydzieści dziewięć.

Hetty spojrzała na Octavię przeprasząco.

– Po prostu nie wiem, skąd ona czerpie takie plotki. – Poklepała Charlotte po kolanie. – Nie słuchaj, kochanie. To nie dla ciebie.

Kobiety wymieniły porozumiewawcze uśmiechy. Octavia lubiła pragmatyczną i niefrasobliwą Henriettę, która przez osiemnaście lat posłusznie, z iście stoicką wyrozumiałością, przeprowadzała się z jednej placówki dyplomatycznej do drugiej. Najdłużej, bo cztery lata, mieszkała w Neapolu, gdzie jej mąż Herbert, jak opowiadała, zafundował sobie równoległą rodzinę – z bardzo miłą kobietą spłodził gromadkę dzieci. Kiedy Hetty po raz pierwszy powiedziała o tym Octavii, ta osłupiała.

– Byłaś na pewno zdruzgotana! – wykrzyknęła.

– Oczywiście, że byłam – odparła spokojnie Hetty. – Wykazał się takim brakiem wyobraźni.

Hetty i Herbert mieli trzech synów, teraz już żonatych i pracujących za granicą, w służbie króla Jerzego V. Octavia zastanawiała się kiedyś, czy Louisa nie mogłaby przypadkiem poślubić któregoś z nich, gdyby nie udało się zdobyć dla niej kogoś z odpowiednim tytułem. Synowie de Rayów sprawiali wrażenie nudnych, ale posłusznych chłopców – czyli dokładnie takich, jacy mogliby ujarzmić Louise.

– I co się dalej stało z tą Włoszką? – zapytała przyjaciółkę Octavia.

– Herbert wciąż na nią łoży – wyznała Hetty. – To męczące.

Sama Henrietta nie ucierpiała bynajmniej finansowo na przygodzie męża – morze pieniędzy z majątków w hrabstwie Lincoln i z jakiejś potwornej kopalni w Ameryce Południowej wręcz wlewało się do ich domu. Octavia, która w głębi duszy nigdy nie przestawała słyszeć łomotania krosien w przędzalniach ojca, starała się nawet nie myśleć o tej kopalni, ponieważ za każdym razem, kiedy o niej wspomniała, natychmiast zaczynało ją gnębić przekonanie, że szczęście uprzywilejowanych żon i całych rodzin z wyższych sfer opiera się na grząskim gruncie – na cudzej niedoli. Zamknęła więc oczy i przysłuchiwała się kwartetowi skrzypcowemu. Znacznie przyjemniej było nie wiedzieć, nie zdawać sobie sprawy. Żałowała, że wie. Przez krótką chwilę zamarzyła, by być Louisą.

– Nie słuchasz mnie – zauważyła Hetty.

– Przepraszam.

– Do Szwecji.

– Do Szwecji?

– Herbert jedzie do Sztokholmu. Będzie oficjalnym przedstawicielem Jego Królewskiej Mości.

– Och, to cudownie!

Hetty uśmiechnęła się.

– Nie, kochana, wcale nie cudownie. Właściwie trudno mi sobie wyobrazić coś gorszego. Ale on cieszy się jak dziecko. Ja natomiast w związku z tym zaczęłam rozważać wyjazd do Włoch. Ze względu na dziewczynki.

Florence, która знаła już tę tajemnicę, ścisnęła Louisę za ramię.

– Pojechałabyś z nami?

– Nie do Wenecji, oczywiście – ciągnęła Hetty. – Przynajmniej nie w lecie. Ale nad Adriatyk. Mogłybyśmy wrócić przez Szwajcarię. Myślę, że to byłoby przyjemne. Zabrałybyśmy też naturalnie Charlotte.

Charlotte włączyła się do rozmowy.

– Och, przepraszam, ale mam już zaproszenie do Brighton. Od koleżanki ze szkoły – powiedziała i wbiła w Octavię natarczywe spojrzenie. – Od Katherine, mam. Mówiłaś, że nie masz nic przeciwko temu. Jej rodzina ma tam własną kabinę kąpielową i tak dalej. Och, proszę, mam!

Octavia skinęła głową.

– Nie zapomniałam – odpowiedziała, po czym uśmiechnęła się do Hetty. – William od sierpnia jest w hrabstwie York. Muszę też tam być.

– Mamo – odezwała się Louisa błagalnie. – A co ze mną?

Octavia spojrzała na starszą córkę. Cóż miała do stracenia? Być może to ostatnie lato przed jej wyjściem za mąż.

– Nie widzę powodu, by odmawiać – mruknęła. – Dziękuję, Hetty.

– Ty sama nie wybierzesz się z nami?

Octavia zawahała się przez chwilę.

– Byłaby to prawdziwa przyjemność, ale muszę podziękować – odparła. – Czternastego zaczyna się sezon polowań. William wolałby, abym była w domu.

Miała wobec niego zobowiązania, a poza tym – należało to do tradycji. Trzeba będzie spędzić kilkanaście weekendów w roli gospodyni. Wizja Wenecji i Adriatyku przybladła. Spojrzała na splecione w zachwycie ręce Florence i Louisy i uśmiechnęła się zamyślona.

Wiosna wkroczyła do Rutherford bez uprzedzenia.

Jeszcze przed Wielkanocą zrobiło się niespodziewanie ciepło – na tyle, by zacząć

porządki, otwierać okna. Pogoda przypominała wczesne lato, głogi wzdłuż dróg i traktów powoli okrywały się kolorem, a trawa przybrała intensywny, zwłaszcza w porównaniu z bielą śniegu, odcień zieleni. W sadzie zaczynały kwitnąć jabłonie. Na brzozech wzdłuż alei wjazdowej rozwijały się pierwsze delikatne listki, a narcyzy w ogrodach zakwitły i nawet trochę już przywiedły.

Pani Jocelyn bawiła w Londynie, podobnie zresztą jak pan Bradfield, pokojówki pań, kucharka i pierwszy lokaj, Harrison, ale serce domu nie przestawało bić. Przełożona pokojówek, pani Dodd, nie wyjechała. Pod jej czujnym okiem zdjęto ciężkie zimowe kotary, umyto okna, a pękate ozdobne poduszki, bieżniki ze stołów i pokrowce na krzesła oddano do prania. Olbrzymie perskie i indyjskie dywany wyniesiono na dwór do wytrzepania i oczyszczenia z plam, które nie zeszły mimo posypywania liśćmi herbaty i długotrwałego szczotkowania. Były zbyt ciężkie na sznury do suszenia białej bielizny, więc pomocnicy pana Marcha porozwieszali je na ogrodzeniach. Kiedy wytrzepano je porządnie miotłami i kijami, pomarańczowe, złote i niebieskie medaliony kaszanu i tebrizów, uwolnione od warstwy kurzu, zalśniły w ostrym, wiosennym słońcu.

W głównej części domu, w pokojach, Mary Richards i Cynthia Wright pracowały wspólnie z Betty, służącą do wszystkiego. Posuwając się na kolanach, ramię w ramię szorowały kamienne podłogi – od ściany do ściany. Deski podłóg w saloniku porannym, bibliotece i gabinecie lśniły już od pasty Jackson Polish, meble zaś od mleczka lawendowego lub mikstury z siemienia lnianego i terpentyny. W kuchni błyszcząły mosiężne rondle, wyszorowane mieszanką piasku, soli, mąki i octu. Kucharki nie było – pani Carlisle, niezadowolona i pełna obaw, wysłuchawszy z ust Héléne de Montfort peanów na cześć rodowitych paryskich szefów kuchni oraz jej zdecydowanej opinii, że każdy przyzwoity dom powinien takiego zatrudnić – wyjechała do Londynu. Obowiązek gotowania dla służby spoczął więc na pani March, która ograniczała się do przyrządzania puddingu z łożu, w którym więcej było tłuszczu niż mięsa, kanapek z serem, potrawy o nazwie „zimne pocieszenie” na bazie tłuszczu z boczku, zupy ziemniaczanej oraz kruchego ciasta na smalcu. Cynthia pochłaniała to wszystko z rozkoszą, ale Mary kręciła nosem. Jadłospis ten pozwalał sądzić, że Marchowie żyją wyłącznie tłuszczem. Na kolację podano chleb z tłuszczem zebrany z brytfanny po upieczeniu wołowiny i przelany do dużych białych prążkowanych misek, po czym wystudzonym w spiżarni. Według Mary takie jedzenie było obrzydliwe. Zastanawiała się, czy jaśnie pani wie, że to pani March im gotuje. Ciekawiło ją też, gdzie się podziewa jedzenie, które, jak podejrzewała, powinni byli jeść w czasie nieobecności jaśnie państwa. Wyobraziła sobie szczerlnie wypchaną spiżarkę pani March i wszystkie grube dzieci Marchów stłoczone wokół niej.

– Małe dranie – mruknęła do siebie.

– O kim mówisz? – zapytała Cynthia, sapiąc z wysiłku. Robiły właśnie pastę o nazwie Brunswick Black – mieszały asfalt z siemieniem lnianym, by powstało czernidło do kuchennego pieca.

– O nikim – zbyła ją Mary.

– Zapewne o molach z dywanu...

Podniosły wzrok. W drzwiach stał uśmiechnięty Nash w koszuli z podwiniętymi rękawami.

– Chodźcie do pomywalni – rzekł.

– Nie, dziękujemy – odparła Mary.

– Nie do pracy. Chodźcie, to coś zobaczycie.

Zegar wskazywał wpół do trzeciej po południu, przerwa dla służby wypadła dopiero za półtorej godziny. Mary spojrzała na Cynthię, ale jej nie trzeba było zapraszać dwa razy – czarne

szczotki do czyszczenia pieca i skóry do nacierania pastą już wylądowały w skrzyni.

– Jeszcze nie skończyłyśmy – zaprotestowała Mary, ale Cynthia była już jedną nogą za drzwiami.

W pomywalni znaleźli chudziutką jak zapalka Enid Bliss. Zimą dziewczyna przeszła ciężkie zapalenie oskrzeli i teraz fartuszek po prostu na niej wisiał. Obok niej siedziała jej matka, a po przeciwnej stronie wąskiego stołu – bracia i siostry Enid niczym zestaw rosyjskich matroszek. Najmłodsza siostra Enid, kropka w kropkę do niej podobna, miała wielkie krowie oczy, wąte ręce i włosy wepchnięte pod wełnianą czapkę. Przyszli z wioski leżącej trzy mile dalej. Pośrodku stołu stało ciasto z owocami, jeden z wielkich brązowych dzbanków do herbaty należących do kucharki oraz zestaw talerzyków i sztućców do herbaty, którego używała służba. Z tyłu czaił się Alfred Whithley i raz po raz rzucał łakome spojrzenie na ciasto.

– Och, dostałoby się wam, gdyby was przyłapała – mruknęła Mary.

– Ale nie przyłapie – uspokoiła ją Nash. – Dodd pojechała dziś do Yorku.

– Do Yorku? Po co?

– Po coś, co jaśnie pani widziała w Londynie. Ma to przywieźć.

– A co to takiego?

Nash uśmiechnął się.

– Wkrótce sami zobaczycie.

Mary westchnęła z irytacją.

– A gdzie pani March?

– Wyszła. Więc lepiej zjedzmy to ciasto, zanim ona położy na nim swoje łapy.

Mary usiadła. Przepelniało ją rozkoszne poczucie winy. Bolały ją ręce, kolana i plecy – wszystko ją bolało. Kolana to podobno największy kłopot każdej pokojówki, ale najwyraźniej nie jej. Jej najbardziej doskwierały biodra i dolny odcinek kręgosłupa, za długi, jak na jej wzrost, „jak u cholernego psa”, jak to kiedyś ujął nadzorca w przędzalni.

– Za wysoka jesteś, nie zmieścisz się, chyba że ci pomogę – powiedział i chciał ją uderzyć, kiedy próbowała wsunąć się pod krosna, by złapać nici.

Uśmiechnęła się do siebie i pomyślała: Ha, już mnie tam nie ma, i ciekawe, kto kogo teraz nazywa psem, ty podły mastifie, po czym z wdzięcznością wciągnęła zapach herbaty i ciasta. Zastanawiało ją, dlaczego cały czas miała na końcu języka przekleństwo, niezależnie od tego, czy naprawdę chciało jej się przeklinać, czy nie. Były jak mocna i niekończąca się nić złości – uczucia, które usiłowała w sobie zdławić. Marzyła o tym, by pewnego dnia obudzić się szczęśliwa, jak panna Amelie czy panna Louisa, które sprawiały wrażenie w pełni nasyconych, zadowolonych z siebie i do tego wszystkiego jeszcze ślicznie wyglądały. Spojrzała na panią Bliss, której podobnie jak Mary, nikt nie nazwałby ładną kobietą. Nie odniosła jednak wrażenia, aby się tym przejmowała.

– Upiekłam je – oznajmiła starsza kobieta, zarumieniona z dumy – bo dostałam na święta suszone owoce i pomyślałam sobie: cóż, wszyscy pojechali, nie ma nikogo na horyzoncie, więc mogę iść i podkarcić trochę moją Enid.

– Oj, dostałoby nam się – roześmiała się Cynthia.

– Widziałam, słyszałam, ale będę milczeć jak grób – odpowiedziała pani Bliss.

Ciasto zostało pokrojone.

O szóstej wieczorem wniesiono z powrotem dywany.

Nash pomógł przenieść je przez wielki hol, choć nikt by się tego po nim nie spodziewał. Długi rulon rodem z Tebrizu położono w salonie. Pozbawiony zasłon pokój sprawiał wrażenie opuszczonego, odartego z luksusu, rozświetlonego. Meble nakryto białymi prześcieradłami. Po wyjściu pomocników ogrodnika Nash zamknął drzwi i podszedł do okna, po czym wyjrzał na

aleję.

Pochodził z wioski w dolinie. W wiosce był kościół, farma starego Whartona i plebania, na której ukrywał się przed wiernymi – takie przynajmniej sprawiał wrażenie – nowy proboszcz – niepewny siebie, zacukany absolwent teologii na Oksfordzie, całkowicie pozbawiony uczuć względem swego stadka. Wokół placu stało ze dwadzieścia chałup. I nic więcej. To leżące na skraju szerokiej, pofałdowanej doliny York miejsce wydawało się na wpół uśpione. Trochę dalej na północ w kierunku Richmond znajdował się obóz wojskowy, ale Nash nie chciał wyjeżdżać ani do obozu, ani do miasta. Lubił spokojne życie.

Usiadł w białym, pustym pokoju i wyjął z kieszeni książkę. Pochodziła z biblioteki jaśnie pana. Zerknął na grzbiet. Tomik oprawiony był w ładną, lekko już wytartą czerwoną skórę, a na grzbiecie miał wytłoczony złotymi literami napis: John Keats. Zaglądał do niego już wcześniej i w głowie utkwiły mu słowa: „Kto lęka się tam iść, gdzie prowadzą zwiewne głosy” i „Co piękne, nigdy cieszyć nie przestanie...”[1].

Lubił poezję. Lordowi Cavendishowi nie będzie brakować tej książki – mógłby spokojnie ją zatrzymać, gdyby pozwalała mu na to nieskazitelna uczciwość. Odda ją później, kiedy wszyscy pójdą spać.

– Co robisz?

Nash aż podskoczył. W drzwiach stała Mary.

– Czytam.

Podeszła do niego w półmroku. Przez chwilę wyglądała jak zjawa. Zbliżyła się, a on z przyjemnością spojrział w jej otwartą, uśmiechniętą twarz. Pochyliła się nad nim.

– Co czytasz? – Wzięła książkę i przerzuciła parę stron. – Och, kto by przypuszczał...

– Ty też to lubisz?

– Co?

– Poezję. Lubisz ją?

– Nie wiem. Nigdy nie miałam czasu na takie rzeczy. Tam, skąd pochodzę, nie czytuje się poezji.

Przeglądali się sobie chwilę – pokojówka i lokaj, zwykle rozdzieleni, nawet podczas posiłków na dole.

– Przyszłaś tu z przędzalni – powiedział.

– Z przędzalni wełny chesankowej w Blessington, tak jest.

Jaśnie pani miała w zwyczaju od czasu do czasu wybierać jakąś dziewczynę z przędzalni i zatrudniać ją jako pokojówkę. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że był to swego rodzaju akt miłosierdzia. Emily też pochodziła z miasteczka przemysłowego, gdzie stały przędzalnie. Nash nieraz słyszał, jak służący z innych majątków dziwili się, że lady Cavendish tak postępuje. Ich zdaniem nikt przyzwoity nie pozwoliłby dziewczynie z fabryki nawet zbliżyć się do swojego domu – jakby podejrzewali, że ucieknie, kradnąc srebrne sztućce, lub rzuci się na każde jedzenie, które znajdzie się w zasięgu jej wzroku. Ponieważ o mieszkańcach miasteczek fabrycznych słyszało się takie opinie, człowiek spodziewał się zobaczyć dzikie zwierzę, nie normalną dziewczynę. A już na pewno nie taką jak Mary, która z niezmaconym spokojem mierzyła go teraz wzrokiem.

– Od jak dawna tu jesteś? – chciał wiedzieć.

– Co, nigdy mnie nie widziałeś?

– Oczywiście, że widziałem. Ale od jak dawna?

– Dwa lata. – Sprawiała wrażenie, jakby się z niego podśmiewała. Zaciśnęła usta w uśmiešku, którego znaczenie znała tylko ona sama.

– A w przędzalni ile czasu pracowałaś?

Usiadła w nakrytym prześcieradłem fotelu. Chwyliła wąską spódnicę służbowej sukienki i rozłożyła ją na boki niczym suknię balową.

– Uuu, jakie to przyjemne uczucie – mruknęła, po czym uśmiechnęła się. – Zamierzasz na mnie donieść?

– Nie.

Wciąż taksowała go wzrokiem.

– Razem z matką pracowałam przy krosnach – wyznała. – Kiedy zaczęłam, miałam sześć lat. Stałam obok niej na skrzyni.

– Sześć lat?

– A ty co robiłeś, jak miałeś sześć lat?

– Chodziłem do szkoły. Pomagałem w ogrodzie, potem przy żniwach. Sprzątałem drogi.

– Drogi? Czemu?

– Ojciec tak pracował.

– Kiepska praca.

– To prawda – zgodził się. – Kiedy się urodziłem, miał sześćdziesiąt sześć lat. Przed moją mamą miał inną żonę. W sumie piętnaścioro dzieci.

– Piętnaścioro? – Mary złożyła ręce. – Doprawdy! Cóż za Fred Fernapackpan!

Wybuchnął śmiechem, słysząc to przezwisko. Tak nazywano niechętnego kochanka – cóż, matka powiedziała by raczej „oporny w wychodzeniu naprzód” – a ojciec z całą pewnością taki nie był. Zmarł, kiedy Nash miał siedem lat. Jak przez mgłę pamiętał zaprzęg z karawanem, a potem okrytego czarną derką konia uwiązanego do kościelnej bramy. I to, jak rzucił się na ziemię w cieniu rachitycznego drzewka przy grobie, kiedy zdał sobie sprawę, że ojca już nie będzie, że już nigdy się za nim nie wstawi. Zaczął wtedy płakać tak głośno, że matka musiała siłą postawić go na nogi i uspokoić mocnym policzkiem. Tak oto skończyły się dobrotliwe rządy nieodpowiedzialnego, niezaradnego, kochającego ojca, a zaczęły – prędkiej w wymierzaniu kar matki.

– Nie był taki – mruknął. – Nie, nie powiedziałbym tego o nim. Dawał mi dużo miłości. Podniósł wzrok. Mary patrzyła na niego z powagą.

– Myślisz czasem o Emily? – spytała.

Skinął głową.

– Myślę o Wigilii.

– Byłeś tam, nad rzeką. – Mary ciasno splotła ręce na piersiach. – Mnie wspomnienie tego, co się stało, prześladowuje bez przerwy.

Przez chwilę milczeli. Oboje mieli przed oczami Emily, cierp liwie polerującą podłogę w tym właśnie pokoju. Była taka drobna, taka jasna. Taka cicha.

Mary spojrzała na Nasha.

– Rozmawiasz z Jackiem Armitage'em?

– Z Armitage'em? Nie.

– Myślisz, że... – Pochyliła się do przodu.

– Co?

– Nie, nic. – Wstała z fotela. – Z tego wszystkiego zapomniałam, co ci przysłałam powiedzieć. Pani Dodd wróciła furgonem ze sklepu Daigha w Richmond. Siedziała obok kierowcy dumna niczym królowa Saby. – Oparła ręce na biodrach. – A teraz może mi powiesz, co, do diabła, jest na tym furgonie.

Służba mogła zobaczyć przywieziony towar w pełnej krasie dopiero następnego dnia rano.

Z Yorku przybył drugi wóz, a na nim dwóch mężczyzn. Przywieźli ze sobą dużą beczkę

benzyny, którą ustawili obok maszyny dostarczonej poprzedniego dnia wieczorem. Pojazd podjechał przed główne wejście, otworzono drzwi frontowe, a wytrzepane już dywany rozciągnięto na posadzce w wielkim holu.

– O co chodzi? – zastanawiała się Cynthia.

– Dodd mówiła, że to ma związek z czyszczeniem.

– W takim razie cała wczorajsza robota na marne – zauważyła Cynthia. Stojąc w drzwiach obitych zielonym sukniem, patrzyły, jak ci sami pomocnicy ogrodnika, którzy wczoraj trzepali dywany, naciągają je, by nie miały fałd.

– Dodd twierdzi, że najpierw trzeba było je wytrzepać na świeżym powietrzu – mruknęła Mary.

Jeden z mężczyzn wysiadł z wozu z długim, giętym węzem, który po schodach wciągnął za sobą do środka. Odwrócił się i podniósł rękę, po czym przytknął koniec węża do brzegu dywanu. Na podjeździe rozległ się odgłos przypominający grzmot. Długi wąż był przezroczysty – coś się w nim poruszało. Betty i Enid, za plecami Mary nerwowo pociągały za sukienki.

– Chodźmy stąd – mówiły. Huk pracującej na zewnątrz maszyny odbijał się echem od ścian wielkiego holu. – To coś wciąga dywan! – pisnęła Betty. – To wąż!

– Co ty gadasz, głupia – odpaliła Mary i ruszyła naprzód, zasłaniając sobie uszy rękami. Koniec węża przesuwiał się po ciężkim dywanie i pozostawiał za sobą jaśniejszy pas. Zatrzymała się wśród huku i zerknęła na Nasha. Coś do niej krzyczał.

– Co? – wrzasnęła, ale nie usłyszała odpowiedzi. Podeszedł do niej z uśmiechem i wziął ją za ramię, po czym wyprowadził do salonu.

– Co to jest? – krzyknęła.

– Sapiący Billy – wyjaśnił. – Wsysa kurz. – Pociągnął ją do okna i zobaczyła, że brud przesuwają się w wężu coraz dalej, by w końcu wpaść do worka przy silniku. Cały wóz trząsł się pod wpływem ciśnienia wytwarzanego przez pompę tłokową. – Podobno czyścił dywany w Westminster Abbey przed koronacją.

– Głośny jak diabli – zauważyła.

– Uhm – zgodził się. – Rzeczywiście. I drogi jak diabli. Dodd mówi, że pani Cavendish zobaczyła go w zeszłym tygodniu. Gdzieś w Londynie, w którymś wystawnym domu zorganizowano przyjęcie, na którym zaprezentowano to чудо. Żeby popatrzeć, jak rura wsysa brud. Trzyście funtów za posprzątanie domu.

– Ale przecież wszystko było wczoraj trzepane.

– To jest porządne czyszczenie.

– Mój Boże – jęknęła Mary. Wróciła do holu i przez chwilę przyglądała się czystym jasnym smugom na tebrizie. Myślała sobie, ile czasu i ile niewyobrażalnego wysiłku musiałyby poświęcić z Cynthią, by osiągnąć podobny efekt. Porządne czyszczenie. Jakby maszyna mogła zrobić to lepiej od człowieka.

Trzyście funtów, pomyślała sobie.

Trzyście funtów to dokładnie tyle, ile dostawała Enid za okrągły rok szorowania garów i naczyń w pomywalni. Mary obejrzała się przez ramię i spojrzała na twarz drobnej dziewczyny stojącej w drzwiach prowadzących na schody – czyli tam, gdzie normalnie nigdy by się nie znalazła, w miejscu, gdzie najpewniej nie znajdzie się aż do przyszłego roku, kiedy rodzina znowu wyjedzie do Londynu.

Trzyście funtów.

Za jeden dzień pracy cholernej maszyny.

Nie zważając na nic, pośrodku tego całego pandemonium, Mary odjęła rękę od uszu i zaczęła krzyczeć.

William stał na moście Westminster i patrzył w dół, na Tamizę.

Zapadał zmrok. Urzędnicy, bankowcy i drobne dziewczyny ze sklepów spieszyli przez most na stację Waterloo, do wypuszczających sadzę i dym pociągów. Powozyomal nie potraçały się nawzajem, mieszały się parujące oddechy koni, a ich nawóz cuchnął na bruku, skąpo oświetlonym gazowymi latarniami. Jeśli dodać do tego jeszcze omnibusy i samochody, panował straszliwy hałas. William przyszedł tu zaczerpnąć świeżego powietrza przed powrotem do domu, ale teraz zastanawiał się, czy w Londynie jest w ogóle takie miejsce, gdzie można by naprawdę odetchnąć czystym powietrzem.

Sto lat wcześniej w tym samym miejscu zatrzymał się Wordsworth, by napisać, że „Niczego piękniejszego nie wchłonie żrenica”[2], ale on, William, jakoś tego nie widział. Och, z całej duszy wolałby być teraz w domu, w Rutherford. Poeta nazwał Londyn „mocnym sercem” i była to z pewnością prawda, ale równocześnie miasto jawiło się jako wielkie, ospałe, równie obrzękłe i mętne, jak tocząca się pod łodziami rzeka. Londyn zmęczył go już dawno. Gdy był chłopcem, miasto oczywiście go ekscytowało miastem, przez kilka pierwszych miesięcy pracy w parlamencie również, ale teraz – już nie. Wtedy wybór na członka Izby Gmin zawdzięczał tradycji – był to przywilej arystokracji – ale dziś sprawy miały się inaczej. Do parlamentu wybierano ludzi, których noga za czasów świetności królowej Wiktorii nigdy w życiu by tam nie stanęła, a mianowicie członków klasy pracującej, liberałów o mętnych przekonaniach, popleczników ruchu kobiet, skorych dać im prawo głosu, a nawet – Boże broń – wpuścić je do parlamentu.

Nie uważał się wprawdzie za starego, ale na pewno był za stary na taki nonsens. Octavia, na szczęście, nie wyznawała wyrotowych poglądów, polityka w ogóle jej nie interesowała. Natomiast chętnie zgniółłby w zarodku sympatię Charlotte dla sufrażystek. Wiedział, że to tylko młodzieńczy idealizm, próbował jej to tłumaczyć, ale na próżno, bo jego młodsza córka okazała się upartym dzieckiem. Podobały mu się jej zapędy militarne – było nie było, spuścizna Beckforthów – ale u kobiety należało je wykorzenić. Kobiety, gdyby dać im całkowitą swobodę, wszystkie z chęcią zmieniłyby się w istoty pokroju Hélène de Montfort, a wtedy świat marnie by skończył. Westchnął, odwrócił się tyłem do rzeki i, oparty o barierkę, przyglądał się przechodzącym masom ludzkim.

W zeszłym roku był na derbach – już to wystarczyło, by zniechęcić go do sufrażystek. William miał szczęście znaleźć się wśród ścisłego otoczenia Jego Królewskiej Mości, bo trener królewskiego konia był jego znajomym. Nigdy nie zapomni, jak dżokeja Anmera wnoszono do gabinetu lekarskiego na tyłach trybun. Sam król poszedł sprawdzić, jak się ma ów człowiek. Złamane żebro, posiniaczona twarz, wstrząśnienie mózgu, i to na szczęście wszystko. Trzy dni później ten niski, dzielny jegomość był już z powrotem w Newmarket i czuł się znakomicie. Oczywiście mogło się to dla niego skończyć gorzej – jak dla tej „bezwzględnej, pomyłonej kobiety”.

Tak nazwała ją królowa, a z królową się nie dyskutuje. Goniłwa dobiegała końca, tłum z całej siły napierał na barierki, a królewski wierzchowiec z ostatniej pozycji wychodził właśnie na trzecią. Kobieta nazwiskiem Davison przeszła pod barierką, wtargnęła na tor wyścigowy i próbowała schwycić Anmera za wodze. Zarówno koń, jak dżokej i sama Davison wystrzelili w powietrze. Na oczach wszystkich Davison, która przyjęła na siebie cały impet rozpędzonego zwierzęcia, przekoziółkowała, zamiatając w powietrzu bezwładnymi nogami jak u szmacianej kukielki i gubiąc kapelusz. Anmerowi, dzięki Bogu, nic się nie stało. Był bardzo porządnym kasztanem – wstał, otrząpiał się rażno i bez jeźdźca na grzbiecie pogalopował dalej, do mety. Davison leżała nieprzytomna, rozwścieczony tłum wdarł się na tor – przecież dokonano obrazy królewskiego majestatu! Na widok krwi płynącej z ust i nosa kobiety wszyscy stanęli jednak jak

wmurowani. Umarła cztery dni później w wiejskiej izbie chorych w Epsom, nie odzyskawszy przytomności. Przy jej łóżku leżał list od matki, w którym była mowa o „wyższych celach”.

William prychnął na wspomnienie tamtego incydentu. Kobiety i ich „wyższe cele”. Héléne i jej cele. Kiedy kobiety rzucają się w wir towarzystwa, przypomina to duchowy nowotwór. Nie potrafią poradzić sobie same. Owszem, zdobywają niezależność, ale kosztem szczęścia swych córek i synów. Nawet w historii jego rodziny można by przytoczyć kilka przykładów żon, które postawiły sobie za cel odejść od mężów, i do czego je to doprowadziło? Do samotnej śmierci z dala od domu, do życia pełnego skandali. Miejsce żon i córek jest w domu, pod wspólnym dachem. Chłopcy niech błądzą. Oni niech wyszumiają się za młodu.

Stał przed oczami Harry podczas wczorajszego balu w Partington. William bawił się dość dobrze, póki nie zobaczył własnego syna w gromadzie hałaśliwych młodzieńców, awanturujących się na końcu sali. Kiedy ktoś, raz czy drugi zwrócił im uwagę, wynieśli się na dwór. William widział ich przez okno – stali i palili cygara, każdy z butelką szampana w ręku. Nie miał pojęcia, że Harry w ogóle pije, w domu prawie nie tykał alkoholu. W końcu około północy, pośród gwaru i zamieszania na parkiecie, spostrzegł syna wchodzącego do pierwszej sali, z tyłu za bufetem. Chłopak zatrzymał się pośrodku pomieszczenia i rozglądał, jakby kogoś szukał. Przez chwilę William myślał nawet, że wypatruje kogoś z rodziny, ale szybko poczuł ukłucie rozczarowania i rozgoryczenia. To nie Octavia ani Louisa były obiektami zainteresowania Harry’ego, ale Isabelle Canford, która, podobnie jak jego syn, stała sama.

Patrzył, jak nawzajem mierzą się wzrokiem, jak Harry podchodzi do niej, jak rozmawiają. Miał pełną świadomość, że mógłby stać tam zamiast syna. Dawniej, przed rokiem 1880, znał takie kobiety – zlekceważone przez mężów, niepotrzebne po wydaniu na świat dziedzica tytułu, zabawiały się w mieście. Przypomniał sobie pewien wieczór w łożu teatralnej dawno, dawno temu – to zabawne, ale pamiętał, ile warstw ubrań miała na sobie tamta kobieta, a on wtedy zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Ten bezlik spódnic i halek, ich sztywność i odświętność, pamiętał grubą pelerynę, którą była owinięta w powozie, i swoją własną młodzieńczą nieudolność. Nawet schody do małego domku w Londynie, jej potajemnej własności, na zawsze zapadły mu w pamięć.

Harry wziął za rękę panią Canford. Sam Canford był już bardzo stary, a po skandalicznym romansie żony przestał ją nawet kontrolować. Schorowany i markotny przesiadywał w domu. A ona – proszę bardzo – swobodnie krążyła w towarzystwie i mimo czterdziestu dziewięciu lat wyglądała naprawdę ładnie. I panie, i panowie oglądali się za nią niczym za egzotycznym ptakiem. Kobieta, którą posiadał wtedy w powozie, a potem w tajemnym małym domku, miała lat dwadzieścia, a już urodziła pięćdziesięcioletniemu mężowi dwoje dzieci. Należała do takich samych kobiet jak pani Canford – samotnych, za wszelką cenę pragnących miłości.

William poczuł nieodpartą chęć, by przecisnąć się do nich przez tłum i wyjąć dłoń Harry’ego z jej ręki. Czuł niesmak: Isabelle Canford mogłaby być matką, a nawet babcią Harry’ego. Oczywiście, nie można się było tego domyślić – nie wyglądała nawet na czterdziestkę. Kiedy tak patrzył, zauważył, że ktoś do nich podszedł. Rozpoznał Goulda, dziedzica wielkiej amerykańskiej fortuny, który kilka tygodni wcześniej pytał go, czy mógłby złożyć wizytę w Rutherford. William zmarszczył brew i przyglądał się całej trójce. Gould – wysoki, elegancki blondyn – cieszył się sławą uwodziciela cudzych żon. William zastanawiał się, czy to rzeczywiście prawda, czy tylko nic niewarta londyńska plotka. Gould zaśmiał się z czegoś, co powiedział Harry i obrzucił chłopaka i Isabelle badawczym spojrzeniem. Wydawało się, że podjął decyzję, skinął głową do Harry’ego i się wycofał. Zrezygnował chyba z dalszych zakusów – skinienie głową oznaczało ustąpienie pola. William wbrew sobie uśmiechnął się na widok

zwycięstwa syna nad czarującym Amerykaninem.

Dalej nie spuszczać z oka tych dwojga, zauważył, że Isabelle szepcze coś do Harry'ego. Postanowił, że nie będzie się wtrącać. Tak czy inaczej, Harry nie mógł lepiej trafić. Nigdzie indziej nie otrzyma bardziej wyczerpujących instrukcji, a na pewno nie w burdelu na West Endzie. Lekko zakłuło go w sercu. Zdziwiło go to, ale nie chciał więcej o tym myśleć.

Nagle spostrzegł, że Harry'ego zauważyła też Octavia. Wyprostowała się i posłała mężowi porozumiewawcze spojrzenie. Martwiła się o Harry'ego – wyznała mu to rano. Już stał się obiektem plotek – podobno pakował się w najrozmaitsze tarapaty. William machnął na to ręką i rozwiął jej obawy. Czuł, że teraz, pod koniec wieczoru, powinien zrobić to raz jeszcze. Uśmiechnął się do żony, dumny z jej urody, spokoju i skromności. Nie miała pojęcia o jego własnych przygodach, a jeśli nawet, to trwał w przekonaniu, że zanadto się nimi nie przejmowała. Ich małżeństwo już nieco ostygło – nadal mu się podporządkowywała, a on nie prosił o więcej – ale przynajmniej jak przyzwoita para wciąż byli razem.

Kobieta, pomyślał, powinna być spełniona. A kiedy nie ogranicza jej się swobody, może stać się niebezpieczna, kusząca, nie do rozszyfrowania. Stojąc na moście w hałaśliwych ciemnościach, William przyłożył rękę do głowy.

Gdyby tylko mógł sprawić, by Héléne de Montfort czuła się spełniona.

Odwrócił się i ruszył w kierunku Parliament Square, gdzie czekał na niego powóz.

Jack Armitage stał przed pubem w wiosce. Oczywiście miał zamknięte.

Czekał już tak długo, że prawie zasnął w słońcu, oparty o nieruchomy bok Wencesłasa. Od czasu do czasu konia przechodził dreszcz, ale poza tym zwierzę też chyba spało ze zwieszoną głową. Na opustoszałej drodze nic się nie działo. Trawa w rowach urosła już dość wysoko, za kamiennym murkiem rozciągały się pola. Gdzieś pośród tej młodziutkiej, pierwszej zieleni płynęła rzeka Wastleet, omijając wioskę takim samym łukiem, jakim mijała Rutherford. Na tej wysokości była płytka i czysta, dopiero później, bliżej majątku, nabierała głębokości. Myśli Jacka leniwie popłynęły do obrazka z dzieciństwa – biegł przez pole za jakąś małą dziewczynką. Wszystko, co dziś pamiętał, to tylko upał i jej długie, podskakujące włosy. Potem stanęła mu przed oczami postać Louisy, a następnie – Emily. Otworzył oczy.

Z pubu wyszedł John Gray, zarządca majątku Rutherford, wierzchem dłoni ocierając piwo z wąsów. Jack uważał, że w koszuli, tweedowych bryczesach, marynarce i kamizelce wyglądał sztywno, jakby był wypchany i bardzo zarozumiały, ale wiedział, że w głębi duszy Gray to dobry człowiek. Jack wyprostował się.

– Jedź do kamieniołomu, zaraz będą tam na ciebie czekać – padła sucha instrukcja.

Jack dotknął daszka czapki.

– Tak jest, proszę pana.

Gray podszedł do swojego konia i wsiadł na niego, przerzucając nogę nad siodłem. Jack przyglądał mu się. W wiosce mówiono, że płynie w nim arystokratyczna krew, że urodził się z nieprawego łoża gdzieś w hrabstwie Sussex. W jego głosie pobrzmiwał wprawdzie południowy akcent, ale Jack nie wiedział, ile prawdy było w tej historii. Gray był zamknięty w sobie. Mieszkał z rodziną na uboczu, w domu przy bramie wjazdowej do Rutherford.

Jack chwycił Wencesłasa za uprzęż i poprowadził go drogą. Kiedy doszedł do zakrętu rzeki i przecinającego ją średniowiecznego, kamiennego mostu, jego oczom ukazał się kamieniołom. Na tym niewielkim skrawku terenu, o powierzchni mniejszej niż dwa akry, pomiędzy piachu i gliny wydobywano warstwę skały wapiennej. Słońce stało już wysoko i w jego oślepiającym świetle świat wydawał się zupełnie biały. Wszędzie unosił się pył. Wencesłask drgnął tylko leciutko, kiedy kamienie wciągnięto na taśmociąg, a stamtąd zsypano je na wóz.

– Te kamienie to do alei? – ktoś spytał.

– A jakby inaczej – odparł Jack.

Tegoroczny śnieg zniszczył większość obrzeży alei dojazdowej. Kiedy poukłada się kamienie, aleja znów będzie wyglądać porządnie, to znaczy tak, jak według niego wyglądało całe Rutherford: porządnie i schludnie – przystrzyżone i wypielęgnowane, nierzeczywiste. Sam wołał stajnie. I znowu z rozmarzeniem pomyślał o Louisie. Zastanawiał się, kto ją sobie podporządkuje, kto utrzyma ją w ściśle określonych ramach, które ma wypełnić zgodnie z powszechnymi oczekiwaniami. Jej obraz zmieszał mu się w głowie z obrazem biegnącej dziewczynki. Otarł pot z karku. Ciekaw był, czy w Londynie też jest tak ciepło.

Jedna ze służących, która razem z jaśnie panią i panienkami wyjeżdżała podczas sezonu do Londynu, mówiła, że tam wszystkie kobiety wyglądają jak księżniczki. Że codziennie ubierają się w stroje o wiele piękniejsze niż te, które noszą tutaj, że codziennie chodzą na tańce, i że raz widziała, jak lady Cavendish wróciła w nocy z przyjęcia ze świeżymi orchideami we włosach i przy sukni. I że odpięła te orchidee, i rzuciła na podłogę, kiedy zdejmowała narzutkę.

Służąca uratowała kwiaty i włożyła je do wazonu, zdobiły później kuchnię. Kiedy tak rozmyślał, wyobraził sobie, że Louisa w wyszukanej sukni odwraca się i patrzy na niego życzliwie – jak to często robiła, kiedy siadła jej konia na polowanie lub przejażdżkę po parku – tylko tym razem ma we włosach orchidee, takie same jak matka, takie same jak te, które rosną w szklarni. W tym momencie wizja natychmiast prysła, słowo „szklarnia” przywołało bowiem wspomnienie twarzy Emily – bladej, nieruchomej i zastygłej, taką ją widział w samochodzie o zakrytych czernią oknach, który kopnąc, odjeżdżał krętą aleją, by zawieźć ją w trumnie na cmentarz. Jack wstał, zatrzasnął klapę z tyłu wozu i wyprowadził Wencesłasa z zakurzonego placu w zielony, opustoszały świat drogi.

Powoli minęli pub. Okna były pozamykane, a zasłony szczelnie zasunięte, by do środka nie wpadało popołudniowe słońce. Dopiero gdy uszli już ładny kawałek drogi, Jack usłyszał, że z tyłu ktoś go woła. Zatrzymał się i odwrócił. To córka właściciela pubu szła za nim, trzymając w ręku skórzany kapciuch.

– Czy to Jack? – spytała.

– Tak.

Wyciągnęła w jego stronę rękę z kapciuchem.

– Będziesz się widział z panem Grayem? Zostawił to u nas. Kapciuch na tytoń.

Jack wziął od niej kapciuch. Z pubu dał się słyszeć odgłos, który trudno pomylić z czymkolwiek innym – płacz dziecka.

– Och – rzekła dziewczyna. – Dziecko mi płacze.

Spojrzeni po sobie. Jack przywiązał konia do furtki w ogrodzeniu i cofnął się do pubu. Musiał pochylić się w drzwiach, wchodząc do chłodnego wnętrza. Składało się z dwóch pomieszczeń o niskich sufitach i liczyło sobie kilka wieków. Dziewczyna zaprowadziła go na zaplecze, gdzie dobudowano małą mleczarnię. Rozpoznał to pomieszczenie – w pochyłej podłodze tkwiła kamienna zatyczka, a całą jej powierzchnię zalewała woda z podziemnego źródła. W wodzie chłodziły się bańki z mlekiem z farmy czekające na zawieszenie do Richmond. W odległym końcu na okiennym parapecie stał koszyk – taki sam, w jakim on i ojciec trzymali w stajni otręby. Jack podszedł i zajrzał do środka. Napotkał spojrzenie płaczącego dziecka o czerwonej twarzy i zaciśniętych piąstkach. Dziewczyna wyjęła je, wzięła na ręce, po czym podniosła wzrok na Jacka.

– Ładna dziewczynka – powiedział w końcu.

– Tak jest – zgodziła się dziewczyna. – Przynajmniej wtedy, kiedy jest spokojna.

Jak na komendę zaprawiony czkawką płacz ustał i czerwień zaczęła ustępować z twarzy

dziecka, na Jacka zaś spojrziała miniaturowa wersja Harry'ego Cavendisha. Te same oczy, ten sam kształt czoła, ten sam kolor włosów.

– Cóż, cały on – mruknął Jack.

– Tak, ale lepiej nie mówić tego na głos – ostrzegła dziewczyna.

Patrzył przez chwilę, obracając w rękach kapciuch.

– Pan Gray był tu ją zobaczyć? – zapytał.

Dziewczyna fuknęła z dezaprobatą.

– Ona ma imię.

– O, jakie?

– Cecilia – odparła dziewczyna, bardzo starannie wymawiając imię.

Zapadła cisza. Jack słyszał, jak woda uderza delikatnie o dna metalowych baniek.

– Cecilia – powtórzył.

– Wymyślne, co? – Dziewczyna pochyliła się do niego, jakby zdradzała tajemnicę. – Po prababci.

– Po czyjej prababci?

– Małej – odpowiedziała, przekrzywiając głowę w stronę Rutherford. – Po jej matce.

– Lady Cavendish?

– A czyjeż by innej? – burknęła. – Przychodzi tu i nam płaci.

– Słucham? Co robi?

– Płaci na jej utrzymanie.

– Doprawdy – mruknął Jack. – Płaci.

Idąc zieloną aleją, mijając żywopłoty i pola, nie czuł nawet krztyny zdziwienia, choć do dziś nie miał pojęcia, dokąd oddali dziecko. Ojciec twierdził, że gdzieś daleko, ale teraz Jack wiedział już, że skłamał, by powstrzymać go od odwiedzin u dziecka Emily, od wracania myślami do tamtej nocy, od rozmyślania o Harrym Cavendishu.

– Nie mieszaj się do tego – ostrzegł go ojciec. – Pilnuj swojego nosa i swojej roboty. Tylko to ma cię obchodzić. Nie wchodź im w drogę.

Ale ona nie trzymała się z daleka.

Przychodziła zobaczyć małą i dała jej imię po swojej matce.

Wiedziała. I mimo wszystko trzymała wnuczkę blisko siebie.

William dotarł do londyńskiego domu o szóstej. Na ulicy czekał powóz – jak zakładał William, należący do pani de Ray, co potwierdziło się, gdy ujrzał ją samą, sunącą prosto na niego niczym potężna łódź paradna cała w falbanach i kokardach i holującą dwie mniejsze łodzie – Louise i Florence.

– Dobry wieczór – powiedział.

Pani de Ray skłoniła lekko głowę. Louisa złapała ojca za ramię.

– Gdzie byłeś? – zapytała z uśmiechem. – Jedziemy na przyjęcie do Chathamów. Mama twierdzi, że zostaje w domu, a ty?

– Ja też – odparł. – Byłem w parlamencie.

– O, fuj – odparowała Louisa, po czym zniżyła głos. – Mama Florence wydaje się trochę wściekła.

– Na co?

– Nie mam pojęcia – szepnęła Louisa, zbierając spódnice. – Do mamy ktoś przyszedł, coś tam gadali, a wtedy przyjechała pani de Ray i mama kazała jej jechać samej. Nie wiem, nie byłam w środku. Nie mam pojęcia, kto to taki.

Patrzył na nią spokojnie.

– Prosiłbym, żebyś nie używała tego żargonu. Doprawdy, gadali.

Louisa zaśmiała się i ucałowała go w policzek.

– Co to za gość? – zapytał.

– Mówiłam ci, że nie wiem. Rozmowa toczyła się za zamkniętymi drzwiami.

Zmarszczył czoło. Zauważył, że kiedy Louisa wsiadała do powozu, pani de Ray patrzyła prosto na niego. Złowił jej złowrogie spojrzenie i uśmiech w jednej chwili zastygł mu na twarzy. Coś musiało się zdarzyć, że został tak niegrzecznie potraktowany na własnym progu.

W środku czekał na niego Bradfield, który ze spuszczonego wzrokiem odebrał od niego palto.

– Gdzie lady Cavendish? – zapytał William.

– W salonie, proszę pana.

– Co, do diabła, ona tam robi? – zawołał. – Dlaczego nie jedzie na przyjęcie?

Bradfield milczał. William skierował się w stronę salonu, a kamerdyner ruszył przodem i otworzył przed nim drzwi.

Octavia siedziała na krześle pośrodku pokoju. Stał w drzwiach i natychmiast odniósł wrażenie, że jest chora – jej twarz była śmiertelnie blada. Wyglądała na nieobecna. Na moment stanął mu przed oczami własny ojciec w chwilę po fatalnym udarze, kiedy tuż przed śmiercią siedział z lekko przechyloną na bok głową, jakby słuchał ledwie słyszalnej muzyki. Octavia spojrzała na niego.

Wszedł do środka. Bradfield zamknął drzwi i dopiero wtedy William zauważył postać stojącą w końcu pokoju. Był to młody człowiek. Ręce splótł z tyłu. Z jego pozy można było wnioskować, że przez zasunięte kotary patrzy na odjeżdżający spod okna powóz.

– Williamie – rzekła Octavia cicho, siłąc się na obojętność. – Podobno wiesz, kto to taki. Jak mi powiedziano... – zawahała się. Jej oczy były pełne łez.

Młody człowiek postąpił kilka kroków naprzód i skłonił się całym tułowiem.

– Lordzie Cavendish – odezwał się jakby kpiąco. Lekko seplenił, co sprawiało, że jego głos brzmiał bardzo chłopięco. William doznał dziwnego uczucia, że oto wkroczył na scenę, na której rozgrywa się najczarniejsza z komedii. Odwrócił się do Octavii.

– Kochanie... – zaczął.

Podniosła rękę, żeby mu przerwać.

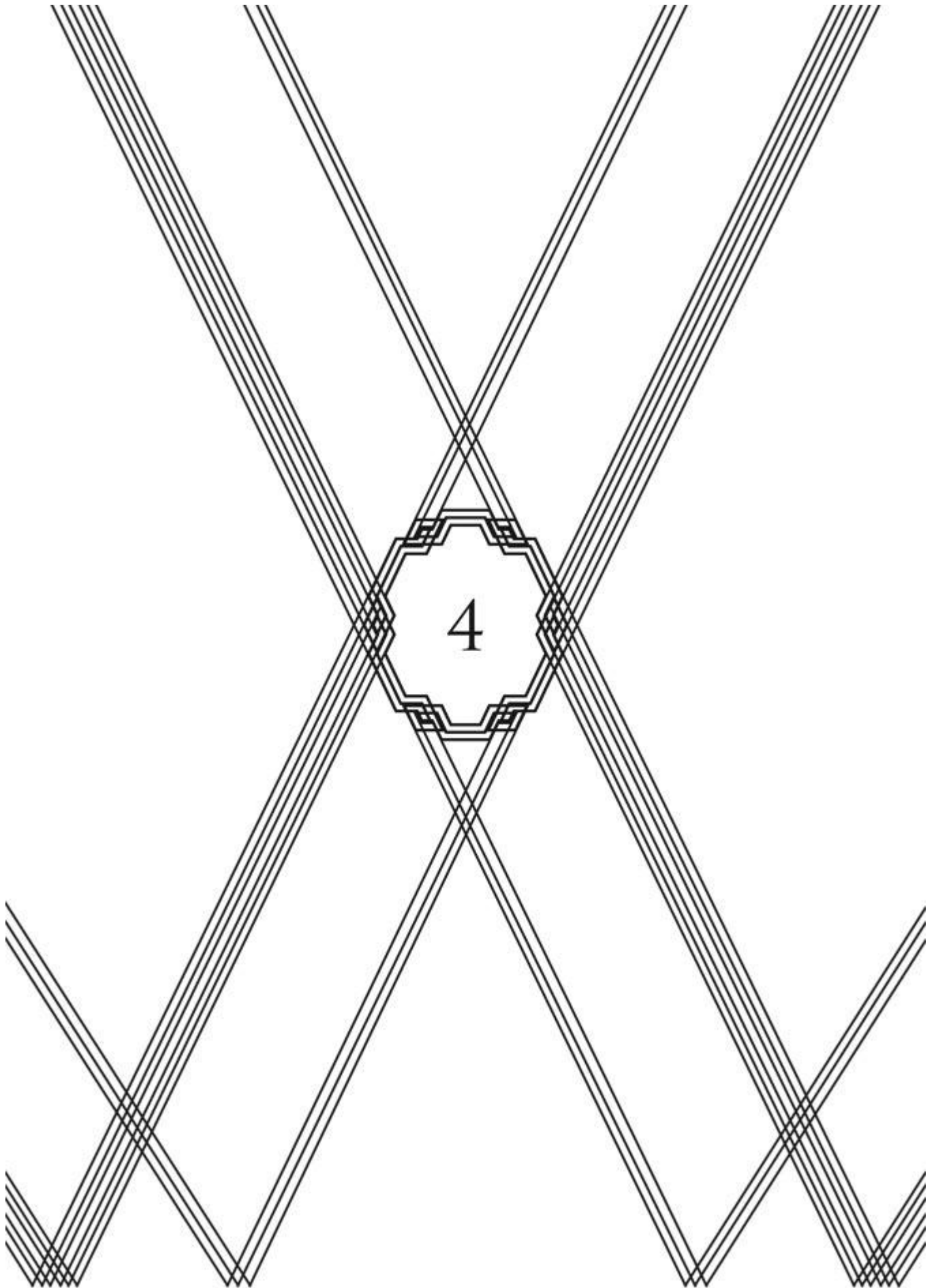
– To – ciągnęła – jak wiesz, jest pan Charles de Montfort.

De Montfort zbliżał się ku niemu i William zdał sobie sprawę, że Hélène dotrzymała swojej groźby. Wysłała ich syna do Londynu, na spotkanie z Octavią i na konfrontację z nimi obojgiem.

I że w czasie, kiedy nie było go w domu – być może wtedy, kiedy stał na moście, bezmyślnie obserwując pędzący obok niego świat – jego małżeństwo nieodwracalnie rozsypało się na kawałki.

1 Fragment *Endymiona* Johna Keatsa w przekładzie Stanisława Barańczaka (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Fragment sonetu *Ułożone na Moście Westminsterskim 3 września 1802* Williama Wordswortha w przekładzie Stanisława Barańczaka.



Tego samego dnia, kiedy urodził się John Boswell Gould, w Nowym Jorku miało miejsce trzęsienie ziemi. Dziesiątego sierpnia 1884 roku przez całe Long Island, Connecticut i Pensylwanię przetoczył się huk. Szyby w Brighton Beach zatrzęsły się tak mocno, że goście wybiegli z restauracji, a pracownik telegrafu na Coney Island zapytał, gdzie i co wybuchło, podejrzewając, że to w fabryce prochu. W Greenpoincie ludzie sądzili, że doszło do wypadku w dużej rafinerii, i czym prędzej pobiegli na pomoc, a zaniepokojone zwierzęta w menażerii w Central Parku ze zwieszonymi łbami krążyły jako oszalałe wokół zagród. Trochę bardziej na zachód ludzie mówili, że woda w rzece Housatonic zabulgotała i zadrżała.

John przyszedł na świat w tym samym ułamku sekundy, kiedy nastąpiło trzęsienie wtórne, w zamożnym domu przy Piątej Alei, dokładnie naprzeciwko okazałych kamienic braci Goulet. Matka Johna była tam zaledwie cztery miesiące wcześniej. Podziwiała złote zasłony Mary Goulet i jej urządzone w czternastowiecznym stylu jadalnię, ale zapach kwiatów wywołał u niej silne mdłości. Mdłości męczyły ją zresztą przez całą ciężę, o czym mu powiedziała.

– I smród tych przeklętych kwiatów, tych przeklętych wodospadów i pastwisk, i gór, i dróg pełnych przeklętych kwiatów, John. Omal nie zeszedłem z tego świata.

Do końca życia na widok lilii robiło jej się niedobrze.

Kiedy się rodził, Piąta Aleja grzmiała i pękała, a kiedy dorastał, Nowy Jork rósł razem z nim, równie przebojowy jak on. Sadził wielkimi krokami przed siebie, na łeb na szyję, z łoskotem pędził przez świat, którym rządziły kolej żelazna i rodziny finansistów, bogacące się kosztem reszty społeczeństwa. Ulice wybrukowano, slumsów w Astor przybywało, Mała Italia uginała się pod coraz większym napływem imigrantów. John Boswell Gould w swym wyszukany szkolnym mundurku przyglądał się, jak na rogu Piątej i Trzydziestej Trzeciej Waldorf buduje swój ogromny hotel, a potem, tuż obok – Astorię. Patrzył, jak robotnicy pełzają po rusztowaniach na gotyckich wieżach niczym muchy na fantazyjnych elewacjach.

Studiował na Harvardzie razem z Mikiem Vanderbiltem, znał Vincenta Astora i pływał w tym samym klubie jachtowym, w którym nieustannie i przy każdej okazji obrzucano błotem jego dalekiego kuzyna, siódma woda po kisielu, Jaya Goulda.

– Nazywasz się Gould? – pytano go. Czasem spluwano przy tym na ziemię.

– A ty Fisk? – odpowiadał. – A ty Crocker?

Nazywano ich rekinami finansjery – Fisków, Vanderbiltów, Crockerów, Villardów, Harrimanów, i zdaniem Johna wszyscy byli pomyleni. Niczym szaleńcy doprowadzali banki do upadku, rozbijali więzi braterskie i przedsiębiorstwa, byle tylko gromadzić potężne fortuny – fortuny o wartości stu milionów dolarów, dwustu, trzystu, czterystu milionów dolarów. Ich synowie, a przynajmniej niektórzy, na oślep szli w ślady ojców. Kurczowo trzymali się slumsów, kolei czy hut, budowali kasyna na południu Francji, rozwodzili się, bo nie potrafili zadowolić żon. Zdarzało się, że w samotności i milczeniu tracili zmysły, zupełnie pogubieni, nie wytrzymując porównania z dzierzącymi młoty kowalskie bandziorami – własnymi ojcami.

Odpowiadał więc, że właściwie nie jest Gouldem. Tłumaczył sobie, że mimo fortuny przodków on ulepiony jest z zupełnie innej gliny. Należał do drugiego czy trzeciego pokolenia i kierował się własnymi ideami. Jego ojciec, Oscar Gould, kupił dom towarowy, bardzo dobry i bardzo duży. Wszystkie damy z Nowego Jorku zaopatrywały się u niego w bieliznę, szkło od Tiffany'ego, imienne sygnowane zastawy stołowe i zamawiały wyprawy ślubne dla córek. Bele koronki i jedwabiu, bielizna pościelowa i całe piętra mebli zapewniły Johnowi Boswellowi studia na Harvardzie i wakacje w klubie jachtowym. Właśnie tam poznał J. Pierponta Morgana.

J. Pierponta można było rozpoznać z odległości kilometra po mocnej woni kubańskich cygar, która się wokół niego roztaczała. Bóg niech ma w swej opiece każdego, komu przyszedłoby

do głowy zbyt długo mu się przyglądać lub, co gorsza, zrobić mu zdjęcie, ponieważ na skutek jakiejś choroby miał zdeformowany nos, który przypominał przyklejony do twarzy bajgiel. Różnie to nazywali – głównie za jego plecami – ale naprawdę choroba nazywała się guzowatość nosa. Nie przeszkodziło to J. Pierpontowi być właścicielem połowy linii kolejowych w kraju, mieć w kieszeni wszystkie banki, pełnić funkcję prezesa klubu jachtowego ani posiadać duży, czarny jacht z silnikiem parowym, na którym pływał John Boswell, nie przeszkadzało mu to również ryczeć niczym byk ani przeć przez życie z siłą. Wszystko to, naturalnie, John podziwiał z całego serca. John Pierpont Morgan ze swym groteskowym, zniekształconym nosem stanowił rzeczywistą przyczynę, dla której John Boswell w ogóle znalazł się w Anglii.

John Gould mierzył wzrokiem Rutherford. Domostwo stało pogrążone w ciszy i spokoju, zdawało się drzemać w czerwcowym słońcu. John przybył do Anglii przed Bożym Narodzeniem na pokładzie statku „Laconia” i zgodnie z tym, co zaplanował, obejrzał już parę domów w stylu Tudorów: Kentwell Hall, Long Melford i Burton Agnes. Wczoraj był w Moulton Hall, rezydencji zbudowanej w roku 1650 i znajdującej się niedaleko, parę mil od Richmond. Tutejszy krajobraz przypominał mu miejscami stan Vermont. Pomyśleć tylko, że angielskie siedziby są takie stare, ich historia – do końca niepoznana, a o ich właścicielach, rodzinach sprzed tysiąca lat czy z czasów, kiedy dziób żaglowca „Mayflower” wbił się w piach przeciwległego brzegu Atlantyku, nikt już nie pamięta.

Poznał Williama Cavendisha w Londynie w marcu, tuż przed rozpoczęciem sezonu, powiedział, że pisze książkę, i zapytał, czy mógłby odwiedzić Rutherford i rzucić okiem na bogatą bibliotekę. Wieki trwało, zanim Cavendish udzielił odpowiedzi – najpierw przechylił głowę i zmarszczył brew, spoglądając z wysoka na swego rozmówcę. Potem John przekonał się, że dla Anglików to typowe. Nie cenią oni nikogo, kto nie nosi sięgającego przynajmniej sześciu wieków wstecz tytułu. Gould miał wprawdzie znane nazwisko, które ludzie rozpoznawali, i na hasło „Gould” otwierało się przed nim wiele drzwi, które w innym wypadku byłyby zamknięte. Uzyskał wstęp na niezliczone londyńskie salony, gdzie czarował panie – znudzone arystokratki – och, jakże się czerwieniły, kiedy bez skrępowania zniewalał je swym urokiem – ale panowie... ach, panowie to była zupełnie inna sprawa. Pytali go, czy jeździ konno, czy strzela i czy poluje. Pytali, jakiego rodzaju handlem zajmuje się jego rodzina, jakby chodziło im o rodzaj choroby zakaźnej, której był nosicielem. Marszczyli brew, kiedy odpowiadał, że po prostu podróżuje, a jeśli już odważył się wspomnieć o pisaniu książki, stawali się wobec niego nieufni, jakby fakt, że posiada mózg i korzysta z niego, oznaczał niebezpieczną i niezrozumiałą zdradę. Na myśl o tym wszystkim uśmiechał się do siebie. Nic dziwnego, że był zagadkowy – sam dla siebie stanowił zagadkę. Zgodziłby się z każdym, kto nazwałby go beztroskim, bo cecha ta mu się podobała. Tak, nie miał nic do beztroski – był beztroski i wolny od zobowiązań, niecierpliwy, łatwo się nudził, miał w duszy nieposkromioną ciekawość, która wszędzie go prowadziła: przez morza i do cudzych domów. Chciał jednak poznawać ludzi – tak, chodziło mu przede wszystkim o ludzi. Chciał ich znać. A to dla mężczyzny, przynajmniej w każdym arystokratycznym domu po tej stronie wielkiej wody, było niczym otwarte przyznanie się do bycia wędrownym dziwolągiem.

Za sześć tygodni z hakiem miał skończyć trzydzieści lat. Trzydzieści lat to wiek, w którym zgodnie z przestrogą ojca powinien ustatkować się i zająć interesami. Gdy myślał o zbliżającym się dniu urodzin, w jego głowie rozlegało się złowrogie uderzenie dzwonu, wróżące nadejście fatum i zatraskujące mu przed nosem wrota przygody. Postanowił nie podchodzić do tematu tak serio jak jego ojciec. Życie wędrowca czarującego otoczenie swoim urokiem było zbyt dobre, by zamienić je na dożywocie usłużnego sprzedawcy towarów luksusowych w Nowym Jorku. Stojąc w pałącym słońcu, zdjął kapelusz i chwilę obracał go

w rękach. Zaśmiał się cicho na myśl o tym, że mógłby spędzić życie, sprzedając tkaniny zamożnym wdowom. Taka egzystencja równałaby się śmierci w męczarniach wskutek długotrwałego, powolnego duszenia przez sztywny kołnierzyk.

Przekrzywił głowę i zastanawiał się leniwie, czy Rutherford Park robi na nim takie samo wrażenie jak inne angielskie siedziby, które dotąd widział. Rutherford było wspaniałe, było piękne, może nawet zbyt ładne, by wywierać wrażenie – miało o dwa skrzydła mniej. Podobały mu się jednak jego rozległe trawniki, podziwiał też zakole rzeki. Z aprobatą patrzył na duże, szerokie patio, przed którym właśnie stał. Nadszedł z boku i ponieważ nie zastał nikogo przed wejściem, postanowił na razie nie dzwonić. Chciał najpierw sprawdzić, jak wygląda Rutherford, kiedy nie wie, że jest obserwowane.

Ruszył przez trawnik od strony rzeki. Za olbrzymią szklarnią widział grupki domów. Ależ tam musi być gorąco, pomyślał. Z dali dobiegł odgłos jakiegoś silnika. Spojrzał na zegarek: wpół do czwartej. W Londynie nie było aż tak upalnie. Nawet rozciągające się na okolicznych wzgórzach wrzosowiska wydawały się suche, wypalone, a rozgrzane powietrze nad nimi drżało.

Jego oczom ukazała się wychodząca z domu kobieta.

Miała na sobie luźny biały strój i szła bardzo powoli, jakby dryfowała. W zwiewnej sukni z trenem i wielkim kapeluszu obciążonym jedwabnymi kwiatami wyglądała z daleka jak porzucona róża unosząca się na powierzchni zielonkawej wody. John oparł ręce na biodrach i nie ruszając się ze swego miejsca pod kasztanem, przyglądał się jej. Po chwili bezcelowego przechadzania się po trawie kobieta przystanąła, a z furtki w murze ogrodu za jej plecami wychynęła służąca z tacą i mężczyzna z jakąś deską, która, kiedy podeszli do kobiety, okazała się rozkładanym stolikiem. Z wahaniem stanęli za nią. Machnęła ręką. Wkrótce służący rozłożyli obrus, podali herbatę i wycofali się. John zauważył, że kiedy służąca doszła do przejścia w murze, odwróciła się i zmarszczyła czoło, po czym zniknęła w domu.

Ruszył w poprzek trawnika. Kobieta spostrzegła ruch i spojrzała w jego stronę, ale nie wykonała żadnego gestu.

Kiedy się z nią zrównał, zdjął kapelusz. Podniosła na niego wzrok, a on posłał jej uśmiech – taki, jakim zwykle rozbrajał kobiety. Tym razem nie wywarł jednak żadnego wrażenia.

– Spodziewam się, że nie ma komu nas sobie przedstawić – rzekł. – Bardzo przepraszam, że zakłóciłem pani popołudnie. Nazywam się John Boswell Gould.

Nie spuszczała z niego lodowatego spojrzenia.

– Pisałem do państwa z Nowego Jorku – ciągnął. – Wiosną.

– Wciąż ma pan nade mną przewagę, panie Gould.

– Jestem historykiem.

– To pański zawód?

Roześmiał się.

– Nie. Zainteresowanie.

Uniosła brwi i rozłożyła ręce.

– Nie przypominam sobie.

– Lord Cavendish był na tyle miły, że mnie zaprosił. Piszę książkę na temat starych angielskich siedzib.

Wreszcie ją nieco oświeciło.

– Ach, to pan jest tym amerykańskim Gouldem.

– Zgadza się, proszę pani.

Leniwie wyciągnęła rękę.

– Octavia Cavendish.

Wziął jej dłoń. Była bardzo blada i zupełnie bezwładna.

– Jest pan z tych Gouldów od kolei?
– To bardzo daleka rodzina. Zwykle nie przyznajemy się do pokrewieństwa. Nie wszystkie dobre rodziny mają świetne pochodzenie.

– W tym się z panem zgodzę.

Wycofała rękę i zaprosiła go, by usiadł. Nalała herbaty. Ani na chwilę nie spuszczał z oczu jej niezdradzającej emocji twarzy i wykonujących oszczędne ruchy rąk. Miał wrażenie, że i ten wysiłek stanowi dla niej wielkie wyzwanie. Zastanawiał się, czy jest chora. Słyszał o jej wielkiej urodzie, z której chyba niewiele już pozostało. Piękność musiała nieść w sobie życie, jakąś iskrę, tymczasem Octavia Cavendish wyglądała na martwą, wykończoną. Może przez ten skwar.

– Niestety, lorda Cavendisha nie ma w domu – poinformowała. – Jest w Paryżu.

– W Paryżu? W lipcu? – odparł John. – To niezgodne z prawem.

Wyglądała na zdezorientowaną.

– Naprawdę? – Skinęła głową. – Ach, to oczywiście żart.

– Co go tam wyгнаło?

Popatrzyła na długi, schodzący ku rzece trawnik.

– Obowiązki dyplomatyczne i sprawy rodzinne – odparła. – Syn jest w Londynie, córki również wyjechały – dokończyła powoli. – Jedna do Londynu, druga do Brighton. Dom jest więc zupełnie pusty.

Posłał jej swój najlepiej wyćwiczony uśmiech.

– W takim razie mam nadzieję, że moja obecność okaże się dla pani rozrywką.

Nie odpowiedziała.

– Byłem w Londynie na początku sezonu. Miałem przyjemność spotkać się kilkakrotnie z pani synem.

– Może poruszacie się w tych samych kręgach.

Uniósł rękę.

– Och, za stary jestem, żeby krążyć po jego orbicie – odparł. – Ale czarujący z niego młody człowiek.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Co za przewrotne określenie – powiedziała cicho. – Jego czarująca natura sprawia, że coraz częściej staje się obiektem plotek.

– Zapewniam panią, że ja nie plotkuję – pośpieszył z odpowiedzią. – Zostawiam to innym. Wszyscy w Londynie wmawiają mi na przykład, że pragnę uwieść im żony.

– A pragnie pan?

– Mój Boże, ależ skąd. – Roześmiał się. – Tyle że kobiety dostarczają znacznie więcej rozrywki niż mężczyźni. Przynajmniej rozmawiają o czymś innym niż psy i konie.

– Cóż – mruknęła i utkwiała wzrok w trawniku. Sprawiała wrażenie bardzo samotnej, co wcale go nie dziwiło. Taki ogromny dom, a w nim ona jedna, z małą armią służby, jak się domyślał. Cóż może robić całymi dniami, zastanawiał się. Przechadzać się po ogrodach? Samotnie jadać kolacje? Wyglądała jak osoba, której zupełnie nic nie interesuje, jak wypchana lalka w pięknej sukience. Poznał już tysiące takich kobiet – pustych łodzi tonących w nadmiarze bogactw, kobiet, które mają piękne twarze, ale nic – zupełnie nic – do powiedzenia. Poczul ukłucie rozczarowania. Matka zapewniała go, że lady Cavendish będzie świetną towarzyszką.

– Przyjechałem tu przede wszystkim ze względu na państwa bibliotekę – wyjaśnił. – Jeżeli, oczywiście, nie sprawię tym kłopotu.

Znowu odwróciła do niego wzrok.

– Przeprowadzam swego rodzaju studium angielskich rodów arystokratycznych.

Poczynając od Tudorów, po epokę georgiańską.

– I Amerykanie są tym zainteresowani?

– Proszę sobie wyobrazić, że tak.

Wzruszyła ramionami.

– Jakież to niezwykle – mruknęła i nieznacznie skłoniła głowę w kierunku domu. – Mamy akry kwadratowe dokumentów, są nudne jak flaki z olejem – powiedziała. – Ród Cavendishów wywodzi się z mrocznych czasów. Nie zazdrozczę panu.

Mój Boże, pomyślał. Czy w ogóle istnieje coś, co cię obchodzi?

Tego wieczoru został ulokowany w pokoju gościnnym z oknami na wysadzaną brzoźmi aleją dojazdową. Kiedy zszedł na kolację, okazało się, że jest sam. Lady Cavendish była „nie w formie” i została w swoim pokoju.

Zarządzający służbą męską – wielce zabawny, jeśli John kiedykolwiek widział kogoś zabawnego – zachowywał kamienną twarz. Jaśnie pani często jada kolację w swoim pokoju, poinformował go, przekazuje jednak swoje przeprosiny. Siedzący u szczytu nakrytego formalnie stołu John próbował nakłonić Bradfielda do rozmowy. Jego wysiłki na nic się jednak nie zdały. Ani podczas zupy, ani drugiego dania Bradfield nie powiedział nic ciekawego. Kiedy zaś podano deser, podejrzliwy ton Bradfielda dał Johnowi uprzejmie do zrozumienia, żeby szedł w diabły. To nie była jego sprawa, odpowiadał Bradfield na ciekawskie pytania Johna, co panicz Harry robi w Londynie lub czy zamierza wkrótce pojawić się w domu. To nie była jego sprawa, czy lord Cavendish wróci w tym miesiącu z Paryża. W dodatku Bradfield nie miał zielonego pojęcia o niepokojącej sytuacji w monarchii austro-węgierskiej na kontynencie. Kiedy John zapytał go, czy wie, że dwa tygodnie wcześniej w Serbii zastrzelono jakiegoś arcyksięcia, a na pierwszej stronie pewnej londyńskiej gazety pojawił się nagłówek *Do diabła z Serbią*, i że brytyjscy ministrowie w Londynie piszcą niczym zarzynane kurczaki lub tak jak to porównanie brzmi w brytyjskim angielskim – padła sucha odpowiedź, że Bradfielda Serbia nie interesuje. Po czym, z lekko uniesioną brwią dodał, że wojna na Bałkanach trwa od roku 1912 i że najprawdopodobniej będzie trwała bez końca.

– I nie obawia się pan, że mógłby pan zostać w nią zaangażowany?

– Nie, proszę pana – odparł Bradfield, jakby pytanie było niedorzeczne.

John pomyślał o Principie – zabójcy Franciszka Ferdynanda i Zofii – chłopcu w wieku Harry’ego Cavendisha. Stał przed oczami obraz księżnej Zofii, rzucającej się na ciało męża i przyjmującej kulę w brzuch, i Franciszka Ferdynanda ostatnim tchem szepczącego, że ze względu na dzieci muszą żyć. Przyszło mu do głowy, że Brytyjczyków być może czeka szok – zostaną siłą wyszarpani ze swych wielkich majątków i oziębiałego życia, bo jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by lady Cavendish choć drgnęła, by zasłonić ręką oczy, a co dopiero oddać życie za męża. Brytyjscy arystokraci siedzieli w swych okazałych domostwach, odczytywali wyniki krykieta i narzekali na służbę. Gazetę brali do rąk tylko po to, by powachlować się nią w gorący dzień. Kiedy był w Londynie, czuł, że zbliża się coś groźnego – na horyzoncie gromadziły się czarne chmury. Tutaj jednak nie odnosiło się tego wrażenia. Cesarz Wilhelm, pomyślał sobie, nie mylił się, wygłaszając w 1908 roku znamienne słowa. Anglicy naprawdę byli „szaleni, szaleni i jeszcze raz szaleni”.

John pojął w końcu aluzję. Wciąż pod ścisłą obserwacją Bradfielda, którego dezaprobata stała się tak namacalna, że wręcz można by ją kroić, wstał, słysząc echo własnych kroków, przeszedł przez wielki hol i, zrezygnowany, położył się do łóżka.

Następnego ranka dalej nie było widać śladu Octavii Cavendish, udał się więc do gabinetu pana domu, a stamtąd do biblioteki. Przez chwilę stał bez ruchu i lustrował pomieszczenie. Wokół ścian, od sufitu do podłogi ciągnęły się półki. Duże drzwi balkonowe

prowadziły do oranżerii, skąd wychodziło się prosto do ogrodu. Przez otwarte okna wpadało ciepłe letnie powietrze o zapachu róż, a pokój upstrzony był słonecznymi cętkami. Powoli, nie odrywając wzroku od grzbietów książek, John ruszył wzdłuż półek. Stały na nich ogromne, prawie na metr wysokie tomy encyklopedii, oprawne w skórę atlasy ze złotymi tłoczonymi literami, dawne wydania Drydena i Pope'a, nieodłączne w każdym domu dzieła Szekspira, dziesiątki poukładanych według roczników, począwszy od roku 1750, ksiąg rozrachunkowych. Wyjął jedną ostrożnie, podszedł do długiego stołu bibliotecznego i otworzył.

Oto leżało przed nim jak na dłoni życie Cavendishów, ukazane poprzez ich wydatki na przestrzeni wieków. Większość pozycji stanowiły wpływy z obciążeń hipotecznych i dochody z majątku ziemskiego, ale notowano i wydatki typowo gospodarskie: cukier, dżem, gałka muszkatołowa, szafran, olejek migdałowy, nalewka z mirry... Zastanawiał się, po kiego diabła była im potrzebna mirra. Przecież służy do balsamowania zwłok? Wodził wzrokiem po cyfrach i kolumnach, strona po stronie. „Para mocnych butów, pięć szylingów” w 1775 roku – uśmiechnął się, ul, jeden pens, a potem: „dałam Fanny Thoms trzy szylingi za uszycie sukni”, zapisane pochyłym, damskim pismem w tym samym roku. Ładna to musiała być suknia, pomyślał sobie, jeśli była warta trzydzieści sześć uli.

Wśród wydatków znalazły się i zarobki służby: osób pracujących w przydomowej destylarni, praczek, dziewczek kuchennych, służących do wszystkiego, pokojówek i garderobianych. Oparł się plecami o krzesło i pomyślał o panu tego domu, wybierającym sobie kobiety spośród całej armii służących. Różniły się między sobą funkcją i przeznaczeniem. Czy poniżej godności dzentelmena było posiąść dziewczynę do wszystkiego? Czy mógł uwodzić tylko te, które miały wstęp na piętro? Zaśmiał się do siebie. A może wychodził z domu także do kobiet pracujących w polu, przy dojeniu i w mleczarni? A może do praczek, którym w 1761 roku płaciło się sześć pensów, albo do „kobiet do pielienia ogrodu”? Słyszał, że służące zatrudnione w wielkich domach były obiektami zalotów swych panów. Ciekawe, czy działo się tak i dziś? Co takiego William Cavendish robił w Paryżu? A co robił z tą wymizerowaną, smutną kobietą, swoją żoną, kiedy przebywał tutaj?

Przekartkował kilka lat: rachunki za pensje stangretów, zarządcy, nadzorcy sfory, pielęgniarki, niekończące się płatności za whisky, cydr, brandy i wino, za szparagi, nożyczki, mydła, powóz, kompas i psy myśliwskie, za mahoniową skrzynię, wielkie łoża i tureckie dywany, za kaczki i kurczęta, za siodlarzy i krawców. Na jednym z marginesów ktoś napisał: „Uczciwość nie dorównuje łajdactwu”. Zastanowił się nad znaczeniem tego zdania. Kto był łajdakiem? Handlarz, jaśnie pan, służąca czy żona?

Kiedy ze zmarszczonym czołem pochylał się nad księgą, otworzyły się drzwi. Na progu stała Octavia Cavendish.

– Ach, więc jest pan tutaj.

Podniósł się.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej? – zapytał. – Mamy piękny dzień. Spojrzała w kierunku drzwi balkonowych i podeszła do niego.

– To prawda. – Zbliżywszy się do stołu, zapytała: – Co pan ogląda?

– Ach, zajęły mnie ule i wytrzymałe buty – odparł z uśmiechem. – Pani przodkowie używali życia.

– Tak – mruknęła. – W tym są dobrzy.

Zlustrowała go od stóp do głów, aż poczuł się niezręcznie. Jej inspekcja trwała tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy dostatecznie wypolerował buty. Odsunął się o krok, by mogła zerknąć na księgę, i dzięki temu zyskał chwilę, by przyjrzeć jej się z bliska. Użył czasu przeszłego, mówiąc, że „używali życia”, tymczasem zauważył, że ona odpowiedziała w czasie

teraźniejszym – „W tym są dobrzy”. Dziś rano wyglądała na nieco bardziej ożywioną. A przynajmniej wypoczętą. Jej skóra była taka blada. Włosy miała zwinięte w coś w rodzaju luźnego koku. Nie kierowała się modą – gdyby chciała być na czasie, powinna obciąć masy ciemnych loków. Nie było w niej jednak żadnej maniery.

– Tak – odezwała się. – Tak. – Ruszyła wzdłuż ściany, podnosząc wzrok na górne półki. – Co konkretnie chciałby pan zobaczyć?

– W Stanach słyszałem o Beckforthach – rzekł. – Od człowieka nazwiskiem Morgan.

– A któż to taki?

– Obecnie przebywa w Egipcie. To bankier. Właściwie zajmuje się różnymi sprawami, ale ma dom w Chardze. Tam, gdzie świątynia Amona, wie pani? Pisał mi w liście, że nocami słyszy, jak wyją szakale. Stwierdził, że to prawie jak w banku.

Dowcip mu nie wyszedł. Burknęła tylko:

– Tak, ta moda na Egipt i tak dalej. Rozumiem. – Przerwała na chwilę zamyślona. – Był w Londynie? Sądzę, że William mógł go poznać w swoim klubie. Jakiś czas temu, kiedy William zasiadał w parlamencie. Czy on ma... – przerwała i wykonała dziwny ruch ręką przy twarzy – ...coś w rodzaju... jak by to nazwać...?

– Chodzi o nos? Tak, to on. Bywa czasem w Londynie – potwierdził John. – Często podróżuje.

– Słyszałam, że w Luksorze i Kairze można spotkać sporo Amerykanów.

– Tak – uśmiechnął się. – Jesteśmy wszędzie. Jak pchły.

Wreszcie – wreszcie – zaszczyliła go ledwo widocznym uśmiechem.

– I pan też jest pchłą?

– Niedługo zacznie się pani drapać. A może już pani zaczęła, od razu po moim przyjeździe?

– A czemuż to?

Gestem wskazał bibliotekę.

– Przez wieki nikt ich nie niepokoił – rzekł. – A ja wybieram, przebieram, strząsam kurz.

– Mój Boże. Proszę strząsać, nawet cały. Zasługują na to.

Zapadła chwila ciszy. Poczuł się tak, jakby wypłynął na nieznane wody. Na czarne, nieprzewidywalne wody.

– Pochodzi pani z hrabstwa York? – zapytał. – Z jakiegoś majątku po sąsiedzku?

– Nie. Jestem tu obca, panie Gould. Tak samo jak pan.

Usiadła przy stole, uważnie układając wokół siebie fałdy cienkiej kremowej sukienki. Miała na sobie koronkowy kołnierz w szpic, którego koniec zwisał jej na plecach prawie do samej talii. Już sama brukselska koronka była warta fortunę. Z nagłym zdziwieniem John stwierdził, że jej stopy są bosc. Uderzyło go nieoczekiwane zestawienie grubej, nieprześwitującej koronki z nagą skórą. Przez chwilę nie mógł uporać się z wrażeniem, jakie to na nim wywarło. Tymczasem Octavia Cavendish znowu zaczęła mówić.

– Należę do tych kobiet, z którymi się żeni, by mieć za co utrzymać dom – wyznała. – Zdarza im się czasem zadawać z bogatymi prostaczkami. Biorą nas, żeby zdobyć pieniądze na opłacenie służby.

Gapił się na nią zszokowany. Na jej szyi wykwitł ostry rumieniec, który natychmiast zakryła ręką.

– Cóż, mniemam... – zaczął. Ale nie wiedział, co powiedzieć. Jej słowa miały w sobie tyle gorczy.

Przerwał im lokaj, który z tacą w rękach pojawił się przy drzwiach.

– Czy mam podać kawę? – zapytał.

Siedzieli, a słońce pelzło powoli po ogrodzie za oknami. Ledwie dotknęła tacy z kawą. Próbował znaleźć jakiś nieszkodliwy temat.

– Pan też zamierza jechać do Egiptu? – zapytała w końcu.

– Tak.

– Jako gość tego pana, tego pana Morgana?

– Tak. To dla mnie bardzo inspirująca postać. Dzięki niemu zainteresowałem się historią.

– Ach, więc jest pan zainspirowany – mruknęła, jakby z zazdrością. – A czy ma pan rodzinę, żonę?

– Żadnej kobiecie nie narzuciłbym swojego sposobu życia.

– Dlaczego, a jakie pan prowadzi życie?

– Samolubne. Podróże, zainteresowania. – Wstał i podszedł do pierwszej półki, którą zobaczył po wejściu do pokoju. – Podobne do tego – rzekł. – Proszę spojrzeć. *Podróże w rejonie Chin, 1822.*

– Badania były wtedy sponsorowane – stwierdziła Octavia. – Ludziom płacono za eksplorowanie, wytyczanie dróg handlowych, sprowadzanie gatunków botanicznych. Mamy w ogrodzie drzewa przywiezione z Chin.

– Widzi pani, i to mi się właśnie podoba.

– Byli już wszędzie. Najczęściej na Karaibach. Nie wiem, co tam robili.

Spojrzał wokoło, a potem na nią.

– A pani rodzina?

Zaśmiała się krótko i miękko.

– My się zbrukaliśmy. Zostaliśmy na miejscu i wybudowaliśmy przędzalnię wełny. Prowadziliśmy je. Wciąż to robimy.

– Pani to robi?

– Moi zarządcy. Lub raczej, powinnam była powiedzieć, zarządcy mojego męża.

– I przez to... – przerwał, zastanawiając się, czy powinien to mówić. – Proszę mi wybaczyć te słowa, ale czy to przez to uważa się pani za prostytutkę?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na swe nagie stopy.

– Chyba nie powinienem był tego mówić – wymamrotał – ale zapewne sama pani wie, że ci cali Beckforthowie też wywodzą się od prostaków. Pierwszy z nich trudnił się na przykład chwytaniem dzikich koni i tak dalej.

Podniosła na niego wzrok.

– Czym?

– Ten pierwszy pułkownik, który dotarł na Jamajkę, pędząc przed sobą trzech niewolników. Pływał po morzach. Bóg jeden wie, może ukradł tych niewolników. Nie mógł jednak znaleźć pracy, więc sprzedał się jako łowca koni. – Zobaczył uśmiech na twarzy Octavii.

– Schwytał zapewne wiele koni. Zrobili go więc gubernatorem. To wszystko jest w bibliotece w Oksfordzie. Prawnik umieścił tam jego wspomnienia.

– Należeli do najbogatszych ludzi na Karaibach – zaprotestowała. – A prawnik zbudował bardzo znany dom w Anglii. Zbierał dzieła sztuki. Jego ojciec był burmistrzem Londynu.

– Mówi pani o tym samym, który miał czternaścioro nieślubnych dzieci z dwiema kochankami?

Odwróciła od niego spojrzenie i odepchnęła filiżankę po kawie.

– Te dzieci zaczęły zawierać naprawdę korzystne związki małżeńskie – ciągnął, za wszelką cenę pragnąc znowu wywołać jej uśmiech. – Była córka, która wyszła za księcia, potem ten kolekcjoner dzieł sztuki – tak, on był naprawdę w porządku. Zaludnił swój dom małymi chłopcami, którym kazał nosić szarawary. I uwiódł żonę kuzyna. Lecz nic w tym właściwie

dziwnego, bo jej mąż nie zajmował się niczym konkretnym – polecił tylko wybudować wokół swego domu mur długości dziesięciu mil i strzelał do wszystkiego. Ten sam kuzyn przywiózł z Włoch chłopca i trzymał go u siebie w domu, aż chłopiec skończył osiemnaście lat i uciekł do Francji, gdzie pewnego dnia postradał zmysły i zamordował włoską księżną tylko za to, że była w zielonej sukience. No i jego żona – ta sama, którą uwiódł kolekcjoner, ten od szarawarów. Jej matka odeszła od ojca, a siostra zadała się ze stangretem, ale dopiero wtedy, kiedy jej mąż wpuścił do domu nagrodzone śwynie, pozwolił im leżeć na sofach i co noc otulał je kocami...

W końcu się roześmiała.

– To nieprawda – powiedziała.

Wskazał gestem bibliotekę.

– Gdzieś muszę to znaleźć. Chciałaby pani, abym poszukał listów rodzinnych?

– Nie, nie – zaprotestowała.

– No, i jeszcze jest Jamajka – dodał John. – Uważa pani, że jej rodzina zbrukała sobie ręce przędzalnią wełny? Czytała pani coś z tej biblioteki? Tam stoi kilka tomów, proszę. O życiu niewolników. Bunt z roku tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego. Wybijali ich na najprzeróżniejsze sposoby. Mówili, że to nie ludzie. I robili to. Właściciele plantacji, oczywiście. To oni sami nie byli ludźmi.

Usiadł z powrotem na krześle. Na jej twarzy malowało się rozbawienie pomieszane z przerażeniem. Zmarszczyła czoło.

– Przepraszam – szepnął. – Nie powinienem być. Nie miałem prawa.

– Ta część rodziny, rodzina Williama – zaczęła powoli – to byli ludzie, którzy nie chcieli niewolnictwa.

– Doceniam to – odparł.

– Nie, wcale pan nie docenia – zaprzeczyła. – Ojciec Williama był niezwykle porządnym człowiekiem. Otrzymał ten dom, ponieważ nie chciał przejąć interesów rodziny. Tamtych interesów. I ponieważ nie zasiadał w parlamencie.

– Bardzo mi przykro, ale muszę panią poprawić – powiedział John. – Pieniądze na zakup tego majątku pochodziły właśnie z Jamajki, z nędzy tamtych ludzi. – Wytrzymała jego spojrzenie. – Ale kimże jestem, by panią pouczać? – zastanowił się. – Mój ojciec zarabiał, bijąc do nieprzytomności strajkujących robotników. A mój powszechnie szanowany kuzyn Jay też miał brudny charakter, jak mówią. – Przepraszająco rozłożył ręce.

Wstała powoli.

– Panie Gould – rzekła. – Ma pan wgląd we wszystkie księgi, które się tu znajdują, o ile William dał panu na to pozwolenie. – Podeszła do drzwi i odwróciła się gwałtownie. – Ale myślę, że obrażanie tej rodziny to jak cios poniżej pasa. Mimo tego wszystkiego, co zdarzyło się w tym roku, jestem z tego domu dumna.

I, zanim zdążył odpowiedzieć, odeszła.

Pozostawiając za sobą to ostatnie zdanie, które kołatało mu się w głowie aż do wieczora.

Mimo tego wszystkiego, co zdarzyło się w tym roku.

Dwieście mil na południe, w Londynie, Harry stał przed kościołem Świętego Marcina wśród Pól i gapił się na Trafalgar Square. Przyszedł z teatru Gaiety ulicą Strand i patrzył teraz na kolumnę Nelsona, skąpaną w południowym słońcu, czarną od wieloletnich pokładów sadzy. Czekał na spotkanie z ojcem.

Stał z rękami w kieszeniach, z melonikiem zsuniętym na tył głowy, a w jego butonierce tkwił słonecznik. Omal nie kupił sobie do kompletu kamizelki w kratkę. Jeśli tani strój nie spowoduje u ojca nagłego wzrostu ciśnienia, to chyba nic nie potrafi tego dokonać. Harry nie potrzebował bukmacherskiej kamizelki, by doświadczyć furii ojca, która uchodziła z niego

każdym porem ciała na podobieństwo potu.

Pomyślał ponuro, że byłoby całkiem zabawnie, gdyby ojciec stracił mu ten kapelusz z głowy. Z chęcią wdałby się ze starszkiem w bójkę na pięści. Był pewien swojej przewagi, w końcu przez ostatnie miesiące nabrał sporo wprawy. Oddałby wszystko za widok cylindra lorda Williama toczącego się po brudnej ziemi, wpadającego pod koła omnibusu, a potem jednego z wozów dostawczych, których wiele krążyło wokół placu, mijając hałaśliwe autobusy z krzykliwymi reklamami na zewnętrznych stopniach.

William miał tu przybyć z Giełdy Królewskiej. Zawiadomił o tym syna poprzedniego dnia w liście, nadanym z klubu. „Do jedenastej jestem zajęty w parlamencie, a potem będę na Gieldzie”, napisał, po czym niejasno napomknął, że tematem ich rozmowy będą pieniądze. Bez wątpienia starszek miał na myśli długi. Jego długi. W odpowiedzi Harry zaproponował spotkanie na ulicy, gdyż dobrze wiedział, że ojciec uzna to za uwłaczające swojej godności. Cóż. Jeśli nie przyjdzie, to co z tego? I tak wątpił, że spojrzy starszkowi w twarz – tak silną odczuwał wobec niego pogardę. Od kilku miesięcy nawet nie spozrzał na tego kłamcę i drania.

A całą historię rozpętała Charlotte, nie kto inny.

Wyjazd do Londynu tamtego marcowego dnia spowodowany był kaprysem – takim samym jak ten, który prowadzi syna do domu, do matki, z prośbą o pożyczkę. Pamiętał, że czuł się wtedy fatalnie – nie spał, sprzed oczu nie znikala mu twarz Emily, i prawdopodobnie był cały dzień pijany. Od Bożego Narodzenia starał się wprawić swoje życie w ruch, nadać mu więcej wigoru, wypełnić je czymś, co obudzi w nim gorącą krew. Teraz, w konsekwencji, czuł się zmęczony – miał spowolniony refleks, niezdarne ręce, głowę wypełnioną szlamem. Tracił dni Bóg jeden wie na czym – po prostu na niczym. Na niczym. Na kobietach, na sporcie. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Louise w sukni na galę prezentacyjną, omal się nie rozplakał. Wyglądała tak czysto, tak dziewiczo. Jej ożywionej, jasnej twarzy nie zaprzatała żadna troska. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio sam czuł się równie czysty. Bywały dni, kiedy ciężar Emily ciążył mu u szyi i kiedy nawiedzał go straszliwy widok jej twarzy z tamtej grudniowej nocy. Była to twarz, na której malowało się potworne poniżenie. Próbował zmazać ten obraz, zając się czymś, więc szalał, wdawał się w bójki i uprawiał hazard. Wszystko układało się dobrze. Świetnie. W gruncie rzeczy porządny był z niego gość. Powaliliby na ziemię każdego, kto śmiałby wyrazić przeciwną opinię.

Ledwie tego dnia zdążył stanąć w drzwiach – lokaj sprawiał wrażenie, jakby ktoś umarł – kiedy zobaczył swą najmłodszą siostrę na schodach. Najpierw stawiała stopę na górnym stopniu, by po chwili, w tylko sobie znanym tańcu niezdecydowania, zestawić ją z powrotem na dolny.

Rzucił do niej swój kapelusz.

– Co tak skaczesz? – zapytał z uśmiechem. – Na górę albo na dół, zdecyduj się.

Charlotte przyłożyła palec do ust i ruchem głowy wskazała na salon.

– Mama i tata – wyszeptała z trwogą.

Zamarł w bezruchu i nasłuchiwał. Dochodziły do niego podniesione głosy, zwłaszcza ojca, ale nie mógł rozróżnić słów.

– O co chodzi?

Charlotte nie spuszczała z niego wzroku.

– Gdzie byłeś?

– A, kręciłem się tu i tam.

– Była straszna kłótnia.

– O co?

– Nie wiem – wyznała przerażona. – Ktoś tu przyszedł wczoraj wieczorem. Ojciec wrócił do domu i...

– I co?

– Był tu jakiś pan.

Na twarz Harry'ego powoli wypełził uśmiech.

– Brzmi interesująco – powiedział i ruszył prosto do salonu, ignorując nawoływania Charlotte, by zawrócił.

Kiedy otworzył drzwi, William stał przy kominku, w którym płonął ogień. W pokoju spowitym w szary mrok było to jedyne źródło światła – lamp nie zapalono. Lodowaty, marcowy dzień zdawał się wpełzać do pokoju mimo ciepłego blasku z paleniska.

Ojciec nie od razu go zauważył. Harry usłyszał tylko strzępek jego słów:

– ...koniecznością.

Octavia stała przy oknie. Ku zdziwieniu Harry'ego szlochała. Chłopak nigdy nie widział matki płaczącej. Śmiać się, owszem, ocierać oczy po wysłuchaniu jakiejś absurdalnej historii, jak najbardziej, ale płakać? Nigdy. Dopadł do niej kilkoma krokami.

– Mamo! Co się stało?

Octavia jakby w przelocie wzięła go za rękę i niezdecydowanym – ni to błagalnym, ni to powściągliwym – gestem próbowała pogłodzić po ramieniu. Harry odwrócił się do ojca.

– Co się dzieje? – zapytał.

Udzielenie odpowiedzi zajęło Williamowi dużo czasu. Wreszcie powiedział:

– Chodź tu i siadaj. Obok matki.

Octavia pociągnęła syna na kanapę. William stał dalej. Później, kiedy Harry odtwarzał sobie tę scenę w pamięci, była to jedna z rzeczy, których nie mógł mu wybaczyć: że ojciec stał nad nimi w postawie pełnej wyższości, patriarcha w każdym calu, wielki autorytet, podczas gdy oni musieli siedzieć i z dołu podnosić na niego wzrok. Mógł usiąść naprzeciwko. Albo chociaż schylić się, zniżyć do ich poziomu.

– Mam pewne informacje – zaczął William powoli – którymi miałem nadzieję nigdy się z tobą nie dzielić.

Siedząca z boku Harry'ego Octavia wydała ciężkie westchnienie, które mogło oznaczać niesmak.

– Chodzi o Louise? – zapytał Harry. – Gdzie ona jest?

William lekceważąco machnął ręką.

– Nie, to nie dotyczy Louisy.

Zaintrygowany Harry spoglądał to na ojca, to na matkę. Matka odwróciła wzrok, zapatrzyła się w ogień.

– Mam syna – powiedział powoli William. – To znaczy, innego syna. Jest obywatelem Francji.

– Francji...? – Harry uśmiechnął się bezwiednie. To było niedorzeczne.

– Nazywa się Charles de Montfort. Jego matką jest Hélène de Montfort. Odwiedził nas tutaj wczoraj.

Harry siedział przez chwilę w milczeniu wpatrzony w ojca. Próbował poukładać to sobie w głowie. Hélène de Montfort dość często przyjeżdżała do Rutherford, była jakąś daleką krewną w wieku ojca. Może trochę młodszą. Bardzo francuska, co zresztą wciąż podkreślała. Wtrącała wszędzie francuskie zwroty i nazwy. Ta okropna kobieta?

– Była na święta w Rutherford – wycedził.

– Tak.

– Przy naszym stole. W naszym domu. – W przedłużającej się ciszy Harry powoli podniósł się na nogi. – Ile lat ma ten... ten Charlie?

– W tym miesiącu kończy dwadzieścia jeden.

Harry spojrział na matkę. Lata temu mówiła mu, że urodził się w rok po jej ślubie z Williamem. Miał teraz dziewiętnaście lat. A więc...

Ojciec, jakby czytał w jego myślach, powiedział:

– Charles urodził się w Paryżu na rok przed moim ślubem z twoją matką.

– W Paryżu – powtórzył Harry, po czym zacisnął pięści. I nie byliście... – z trudem znajdował słowa – nie byliście małżeństwem...

– Nigdy nie rozważałem tej możliwości – rzekł William.

– Czemu?

– Była za biedna – odparła gorzko Octavia.

Harry odwrócił się do niej zdumiony.

– To nieprawda – zaprzeczył William. – Hélène nie należała do osób... Nie byłem pewien...

– Czego? – Harry domagał się wyjaśnień.

Na twarzy Williama pojawił się wyraz zażenowania i obrzydzenia.

– Madame de Montfort miała wielu znajomych.

Ku przerażeniu Harry'ego matka wybuchnęła śmiechem. W tych okolicznościach, brzmiał on okropnie. Ojciec wreszcie oblał się rumieńcem, jeżeli pałowa plama, stopniowo wpełzająca mu na twarz, rzeczywiście była rumieńcem. Gniewu czy wstydu – trudno powiedzieć.

– O, tak, bardzo wielu znajomych – wtrąciła Octavia. – Prócz tego, że oczekiwała, iż będziemy zwracać się do niej *madame*, zawsze próbowała wyrzucić na nas wrażenie, że cieszy się powszechnym uwielbieniem, o ile dobrze pamiętam. A raczej – na mnie. – Octavia wzdygnęła się. – Madame de Montfort, która nie była żadną *madame*, ale za to jak skandalicznie się zachowywała. Jaka przez to wydawała się fascynująca! Ile się o niej mówiło! Tylko nikt nigdy nie wiedział, czy to prawda...

– Wątpię, żeby to była prawda – stwierdził William.

Octavia utkwiała w mężu ostre, pogardliwe spojrzenie.

– A ty miałaś szansę się o tym przekonać, jak przypuszczam? – zapytała. – Że prowadziła się idealnie? Na przekór wszystkiemu, co o niej mówiono?

– Tylko mówiono. Zresztą, i ona sama mówiła, i inni mówili.

– Bronisz jej, nawet teraz – syknęła Octavia i mocno przygryzła wargę. William nie odpowiedział. Octavia zerknęła na Harry'ego.

– Miała protektora – powiedziała synowi. – Tyle wiem. Tyle mi powiedziano – dodała, zerkając na Williama. – Słyszałam pogłoski, że jej protektor miał dom w Bergerac. Posiadłość. Przepadła więc i nic o niej nie słyszeliśmy, a kiedy się znowu pojawiła, podobno ten człowiek popełnił samobójstwo.

Harry przeniósł spojrzenie na ojca.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Ponieważ odkrył, że ona ma syna – wyjaśniła Octavia. Zaczęła znowu płakać, zupełnie bezgłośnie.

– Mój Boże – wyszeptał Harry. – Kiedy to się działo?

– W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim lub czwartym – odparła Octavia.

– I już wtedy o tym wiedziałas? Od ludzi?

– Słyszałam plotki. Krążyły pogłoski, że ma dziecko. Ale nigdy nie przypuszczałam, że...

– Urwała, po czym wyprostowała ramiona. – Mnie w każdym razie nigdy nie wspomniała o dziecku – dodała.

Harry wyszedł na środek pokoju i odwrócił się w stronę Williama.

– Miała z tobą syna, ale ukrywała to w nadziei, że... co? Wyjdzie za tamtego człowieka?
On się dowiedział i...

– To tylko pogłoski. Nie mam pojęcia, jak było naprawdę.

– Ale dlaczego w takim razie z nią się nie ożeniłeś?

– To nie twoja sprawa.

– Twierdzą z pełnym przekonaniem, że moja – sprzeciwił się Harry. – Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, dlaczego odrzuciłeś syna. W zasadzie mogę powiedzieć, że jestem tym głęboko zainteresowany.

– Nie było to przedmiotem dyskusji!

– Bękart! Nie był przedmiotem dyskusji!

Twarz Williama zastygła.

– Przypominam ci, że rozmowa odbywa się w obecności twojej matki. Zastanów się, zanim użyjesz tego rodzaju słownictwa.

Zdziwiony Harry roześmiał się głośno, po czym wziął głęboki oddech.

– Najmocniej przepraszam – rzekł z wyrazistą przesadą.

William patrzył na niego złowrogo.

– To nie był... żaden skandal – jeśli tak wolisz, jeśli to masz na myśli – w Paryżu. Takie były czasy. Takie było społeczeństwo. A Hélène nie chciała tu mieszkać. Nie przyjęłaby mnie. Ja sam nigdy nie miałem pewności... pewności, że chłopak jest moim synem. Ale ona twierdziła, że jest.

– Prosiłeś, by za ciebie wyszła?

– Nigdy by mnie nie przyjęła. Nie chciała takiego życia.

– Ale ty... – skronie Harry'ego oblały się czerwienią – z jakiegoś powodu wróciłeś do domu. Ożeniłeś się z mamą i nigdy jej nie powiedziałeś o romansie – mówił, spoglądając to na jedno, to na drugie. – To haniebne.

– Harry – mruknęła Octavia. – Oceniasz sytuację, o której nie masz pojęcia.

Usłyszał żal w jej głosie i spojrzał na nią.

– A co tu jeszcze trzeba wiedzieć – spytał – poza tym, co już słyszałem? – Odwrócił się i powiedział prawie do siebie: – Często tu bywała. Pamiętam, że nawet kiedy byłem mały. Grała raz ze mną w bule, na trawniku w Rutherford. Nauczyła mnie, a ja... pokazałem jej, jak się gra w krykieta, kiedy sam się uczyłem... – dokończył cicho. Kochanka jego ojca bywała u nich w domu, przyglądała mu się. Mimo że miała własnego syna, gdzieś w ukryciu. Syna jego ojca. Jego przyrodniego brata.

Spojrzał na Williama.

– Utrzymałaś to w tajemnicy – rzekł – przez tyle cholernych lat.

William zeszywniał.

– Nie zamierzam...

– Ale przyjeżdżała do naszego domu! – wykrzyknął Harry. – I tu, i do Rutherford. Siedziała, jadła nasze jedzenie i rządziła naszą cholerną służbą...

– Cicho bądź – William próbował przerwać.

– Cicho bądź! – powtórzył Harry. – Tak się zachowuje dżentelmen? Ma być cicho w takiej sprawie?

– Nie sądzę, abyś miał wiele do powiedzenia, jeśli chodzi o zachowanie godne dżentelmena – wypalił William.

– Słucham? – krzyknął Harry. – Co takiego?

– Harry – ostrzegła Octavia.

– Co to znaczy, ojczyste? – wrzasnął chłopak. – Ja tu jakoś zawiniłem?

– Zachowałeś się... – zaczął William, ale zdał sobie wreszcie sprawę z niestosowności swojego argumentu dotyczącego rozrzutnych wydatków syna. Wycofał się, gdy tymczasem Harry znowu przystąpił do natarcia.

– Zechcesz udzielić mi lekcji, ojcze? – pytał natarczywie. – Może na temat pewnego rodzaju kobiet? Wydawania na nie pieniędzy? A może stawiania na wyścigach? Co? Proszę, odpowiedz.

– Proszę was... – szepnęła Octavia, ale nikt jej nie słyszał.

Na twarzy Harry'ego malowała się wściekłość.

– A ten... syn... przyjechał tu wczoraj po co? – ciągnął mono tonie. – Coś powiedzieć? Zapytać o coś? Coś zrobić?

– Więcej się tu nie pojawi – oświadczył William.

Prawie w tej samej sekundzie odezwała się Octavia:

– Przyjechał po pieniądze. Po swoją część majątku, która, jak uważa, mu się należy.

A twój ojciec mu odmówił.

– Czegóż innego byś po mnie oczekiwała?

Octavia spojrzała na męża bez emocji.

– A co miał na myśli, mówiąc do ciebie to, co powiedział, wychodząc?

– Co takiego? – dopytywał się Harry. – Co powiedział?

Matka zerknęła na niego.

– Że dopilnuje, by ojciec zrozumiał, co znaczy zostać doprowadzonym do ruiny.

William prychnął szyderczo.

– Chłopak ma po matce umiejętność dramatyzowania – rzekł. – Nie doprowadziłem go do ruiny, zresztą jej też nie. Wokół ma mnóstwo chętnych, by ją wesprzeć.

Ani Harry, ani Octavia nie odpowiedzieli. Octavia spuściła wzrok. William dostrzegł jej niepokój i na chwilę porzucił postawę pełną sztywnego dostojeństwa. Pochylił się w stronę żony, wyciągnął rękę i zaczął:

– Najdroższa...

Odsunęła się od niego i podniosła oczy na syna.

– Hélène przyjechała do Rutherford na święta, żeby domagać się pieniędzy dla Charles'a. Ojciec jej odmówił. Wysłała więc syna... ich syna... do mnie.

Ręka Williama opadła. Harry podszedł do ojca i zatrzymał się, dopiero kiedy znalazł się parę centymetrów przed jego twarzą.

– Naraziłeś moją matkę na takie poniżenie – rzekł.

– Nigdy nie było to moim zamiarem.

Na Harrym jego słowa nie wywarły wrażenia. Zachował się tak, jakby wcale nie padły.

– Naraziłeś moją matkę na takie poniżenie – powtórzył. – Nie mówię już o oszustwie, jakiego się dopuściłeś.

Odwrócił się, podszedł do sofy i wziął matkę za rękę.

Harry dostrzegł taksówkę, która zatrzymała się na skrzyżowaniu ulicy Strand i placu. Wsiadł z niej mężczyzna, zapłacił za przejazd i rozglądał się, osłoniwszy oczy od słońca.

Miał na sobie cylinder, w porządku. Ostatni mężczyzna w Londynie, o ile Harry się orientował, który w biały dzień wkładał cylinder. Przyglądał się ojcu obojętnie, dopóki ten nie zauważył go i nie podniósł ręki.

Począł czekać, aż ojciec się zbliży. Gdy podchodził, Harry miał okazję zauważyć, że krok i postawa Williama zmieniły się. Było w nich widać jakieś wahanie. Może się denerwuje, pomyślał Harry z satysfakcją.

William zrównał się z synem. Wyciągnął rękę. Harry uściśnął ją niechętnie po dłuższej

chwili namysłu. Jeśli ojciec miał prywatne zdanie na temat stroju Harry'ego, nie wyraził go. Zamiast tego uśmiechnął się krótko, uprzejmie.

– Jesteś głodny? – spytał.

– Nie bardzo.

– Zajrzemy do Brown's?

– Wszystko mi jedno.

William rzucił synowi podejrzliwe spojrzenie, po czym lekko machnął ręką w kierunku Brown's. Harry, po dłuższym zastanowieniu, ruszył za nim.

Tego popołudnia w Rutherford Octavia rozmyślała o tym samym wieczorze, który wspominał Harry.

Była sama w sypialni. Leżała, patrząc na długie tiulowe zasłony, poruszane delikatnym wiatrem w otwartym oknie. Zasnęła, ale ze snu wytrąciło ją jego gwałtowne zakończenie. Przysniła jej się zeszłoroczna wystawa fotografii Pontinga. Przyglądała się jego zdjęciom z wyprawy Scotta, a żałoba narodowa w galerii była wręcz namacalna. Krajobrazy Antarktydy budziły w niej mieszane uczucia – były przepiękne, ale – bezmiernie smutne. Sceny, które nie wymagały komentarzy. Usiadła na łóżku. Przenikały ją chłód i samotność, panujące we śnie. Przyłożyła ręce do oczu.

Zsunęła nogi z łóżka, podeszła do okna i skierowała twarz do słońca. Była świadoma, co oznaczał ten sen – w jej życiu otworzyła się wielka lodowa otchłań. Westchnęła i pomyślała, że pora wziąć się w garść. Czyż nie to powiedziała jej ojciec? Musisz wziąć się w garść, Octavio. Przez sekundę czuła na ramieniu uścisk jego ręki, a na twarzy – przesycony cygarem oddech. Czemu płaczesz, do diabła? Otrząśnij się. Stań prosto. Mój Boże, ojciec. Ze wszystkich wspomnień życia, które życzyłaby sobie w tej chwili przywołać, wspomnienie ojca było ostatnim. Ojca i jego egoistycznych przestróg, które mimo upływu lat wciąż rozbrzmiewały w jej uszach.

Z drugiej strony wiedziała, że musi spróbować wyrwać się z letargu, w który tak łatwo zapadła. Groziło jej całkowite pochłonięcie przez depresję i należało stawić temu opór. Wciąż na nowo odgrywała w głowie scenę z Williamem i Harrym. I wracała do rozmowy z Hetty de Ray.

Hetty nie pomstowała na Williama. Nawet nie wydawała się zdziwiona. Siedziała i spokojnie słuchała Octavii, której wyjąkanie prawdy przyszło z trudem.

– Przecież na pewno mnie rozumiesz – wymamrotała Octavia.

– Masz na myśli mojego własnego, pocziwego męża i jego włoską menażerię? – stwierdziła Hetty. – Ach, moja droga, oczywiście, że to doprowadza człowieka do szału. Ale co można poradzić?

Octavia przygryzła wargę, by się nie rozplakać.

– Ale William... – szepnęła. – Nigdy bym się tego po nim nie spodziewała.

Hetty uśmiechnęła się smutno.

– Chodzi ci o to, że jest powszechnie szanowany? – zapytała. – Kochana, tacy są właśnie najgorsi.

– I to z taką kobietą!

– Cóż – odparła spokojnie Hetty. – A jakiej innej można było się spodziewać? –

Z pogardą wzruszyła ramionami. – Powinnaś dziękować Bogu, że to właśnie ona. Wyobraź sobie, że chodzi o jakąś młodziutką ślicznotkę z dobrej rodziny, która szaleńczo się w nim zakochała. Nie uważasz, że to byłoby gorsze? – Pokiwała głową. – I dobrze się składa, że Héléne i tak ma złą reputację.

Octavia potrząsnęła głową.

– Nie dzielę twojego optymizmu. Nie widzę w tym nic zabawnego.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że ja widzę.

Przed oknami salonu Hetty przesuwał się ruch uliczny i Octavię nagle, ni stąd, ni zowąd, ogarnął wstręt do tego miasta. Ogarnęła ją klaustrofobiczna chęć, by zerwać się i na oślepieybiec z pomieszczenia. Hetty musiała zauważyć zmianę na jej twarzy, bo wstała, podeszła do kanapy, na której siedziała Octavia, usiadła obok i wzięła ją za rękę.

– Wiesz, co jest najgorsze? To, że wszyscy dookoła wiedzą – wyszeptała Octavia. – Wszyscy znajomi. Kiedy wychodzę z Louisą, czuję na sobie ich spojrzenia. Może wiedzieli od dawna. Może wszyscy wiedzieli, a ja się cały czas ośmieszałam.

Hetty uciszyła ją syknięciem.

– Powinnaś natychmiast wybić sobie tego typu myśli z głowy – rzekła. – Moja droga, chlubię się wybitną umiejętnością zbierania wszelkich plotek, ale muszę ci wyznać, że nigdy nie słyszałam ani słowa o Williamie i Hélène de Montfort.

– To mogło ciągnąć się latami – westchnęła Octavia. – Po prostu nie wiem. I nie mogę się zmusić, by zapytać Williama. – Podniosła wzrok na Hetty. – Tak naprawdę nie mogę się nawet zmusić, żeby się do niego odezwać lub nawet przebywać z nim w tym samym pokoju.

Hetty pokiwała głową.

– Oczywiście, że nie możesz.

– A on niemal zaraz wyjeżdża do Paryża.

– Po co?

– Ma jakieś sprawy w ambasadzie.

– I myślisz, że po to, aby spotkać się z tą kobietą?

Octavia skinęła głową.

– Tak podejrzewam. Nie zniosę dłużej tego sezonu – mruknęła. – Chce mi się krzyczeć. Nie mam cierpliwości do Louisy, wszystko jej popsuję, jestem pewna.

Obie kobiety przez chwilę siedziały w ciszy. Potem Hetty zadzwoniła, by podano herbatę. Dopóki jej nie przyniesiono, w salonie panowało milczenie. Kiedy pokojówka w końcu zostawiła je same, Hetty zwróciła się do Octavii:

– Jeśli nie możesz tego dłużej znieść, wróć do Rutherford – poradziła.

Octavia rzuciła jej zdumione spojrzenie.

– Mam wyjechać z Londynu?

– Sądzę, że powinnaś – powiedziała Hetty zdecydowanym tonem. – Najdroższa, wyglądasz jak z krzyża zdjęta. Ludzie do tej pory o tobie nie mówili, ale na pewno niedługo zaczną, jeśli będą cię widzieć w tym stanie. Zostaw Louisę ze mną i Florence. Jedź do domu, odzyskaj siły. Nie czekaj, aż William wróci, niech to on ciebie szuka. – Pochyliła się do przodu i uśmiechnęła konspiracyjnie. – I domagaj się słonej zapłaty za ten młodzieńczy wybryk. Przynajmniej miesiąc w Monte Carlo, a jak nie, to okazała biżuteria.

Wspominając tę rozmowę, Octavia uśmiechnęła się do siebie. Hetty wiedziała oczywiście, że sprawa jest znacznie poważniejsza niż młodzieńczy wybryk. Ale cokolwiek by o niej mówić, Hetty była wzorem hartu ducha.

– Musisz zachować godność – powiedziała jej na pożegnanie – i być ponad to.

Octavia postąpiła tak, jak poradziła jej przyjaciółka. Pozostawiwszy Louisę pod opieką Hetty, wróciła do Rutherford. Wróciła z postanowieniem, by nabrać dystansu do całej sprawy. Nie było to jednak takie proste. Wystarczyło, że wyobrazi sobie Williama w objęciach Hélène, by natychmiast pogrążyć się w czarnej rozpacz.

Zazdrościła Johnowi Gouldowi. Zazdrościła mu swobodnego przemieszczania się z miejsca na miejsce, realizowania swych pasji, braku zobowiązań wobec kogokolwiek. Zazdrościła mu cudownej umiejętności strząsania prochu z nóg, zazdrościła mu dobrego humoru.

Wydawał jej się tak świeży, jakby właśnie wyskoczył z pudła na kapelusze – lśniący i nowiutki. Jego oddech niósł w sobie nowe życie, a na jego twarzy malowało się zainteresowanie.

I wtedy ją olśniło: był lustrzanym odbiciem jej samej sprzed dwudziestu lat. Stanowił obraz tego, kim i ona mogła się stać w innym, równoległym świecie. To ona, gdyby była mężczyzną, wiodłaby takie życie. Swobodnie podróżowała, zawierała przyjaźnie, dokonywała odkryć. Mogła, jak on obracać kapelusz w promieniach słońca i szeroko uśmiechać się na myśl o absurdach angielskiej historii i takich rodów, w jakim była uwięziona.

Uwięziona... Wyprostowała się i cofnęła od okna.

Potrząsając głową, jakby chciała opróżnić ją z własnych myśli, zadzwoniła po Amelie.

Następnego dnia rano Mary Richards trzymała w ręku list i wnik liwie przyglądała się charakterowi pisma, którym został zaadresowany.

Pan Bradfield wpatrywał się w nią ze swym zwykłym nieodgadnionym wyrazem twarzy. Trwało śniadanie dla służby. Mary siedziała przy stole, nie tknąwszy nawet swojej porcji chleba ani herbaty.

– Po prostu go otwórz – zachęciła ją pani Carlisle. Nikt nie spuszczał z niej oka. Gdzieś głęboko w duszy dziewczyny zadźwięczała ponura nuta, zaczęła stopniowo się nasilać, aż wreszcie przeszła w nieustające bębnienie czystego strachu. Mary otworzyła kopertę i wyjęła z niej pojedynczą kartkę. Dostrzegła napisany na górze adres. Plebania Blessington. Jej wzrok padł na pierwsze słowa i bębnienie zmieniło się w ogłuszający huk, od którego zabrakło jej powietrza, a kuchnia zawirowała przed oczami.

Mary, podobnie jak Emily, była dziewczyną z przedziałni.

Według kucharki przez lady Octavię przemawiała chrześcijańska życzliwość. Większość dziewcząt była jej bardzo wdzięczna, ale Mary – nie. Nosila w sobie niechęć, nikomu jej wprawdzie nie zdradzając, ale cały czas podsycając. Często podczas wspólnej modlitwy domowników rozmyślała o tym, że prawdopodobnie w ogóle nie jest chrześcijanką, ale z drugiej strony, czy to jej wina, że zabląkała się i odeszła z owczarni?

Z diabłem miała okazję zapoznać się we wczesnym dzieciństwie. Był nadzorcą i kręcił się między piekielnie turkoczącymi krosnami. Mary wiedziała, że jeśli kiedykolwiek będzie miała okazję osobiście spotkać się z lady Octavią – na przykład jeśli któregoś ranka spotka ją na schodach tak jak biedna mała Emily – to może się zdarzyć, że wyrwie z niej tę chrześcijańską duszę i zawlecze ją przez wrzosowisko na spotkanie z diabłem wcielonym. Mimo wszystko próbowała zachowywać się właściwie. I to nie ze względu na surowe prezbiteriańskie przestrogi pani Jocelyn o potępieniu – przecież coś takiego nie mogło jej dotknąć – ale żeby nie stracić pracy. Utrata pracy oznaczałaby bowiem, że musi wrócić. Czyli znowu zstąpić do Hadesu.

Czasami w nocy leżała bezsennie i czuła w piersi ciasny, zwarty węzeł – jakby połknęła kamień. Nie chodziło o zazdrość. Nie zazdrościła lady Octavii apatii, która biła z niej tego lata, nie pragnęła też być podobna do Louisy. Widziała, że są na swój sposób ograniczone – schwyte w sieć, podobnie zresztą jak ona sama, zmuszone zachowywać się w ten, a nie inny sposób, że nie mają wolności, by się wyłamać. Nie, przyczyna uformowania się tego węzła była zupełnie inna – przede wszystkim żal i gniew na to, co spotkało Emily, potworne zmęczenie i zażarte pragnienie, by coś zrobić, pozostawić po sobie jakiś ślad. Pragnęła być gdzie indziej i pragnieniu temu towarzyszyła silna pasja, od której swędzi skóra i boli każda kostka. Mary tkwiła w klatce. Tyle wiedziała. Ale gdzieś musiało być wyjście na wolność.

Leżała tak i rozmyślała o Nashu – romantycznym i wrażliwym Nashu o przygnębionej twarzy i długich palcach dłoni, i o tomach poezji, które potajemnie podbierał z księgozbioru. Choć sama nie miała w sobie ani krztyny romantyzmu, rozumiała, czemu Nash czyta Keatsa i Shelleya. Wiedziała, że czytając ich poezje, stawał się wolny, przenosił gdzie indziej. Stawał się

człowiekiem z duszą i z sercem. Popatrywał na nią od czasu do czasu i choć krew wcale nie płynęła jej od tego szybciej, potrafiła rozpoznać w nim współwzięnia. Potrafiła rozpoznać to nieobecne spojrzenie. Był lepszy niż ktokolwiek, kogo znała, miał w sobie jakąś subtelność. I kiedy zostawała ze swoimi myślami sama – ów twardy, mały węzełek w piersi zaczynał narastać. Co Nash mógł zrobić z tą swoją subtelnością, taką niedocenianą? A ona, do kogo mogła zwrócić się ze swoim gniewem? W głowie jej kołatało, a myśli szamotały się niczym ślepiec, który próbuje za wszelką cenę wydostać się z pokoju i nie może wymacać drzwi.

Po śniadaniu Mary pokręciła się chwilę po podwórzu, po czym pobiegła do stajni. Było to oczywiście zabronione, ale nie zważała na to. Wchodząc z jasnego dziedzińca między stajniami do mrocznego wnętrza jednej z nich, dostrzegła Jacka Armitage'a, z rozmarzonym wyrazem twarzy czyszczącego małego kucyka, który niegdyś należał do panienki Louisy. Jack pracował uśmiechnięty i całkowicie zatopiony we własnych myślach do chwili, kiedy ją zobaczył – zdyszana i zażenowana, że musi prosić o coś człowieka, którego prawie nie zna.

– Wiesz, jak się dostać do przędzalni w Blessington? – zapytała. – Muszę tam natychmiast iść. Muszę.

Zawahał się.

– Jeśli pani Jocelyn wyrazi zgodę.

– Jack, proszę. – Jack, widząc przejście w jej oczach, złagodniał. Mary miała zwyczajną, szczerą twarz i była niska, prawie mała, ale roztaczała wokół siebie moc małej elektrowni, emanowała siłą i determinacją.

– Najlepiej zrobisz, jeśli ją zapytasz.

Pani Jocelyn czytała list od Canona Weskera, a Mary czekała ze złożonymi jak do modlitwy rękami. W końcu ochmistrzyni podniosła oczy na dziewczynę.

– To twoja jedyna siostra? – zapytała. Leżał przed nią rejestr pracowników, w którym zapisano, kiedy dokładnie Mary została zatrudniona i z jakiej rodziny pochodzi.

– Tak – odparła Mary, patrząc poza panią Jocelyn na pozamykane szafy z bielizną pościelową i rozmyślając, ile razy stała tu i czekała na wręczenie prześcieradeł i powłoczek na kołdry i poduszki. Ileż to już godzin przepracowała w tym domu, nigdy nie prosząc o żadną przysługę, o najmniejszą dodatkową korzyść. Pani Jocelyn doskonale wiedziała, że z zarobków Mary utrzymywała się cała rodzina, a raczej ci, co z niej pozostali – młodsza siostra i ojciec. Wiedziała, że od czasu, kiedy dziewczyna była ostatni raz w domu, minął rok. Mimo to wydeła wargi i umyślnie długo, wnikliwie wczytywała się w adres plebanii, z której wysłano list. Mary miała ochotę przemierzyć pokój i uderzyć ją, a przynajmniej potrząsnąć. Pozwól mi, pozwól...

– Gdyby Jack podwiózł mnie pod górę, potrwałoby to tylko dwie godziny – wybuchnęła wreszcie. – Pociąg przyjeżdża dopiero o trzeciej, a potem i tak trzeba będzie czekać... – Nienawidziła błagać.

– Gdyby wszyscy państwo byli w domu, byłoby to na pewno wykluczone – powiedziała jej Jocelyn. – Muszę zapytać lady Cavendish. Idź poczekać w pomywalni.

O, Boże, pomyślała Mary. Ty stara jędzo. Wiedziała, jak wszyscy zresztą, że ostatnio przez pół dnia nie wolno było przeszkadzać lady Cavendish. W Londynie coś się wydarzyło – żadna z pokojówek nie wiedziała co. Ani jaśnie pan, ani panicz Harry nie wrócili do domu, córki również powyjeżdżały. Lady Octavia wyglądała jak zjawa i Jocelyn nie miała zamiaru pytać jej o zgodę. Chciała tylko potrzymać Mary cały dzień w niepewności, a potem odmówić.

Mary pobiegła z powrotem do stajni. Po drodze odwiesiła fartuch i czepek w kuchni, wzięła za to szal. Słyszała wołanie pani Carlisle, ale zignorowała je.

– No i co powiedziała pani Jocelyn? – zapytał Jack.

– Że mogę jechać – skłamała Mary.

Nigdy dotąd nie siedziała na końskim grzbiecie i kto wie, gdyby nie była aż tak pochłonięta własnymi myślami, może jazda konna przypadłaby jej do gustu. Widoki, jakie otwierały się przed nimi w czasie tej dwugodzinnej podróży, były bowiem przepiękne. Mocno objęła Jacka w pasie – najpierw ze strachu, ale szybko przyzwyczaiła się do miarowego ruchu. W końcu oparła też głowę o jego plecy. Na szczycie wzgórza odnosiło się wrażenie, że jest się na drugim krańcu świata, w jakimś tropikalnym kraju. Wrzosowisko niemal płonęło w skwarze, przecięte prostą niczym strzałą linią piaszczystej ścieżki, a przez ostatnią godzinę jazdy krajobraz zdawał się nierealny od upału, podzielony na pomarańcz zarośli i błękit nieba. Nie obchodziło jej, czy dotrze do rodzinnego domu, bo i tak wiedziała, co w nim zastanie. Była pewna, że poczuje miasto, i nie myliła się. Kiedy tylko pokonali ostatni grzbiet szczytu, ukazało się w dole pod nimi, spowite w mgiełce dymu. Końskie kopyta ślizgały się przy schodzeniu w dół, a kiedy doszli do drogi, powietrze już było gęste od pyłu. Wisiał w nim dym i kurz.

Jack zatrzymał się w pubie za potokiem. Gdyby nie zapach i smak tego miejsca, to można by sądzić, że wciąż jest się w przyjemnej okolicy. Potok z szumem płynął po kamieniach, na łące naprzeciwko pasły się owce, od czasu do czasu podnosząc na ludzi wytrzeszczone oczy. Dawniej ten niewielki most zawsze stanowił dla niej granicę między niebem a piekłem. Jack stał w pocętkowanym świetle cieniu jesionów i poił konia z koryta.

- Poradzisz sobie? – spytał. – Czy mam cię zawieźć aż na dół?
- Jedź do domu – powiedziała.
- Nie, tego nie mogę zrobić.
- Zostanę na noc. Jakoś wrócę. Jedź do domu.
- Zawahał się, obracając w rękach czapkę.
- Zaczekam na ciebie do szóstej.
- Rób, jak uważasz – odparła i ruszyła przed siebie, ale po chwili odwróciła się do niego.
- Dziękuję, że mnie przywiozłeś, Jack – zawołała. – Ale proszę, wracaj już do domu.
- Posłał jej swój uparty, zamyślony uśmiech.
- Wrócę jutro rano, o ósmej – rzekł.
- Schodziła ze wzgórza.

Kiedyś była to zielona dolina, i tylko dolina. Potem ktoś – nie znała jego nazwiska – postawił w niej młyn, a następnie wpadł na pomysł, by gromadzić stare ubrania i koce z przytułku, drzeć je, wyczesywać z nich włókna, prać i przerabiać z powrotem na przędzę. Nazywano to „przędzą wtórną”. Przędzalnia rozrastała się, rozrastała, dostawiano nowe budynki, a wiele lat temu przybył w te strony ojciec lady Octavii i kazał wybudować ogromne, szare, kamienne domy nad rzeką – pięć sześciopiętrowych przędzalni, w których mieściły się hale z urządzeniami. Pobudował też ciąg nące się długimi rzędami zabudowania gospodarcze i wyznaczył wąskie, obskurne uliczki, wzdłuż których stanęły stykające się tylnymi ścianami domy o podłogach z desek rzuconych na gołą ziemię. Nie trzeba było długo czekać, by wszystko to zrobiło się brudne i zapuszczone.

Mary przyszła na świat w jednym z takich domów. Matkę pamiętała jak przez mgłę – tylko zarys tego profilu, który zawsze widziała przy pracy – z rękami w nieustannym ruchu i głową przekrzywioną na bok jak u ptaka, ciasno ściągniętymi ciemnymi włosami. Teraz wspomnienie już się zamazało, przypominało rysunek mrozu na szybie. Jeśli zaś chodzi o dom, to panowały w nim przejmujący chłód i wilgoć. W jedynej sypialni między rodzicami a dziećmi, ściśniętymi jak sardynki w tym samym łóżku, wisiało rozpięte na sznurze prześcieradło. W zimie wszyscy marzli, a oddech w pokoju na górze zastęgał w postaci matowej chmurki, która nie chciała się rozproszyć. Nie mieli nic – zawsze byli w długach. W lecie szczury biegały po ścianach wspólnych szałotów na końcu uliczki, woda w rzece cuchnęła, a włókna wełny

w przędzalni wczepiały się ludziom w ubrania i skórę. Wdychali je, wyczesywali sobie z włosów i strzepywali z rąk.

Pewnego dnia, kiedy Mary pracowała w pakowni, stojąc na drewnianej skrzyni obok matki, usłyszała coś dziwnego. W połowie dnia rozległ się przenikliwy głos syreny, oznajmiającej zwykle początek i koniec zmiany. Potem zapadła przejmująca cisza, a wszyscy pracownicy zastygli ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Mary, sama nie wiedząc czemu, zaczęła dygotać.

Po paru minutach pojawił się nadzorca. Wszedł do przeszklonego biura, po czym opuścił je w towarzystwie kierownika. Razem zbliżyli się do warsztatu, przy którym pracowała Mary z matką, i wzięli matkę za ramię. Zbladła jak prześcieradło. Nie zdążyła ująć nawet paru kroków, przewróciła się, tracąc przytomność.

Wiejska izba chorych mieściła się na tyłach wąskiej uliczki, ćwierć mili od przędzalni. Od frontu miała kawałek trawnika ogrodzony barierką i szeroki podjazd dla wozów i furgonów. Duże, ozdobione białymi kolumnami wejście dostojeństwem znacznie przerastało parterowy budynek. Mary weszła do środka i podała swoje nazwisko sztywno wykrochmalonej, naburmuszonej recepcjonistce o twarzy pełnej pogardy. Usłyszawszy je, kobieta nieco złagodniała, wstała i poprowadziła Mary dalej, korytarzem przez kolejne drzwi. Tam zaś, na drewnianej ławie przed oddziałem ogólnym, siedział sztywny ze strachu ojciec Mary.

– Nie wstawaj, tato – powiedziała, kiedy próbował się podnieść. Pocałowała go przelotnie w policzek i usiadła obok. – Co mówią? – spytała. – Co robią?

– Dużo nie mogą zrobić – odparł.

Francis Richards miał czterdzieści lat, a przez ostatnich dziesięć samotnie wychowywał dwoje swych pozostałych przy życiu dzieci. Na jego twarzy wyryło się ciężkie brzemię odpowiedzialności, szok okaleczenia i niszczące działanie alkoholu, który zamazał rysy, a ziemistą twarz uczynił jeszcze mniej wyrazistą. Czapkę, którą trzymał na kolanach, przytrzymał kikutem pięści pozbawionej palców. Dawniej pracował jako zbieracz – wymieniał przerwane nici i puste szpule w wielkich, ogłuszających maszynach. Tamtego pamiętnego dnia przyczyną wycia syreny i przerwania pracy okazał się młodszy brat Mary, Joseph. Do jego obowiązków należało wczołgiwanie się pod krosna, by wydobyć puszczone nici, i choć miał dopiero osiem lat, dobrze wiedział, że musi leżeć zupełnie płasko, pełzać, jak wcześniej robiła to Mary. Joe, nie wiedząc czemu, wystawił jednak rękę trochę wyżej, a ojciec, na którego oczach maszyna wciągnęła dziecko, bez namysłu ruszył mu na ratunek. Joe umarł w pół godziny, a Francis stracił tylko palce. Tylko palce, a jednak – życie, bo przez całe życie był przędzarzem. Matka Mary trzymała się jeszcze przez rok, z dnia na dzień słabła jednak na skutek choroby płuc, którą lekarz nazwał zatorem, a Francis – otumaniony alkoholem i pozbawiony wrażliwości – zupełnie inaczej.

– Pieprzona, przeklęta wełna – mówił, rozglądając się wokół siebie w poszukiwaniu czegoś, co można by uderzyć, pchnąć czy kopnąć. – Pieprzona, przeklęta, pieprzona wełna.

Spojrzał teraz na Mary, napawając się widokiem jej czystego, wyprasowanego ubrania.

– U ciebie wszystko dobrze? – Skinął głową z aprobatą i w oczach zakręciły mu się łzy rozrzewnienia.

– Nie przejmuj się – odpowiedziała. – Gdzie lekarz?

– Był tu już, od razu.

– I co powiedział?

– To, co ci mówiłem. Że nic nie można zrobić. – Zaczął płakać. – Och, Mary.

Wstała.

– Zaraz się przekonamy.

Postąpiła parę kroków naprzód i otworzyła drzwi sali chorych. Wzdłuż obu dłuższych ścian w wojskowym szyku stało po dwadzieścia łóżek. Linoleum na podłodze błyszczało. Pośrodku stał piec, od którego, mimo upalnego, letniego dnia, było gorąco. Szła wzdłuż łóżek, rozglądając się na lewo i na prawo, aż pielęg niarka dopadła do niej i złapała ją za rękę.

– Tu nie wolno wchodzić.

– Jestem Mary Richards – powiedziała. – Gdzie jest moja siostra?

Nadeszła teraz inna kobieta. Fartuchy obu chrzęściły niczym woskowany papier, a wyszukany czepek siostry oddziałowej kołysał się jej na głowie niczym skomplikowana konstrukcja skrzydeł. Mary próbowała się wyrwać, ale pierwsza pielęgniarka nie zwalniała uścisku.

– Błonica jest bardzo zaraźliwa – rzekła. – A zresztą, sama może pani roznosić zarazki.

Mary spojrzała na nią złowrogo.

– Proszę więc mnie przywiązać – powiedziała. – Niech pani robi, co pani chce.

Dojrzała już Sarah – znajomą twarz w odległym kącie. Słyszała też, jak ciężko i boleśnie oddycha jej trzynastoletnia siostra. Przy łóżku stała jakaś miska: eukaliptus i terpentyna. Kaszel chorej miał metaliczny podźwięk.

– Sarah – szepnęła Mary.

– Tu nie wolno wchodzić – powtórzyła pielęgniarka, po czym zastąpiła Mary drogę. Była od niej i wyższa, i potężniejsza. – Proszę stąd wyjść – powiedziała. – Jeśli nie chce pani również zachorować.

Mary miała ochotę ją zabić.

– Ja jakoś nie nabawiłam się błonicy. Pani też nie – odparowała. – Więc dlaczego ona jest chora?

Kobieta uniosła podbródek.

– Przyczyn mogło być wiele – odparła.

Mary skinęła głową.

– Wiem, co to za przyczyny. Brudna robota w przędzalni i brudny dom.

– Jest pani pielęgniarką?

– Nie, nie jestem. Ale wiem, kto choruje, a kto nie. – Rzuciła kobiecie ostre spojrzenie i odepchnęła ją łokciem. Podeszła do łóżka, przykucnęła przy siostrze i wymacała jej rękę pod szczelnie naciągniętym prześcieradłem.

– Proszę jej nie dotykać – ostrzegła ją pielęgniarka.

Mary wyjęła dłoń Sarah, wzięła ją między swoje dłonie i potarła.

– Jestem tutaj, jestem – mruknęła. – No i co ty ze sobą zrobiłaś, co?

Sarah była podobna do matki najbardziej z całego rodzeństwa. Miała gęste brązowe włosy, podczas gdy cała reszta, jak Francis, miała włosy mysie lub jasne. Czesła się też tak samo jak matka – ściągała włosy ciasno do tyłu, by nie przeszkadzały w pracy przy krosnach, a później – przy wykańczaniu. Przypominały biegnące w poprzek czoła prawie czarne skrzydło. Sarah poruszyła lekko palcami, wskazując na gardło. Mary słyszała tylko cieniutkie rżenie, wydobywające się z niego przy każdym oddechu.

– Tak – powiedziała. – Ale to niedługo przejdzie, zobaczysz, przejdzie.

Sarah zaczęła krwawić z nosa. Mary wyciągnęła rękę, by obetrzeć krew końcem własnego rękawa, drugą wkładając równocześnie nie do kieszeni w poszukiwaniu chusteczki. Nagle pojawiło się o wiele więcej krwi – po białej pościeli popłynął czerwony potok, jaskrawy w popołudniowym słońcu. Pielęgniarki odepchnęły Mary.

Zanim wróciła do ojca, zdołała się trochę oczyścić, nie zważając na wściekłość drugiej pielęgniarki, która twierdziła, że Mary skaziła miskę z wodą. Została zmuszona do wypłukania

ust płynem antyseptycznym i wyszorowania rąk, a potem – oteęiała z szoku – pouczona i odprowadzona do drzwi oddziału.

Ku jej zdziwieniu, kiedy spojrzała na zegar nad głową ojca, okazało się, że minęło zaledwie czterdzieści minut. Nagle poczuła ogromne zmęczenie. Monochromatyczny wystrój korytarza – powtarzające się bez sensu prostokąty – zlewał jej się przed oczami z plamami światła wpadającego przez okno. Wyciągnęła rękę, by wesprzeć się o ścianę, i dłoń ześlizgnęła jej się po śliskiej farbie. Przeniosła wzrok na ojca i przypomniała sobie historie, które opowiadał o swoim ojcu. O tym, jak dostał artretyzmu i okulał na prawe kolano na skutek pracy w przędzalni jako wiązacz nici. O tym, jak przyjechał do hrabstwa York z nadzieją na lżejsze życie. I o historii, którą często opowiadał – jak to pracująca przy rozciągarnie dziewczynka została podobnie jak Joseph wciągnięta przez wrzeciono i kręciła się, kręciła, kręciła, dopóki nie pogruchotało jej wszystkich kości, a jej ciało nie zniszczyło przekładni. Po śmierci syna Francis orzekł, że jego ojciec na próżno przeprowił się przez Góry Pennińskie, że wełna jest równie zła jak bawełna i że wszyscy – cała rodzina – to marne istoty, stworzone tylko po to, by wcześniej czy później zginąć. Mary pamiętała, jaka wtedy była zła, jak gniewał ją ton ich rozmowy. Czowała się jak zbity pies i pozbawiona wszelkiej godności.

Wiedziała, że ojciec uważa ją za okrutną, ponieważ nie płacze, a na jej twarzy, po wypadku brata i po śmierci matki malowała się tylko zawziętość i ponurość. Nawet teraz nie mogła zmusić się do szlochu, nie była w stanie wyciągnąć do ojca ręki i pomóc mu się dźwignąć, choć po jego twarzy – kiedy na nią spojrzał – widziała, że to, co się stało, powoli zaczyna do niego docierać. Węzeł, twardy jak kamień, wrócił na swoje miejsce w jej piersi niczym ciężar nie do udźwignięcia, wściekły i duszący.

– Musimy przejść na drugi koniec izby chorych – powiedziała. – Mamy tam zaczekać.

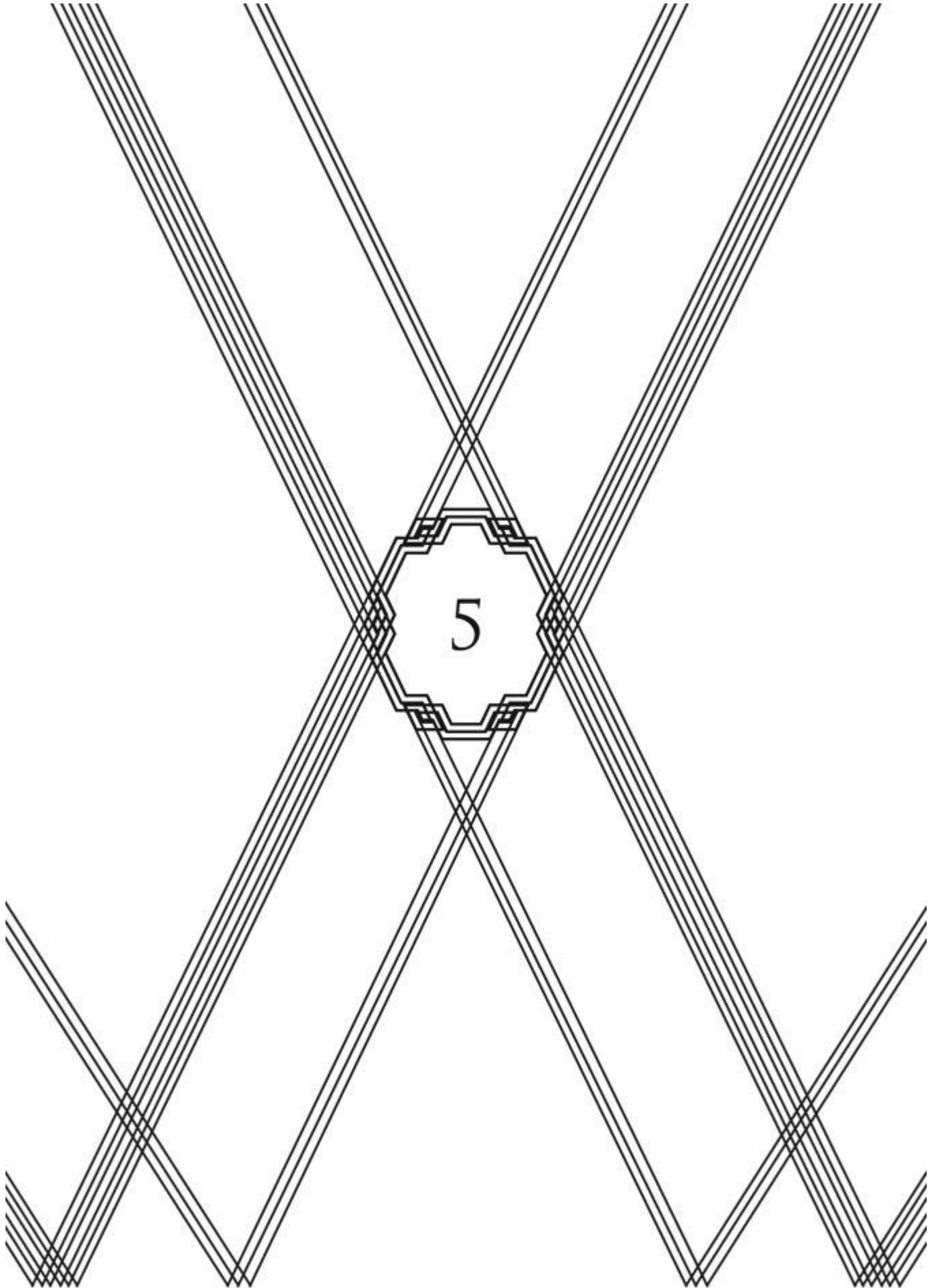
– Dlaczego? – zapytał. – Przenoszą ją gdzieś? – Wstał wreszcie, chwiejąc się niepewnie, z czapką wciąż zmiętą w dłoniach. – Co jest na drugim końcu? Inna sala?

Nie mogła zmusić się do uprzejmości. Wydawało jej się, że to ponad jej siły.

– Kostnica – odparła, wzięła go pod rękę i powlokła za sobą niczym bezwładny ciężar, zgiętego bezradnie wpół i powłóczącego nogami z rozpacz. Zaczął skomleć, jakby ktoś go nagle uderzył.

– Wyprostuj się, tato. Niech nie widzą, że płaczesz – syknęła mu do ucha okrutny rozkaz.

– Słyszysz, co mówię? Za nic w świecie nie pozwól, by na to patrzyli.



Była piąta rano, kiedy John Gould wyszedł na dwór. W bladym świetle świtu otworzył drzwi do biblioteki i przez oranżerię przeszedł do ogrodu. Z obu stron otaczały go gęste szeregi róż w odcieniach od blado- i głębokokremowego po brzoskwiniowy i różowy. Wszędzie wokół unosiło się kuszące wspomnienie ich wczorajszego zapachu. Wyciągnął rękę i dotknął najbliższych płatków, lekko pociągając po nich palcami. Po prawej stronie miał ścieżkę, równiutko wyłożoną kamieniami w jodełkę, z obrzeżami z terakoty. Wszystko było ciężkie od wilgoci – w nocy padało.

W powietrzu unosiła się cudowna świeżość, jakby świat został stworzony na nowo. Niebo przyjęło już barwę błękitu, i kiedy zatrzymał się i spojrział w dół szerokich schodów prowadzących na trawniki, na chwilę przepełniło go uczucie satysfakcji. Przez krótką chwilę poczuł się jak właściciel całego tego majątku – domu, parku, odległego lasu i wyniosłych wzgórz. Dolina leżała uśpiona i zdawało się, że nic i nigdy nie zdoła obrócić wniwecz panującej sielanki. Stojąc tu, trudno było uwierzyć, że gdzieś tam w świecie istnieją miasta i konflikty. Tu rozciągało się szczęśliwe, zamknięte królestwo. John podszedł parę kroków naprzód i oparł dłoń na jednej z kamiennych urn zdobiących schody. Zauważył, że brzeg otacza wzór z błękitników. Ciekaw był, czy to specjalna odmiana – *Beckforth bluebird*, o nazwie jak ta jamajska plantacja. I czy to prawda, że błękitniki przynoszą nieszczęście.

Pomyślał sobie, że Octavia Cavendish ma szczęście, że jest tu sama. Wczoraj wieczorem znów nie pojawiła się na kolacji, co rozczarowało go i trochę rozdrażniło. Jeśli chodzi o kobiety, to chlubił się znawstwem – w zasadzie nawet je lubił – ale jej starania, by zachować dystans, zbijały go z tropu. Czyżby go nie polubiła? Z całą pewnością nie chodziło o to. Przecież Johna Boswella lubili wszyscy. Dokładał wszelkich starań, by być lubiany, i to lubiany jak diabli. W jego towarzystwie każdy czuł się świetnie, tak mu przynajmniej mówiono. Ze wszystkimi miał dobre stosunki. Ale może Octavia Cavendish gardziła Amerykanami, może okazywała w ten sposób niechęć wobec decyzji męża, a może... Może po prostu gardziła życiem. Przyzwyczał się, że kobiety więcej się uśmiechały – przynajmniej do niego. Chciałby skrytykować ją jako chłodną i nieprzystępną, ale nie potrafił. Wyczuwał, że kryje się w niej inna kobieta.

Bezwiednie podniósł wzrok na okna. Nie wiedział, które należało do jej sypialni. Wszystkie były zamknięte. Odwrócił się i ruszył ceglana ścieżką ku furtce. Szybko zostawił za sobą otoczony murami ogród. Między nieskazitelnymi zagonkami warzyw pracowało już dwóch chłopców – powitał ich gestem uniesionej ręki. Octavia mówiła, że ogrodników jest piętnastu – niektórzy pracują w ogrodzie kuchennym, dwóch zajmuje się tylko roślinami w domu, a inni doglądają wyłącznie szklarni. Ogrodnicy, pomocnicy ogrodników i chłopcy – wszyscy, wydawałoby się – niemi. Odwrócił ku nim głowę i stwierdził, że na niego patrzą – być może zdziwieni, że w ogóle ich zauważył. Wiedział, że ich zadaniem jest pozostać niewidzialnymi dla mieszkańców domu – członków rodziny. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przypuszczał, że celem tej polityki jest osiągnięcie wrażenia, iż olbrzymia posiadłość funkcjonuje za sprawą czarów, a nie ludzkiego wysiłku i potu. Co za świat. U siebie w domu znał imiona wszystkich służących. Byli to: Josh, Edwin, Eddie, Kate, Millie, Thomas i Si. Tu jedyną służącą, do której Octavia zwracała się po imieniu, była ta mała Francuzeczka o ponętnej twarzy. Boże, jakie to dziwne. Piękna, opuszczona i zakłeta, prosto z bajki pełnej królów, książąt i księżniczek. Jego świat nieustannie wykrzykiwał swoją cenę za metr, a on tymczasem znalazł się – niczym Alicja za sprawą magicznego szkiełka – w niezwykłym miejscu, gdzie królowały niepisane prawa, zalegały pokłady tradycji, a na półce bez trudu można było natknąć się na tom, którego grzbiet czyjaś dawno już nieżyjąca ręka opatrzyła tytułem *Sierpień 1612*. Świat za szybą, świat

w króliczej norze... Odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na dom, na który padły właśnie pierwsze promienie słońca i cała południowa ściana frontowa skąpana była w złotawobrazowym blasku. Wzdrygnął się. Boże, uchron to miejsce przed awanturnicznym światem, pomyślał. Boże, uchron je.

Zbliżał się do dziedzińca między stajniami. Po prawej stronie mijał teraz szklarnię. Słyszał, że za nią, w domu z szarego kamienia, mieszka ogrodnik. Z tyłu za wyłożonym ładną dachówką dachem stały rozmaite budynki gospodarcze, wszystkie zadbane, jakby wyszorowane do czysta i świeżo odmalowane. Pod kątem prostym do małego ogrodu, należącego do pierwszego domku, stała potężna stajnia. Przechodząc, zerknął na pochyły dach. Z tyłu, na samym końcu, była jeszcze jedna furtka.

Wahał się, któredy pójść dalej, kiedy w furtce pojawił się jakiś mężczyzna. Miał około sześćdziesiątki, był mocno zbudowany, ubrany w bryczesy i grubą marynarkę. Niósł wiadro z wodą. Na widok Johna zatrzymał się i podniósł rękę do czapki.

– Wcześniej pan wstał, proszę pana.

– Tak, zgadza się. Zastanawiałem się, czy mógłbym dostać konia.

Josiah Armitage zlustrował go od stóp do głów, po czym podniósł wiadro i skinął głową, by John ruszył za nim.

Weszli na czyściutkie podwórze z trzech stron otoczone stajniami. John podniósł oczy na wieżę z zegarem i stwierdził, że jest dopiero po piątej. Starszy człowiek szedł wzdłuż budynku i po kolei otwierał górne skrzydła drzwi. Z jednej ze stajni dochodziły głosy, jak się wydawało, figlujących chłopców stajennych.

– Weźcie się do roboty! – zawołał Josiah. Śmiechy ucichły i w drzwiach pojawiły się dwie twarze, które równie szybko zniknęły.

John uśmiechnął się do siebie, przystanął i zajrzał do pierwszego boksu. Potężny siwy koń pociągowy odwrócił łeb i spojrzął na niego.

– Piękny koń – rzekł John.

– Tak, mamy jego i jeszcze trzy takie – odparł Josiah, który właśnie nadszedł z powrotem.

– I dwa rasy suffolk punch. Ale konie zaprzęgowe do powozu zostały rok temu sprzedane. Mielśmy świetne dwie pary, jedną siwą, drugą karą. I czwórkę.

– Sprzedane?

– Nikt już nie używa powozów.

– Domyślam się. Ale szkoda.

– Teraz młodzi chcą jeździć tylko automobilem. Mamy jeszcze starą dwukonkę i dwa czteroosobowe powozy z rozkładanym dachem dla pań. Ale i tak z nich nie korzystają.

– Panicz Harry, jak sądzę, ma samochód?

Twarz Josiaha przybrała wyraz dezaprobaty.

– To wszystko prowadzi donikąd. Samochody nie mają za grosz stylu. Są za szybkie.

A mój Jack pieści tego metza jak niemowlę.

John gładził szyję Wenceslasa. Koń wydychał w jego dłoń ciepłe, słodko pachnące powietrze. Nagle John podniósł wzrok na Josiaha.

– Słyszałem rano w domu płacz dziecka.

Josiah otwierał drzwi, mamrocząc coś pod nosem do konia.

– Nie, nie mamy tu maleńkich dzieci, jaśnie panie.

– Dałbym sobie głowę uciąć. Słyszałem płacz.

– W domu nie ma nikogo prócz jaśnie pani. Tylko ona i pan.

– Żadnych dzieci służby?

– Nie, to niedozwolone.

Przez Armitage'a przemawiało niezbite przekonanie, więc, kto wie, może naprawdę sobie to wyobraził.

Godzinę wcześniej nagle obudził się i otworzył oczy. Sen przerwał mu dochodzący gdzieś z bliska przenikliwy głos płaczącego dziecka. Wzmógł czujność w nadziei, że usłyszy go znowu. Był przekonany, że rozróżnia kroki, ciche zamykanie drzwi i inne stłumione odgłosy. Usiadł w łóżku i przetarł oczy. Krzyki dziecka i ten sen, znany już na pamięć. Przez ostatnie dwa tygodnie nawiedzał go uporczywie i sprawiał, że John budził się ze straszliwym, miazdzącym przecuciem nadchodzącego nieszczęścia.

Wyjrzał przez okno na niczym niezmacony spokój alei dojazdowej do Rutherford. Pomyślał o Quebecu, o znajomym pasie wybrzeża w miejscu, gdzie Rzeka Świętego Wawrzyńca rozlewała się już bardzo szeroko i skąd piloci rozpoczynali próby przelotu nad Atlantykiem. Nie minęły nawet trzy miesiące od dnia, kiedy on sam przekraczał ją na pokładzie statku. A niespełna dwa tygodnie temu zatonął tam M/s „Empress”. John wielokrotnie pokonywał rzekę na pokładzie małego promu cumującego nieco na północ od rancza jego wuja. Przebiegał tamtędy popularny i uczęszczany szklak wodny, wydawałoby się, bardzo szeroki. John przepływał parę razy przez kanał La Manche, ale Rzeka Świętego Wawrzyńca w niczym go nie przypominała: jej wody były lodowate, wartkie i spienione. Ostatnim razem prom, którym płynął, przebijał się przez mgłę, nieustannie sygnalizując swój kurs buczeniem syreny, a pasażerowie wywołali go na pokład, bo w taką pogodę na powierzchni wody można było czasem dostrzec wieloryba. Wyobraził sobie wieloryby pod ich maleńką łupinką niczym ruchome podwodne góry, szukające drogi w ciemnych, bezkresnych głębinach, i poczuł się bardzo mały i kruchy – drobina na spowitym mgłą oceanie.

Statek „Empress of Ireland” wypłynął z portu w Quebecu dwudziestego ósmego maja po południu, a wczesnym rankiem następnego dnia zderzył się z norweskim masowcem przewożącym węgiel. Mniejsza jednostka wbiła się w liniowiec w połowie długości kadłuba niczym śrubokręt w wieczko puszki. Pasażerowie śpiący w kabinach na niższych pokładach, przy bulajach otwartych ze względu na złą, przyprawiającą o klaustrofobię wentylację, utonęli prawie natychmiast po tym, jak „Empress” przewrócił się na prawą burtę. Pasażerowie z kabin na wyższych pokładach zdołali wdrapać się na pokład, ale zanim statek zanurzył się głębiej, zdążono spuścić zaledwie trzy łodzie ratunkowe. Siedemset osób przez bulaje zdołało wydostać się na burtę. Pasażerowie i załoga przez dobre dziesięć minut w ciemnościach i mgłę kurczowo trzymali się nachylonego kadłuba, żyjąc nadzieją, że oparł się już o dno, ponieważ tkwił w wodzie zupełnie nieruchomo. Myśleli, że osiadł na mieliźnie. A potem, nagle, statek poszedł na dno niczym kamień: ster pionowo w górę, a dziób w głębinę. W ciągu czternastu minut zginęło ponad tysiąc osób.

John dowiedział się o tym, kiedy „Laconia” zacumowała w Anglii. Zrobiło mu się niedobrze i wychylił się za barierkę mołu, na którym wtedy stał. Na pokładzie M/s „Empress” był Henry Seton Kerr. John go znał. Słyszał jego przemówienie w klubie geograficznym. Wtedy widział na jego miejscu siebie. A teraz zobaczył siebie na dnie Rzeki Świętego Wawrzyńca. Wyobraził sobie wlewającą się do kabiny wodę, drzwi zablokowane pod jej naporem i szybko zanurzające się przejścia.

I właśnie to dręczyło go co noc – walka o oddech, powietrze, które stawało się wodą i wypełniało mu usta, gardło i płuca, aż nie zostało w nich ani odrobinę tlenu, tylko sól, i uczucie, że serce puchnie mu od panicznego łomotu w kilkusekundowej walce o tlen. Czuł przetaczającą się po ciele wodę i coraz większy przechył statku – skośny pokład pod stopami i niezaprzeczną świadomość, że oto nadszedł koniec: tak nagle, tak niewyobrażalnie, bynajmniej nie heroicznie – bez kurczowego trzymania się relingu, bez ocalenia życia innemu pasażerowi, ba, nawet bez

cudownego przetrwania w odmętach. Tylko sromotna, bezładna szamotanina, chwytnie oddechu i umieranie, i miotanie się własnego ciała po kabinie niczym sztuki nieumocowanego bagażu, i zaciskanie palców na niczym.

Wszyscy rozprawiali o „Titanicu”, ale według Johna kata strofa „Empress” była jeszcze gorsza. Może dlatego, że właśnie sam przepłynął przez ocean. A może dlatego, że nie chodziło o zderzenie z górą lodową, ale z brudnym masowcem załadowanym węglem. Bałagan ze światłami nawigacyjnymi i błąd załogi. Nie nieograniczone siły przyrody, nie lód, ale mała ludzka głupota położyła kres życiu tysiąca ludzi.

To dlatego ginęły ludzkie istoty: nie w wyniku wielkiego chaosu, ale przez banalne błędy. Przez niepomysłny rozwój wydarzeń, beztroską nieuwagę, przypadkowe słowa, przelotne spojrzenia. Chwile z pozoru bez znaczenia, które z perspektywy czasu miały olbrzymią wagę. Właśnie to doprowadzi ich wszystkich do ruiny, myślał. Małe, nieważne uprzedzenia. To i politycy głupcy.

Nagle poderwał się z łóżka. Poczul, że musi wyjść na dwór. Pragnął natychmiast zaznać niczym nieskalanego, czystego, nowego dnia. Musiał przestać myśleć o tonących statkach. Musiał przemóc swój irracjonalny strach – dobrze znany, obezwładniający. Nie, nie wróci do Nowego Jorku na pokładzie żadnego powolnego statku, obiecał sobie, ubierając się pośpiesznie. Popłynie M/s „Mauretania” – najszybszym obiektem pływającym – lub czymś podobnym. A jeśli nie, to prawie identyczną „Lusitanią” – jednym z brytyjskich statków, które klasą mają dorównać statkom niemieckim. Któryś z nich na pewno bezpiecznie dotrze do domu.

– Proszę wziąć Springera, jeśli pan sobie życzy – rzekł Josiah.

John w mgnieniu oka wrócił do rzeczywistości.

– Springera?

– Czyli Jacka Trzeciego z Nogami jak Sprężyny – dodał Josiah, uśmiechając się z dumą.

– Pańskiego konia, znowu?

Palce dotknęły brudnego daszka czapki.

– Już po niego idę, proszę pana.

Kiedy wrócił – zjechał ze wzgórz i z zarośli nad rzeką zobaczył na jej brzegu Octavię Cavendish – była ósma.

Słońce stało już wysoko na niebie, dzień był jasny i słoneczny. Przeszedł do stępa i już miał zamiar ją zawołać – był od niej nie dalej niż sto jardów – kiedy stwierdził, że czyta list. Wyjęła go z koperty i czytała, chodząc w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, po czym, ku jego zdziwieniu, wrzuciła i list, i kopertę, do rzeki. Prawie się nie poruszyły, bo woda była bardzo niska. Przechyliła się przez barierkę mostu i wtedy nagle go zobaczyła. Sprawiała wrażenie, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku. Zsiadł z konia i podszedł bliżej.

Miała na sobie zwyczajny, choć nieco dziwaczny strój – letni płaszcz narzucony na coś, co wziął za koszulę nocną lub peniuar. Ciężkie, marszczone brzegi wystawały spod płaszcza i ciągnęły się po ziemi. Na głowę włożyła mały kapelusik, nieco przekrzywiony, a włosy spływały jej spod niego na ramiona.

– Czy wszystko w porządku? – spytał.

– Mój mąż wraca – odparła, ściskając balustradę mostu i patrząc w dół na wirujący na wodzie papier. Nagle urzekła go niestosowność tej chwili – a właściwie niestosowność zachowania Octavii jako pani domu, która jak mała dziewczynka, bawi się w przebieranki. Przez chwilę pomyślał, że dojrzał tę drugą Octavię – znacznie młodszą, nieszczęśliwą, zdezorientowaną, poszukującą dla siebie miejsca. Ciekaw był, czy właśnie odkrył jej prawdziwe oblicze – takiej, jaka była dawniej, dziewczyny, którą poślubił Cavendish – i szarpnęło nim współczucie. Współczucie i coś głębszego, poważniejszego – poczucie więzi.

Patrzył na nią zakłopotany, nie wiedząc, co robić. Czyż powrót Williama Cavendisha nie był dla niej dobrą wiadomością? Najwyraźniej nie był. Odwróciła się do niego.

– Pewnie sądzi pan, że jestem szalona, wychodząc na dwór w tym stroju? – zapytała i lekceważąco machnęła ręką, wskazując ubrania.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Proszę nie silić się na uprzejmość – zaproponowała. – Jeśli pomyślał pan, że jestem idiotką, to ma pan rację.

– Wcale nie uważam pani za idiotkę. – Właśnie doszedłem do wniosku, że wygląda pani uroczo.

Otworzyła usta i zaśmiała się sucho. Zdał sobie sprawę, że nie przywykła do komplementów. Potem ze strachem uświadomił sobie, że może sprawiać wrażenie, iż się z niej naśmiewa.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał. – Coś dla pani zrobić?

– Problem w tym – zaczęła i podniosła wzrok na rzekę – że straciłam poczucie przynależności. Miałam swoje miejsce. Teraz nie wiem, gdzie właściwie ono jest. To mój dom, a mimo to nie wiem, czemu tu jestem.

– Chodzi o pani syna? – dociekał. – To on jest powodem zmartwienia?

Łapał się każdej szansy. Słyszał, że Harry Cavendish postradał rozum, choć nie przypuszczał, że mogło być aż tak źle. Młodzi mężczyźni z reguły tak się zachowywali. Wręcz oczekiwano tego od nich, zanim wyrosną na porządnym obywateli. Z drugiej strony niektórzy z przodków Harry'ego Cavendisha prowadzili się tak przez całe życie.

Spojrzała na niego.

– Harry? Mój Boże, gdyby tylko o to chodziło. – Przyłożyła rękę do czoła. Była najwyraźniej podenerwowana.

– A córki?

Potrząsnęła głową.

– Obie są pod opieką dobrych znajomych. Za co Bogu dziękuję.

Rozejrzał się wokoło za miejscem, gdzie mogliby usiąść.

– Nie chciałaby pani nieco odpocząć? – zapytał. – Niedaleko stąd jest ławeczka.

Poszła za nim. Potknęła się, a on wyciągnął rękę. Najpierw chwyciła ją, a potem nagle puściła. Jej ciepło i miękkość odcisnęły się na jego skórze niczym piętno. Poczul rumieniec na twarzy, igielki pożądania wzdłuż rąk i ramion, i coś w rodzaju zawrotu głowy. Nieoczekiwanie zdezorientowały go plamy światła i cienia między drzewami, stracił orientację, tak jak człowiek, który stoi bardzo wysoko i spogląda w dół, w przepaść. Jak we śnie, naprawdę poczuł, że chwieje się na skraju otchłani, na moment przed upadkiem. Było to doznanie nagłe i tak dziwne, że musiał wziąć głęboki oddech, by wrócić do rzeczywistości, ale nieznośne pragnienie, by otoczyć tę kobietę ramionami, już go nie opuściło. Nie ośmielił się jednak tego zrobić.

Przeszli parę metrów i usiedli na ławeczce, twarzą zwróceni w stronę rzeki. Daleko za wodą, na tle parku, pysniło się Rutherford, a słońce odbijało się w jego oknach. Zerknął na Octavię i stwierdził, że również patrzy na domostwo. Zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę z wrażenia, jakie na nim wywarła. Prawdę mówiąc, wątpił.

– Ma pan rodzinę? – spytała nagle.

– Mam rodziców. I trzech braci.

– Wszyscy w Nowym Jorku?

– Tak, wszyscy.

– Mieszkają razem?

– Tak, całkiem dobrze się ze sobą zgadzamy.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.
Wzruszył ramionami.
– Cóż, ojciec ma interes...
– Jakim jest człowiekiem?
– Całkiem miłym. Radosnym. Najbardziej lubi żeglować, nauczył mnie zresztą. Mamy dom na Cape Cod i...
– I pańscy bracia również żeglują?
– Tak, i rodzina matki tak samo. Wie pani, w ich domach zawsze kręci się mnóstwo ludzi. Przez okrągły rok trwają przyjęcia i tak dalej. Matka udziela się w swoim Towarzystwie Teozoficznym, o co się z nią drażnimy. W ten sposób zajmuje sobie czas. W zeszłym roku mieliśmy gości z Indii. Zawsze mówi o Bractwie White Lodge i tak dalej.
– White Lodge?
Machnął ręką.
– Szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiem. To jakby religia, która nie wierzy w żadne religie – zaśmiał się. – Nie wiem. To bardzo modne. Cały czas ją o to męczymy. Ale ona bierze z tego to, co przyjemne. Wciąż nowi ludzie przewijają się przez dom.
– Brzmi to bardzo miło. A pański ojciec na to przyzwala?
Uniósł brwi.
– Nie przyzwala ani nie zabrania. Ogólnie rzecz biorąc, śmieje się z tego. On... cóż, jest dobrym przykładem do naśladowania.
Z uwagą zastanawiała się nad tym, co powiedział.
– Dobry człowiek.
– Tak.
– Jak wspaniale – westchnęła. – Jak wspaniale mieć przy sobie kogoś wesołego. – Odwróciła wzrok. Palce jej złożonych na podołku rąk nerwowo się spletały. – Mój ojciec też prowadził interes – powiedziała powoli. – A moja matka zmarła, kiedy byłam mała. Zostałam więc towarzyszką ojca. Musiałam w każdej chwili być w gotowości. Nie w przedzalniach, w domu. I czekać.
– Była pani dla niego ostoją.
Zaczęła się śmiać. To była najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała.
– Ostoją? – powtórzyła, jakby testując to ciekawe słowo. – Jego ostoją? Nie, nie o to chodziło. Miałam słuchać. Stać i słuchać. Powiedziano mi, że zadanie, które mam przed sobą, jest szczególnie niewdzięczne, ale i tak muszę je wykonywać. Codziennie. Godzinami. Stać bez ruchu. Wracał do domu na lunch i potem znów o szóstej. Musiałam czekać. A jeśli nie...
Jej głowa skierowana była teraz w przeciwnym kierunku niż Rutherford. Patrzyła na rzekę.
– A jeśli nie? – ponaglił.
Potrząsnęła głową, kończąc temat. Wydawało się, że wspomnienie o ojcu obudziło w niej znowu zahamowania kierowane jakąś mroczną siłą, której nie pojmował.
– Nawet nie zdaje sobie pan sprawy, jakim jest pan szczęściarzem, mając taką rodzinę – westchnęła. – Chciałabym chlubić się czymś podobnym. – Spojrzała na niego. – Mówił pan któregoś dnia o skandalach Beckforthów – wspomniała. – Czy wśród Goul dów też się jakieś zdarzają?
– Najprawdopodobniej tak. Ale o żadnym mi nie wiadomo.
Wytrzymała jego spojrzenie.
– Niestety, znam kilka, które rozegrały się tutaj – zaczęła. Wreszcie gotowa była mówić otwarcie o tym, co ją trapiło. Nagle machnęła ręką w kierunku rzeki.

– Wie pan, że w Boże Narodzenie utonęła tu dziewczyna? – zapytała. – A raczej prawie utonęła. Wyciągnięto ją z wody i zaniesiono do domu. Padał śnieg. Następnego dnia umarła.

– Boże, to straszne.

– Pracowała u nas jako pokojówka. Umarła w czasie porodu. Dziecko... to córka mojego syna. Moja wnuczka. – Wzniosła oczy ku niebu, przewyciężyła wahanie i odważnie spojrzała prosto na niego.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Pomyślał sobie, że właściwie jest to bez znaczenia.

– Nie mam się kogo poradzić – ciągnęła łagodnym głosem Octavia. – Prawdę mówiąc, nie wiem, czy postąpiłam słusznie. Dziewczynka żyje. Dałam jej imię po mojej matce, Cecilia. Kiedy męża nie ma, biorę ją do domu.

Płacz dziecka i kroki na korytarzu.

– Była tu dziś rano – rzekł. – Słyszałem ją.

– Nie może tu przebywać, kiedy William jest w domu, bo on nic nie wie – mówiła dalej. – A przynajmniej udaje, że nic nie wie.

Widział, jak jej paznokcie wbijają się w skórę dłoni. Mocno marszczyła czoło.

– Stoję więc przed problemem, którego nie umiem rozwiązać. I to na własne życzenie – mruknęła. – Oczywiście, biorąc to dziecko do domu i otwarcie podtrzymując jakkolwiek więź z nim, naraziłabym się na krytykę.

– Doprawdy?

Podniosła na niego oczy.

– Naturalnie – odparła, jakby konieczność zignorowania istnienia własnej wnuczki była czymś oczywistym i naturalnym. Zrobiło mu się jej żal.

– Widzi pan, William o tym nie wspomina, bo Harry dał mu słowo honoru, że nie miał nic wspólnego z tą dziewczyną, która umarła, i William przyjął jego słowo. O niczym innym nie chce teraz słyszeć. Słowo dżentelmena... jego syna, rozumie pan?

– Chyba tak...

– Moglibyśmy o tym porozmawiać, gdyby...

– Gdyby co?

– Nieważne.

– Bardzo mi przykro – wyznał.

Na jej twarzy przez ułamek sekundy błysnął bunt.

– Można przywyknąć do hańby, nie sądzi pan? – zapytała. – Przecież, jak sam pan powiedział, nasza rodzina pławi się w niej od dawna.

– Nie miałem na myśli... To jest...

Wstała i odwróciła wzrok, lekceważąc jego niezdarne przeprosiny. Jej następne słowa były już łagodniejsze.

– Taka z niej śliczna dziewczynka – powiedziała cicho. – I taka podobna do Harry'ego, kiedy był mały. Będę musiała znaleźć jakieś wyjście, ale naprawdę nic nie przychodzi mi do głowy... Służba już o tym mówi. Widzą, jak ta kobieta z wioski tu przychodzi, przynosi dziecko. Moja pokojówka robi aluzje, że przy stole służby się o tym plotkuje. Sytuacja jest więc taka, że kiedy William wróci, może się dowiedzieć, co zrobiłam.

– Ale czy wtedy zdoła pani z nim o tym szczerze porozmawiać?

Potrząsnęła głową.

– Czy mógłbym coś zrobić? – zapytał. – Cokolwiek, co by pani pomogło?

Mimowolnie wyciągnął do niej rękę. Tym razem ujęła ją i spuściła wzrok, po czym przycisnęła do niej swoją drugą dłoń.

– Jest pan bardzo miły – szepnęła.

Nastąpiła chwila szczególnego napięcia. Johnowi wydało się, że przeszła między nimi jakaś iskra. I ona ją poczuła – odzwierciedliło się to na jej twarzy, po której przebiegło nagle zdziwienie. Spojrzeli na siebie. Puściła jego rękę, jakby ją parzyła, i oblała się gorącym rumieńcem.

– Myślę – bezradnym gestem wskazała na swój strój – że jednak muszę coś z tym zrobić. To się do niczego nie nadaje.

Wydawało się, że się otrząsnęła.

– Naprawdę nie powinnam siedzieć tu i obarczać pana swoimi kłopotami. Która godzina?

– Koło ósmej.

Odsunęła się, na co on zrobił ruch w jej stronę.

– Wcale nie czuję się obarczony – rzekł z uśmiechem. – Przeciwnie, poczytuję sobie za zaszczyt, że zdecydowała się pani mi zwierzyć.

Zastanowiła się nad jego słowami.

– Tak, to właśnie zrobiłam – przyznała. – I ciekawa jestem dlaczego. Pewnie dlatego, że nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. – Głos uwiązł jej w gardle, a łzy gwałtownie napłynęły do oczu.

Zapadła cisza. John stał zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej. Serce waliło mu w piersi. Zastanawiał się, czy ona to wyczuwa. Wyglądała zupełnie jak dziecko – jakby powierzchowność wielkiej damy nagle z niej opadła, odsłaniając małą, bezbronną dziewczynkę z bosymi stopami, jak wtedy w bibliotece. Bardzo chciał ją pocieszyć i zmagął się z odruchami, które, jak sądził, były najzupełniej niestosowne. Pragnął jej jakoś okazać – dowieść przerażonej dziewczynce, która sztywna ze strachu czekała na powrót ojca, dowieść nieszczęśliwej żonie, która marzyła, by otwarcie kochać wnuczkę – że może na nim polegać.

– Podziwiam panią, że zajęła się pani tym dzieckiem – rzekł. – Mówię to szczerze.

Niezależnie od tego, na jakie plotki pani może się narazić, postąpiła pani szlachetnie. – Zerknęła na niego. – Jestem pewien, że pani mąż się zgodzi.

Odgarnęła z twarzy zabłąkany kosmyk i wyprostowała ramiona.

– Szkoda, że nie mam pańskiej pewności siebie – odparła cicho. – Musi mi pan wybaczyć to wszystko – dodała. – Normalnie nie płaczę. Płaczem i tak nie da się nic osiągnąć, a w dodatku źle wpływa na cerę.

Słowa te były tak żalną próbą obrócenia sytuacji w żart, że aż ścisnęło mu się serce.

– Zapewniam panią, że wcale nie czuję się zażenowany – odpowiedział. – I że pani cera nie ucierpiała ani na jotę, lady Cavendish.

Uśmiechnęli się do siebie. Był to pierwszy prawdziwy, naturalny uśmiech, którym go obdarzyła i który miał zapamiętać na zawsze.

Louisa Cavendish siedziała w oranżerii hotelu Waldorf i rozpierało ją samozadowolenie.

Była godzina czwarta i w kawiarni panował tłok. To niezwykłe, pomyślała, patrząc na tłumy zgromadzone pod palmami i przeszkłonym, wypukłym dachem, jakiego rodzaju ludzie ściągają na popołudnia z taniem – wyglądało na to, że wpuszcza się każdego, byle tylko zapłacił pięć szylingów. Louisa westchnęła i przytrzymała skraj spódnicy, bo właśnie przepychała się obok niej potężna kobieta w pomarańczowej sukni.

Louisa posłała jej spojrzenie pełne współczucia. Ona przynajmniej wiedziała, jak się ubrać, pomyślała. Miała na sobie odważną suknię z tulipanową spódnicą, a pióro w kapeluszu sterczało w górę, by nie zasłaniać twarzy. Pomyśleć tylko, że próbuje być uwodzicielska w tangu, gdy tymczasem przed oczami dynda jej większa część strusia. Zabawne. Doprawdy, niektóre kobiety nie mają o niczym pojęcia.

Odchyliła się na oparcie wyściełanego krzesła, by jeszcze korzystniej zaprezentować swą

figurę. Udało jej się osiągnąć żądany efekt – paru mężczyzn z sąsiednich stolików rzuciło jej spojrzenia pełne podziwu. Louisa stłumiła rozkosznie niegrzeczny uśmiech. Pani de Ray ani Florence nie miały pojęcia, że tu dzisiaj przysłała. Powiedziała im, że wybiera się na wystawę w Tate Gallery. Florence, wsadzając ją do taksówki, oznajmiła, że sama ma dość sztuki na całe życie, i dopiero kiedy pojazd ruszył z placu, Louisa pozwoliła sobie na śmiech. Oczywiście, było to z jej strony nikkzemne, panie de Ray były jej przecież tak życzliwe i oddane – coś tam trzeba im będzie zmyślić – ale chyba zasługuje chociaż na jedną przygodę. A herbata w nowo otwartym Waldorfie to przecież nic nadmiernie skandalicznego. Przeciwnie, to nawet skromne. Poprawiła fałdy ozdobionej haftem turkusowej sukni i uśmiechnęła się do siebie.

Panie de Ray okazały się cudownym towarzystwem. Gdyby je wtajemniczyła, niewykluczone, że zaaprobowalyby pomysł małego romansu. Florence na pewno zzielenieje z zazdrości na wieść o nieszkodliwym popołudniowym wysoku przyjaciółki przy herbatce. Kiedy wyprawa na kontynent została odwołana – jej kres położyły szerzone przez pana de Raya, niezważającego na to, że całkowicie rujnuje im plany, wieści o nadchodzącej wojnie – matka z córką były tak miłe, że dotrzymywały Louisie towarzystwa podczas wszystkich większych wyjść i okazji. W tym czasie nie doszło jednak ani razu do sam na sam z mężczyzną. Louisa była zdania, że zanim wróci do domu na lato, należy jej się choć jedno.

Całe szczęście, że pani de Ray mogła się nią zająć. Wyjaś niła jej spokojnie, acz stanowczo, że Octavia przeżywa swego rodzaju kobiecy kryzys. W normalnych okolicznościach, rzecz jasna, Louisa wróciłaby do Rutherford, by ją wspierać, zrobiłaby to naprawdę chętnie, ale mama nakazała jej zostać.

Matki były bardzo przydatne. Louisa uwielbiała swoją, to jasne, ale przy niektórych, szczególnych okazjach można było ją porównać do kamienia u szyi. Swoją uprzykrzoną gadaniną o nazwiskach i tytułach matki zdolne były odstraszyć najprzystojniejszego z kandydatów. Brzmiało to okropnie niewdzięcznie, bo mama nie była wcale kamieniem u szyi, tylko wspaniałą osobą, nie licząc oczywiście czasu od wiosny, kiedy to na jej twarzy pojawił się sztuczny, przyklejony uśmiech, i na niej pozostał. Ostatnio zachowywała się jak nieobecna – bardzo, bardzo daleka od nastroju zabawy, tańców i kolacji. Raz czy dwa Louisie zdarzyło się dostrzec na jej twarzy ból. Nie pozwalała też sobie, jak to dawniej bywało, na żarty z jednego księcia, który najwyraźniej nie posiadał szyi, czy z drugiego o wyjątkowo cuchnącym oddechu, które dotąd zawsze stanowiły lwią część rozrywki całego sezonu. Dziewczęta dzieliły arystokratów na zabójczych, fatalnych i ledwie do zniesienia, podczas gdy matki oceniały ich dochody i porównywały majątki ziemskie. Mama nigdy się w to jednak nie angażowała.

Po pewnym czasie Louisa pojechała z matką na stację, by wśród kłębow pary i dymu grzecznie pomachać jej na do widzenia. Mama była ożywiona, wesoła i gadatliwa, mówiła, że nie może się doczekać chwili, kiedy odetchnie świeżym powietrzem hrabstwa York.

– Kiedy ojciec wróci z Paryża, Louiso, musisz się z nim dokądś wybrać. Trzeba, by cię widziano w jego towarzystwie. Jesteś przecież jego córką.

Louisa uznała te słowa za nieco dziwne.

– Myślę, że to raczej Harry powinien pokazywać się w jego towarzystwie, nie ja – odpowiedziała.

Octavia spojrzała córce prosto w oczy.

– Na Harry'ego przyjdzie czas – rzekła. – Chcę, żebyś dotrzymała towarzystwa ojcu, jeśli cię o to poprosi.

Louisa z mieszanymi uczuciami patrzyła za odjeżdżającym pociągiem. Ojciec powinien być w Londynie, a nie załatwiać jakieś tajemnicze sprawy w Paryżu. Miało to podobno coś wspólnego z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, tak twierdziła mama, było w tym jednak coś

jeszcze, ale co – Louisa nie miała pojęcia. Wyjechał prawie od razu po tym dziwnym zdarzeniu w marcu, kiedy to rodzice przestali się do siebie odzywać. Pokłócili się, to jasne, a teraz matka chciała, by Louisa zajęła jej miejsce u boku ojca, kiedy pojawi się w Londynie.

Florence twierdziła, że małżeństwo zawsze tak się kończy. Jej rodzice w najlepszym razie byli wobec siebie chłodni, ale matka nigdy nie dopuszczała do tego, by psuło jej to nastrój.

– Kobieta zawsze musi trzymać głowę do góry, i serce też – poradziła dziewczętom pani de Ray, kiedy pewnego wieczoru rozmowa zeszła na małżeństwo. – I wydawać, ile tylko się da, na kapelusze. Lepiej być elegancką niż nieszczęśliwą.

Listy, które Louisa dostawała od matki, były radosne: pisała mnóstwo o domu i o zwyczajnych sprawach. Louisa wycięła więc z pamięci jej pusty uśmiech. Wkrótce będzie przy niej, myślała, wróci akurat na bale myśliwskie i będą się nad nią pochylać czerstwe, rumiane twarze najlepszych kawalerów hrabstwa York. Będzie w domu, zamierza chodzić wysoko w góry, by zjeść z ojcem lunch na jakimś bagnistym terenie łowieckim. Wskazano jej już nawet jakiegoś niezdarłego, tyczkowego nieszczęśnika, który ponoć stanowił najlepszą partię – jego rodzina miała w posiadaniu połowę Northumberlandu. Louisa wytknęła matce, że młodzieńca tego cechowała osobowość zdechłej ryby, i temat na szczęście został odłożony na bok.

Ojciec wypowiedział się raczej brutalnie:

– Mężczyzna nie potrzebuje osobowości, kiedy ma cztery miliony funtów rocznego dochodu, Louiso. Abernethysowie mieli dość rozumu, by nie roztrwonić fortuny.

– To dlatego, że straszne z nich sknery – zaprotestowała Louisa. – Wszyscy dobrze o tym wiedzą. Wydali tylko jedną kolację, a i ona wypadła fatalnie. Zatrudnili okropnych węgierskich skrzypków, a tapety były brązowe. Nie zamierzam spędzić życia z człowiekiem, który uważa, że na tym polega kultura.

William przynajmniej się zaśmiał, co dawało jakąś nadzieję. Po Bożym Narodzeniu uszła z niego jednak, jak się wydawało, cała wesołość.

Kiedy tak rozmyślała, nagle zobaczyła Maurice'a lawirującego między stolikami, by dostać się w róg sali. On przynajmniej nigdy nie rozmawiał o polityce – był po prostu zabawny, zawsze się uśmiechał, zawsze... cóż, zawsze był taki osobisty. To było bardzo ekscytujące. Serce zabiło jej gwałtowniej.

W kwietniu spotkała go przed Her Majesty's Theatre na premierze sztuki *Pigmalion*. W każdym razie tam widziała go po raz pierwszy. Wraz z matką i Florence stały w tłumie na stopniach i czekały na taksówkę. Wydarzyło się to na kilka dni przed wyjazdem mamy do hrabstwa York. Rozmowa była bardzo wesoła, dotyczyła słowa „cholernie”, które tego wieczoru po raz pierwszy padło z londyńskiej sceny. Widownia śmiała się ponad minutę, wstrzymując grę aktorów. Teraz wszędzie dookoła słychać było panie z wyższych sfer utyskujące, jak „cholernie” długo muszą czekać na swojego kierowcę. Dawniej mama podchwyciłaby dowcip jako jedna z pierwszych, lecz dziś, poirytowana, odwróciła tylko wzrok. Z początku Louisa myślała, że wysoki, przystojny mężczyzna w tłumie wpatruje się w mamę, ale nieoczekiwanie posłał jej tak bezpośredni, wręcz ordynarny uśmiech, że aż oblała się rumieńcem. Wtedy od razu zniknął, ale później widziała go jeszcze na derbach i natychmiast rozpoznała.

Podszedł prosto do niej, kiedy oglądała konie na padoku. Być może czekał, by na chwilę została sama.

– Podobała się pani sztuka? – spytał.

Przez chwilę nie mogła skojarzyć, o czym mówi.

– To była świetna zabawa – odpowiedziała.

– Nie sądzi pani, że pani Pat ma już nie te lata? – spytał, wymieniając nazwisko głównej aktorki. Zdziwił ją jego akcent i prosty sposób wypowiedzania się. Dotąd kojarzyła Francuzów ze

starannością i wyszukany stylem.

– Nie – odpowiedziała. – Nie, przecież wyszła za George’a Cornwallisa-Westa.

– Jak przypuszczam, jest oszałamiający.

– Taki, jaki powinien być mężczyzna.

Uniósł brew, dotknął kapelusza i odwrócił się, by odejść. Kiedy Florence wróciła, Louisa próbowała odnaleźć go w tłumie, ale nie zdołała.

– Wyobraziłaś go sobie – droczyła się z nią Florence.

Potem pojawiał się nieoczekiwanie w najróżniejszych miejscach – a to w deszczu na rogu Bond Street, kiedy przejeżdżała taksówką, a to w niedzielny poranek przed ich domem. W maju widziała go na konnej przejażdżce, a potem znowu w stajniach królewskich, skąd brano konie. Pewnego dnia pojawił się znowu w Gamages.

– Poluje pan na mnie? – zapytała wprost. – Bo jeśli tak, to uważam, że to bardzo niegrzeczne z pańskiej strony.

Uklonił się jej, zdejmując kapelusz.

– Nazywam się Maurice Frederick. – Stał obok wystawy, na której rzędami poukładano jasne rękawiczki, pióra i małe zabawne torebki. Wydawał się bardzo swobodny. – A pani to Louisa Cavendish.

Gapiała się na niego.

– Chyba pana nie znam.

– Jestem znajomym pani brata.

– Mojego brata?

– Nie wspominał o mnie?

– Nie.

– No cóż, nie widuję się z nim za często.

Cofnęła się o krok. Zachowywał się bardzo niepokojąco. Sprawiał wrażenie, że zna wszystkich w jej rodzinie, ale mogło przecież tak być, skoro znał Harry’ego.

– Muszę iść – oznajmiła.

– Mógłbym panią odprowadzić? Choćby do drzwi? – zapytał i podał jej ramię. – Zapewniam, że nie zhańbię pani w drodze na ulicę.

Zarumieniła się. Rzeczywiście zastanawiała się, czy przyjęcie ramienia nieznanego mężczyzny nie narazi jej na zażenowanie, a odmowa będzie nietaktem. Po chwili wahania zgodziła się.

– Jest pan Francuzem? – zapytała.

– Z Paryża.

– Mój ojciec obecnie tam przebywa.

– Doprawdy? – zapytał. – Pewnie w związku z sytuacją na Bałkanach.

Louisa nie miała pojęcia o sytuacji na Bałkanach, nic więc nie odpowiedziała. Doszli do drzwi wyjściowych. Włożyła rękawiczki. Maurice obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty, a właściwie zbyt pełnym aprobaty.

– Nie przypuszczam, abym spodobał się pani ojcu.

– A to dlaczego?

Wzruszył ramionami bardzo z francuska.

– Jestem nikim. Nie mam majątku, rozumie pani.

Spróbowała być nowoczesna.

– Nie sądzę, aby to miało największe znaczenie.

– Doprawdy? – zastanowił się. – Niestety nie mam też wpływów. To przykre. I muszę pracować.

- Pracuje pan? – zapytała zaintrygowana. – Gdzie?
 - Jestem urzędnikiem w ambasadzie francuskiej.
 - Och, to bardzo ciekawe.
 - Tak pani sądzi? – Zaśmiał się z wdziękiem. – Będę musiał sobie to zapamiętać.
- Parę dni później przy śniadaniu wspomniała Harry'emu o Maurice Fredericku. Brat

zmarszczył czoło.

- Nie znam żadnego Maurice'a.
- Ale on ciebie zna.
- Wątpię – powiedział, przeciągając samogłoski. – W każdym razie uważaj na siebie, mała. Gdzie go spotkałaś?

- W różnych miejscach.
- Przyjemnych?
- W innych nie bywam.
- I on twierdzi, że mnie zna?
- Sprawia wrażenie, jakby znał nas wszystkich. Pracuje w ambasadzie.

Harry uniósł brew.

- Pracuje? To znaczy należy do korpusu dyplomatycznego?
- Nie wiem – przyznała Louisa. – Nie, nie przypuszczam. Jest Francuzem.
- Francuzem? – powtórzył Harry. Wstał i rzucił serwetkę na stół. – To dla ciebie fatalnie, siostrzyczko. A z jego strony podwójnie nikczemnie.

Teraz jednak, kiedy siedziała w palmiarni i obserwowała Maurice'a Fredericka przeciskającego się do niej między stolikami i robiącego na wszystkich fantastyczne wrażenie, Louisa musiała przyznać, że jakkolwiek by Maurice był – a w tej kwestii nie mogła ufać samej sobie – to na pewno nie był, i nigdy nie potrafiłby być, nikczemny.

Dotarł wreszcie do jej stolika i usiadł przy nim z uśmiechem.

– Wygląda pani rozkosznie, siedząc tutaj – rzekł. – Zazdroszczą mi wszyscy w tej kawiarni.

Zaśmiała się.

- Mówi pan skandaliczne rzeczy.
- Podniósł ręce w obronnym geście.
- To nic skandalicznego, to czysta prawda.

Podobał jej się jego bezczelny urok. Przynajmniej nie owijał niczego w bawełnę. Nie ukrywał swego podziwu dla niej. Jeśli chodzi o Maurice'a, nie było mowy o niezdarności, pomyślała i oblała się rumieńcem wstydu z powodu własnych myśli. Spróbowała zmienić temat.

- Dość długo pana nie widziałam.
- Naprawdę? W takim razie przepraszam. Przy barze jest pełno Amerykanów.
- To nic dziwnego. Uważają się za wynalazców tanga.

Maurice uśmiechnął się.

– Tango pochodzi z Marsylii – rzekł. – Narodziło się w miejscach okrytych złą sławą. – Uniósł brew, by zaznaczyć, że to, co powie, może być szokujące. – W miejscach, gdzie damy przestają być damami.

- W miejscach, w których pan bywał?
- Ja? Ależ skąd, nigdy.
- Ale Paryż jest szokujący, prawda?
- Jeśli właściwie patrzeć, to tak.

Oparła brodę na dłoni.

- Tak bardzo chciałabym go zobaczyć. To nudne, że ojciec nigdy mnie tam nie zabiera.

A mógłby, wie pan. Ciągłe tam jeździ.

– Ach, no cóż – mruknął Maurice. – Paryż nie jest raczej miastem, które należy poznawać w towarzystwie ojca. To miasto, do którego jedzie się z kochankiem.

I znowu to samo: jego bezpośredniość, ukryta za swobodnym, zuchwałym uśmiechem. Była pewna, że nie powinna odpowiadać, ale nie zdołała się powstrzymać.

– Cóż, nie mam kochanka, więc po prostu nie mogę tam jechać.

Pochylił się nad stolikiem i wyszeptał:

– Cóż za strata dla Paryża.

W tej chwili ku uldze Louisy podano herbatę. Z zachwytem ogarnęła wzrokiem misternie poukładane ciasteczka i małe kanapeczki.

– Och, czemu wszystko nie może być równie piękne jak hotel Waldorf w środowe popołudnie? – westchnęła.

Tym razem Maurice wybuchnął śmiechem. Spojrzała na niego z urazą.

– Co takiego powiedziałam?

– Nic, moja droga – odparł i przycisnął serwetkę do ust.

Louisa obruszyła się.

– Nie rozumiem, co pana tak rozbawiło.

– Chodzi tylko o to... – zaczął i przerwał, dobierając słowa. – Biorąc pod uwagę wszystko, co się słyszy o wojnie, rozmowa z panią działa tak odświeżająco.

Wzruszyła ramionami.

– Bo właśnie tak uważam. – Podniosła srebrny dzbanek i zaczęła nalewać herbatę. – To wszystko takie niepotrzebne. Pani de Ray twierdzi, że nawet premier jest tego zdania. – Odstawiła dzbanek. – Dlaczego ludzie nie mogą po prostu być dla siebie mili? Czym jest wojna, jeśli się nad tym zastanowić? Jak wszystko, jest pozą mężczyzn. Król również jej nie chce, dlaczego więc ktoś inny miałby jej chcieć? Uważam, że kto jak kto, ale król powinien być jednak dobrze zorientowany.

Maurice przyglądał się jej z uwagą. Nie umiała odgadnąć, o czym myśli. Przez ułamek sekundy odniosła wrażenie, że jakiś cień przemknął po jego twarzy – jakieś wyrachowanie – ale wrażenie szybko minęło. Uśmiechnął się szeroko.

– Ma pani zupełną rację. – Upił łyżeczek herbaty i spojrzał jej prosto w oczy znad brzegu filiżanki. – Na świecie jest mnóstwo przebiegłych ludzi i inni przez nich cierpią.

– Właśnie – potwierdziła z triumfem i rozejrzała się po barwnym tłumie. – W lecie wszyscy są tacy szczęśliwi – zauważyła. – I wie pan co, według mnie lipiec w Waldorfie mógłby trwać wiecznie. Wszędzie i zawsze mogłoby być tak jak tutaj, gdyby tylko ludzie choć trochę się postarali.

Nagle odstawił filiżankę i pod stolikiem sięgnął po jej wolną rękę, ściskając ją mocno. Zareagowała na tę poufałość uśmiechem, który jednak po chwili zmienił się w grymas.

– To boli – powiedziała.

– Czyż nie jest pani drogocenną różyczką? – rzucił.

Skonsternowana, zmarszczyła brwi.

– Co takiego powiedziałam? – spytała.

– Czy pani cokolwiek wie o świecie? – Natrętnie palce dalej wwiercały się w jej nadgarstek.

Próbowała wyrwać rękę.

– Maurice, proszę przestać!

W kąciaku jego ust zadrgał uśmiech.

– Nie – odpowiedział sam sobie. – Nie, oczywiście, że pani nic nie wie. Ależ jest pani

urocza. – I puścił jej rękę.

Przez parę sekund siedziała i patrzyła na niego zdezorientowana, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, nie wiedząc, czy wziąć to za komplement, czy za obrazę. Pomasaowała sobie nadgarstek. Pierwszy raz ktoś dotknął jej w taki sposób – nachalny, zaborczy.

Przygryzła wargę i spuściła oczy. Serce waliło jej jak oszalałe. W rogu sali zaczął grać kwartet smyczkowy.

W Londynie o ósmej rano panował taki ruch, że Harry omal nie spóźnił się na pociąg. Wbiegł na dworzec St. Pancras w ostatniej chwili, dosłownie na kilka minut przed odjazdem, a kiedy wreszcie zajął miejsce naprzeciwko ojca w przedziale pierwszej klasy, potężna lokomotywa już ruszyła.

William nie uśmiechnął się ani nie odezwał. Skinął tylko głową. Kiedy Harry usiadł, okazując wszem wobec swą obojętność – wciąż próbował wyrzucić na ojcu wrażenie, że swą obecnością robi mu wielką łaskę – w głębi duszy pomyślał sobie, że ojciec wygląda na wykończonego.

Ostatnią noc William spędził w hotelu Midland Grand tuż przy dworcu, ale mimo całej wspaniałości tego gotyckiego budynku, nie mógł spać. Szczerze mówiąc, prawie nie spał przez ostatnich siedem nocy – żołądek miał zaciśnięty w węzeł, który za nic nie chciał się rozluźnić. Nie chodziło o Harry'ego, choć długi i nieobecności syna na wykładach skazały go na parę ostrych słów ojca, które to słowa padły podczas ich spotkania kilka dni wcześniej. Harry przyjął upomnienia z wyraźną ulgą, pomyślał William, lub był już po prostu zmęczony życiem, które ostatnio prowadził. W każdym razie porzucił swą wojowniczą postawę i posłusznie zgodził się na powrót do hrabstwa York. Ich spotkanie zakończyło się swego rodzaju krępującym, niezręcznym zawieszeniem broni. A teraz półprzytomny z niewyspania chłopak rozpierał się na siedzeniu w pociągu naprzeciwko niego. William przyglądał mu się z niepokojem i troską. Czegóż by nie oddał, żeby dowiedzieć się, co się dzieje w głowie syna.

Nigdy się nie spodziewał, że Harry świetnie poradzi sobie w Oksfordzie. Wieści o jego porażkach naukowych nie dziwiły go więc, choć trzeba przyznać, że rozczarowały. W tej chwili nie martwiły go jednak ani długi syna, ani wywołane przez niego skandale, i ani długi, ani skandale nie były powodem, dla którego naciskał, by chłopak wrócił z nim do Rutherford. Prawdziwą przyczyną było to, co działo się za kanałem La Manche.

William od wielu tygodni kursował między Paryżem a Londynem jako nieoficjalny kurier Ministerstwa Spraw Zagranicznych, towarzyszyło mu więc poczucie, że niczym koń w kieracie znajduje się w nieustannym ruchu: wciąż idzie, przemieszcza się, podróżuje, ale bez konkretnego celu, bez skutku.

Spojrzał na Harry'ego, który wyprostował się teraz na siedzeniu, a wczesne, poranne słońce zaświeciło mu prosto w twarz. Chłopiec – William wciąż, nawet teraz, nie mógł myśleć o nim inaczej – nagle odwrócił się do niego i pokazał ręką na peron, który właśnie mijali.

– Widzisz to wszystko? – zapytał.

William spojrzał zdziwiony na ustawione w rzędzie wozy konne z wygiętymi w łuk budami i kuframi na bagaże, na których nadrukowano słowa: WYGODNA JAZDA DO MIDLAND, PACZKI I POCZTA DO MIDLAND. Blisko peronu, w przelocie zobaczyli konia ciągnącego płaski wóz wypełniony słomą i mlekiem.

– Tego wszystkiego – zaczął Harry – za rok tu nie będzie. Koni. Słomy. Owsa. Nie zostanie nawet ślad po koniach. – Oparł się o siedzenie. – Wiesz, ile jest dziś koni w Londynie, ojczy? Dwieście tysięcy. A było znacznie więcej. Ale założę się, że za dziesięć lat nie będzie ani jednego. Ani jednego.

William nie usłyszał z tej przemowy prawie nic prócz „za rok tu nie będzie”. Na ile

Anglia zmieni się w ciągu nadchodzącego roku, jeśli to, czego obawiają się wszyscy w Whitehallu, rzeczywiście dojdzie do skutku? Zamknął oczy i próbował zwalczyć uczucie, które towarzyszyło mu od wielu dni – że Europa pędzi ku konfliktowi, podczas gdy Anglia wlecze się za nią, ciężka, ospała i z klapkami na oczach. Anglicy byli senni i ociężali jak konie pociągowe drzemające w cieniu, a Serbowie gnali naprzód. Z niechęcią myślał o własnym kraju.

Pięć lat temu, w czasie podróży tym samym pociągiem, William widział człowieka ładującego całą zgraję psów myśliwskich do wagonu służbowego, bo chciał przewieźć je do hrabstwa Derby. Jeśli chodzi o takie sprawy – utrzymanie status quo, co czasem wydawało się dziwaczne – Brytyjczycy byli niezrównani. Razem z Harrym siedział później w wagonie restauracyjnym wyposażonym w miękkie, wyściełane meble, srebrne sztućce i koronkowe pokrowce na krzesła, na których wyhaftowano litery M i R. Podróżując najbardziej elegancką i najszybszą linią kolejową w kraju, czuł się bardzo bezpiecznie. Teraz obawiał się jednak, że to wszystko iluzja, która za parę tygodni obróci się w ruinę, a wojna zacznie toczyć się nawet na angielskiej ziemi. Otworzył oczy i napotkał zdziwione spojrzenie Harry'ego. Odetchnął głęboko, by się uspokoić.

– Niewątpliwie – mruknął do siebie. – Niewątpliwie.

William cztery dni wcześniej przybył do Dover i od razu napisał do Octavii. Mimo wszystkich słów, które między nimi padły – lub nie padły – chciał znaleźć się u jej boku, zanim zapadnie decyzja o wojnie, co bez wątpienia nastąpi. Wojna z pewnością wybuchnie, a on chciał wtedy być w Rutherford. Wojna burska, choć toczyła się daleko, w Afryce Południowej, i tak wyrządziła dużo zła, a tym razem będzie zupełnie inaczej. Francja leżała zaledwie dwadzieścia mil dalej, po drugiej stronie kanału. Nie miał żadnych wątpliwości, że Hunowie wkrótce zainteresują się wyspą.

Niemniej jednak nie planował ani dzielić się z Octavią stanem faktycznym swojej wiedzy i obawami, ani też dramatyzować przy dzieciach. Ochronę własnej rodziny uważał za święty obowiązek, a pod pojęciem tym rozumiał zachowanie dla siebie wszelkich przeczuć, lęków i świadomości zagrożeń. Powiedzieć im o gorączkowych, burzliwych spotkaniach, do których doszło w ciągu ostatnich tygodni, równałoby się zasianiu w nich tego samego niepokoju, który jego teraz trawił. Nie miał zamiaru tego robić. Pragnął zachować spokój w Rutherford tak długo, jak tylko zdoła. Taka była jego rola – najważniejsza rola w życiu.

W mniejszym stopniu, poczuwał się do tego, by ostrzec Héléne przed możliwością wtargnięcia Niemców przez Belgię. Widział się z nią w poprzednim tygodniu. Umówili się w Maximie, ale restauracja zupełnie nie przypominała tej, którą pamiętał sprzed lat. Klientela była teraz po prostu wulgarna, a wewnątrz dosłownie zapchane stolikami. Héléne miała na sobie jakiś jaskrawy, zielono-złoty kostium z dekoltem odsłaniającym zdecydowanie zbyt dużo. Nawet mimo setek lampek rzucających łagodne, różowawe światło, wyglądała na podstarzałą. Parę lat temu, kto wie, może by jej uległ, ale teraz sprawiali raczej wrażenie antagonistów. Zaczepne, namiętne spojrzenia, które miała w zwyczaju mu rzucać, dziś utraciły swoje znaczenie i stały się przebrzmiałe. Chodziło jej wyłącznie o to, by zdobyć więcej punktów. Nigdy nie wiązała się z mężczyzną. Nie była tym zainteresowana. Za to zdobywaniem ich – jak najbardziej, wykrwawianiem ich – tak, wykorzystywaniem – owszem. Budowaniem związku – nie.

Tym razem, kiedy siedzieli w Maximie, kazał jej jechać do Londynu.

– Myślisz, że w Paryżu nie jest bezpiecznie?

– W Claridge's będzie ci bezpieczniej.

Zaśmiała się.

– Cóż, napływ oficerów może być dość interesujący.

– Héléne – powtórzył. – Wyjedź. Zabierz Charles'a, jeśli to konieczne.

– Charles już wyjechał – odparła. – Pracuje w Londynie.

To była dla niego nowość. Chłopak, przyszedłszy do ich domu, nie wspominał, że jest zatrudniony w Anglii, wręcz przeciwnie. Utrzymywał, że przyjechał z Francji na krótko i że zaraz wraca.

– Gdzie?

– W prywatnym banku. Lub czymś podobnym.

Odchylił się do tyłu. Opuściła go cała energia.

– Mogę spytać gdzie?

– Nie możesz. Ponieważ postanowiłeś na niego nie łożyć, ma prawo szukać uczciwego zatrudnienia. I ponieważ postanowiłeś również go nie uznawać, musi sobie radzić w życiu bez ciebie.

Zastanowił się chwilę nad jej defensywnym tonem.

– Masz kogoś, kto się o ciebie troszczy? – zapytał.

– Co masz na myśli?

– Szkoda mojego czasu, Héléne. Masz przy sobie kogoś wpływowego?

– Mam wielu wpływowych znajomych – odpowiedziała beztrąsko. – Jeśli uważasz, że nie przeżyję śmierci jakiegoś nadętego małego arcyksięcia, to się mylisz.

– Będzie wojna. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nonsens. – Podniosła kieliszek w ironicznym toaście.

Héléne, Octavia, Harry, Louisa. Nikt się niczym nie przejmował. Louisa odmówiła powrotu do Rutherford.

– Przyjadę za dwa tygodnie – powiedziała. – Na tydzień przed rozpoczęciem polowań. Obiecuję.

Wątpił jednakże, czy w tym roku w ogóle dojdzie do polowań. Znowu zamknął oczy i pod powiekami ukazały mu się – niczym zapisane na taśmie filmowej – wydarzenia ostatnich dni.

W tydzień po zabójstwie arcyksięcia wezwano go do Izby Gmin. Grey spotkał się z nim w barze. William darzył ministra spraw zagranicznych szczerą sympatią. Edward Grey był pierwszym wicehrabią Falloden i studiował w Balliol – tym samym oksfordzkim college'u co William. William odwiedził też jego majątek, Falloden Hall, ponieważ leżał mniej niż dzień jazdy od Rutherford. Zanim Edward niczym meteor wzniósł się na oszołamiającą orbitę, zostając ministrem, William zawsze uważał, że pewnego dnia osiadzie na dobre w swym Falloden i napisze książkę o ptakach Anglii, o których zawsze opowiadał. Jego żona od dawna nie żyła, a dzieci nie miał. Sprawiał wrażenie człowieka o interesujących, ale niewinnych pasjach. Tamtego dnia widać jednak było po nim napięcie.

– Wiesz, co niedawno napisał do mnie Nicolson? – spytał Williama. Nicolson był jego podsekretarzem. – Że ta burza szybko minie.

– A minie?

Grey zapatrzył się w głębiny szklaneczki z brandy.

– Gazety serbskie opublikowały reportaż z masowego zabójstwa ich rodaków w Bośni.

– To prawda?

– Oczywiście nie. Ale mówi się o ostatecznych porachunkach z Serbią. Cesarz odmówił udziału w pogrzebie arcyksięcia ze strachu, jak twierdzi, przed zakusami na jego życie. Ambasador Tschirschky powiedział, że Serbów trzeba się pozbyć. W garnku zawrzało, Williamie.

Dzień później William widział Karla Lichnowskiego, ambasadora Niemiec, w White's. Lichnowsky zawsze odznaczał się nieskazitelną prezencją, był elegancki, a przede wszystkim

roztaczał wokół siebie aurę spokoju – ale tamtego dnia było inaczej. Mówił, że jego telegramy do cesarza trafiły pod inny adres. Poprosił Greya, by ten podjął się mediacji. Powiedział Williamowi, że ma zamiar napisać do własnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że jeśli wybuchnie wojna, to będzie ona największą katastrofą, jaką widział świat. William patrzył, jak Lichnowsky zaciska swe długie palce na podłokietniku fotela. I ten obraz przede wszystkim – obraz wytraconego z równowagi zawsze eleganckiego i opanowanego Lichnowskiego – chciał utrzymać w tajemnicy przed Octavią i Harrym. Obraz ten stanowił dla niego najlepszy dowód, jak niebezpieczna stała się sytuacja polityczna w tych dniach.

Łańcuch myśli przerwał mu bezlitośnie przeszywający dźwięk gwizdka. William otworzył oczy i wyjrzał przez okno. Harry spał i William prawie żałował, że chłopak nie może przeczekać w ten sposób najbliższej przyszłości. Do Paryża wyruszył, wiedząc coś, czego nie wiedziało wielu: mianowicie, że cesarz zobowiązał się do udzielenia pomocy przeciwnikom Serbii i Rosji, że Francja i Wielka Brytania będą sojusznikami Rosji i że Austria szykuje się do ataku na Serbię. William jechał z osobistą wiadomością do ambasadora swojego kraju w Paryżu: „Kryzys w Serbii sprawia, że włosy jeżą mi się na głowie”, napisał Grey. William wręczył ambasadorowi list, wysłuchał niekończących się kłótni i wziął udział w niezliczonych posiedzeniach.

A teraz wracał. Jechał na północ, zostawiwszy Greya samego z jego szalonymi depeszami. Początkowo zamierzał udać się na przegląd floty do Portsmouth, ale kiedy pakował walizkę, wiedział już, że nie pojedzie, nawet mimo obecności króla. William nie chciał oglądać królewskich okrętów. Nie chciał słuchać, jak Churchill mówi, że to największa potęga morską, jaką widział świat na przestrzeni dziejów.

Pragnął tylko jednego.

Jechać do domu i zabrać z sobą syna.

Służący, którzy przebywali w Londynie, wrócili do Rutherford poprzedniego dnia. Wyładowana bagażem dwukółka toczyła się ze stacji w miękkim, ciepłym świetle wczesnego wieczoru. Siedzące między kuframi i walizkami podkuchenna Catherine i nowa, zatrudniona w Londynie pokojówka drzemały, mijając drogi, gospodarstwa i pola, a nawet całą aleję dojazdową do Rutherford, oświetloną ostatnimi promieniami rzucającego długie cienie słońca. Harrison i pani Cooper zamykali procesję taksówką. Kiedy zbliżyli się do głównego wejścia, na schodach pojawił się pan Bradfield.

Lokaje Nash i Hardy stali za nim, ale uwagę Harrisona przyciągnęła Mary Richards. Wyglądała świeżo, jak z pudełeczka, czysta i wykrochmalona, podczas gdy on sam ostatnie dwa dni spędził w brudnym pociągu, a siedem miesięcy – w jeszcze brudniejszym mieście. Wskoczył z taksówki, otworzył drzwi przed panią Cooper i wyciągnął swoje walizki. W ogromnym holu przez dłuższą chwilę panowało zamieszanie. Harrison nie omieszkiał wykorzystać sposobności, by w ukryciu dać kopniaka chłopakowi na posyłki.

– Nigdy się nie zmienisz, co? – mruknął do Alfreda. – Wciąż jesteś tłustym, obślinionym kurduplem.

Po schodach, już za dużymi, obitymi zielonym suknom drzwiami, Mary szła przed Harrisonem. Tuż przed oczami falowały mu wstążki jej czepka, słyszał też szelest, jaki wydawała jej spódnica, ocierając się o ściany wąskiego korytarza. Na ostrym zakręcie korytarza nad kuchnią złapał ją za ramię. Rzuciła mu ostre spojrzenie i próbowała się wyrwać.

– Tęskniłaś za mną? – spytał.

Zdołała wyzwolić się z uścisku.

– Już myślałam, że przebywanie w towarzystwie jaśnie pana poprawiło ci maniery – rzuciła.

– Jaśnie pana? – powtórzył ze śmiechem. – On był u swojej kochanki. Ostatnio nie widywaliśmy go za często. A ona, co tu robiła? Bradfield pisał do Coopera, że jest tu jakiś Amerykanin, któremu będzie musiał usługiwać.

– Nie przypuszczam, żeby domagał się usług. Sam się sobą zajmuje.

– Więc nie pochodzi z wyższych sfer?

– Z wystarczająco wysokich. Wyższych niż ty. A teraz zejdz mi z drogi.

Harrison wyprzedził ją na schodach. Pochylił się nad nią i powiedział ze złością:

– O, wydajesz mi rozkazy. Zadzierasz nosa.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Na wypadek, gdybyś nie zauważył, ja nie jestem Emily Maitland – oznajmiła. – Więc nie będziesz się nade mną znęcał.

– Proszę, proszę, bronisz amerykańskiego znajomego naszej lady? A ja myślałem, że teraz dopiero ją znienawidzisz.

Mary odwróciła wzrok.

– To nie twoja sprawa.

– Przecież to jej przedziałnie. Jej plugawe domy. Wszystko słyszałem.

– Daj mi spokój.

– Rozmawiała z tobą chociaż po tym, co się stało?

Mary wbiła wzrok w ziemię.

– Powiedziała, że przykro jej z powodu naszej straty. Wezwała mnie do saloniku porannego.

– Bardzo miło – zadrwił – że zdołała znaleźć czas.

Przepuścił ją i patrzył, jak zbiega po schodach. Z kuchni dochodziły podniesione głosy – to pani Carlisle udzielała już podkuchennej pierwszej reprimendy. Słyszał słabe protesty Catherine, która tłumaczyła, że starała się, jak potrafiła najlepiej, i władczy ton pani Carlisle. Pani Carlisle wróciła z Londynu dwa miesiące wcześniej, by towarzyszyć jaśnie pani, ponieważ Louisa większość czasu spędzała u państwa de Ray, a jaśnie pan przebywał we Francji.

Harrison dostrzegł dziewczynę do wszystkiego i podkuchenną przemykającą chyłkiem, niczym dwie zastraszone myszy, do destylarni po napoje i desery. Usłyszał trzaśnięcie drzwi zamykanych przez Bradfielda. Uśmiech na jego twarzy zmienił się w złośliwy grymas satysfakcji. Oto wreszcie był w domu, z całą kolekcją skandali z udziałem panicza Harry'ego w zanadrzu. Zamierzał za plecami Bradfielda urozmaicać nimi czas przy stole dla służby, dawkując tę wiedzę po trochu przez całą zimę: o pijanym Harrym wracającym do domu o trzeciej nad ranem, o Harrym i jego kumplach wybijających okna na Regent Street i strącających policjantowi czapkę z głowy, o Harrym wynajmującym łódź na Tamizie i pływającym nią po jeziorze Serpentine. Było tego tyle, że pokojówki długo nie zamkną oczu i ust z wrażenia.

Czekało go znacznie więcej rozrywki. Nowa garderobiana, Jenny, była wysoka, chuda, chętna i za wszelką cenę starała się wszystkich zadowolić. Mówiła z twardym akcentem ze wschodniego Londynu, będzie więc musiał ją poprawiać. Zobaczy, co będzie gotowa dla niego zrobić, jeśli warknie na nią wystarczająco głośno, kiedy zostaną sami. Wiedział, który przydzielono jej pokój – tuż obok Dodd, żeby zarządzająca miała ją stale na oku, natomiast poza zasięgiem małej Mary i jej bolszewickiego tupetu. To właśnie takie dziewczyny jak Mary, pomyślał sobie, są przyczyną kłopotów. Znał mnóstwo sufrażystek w białych sukniach i z liliami w rękach, rozlepiających plakaty z hasłem: „Daj mi wolność”, było ich na pęczki. Prychnął lekceważąco. Kobiety nie potrzebowały wolności, tylko mężczyzny, trzymającego je na wodzy, tak samo jak jeździec poskramia rozdrażnionego wierzchowca. Słyszał raz, jak jaśnie pan mówił coś takiego. Kobiety potrzebowały, by łamać im serca. To je temperowało. To je uczyło. Taki

panicz Harry złamał parę kobiecych serc. Harry obserwował to na ich twarzach, kiedy z powozu lub taksówki młodzieniec obwieszczał im wyrok. Małe, smutne twarze pełne nadziei, obecne na wielu kolacjach wydanych przez jaśnie panią, zanim wróciła do domu.

Zdjął płaszcz i ruszył schodami w dół.

Stół był nakryty do późnej kolacji. Zanosiło się, że odbędzie się ona w pośpiechu, bo minęła już piąta, o której podawano zwykle herbatę. Pani Carlisle narzekała, że kolacja na gorze musi zostać podana o ósmej, jak co dzień. Harrison usiadł za stołem.

– Kto to jest ten Gould? – zapytał. Bradfield wciąż był u siebie w pokoju, gdyby nie to, Harrison nie odważyłby się drażnić tematu.

– Pan John Boswell Gould – Mary poprawiła go natychmiast.

– Po co przyjechał?

– Jest historykiem – odparła pani Carlisle. – Pisze książki. Przyplłynął tu statkiem „Laconia”.

– Jest bardzo miły – dodała Mary. – Uprzejmy.

– W życiu nie wsiadłabym na duży statek – mruknęła Cynthia. – Jeśli „Titanic” zatonał, to nie można już ufać żadnemu.

– Daj spokój „Titanicowi” – powiedziała pani Carlisle zniecierpliwiona. – Wszyscy mieliśmy dość twojego chlipania, kiedy to się stało. Następnej katastrofy nie będzie.

– Mimo to za nic nie zbliżyłabym się do morza.

– Nawet nie będziesz miała takiej szansy, więc przestań już nudzić – Mary ucięła ostro.

– Nieważne, którym statkiem przyplłynął, ważne, że czuje się tu jak u siebie w domu – zauważył Harrison. Zabrzęczały naczynia. Nalewano herbatę. Lokaj zaczął się śmiać. – I podobno jest czarujący wobec pań. Urzeka zwłaszcza żony.

– Doprawdy? – zdziwiła się Mary. – A skąd ty miałbyś o tym wiedzieć?

– W mieście sporo się słyszy. Wszędzie zresztą. W pewnych kręgach.

– Dosyc tego – pani Carlisle ucięła rozmowę.

– Spodziewam się, że ona też go polubiła.

– Ona prawie nigdy nie schodzi na kolację – stwierdził Nash. – Więc wątpię.

Harrison rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Czyżby? – zapytał zjadliwie. – Szeroką masz wiedzę. Światowiec z ciebie.

– Pan Gould prawie cały dzień przesiaduje w bibliotece.

– Dwa razy widziałam, jak spacerowali w parku – wtrąciła się Cynthia piskliwie. –

Wzięła go pod rękę.

– Dosyc – odezwała się znowu pani Carlisle.

– Czy teraz... – zaczął Harrison.

Nie dokończył jednak. Wyprostowany na krześle powoli bębnił palcami jednej ręki w stół.

Upał jakby trochę zelżał. John siedział w swoim pokoju i odliczał nudne minuty do obiadu. W rękę trzymał list od kogoś z ludzi Pierponta Morgana. Donosił on, że Egipt nie jest w tej chwili najlepszym celem podróży, że trudno się po nim przemieszczać. Brytyjczycy, od których się tam roiło, jakby objęli ten kraj w posiadanie, musieli teraz zdobywać na wszystko pozwolenia. Domy w Kairze tygodniami stały opustoszałe. Powiało niepokojem.

Gould siedział oparty łokciami o parapet i spoglądał na brzozone sklepienie, rozważając w myśli, dokąd by się udać. Może do Szwajcarii, a może spróbować do Rzymu albo na południe, do Hiszpanii? Ktoś w Nowym Jorku wspominał, że warto zobaczyć Hiszpanię i Maroko, które, przynajmniej na razie, znajdowały się poza płonącym w Europie ogniskiem niepokoju. Przez Kordobę ani Andaluzję nie maszerowali w tę i z powrotem Prusacy. Może taki cel sobie obierze.

Pojeździłby konno w górach. Pobył gdzieś daleko od Rutherford, w miejscu prostym, białym i odległym. Pił dużo wina. A potem z Lizbony wyruszyli do domu.

Wrócić do domu?

Głęboko w sercu wiedział, że tego jednak zrobić nie chce. Bardziej niż cegokolwiek w świecie pragnął zostać tutaj i patrzeć, jak Octavia Cavendish miesza cukier w filiżance kawy. Zdjął łokcie z parapetu, przejechał szczotką po rękawach wieczorowej marynarki i potrząsnął głową.

Kiedy zszedł, była już w salonie. Czekala na kolację, jedną ręką oparła się o pianino, w drugiej trzymała książkę. Podniosła na niego wzrok. Padało na nią światło jednej z lamp. Miała na sobie czerwoną suknię – w kolorze głębokiej czerwieni, żywego szkarłatu.

– Co pani czyta? – zapytał.

– Powieść autorstwa... – sprawdziła nazwisko na okładce – Stein.

– Gertrude Stein?

– Czemu tak to pana szokuje?

– Jestem w szoku, że ta powieść w ogóle trafiła do hrabstwa York.

Uśmiechnęła się i odłożyła książkę.

– Myśli pan, że jesteśmy tu wszyscy jaskiniowcami? W porównaniu z Nowym Jorkiem?

– Bynajmniej – zaprzeczył. – Jaskiniowcami? W Rutherford? Nigdy. Ale zaskoczyła mnie

Stein.

– Pokoje i przedmioty... to bardzo ciekawa praca.[3]

– Podoba się pani?

– Podoba mi się, że napisała to kobieta.

Stali ramię w ramię przy oknie i spoglądali na wieczorne światło na dworze. W ogrodach panował sielski spokój – John czuł, że nawet rozmowa zaburzyłaby to cudowne wrażenie.

Octavia była mu wdzięczna za milczenie. Obawiała się, że nawiąże jakoś do wydarzeń poranka, a ona poczuje się zażenowana. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na jego profil: nos orli, rysy regularne, szokująco gęste blond włosy. Wyczuł jej spojrzenie i odwrócił głowę. Stwierdziła, że jego oczy mają niezwykły, acz bardzo przyjemny odcień: są ni to orzechowe, ni to zielone. Choć uchodził za uwodziciela, nie czarował banalnie, jak można by się spodziewać – te oczy zdradzały zarazem uprzejmość i ciekawość – cechy, które, jak dotąd, Octavia rzadko spotykała u mężczyzn. Uśmiechnął się do niej rozbijając. Przez dłuższą chwilę wytrzymała jego spojrzenie.

Za ich plecami Bradfield zapowiedział kolację. Odwróciła wzrok od Johna. Czowała się, nie wiedzieć czemu, wytracona z równowagi.

Weszli do jadalni. Nakryto im u dwóch szczytów stołu, rozmowa przypominała więc krzyczenie do siebie z przeciwległych końców korytarza. Pod koniec dania głównego John wziął swój talerz i sztucce, podszedł i usiadł w odległości kilkudziesięciu centymetrów od niej.

– Przepraszam – rzekł. – Ale taka głośna rozmowa nie ma żadnego uroku. Przepraszam, Bradfield.

Mówiąc to, odwrócił się do Bradfielda. Ten skłonił się sztywno. Podano deser. Za oknem letni wieczór przechodził w noc, ale nadal było bardzo ciepło. Lekki wiaterek zachybotał płomieniami świec.

– Lord Cavendish wraca jutro? – zapytał.

– Tak, po południu.

– Wobec tego muszę się szybko zbierać. Nie chcę zaburzać spokoju rodzinnego.

Octavia, ku swemu własnemu zdziwieniu, poczuła dotkliwe ukłucie rozczarowania.

Podniosła oczy znad talerza.

– Zbierać się? – powtórzyła. – Dokąd?

– Sam nie wiem.

Czuła się po dziecięcemu zraniona. Zaskoczyła ją intensywność tego uczucia. Chciała go zatrzymać tu, przy tym stole, wiedziała jednak, że nie może powiedzieć tego na głos.

– Jestem przekonana, że William chciałby się z panem zobaczyć – powiedziała. – Byłby rozczarowany, gdyby pan pojawił się i zniknął podczas jego nieobecności. – Właściwie nie miała pojęcia, czy William w ogóle zważa na znajomość z Gouldem.

– Tak, oczywiście – uprzejmie zgodził się John. – Poza tym wypada podziękować mu za gościnność.

– Pod koniec miesiąca odbywa się u nas doroczny letni festyn – oznajmiła. – Powinien pan go zobaczyć. To... coś w rodzaju dożynek, ale w Rutherford z dawien dawna organizuje się wielkie przyjęcie przed rozpoczęciem sezonu polowań. Spodobałoby się panu. – Jej słowa zabrzmiały prawie błagalnie, słyszała to we własnym głosie. Umilkła nagle.

Siedzieli w milczeniu. Jej wzrok uciekł od stołu w stronę okna. Powachlowała się serwetką.

– Wyjdźmy do ogrodu – zaproponowała.

Wstała. Bradfield otworzył drzwi. Przeszli przez salonik poranny, w którym zamknięto już duże drzwi balkonowe. Lokaje rzucili się je otwierać, wpadając na siebie i potykając się jeden o drugiego. Octavia i John wyszli na patio. Uderzyło ich gorąco bijące od nagranych kamiennych płyt. Lady Cavendish gestem ręki odprawiła Bradfielda.

– Przejdziemy się trochę. Niczego nie będziemy potrzebować – powiedziała.

Bradfield odwrócił się i zniknął w domu.

Doszli do wejścia frontowego, a potem wrócili przez ogród. Było już prawie ciemno. John widział nie tyle Octavię, ile błysk miękkiej tkaniny, zarys jej ramion, szyję i na wpół odwróconą ku niemu twarz.

– Myśli pan, że jestem tu jak na wygnaniu? – zapytała lady Cavendish, nie patrząc na niego.

– Na wygnaniu?

– Ukryta przed światem. Przed miejscami, do których pan podróżuje, i przed ludźmi, których pan poznaje. Przed współczesnym światem Gertrude Stein.

– Ależ nie. Zna pani bardzo wielu ludzi. Podróżowała pani przecież. A Rutherford samo w sobie jest światem.

– W porównaniu z innymi nie tak znowu wielkim. Są okazalsze domy, wyższe tytuły. My nie jesteśmy zbyt imponujący.

– Bardzo mi przykro, ale tu nie mogę się z panią zgodzić.

– Ale to prawda. Na pewno pan o tym wie. Widział pan Wentworth Woodhouse?

Majątek Wentworth Woodhouse leżał czterdzieści mil od Rutherford.

– Tak, widziałem – przyznał.

– Mają tam sześćdziesiąt osób służby, w samym domu. A łącznie w całym majątku pracuje trzysta osób.

– Mają nawet tygrysa.

Odwróciła się do niego.

– Słucham?

– Tygrysa. Chłopca w specjalnej liberii, który jeździ powozem. W każdym razie mieli. Nie wiem, czy wciąż go trzymają. Też był tam pewnie taki Armitage, który narzekał, że konie pociągowe zastępuje się samochodami. Więc niewykluczone, że tygrys zmienił się w mechanika.

Znaleźli się na maleńkiej, osłoniętej murem części patia, gdzie weranda we włoskim stylu

otaczała podłużny basen. Octavia usiadła, zapatrzona w wodę. On stanął tuż obok – na ławeczce nie było miejsca dla dwojga.

– Nigdy nie znałam innego życia – powiedziała cicho. – Byłam córką. Teraz jestem żoną. Po prostu zmieniałam protektorat. Jestem własnością.

– To nieprawda.

– W takim razie marionetką.

– Stworzyła pani piękny dom. I rodzinę. To dużo więcej, niż zdołałaby zrobić marionetka.

To fakt.

– Czyżby? – W jej głosie brzmiała ironia. – Patrzę na to, co robią inne kobiety, nawet dziewczyny, które sprzątają w domu, czytam takie książki i... marzę, by wyjść, rozumie pan?, i robić cokolwiek. Wydoić krowę. Naprawiać drogę. Kopać rów. – Wybuchnął śmiechem, a ona w odpowiedzi posłała mu uśmiech. – To prawda. Nawet coś tak prostego, jak... na przykład, praca w ogrodzie. Ale nie powinnam. Mogę jedynie zrywać kwiaty. Zdecydować, gdzie co posadzić. Ale nie wolno mi pracować, robić coś pożytecznego.

– Sama przedstawia pani ogromną wartość.

– Doprawdy? – Przerwała na chwilę. – Charlotte twierdzi, że chce się uczyć malarstwa, wie pan? Chciałaby kiedyś pracować. William wzdraga się na samą myśl. Drwi z tego. Ale ja wiem, że ona naprawdę o tym marzy. Chce zobaczyć świat, być niezależna. Gdyby mogła, zostałaby pilotem samolotu. Jak Harry.

– A pani?

Zaśmiała się cicho. Milczała chwilę. Potem powiedziała:

– Myślę, że ja też. Tak.

Oparł się o kamienny filar werandy i spojrzał na nią z góry.

– Kiedy się tu znalazłam, chciałam robić tyle rzeczy – westchnęła. – Ojciec zawsze mi powtarzał, że nie mam żadnego talentu, żadnej wartości. Byłam zakochana w Williamie i miałam nadzieję, że on widzi we mnie kogoś więcej niż ojciec. – Przerwała na chwilę. – Dowiedziałam się jednak, że jestem zbyt sentymentalna. Romantyzm był zabroniony, liczyła się tylko praktyczność. Znowu rola do odegrania. Spełnianie cudzych oczekiwań. Nie mogłam panoszyć się w ogrodzie, bo ogród był domeną Marcha. Nie mogłam naruszać tutejszych tradycji, bo William sobie tego nie wyobrażał. Miałam oczywiście dzieci, ale nie wolno mi było się nimi cieszyć. Zatrudniono pielęgniarkę do opieki. Wciąż ją szokowałam, siadając na podłodze i bawiąc się z dziewczynkami i Harrym. Nie spodziewano się tego po mnie, rozumie pan? Powinnam czekać, aż przyprowadzą mi dzieci na chwilę przed kolacją, to wszystko. A ja chodziłam z Harrym na ryby. Strasznie się o to z Williamem pokłóciliśmy.

– Ale dlaczego?

– Och, byłam przecież żoną członka Izby Gmin. I tak dalej.

– Tak argumentował?

– Tak. I żoną przedstawiciela Korony w hrabstwie, bo i taką funkcję sprawował. Nie wypadło mi zdejmować butów i brodzić w rzece.

John zaczął się śmiać.

– Jeśli chodzi o mnie, całkiem dobra zabawa.

– Owszem – przyznała cicho. – Dobra zabawa.

– Lecz mąż z pewnością panią docenia: pani marzenia, pani charakter...

– Kiedyś byłam skłonna w to uwierzyć – powiedziała. – Ale mój mąż, jak się okazuje, prowadzi własne życie. – W jej głosie pojawił się stalowy ton.

– Życie konsultanta Izby Gmin, jak rozumiem.

– Nie to mam na myśli. – Ciemność użyczyła jej twarzy schronienia, gdy wyjawiała

swoją wstydliwą tajemnicę. Lekko odwróciła głowę. – Mam na myśli to, że ma nieślubnego syna z inną kobietą. W Paryżu. Jest z nią od dawna. Od czasu, kiedy nawet jeszcze nie byliśmy małżeństwem. Później zresztą też.

John był w szoku, choć kilka lat wcześniej zdumiałoby go to znacznie mocniej. Wiedział już, że wielu angielskich arystokratów utrzymuje kochanki. Nawet stary król miał ich kilka, a jego małżonka zapraszała je do siebie na herbatę. Z doświadczenia Johna wynikało, że mężczyźni z wyższych sfer dochowujący wierności żonom należą tu do mniejszości. A mimo to zrobiło mu się teraz ogromnie żal Octavii – tej Octavii, której nie wolno było nawet zdjąć butów, podczas gdy William Cavendish w Paryżu, jak się okazuje, zdejmował z siebie znacznie więcej.

– Nie miałam pojęcia o jego synu, dopóki ostatniej wiosny nie pojawił się w naszym domu w Londynie i nie zażądał pieniędzy – wyjaśniła Octavia. – Chciał otrzymać swoją część majątku, lecz William nie był skłonny mu jej przekazać. Chciał wejść do rodziny, a William mu tego odmówił.

John gorączkowo szukał właściwych słów.

– Na pewno po to, by panią chronić – wydusił z siebie w końcu.

Podniosła na niego oczy.

– Sądził, że uda mu się na zawsze utrzymać nas z dala od siebie, wie pan? Ale są rzeczy, których nie da się trzymać z dala od siebie. Nie da się ich formować. – Przerwała. – Rzeczy się zmieniają, John – podsumowała wreszcie. – Ludzie też. I czasy.

– I... – zaczął John, ale nagle poczuł się tak, jakby ogród napierał na niego ze wszystkich stron i wyciskał mu powietrze z płuc. Bolesnie odczuwał jej bliskość i swoje narastające pragnienie, by jej dotknąć. Siedziała tam niczym zjawą – taka drobna w ciemnościach.

– Co pani teraz zrobi? – zapytał. Z całej siły starał się nie myśleć o Williamie Cavendishu, który odgrywa w Paryżu brytyjskiego dyplomata, a tymczasem ukrywa w swym wykwintnym mieszkaniu w stylu belle époque obcą kobietę. Niech go diabli.

– Nie mam pojęcia, co robić – przyznała Octavia. – Czuję się zupełnie zagubiona.

Dwieście mil stamtąd, w Londynie, Louisie przyśniła się matka i Rutherford.

Wydawało jej się, że siedzi w swoim tamtejszym pokoju, urządzonym w kolorach morelowym, różowym i kremowym, które sama wybrała, ubrana tylko w koszulę nocną siedzi w niskim fotelu i na kogoś czeka – na kogoś, kto obiecał, że z nią będzie. W lustrze na toalecie widzi swoje odbicie – postać przypominała starszą wersję jej samej – zmęczoną, a może przygnębiającą lub rozczerowaną.

Z największym trudem udaje jej się podnieść z fotela. Podchodzi do toaletki, by przyjrzeć się sobie w lepszym świetle. Spuszcza wzrok i z wielką dokładnością widzi wszystkie przedmioty leżące przed lustrem: srebrne szczotki do włosów, kryształowe flakoniki perfum, mały oprawiony w jedwab notesik, który miała ze sobą na pierwszym balu. Również talerz z porcelany Royal Worcester, na który odkładała czasem pierścionki. Widzi jego znajomy podłużny kształt, ale na talerzu leży liścik, którego wcześniej tam nie było. Widzi własną rękę, niemal bezcielesną, sięgającą po liścik i podnoszącą go. Eleganckim, pochyłym pis mem napisane jest „Maurice Frederick”. Wtedy z uderzającą jasnością pojmuje, że osoba, na którą czeka, to właśnie Maurice, i że on nigdy nie przyjdzie. Zostawił tylko ten liścik – jak pierwszej lepszej znajomej.

Sen wypełnia potworne uczucie samotności, jakiego nigdy jeszcze nie doznała. Czuje, że jej umysł ogarnął stan, z którego nie zdoła się podnieść. Gdzieś z dołu, z głębi domu, słyszy kroki i głosy, ale wie, że nigdy już się do nich nie przyłączy. W panice przeżywanej tylko w sennych koszmarach, podbiega do okna, jednym szarpnięciem odsuwa zasłony i wygląda na dwór. Tam, na patiu Rutherford, stoi Maurice we własnej osobie. Bardzo ostrożnie zagląda do każdego okna

po kolei, przesuwając ręką po każdym zamku i ościeżnicy, jakby chciał dostać się do środka.

Sprawdziwszy wszystkie okna, rusza na tył domu, aż znajduje się pod jej oknem i wtedy podnosi głowę. Ona woła do niego. Próbuje dać mu znak, by podszedł do drzwi frontowych i zadzwonił. On sprawia jednak wrażenie, jakby jej nie rozumiał. Podnosi tylko rękę w smutnym geście, odwraca się i odchodzi. Nie mija nawet sekunda, a jego już nie ma.

Louisa obudziła się nagle z przerażeniem.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Wyjrzała na ulicę. Wszystko wyglądało normalnie. Zaczynało świtać. Maurice'a oczywiście nie było. Nie patrzył w górę w jej okno, nie odwracał się i nie zniknął. Towarzyszyło jej jednak niepokojące przekonanie, że był tam tej nocy, wpatrywał się w jej dom, trzymał nad nią jakąś dziwną straż czy próbował dostać się do środka przez pozamykane drzwi i okna – jak we śnie.

Drżąc, wróciła do łóżka i usiadła na jego brzegu.

Nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o poczuciu wyobcowania i samotności, w jakie ten sen ją wprowadził. O poczuciu wykluczenia z bliskich jej i dobrze znanych kręgów towarzyskich. Zastanawiała się, co by czuła, gdyby nie miała ojca, matki, brata i siostry. Jak to by było zostać zupełnie sama, czekać na kogoś czy na coś, co się nigdy nie zdarzy, na spełnienie marzenia, które nigdy nie zmieni się w rzeczywistość.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Zdawała sobie sprawę, że taki właśnie był świat Maurice'a. Świat samotności, bez rodziny, bez przyjaciół. Jak by to było, zastanawiała się smutno, w pojedynkę poruszać się po miejscach zamieszkałych przez innych – innych, którzy zawsze pojawiali się w grupach lub rodzinach, małżeństwach lub związkach towarzyskich? Tak go właśnie postrzegała, taki bowiem obraz samego siebie namalował w jej sercu – obraz zawsze samotnego nieznanego.

Położyła się i naciągnęła na siebie kołdrę.

Po chwili wtuliła twarz w poduszkę i cichutko wyszeptała jego imię.

W Rutherford zapadła letnia noc, choć wciąż jeszcze nie zupełna ciemność. John wszedł do swojego pokoju i natychmiast zgasił światła. Rozebrał się i zapatrzył na park skąpany w księżycowej poświacie. Była pełnia: księżyc niczym reflektor oświetlał pustą scenę, obraz był monochromatyczny. Położył się do łóżka. Nie zasunął zasłon, pozwolił światłu padać w poprzek pokoju.

Gdzieś na dole, pod nim, zegar wybił północ, potem pierwszą. John nigdy nie był mniej senny niż w tej chwili. William Cavendish z synem dotarli już do Yorku, jutro przyjadą do domu. Wyobraził sobie, jak starszy mężczyzna pokazuje mu tomy, które trzymał w zamkniętych na klucz przeszklonych gablotach w bibliotece. Próbował sobie wyobrazić, że jest uprzejmy, ale nie potrafił. Znacznie żywiej rysował się w jego głowie obraz samego siebie, jak podbija staremu capowi oko. Zaklął pod nosem. To nie jego sprawa, dlaczego więc się przejmuje?

W małżeństwach właśnie tak się działo – każde przybierało własny kształt, rządziło się własnymi prawami i w żadnym nie brakowało śpięć. Niejednokrotnie pytał sam siebie, czy zdołałby jednej kobiecie dochować wierności przez całe życie. Wątpił. Właśnie dlatego się nie ożenił. Uważał, że trzeba dotrzymywać obietnic. Nigdy więc by nie złożył przysięgi małżeńskiej, wiedząc, że trudno mu będzie jej dotrzymać.

Zamknął oczy. Przez otwarte okno słyszał gdzieś daleko, wysoko na wzgórzach, szczekanie lisa. Odrzucił kołdrę – wciąż było duszno i gorąco. Przez dłuższy czas rozważał, czy po prostu nie wstać, nie ubrać się i nie wymknąć z tego domu pod osłoną nocy, a drogi na stacyjkę kolejową nie pokonać pieszo. Cóż to było, raptem cztery mile, może pięć? Nie miał ochoty na spotkanie z Williamem Cavendishem. Nie chciał go zobaczyć u boku Octavii.

Przekręcił się na bok i zerknął na stojący na stoliku nocnym zegar. Dziesięć po drugiej.

Ciche stukanie wahadła zaczynało go już denerwować. Odmierzało czas jego życia. Powinien ruszyć dalej, opuścić ten dom dużo wcześniej. Wyjechać. Pomyślał o Octavii stojącej poprzedniego ranka na moście w ciemnym wełnianym płaszczu, niezgrabnie narzuconym na obfite falbany koszuli nocnej. Pomyślał o jej bosych stopach pod rąbkiem spódnicy tamtego pierwszego dnia, kiedy siedziała z nim w bibliotece. Zacisnął pięści i powieki, by przywołać stary, sprawdzony sposób na zasypianie, którego nauczyła go matka, a który polegał na wymienianiu w tę i z powrotem nazwisk kolejnych prezydentów. W rodzinie Gouldów nie liczyło się owiec. Liczyło się ludzi, którzy zajmowali najwyższe stanowisko w państwie. John zaczął więc od Woodrowa Wilsona, faceta z długą, pociągłą twarzą. Taft, Roosevelt... Taft, Roosevelt, McKinley...

Na nic.

Wstał, owinął się szlafrokiem i ruszył ku drzwiom. Kiedy wyszedł na korytarz, wyczuł wokół siebie ogromny dom – wielką, uśpioną bestię. Poczuł, że się dusi. Zapragnął wyjść na dwór. Skierował się w stronę schodów, a na ich zakręcie, nad olbrzymim holem wejściowym, zatrzymał się, by spojrzeć na portret Octavii. Był potężny, miał co najmniej dziesięć na sześć stóp. Lady Cavendish w zwojach atlasowej sukni zdawała się unosić nad nim niczym przedziwne zjawisko, zarazem bardziej, ale i mniej realne niż prawdziwa kobieta. Zmusił się, by oderwać od niej oczy, i stąpając cicho, zszedł na dół. Przyglądał się wykładanemu drewnem, przepastnemu sufitowi z detalami pograżonymi w ciemności. Powinien inspirować, a tymczasem przytłaczał. Dotarł do jadalni, a przez nią do drzwi na to samo patio, po którym spacerował z Octavią wieczorem i na którym był o świcie poprzedniego dnia.

Wyszedł na dwór i w ciemności usiadł na murku. To wszystko było absolutnie niedorzeczne. Nie przyjeżdżał do Anglii, by zakochać się w cudzej żonie. Zwłaszcza w cudzej nieszczęśliwej żonie. Beztróskiej kobiecie, skorej do małego romansu – może... może i pozwoliłby się radośnie usidlić na parę tygodni, choć beztróski stosunek do kobiet nie leżał w jego naturze. Ale coś takiego? Żeby ogarnęła go taka cholerna gorączka? Tak powiedziałyby prawdziwy Anglik: cholerna. Bo nie inna. Anglicy mieli rację, używając tego słowa we wszystkich jego znaczeniach. Czuł się jak uderzony obuchem, otwarty, obnażony, widział swoją własną cholerną krew rozlaną na bruku pod stopami. Nie pragnął żony innego mężczyzny. Nie pragnął żadnej kobiety. Był podróżnikiem, wolną duszą. Był... Objął głowę rękami w bezradnym geście porażki. Nie wiedział, kim był, i taka była prawda. Już nie miał pojęcia.

Przesiedział tam dobrą godzinę, zanim ruszył z powrotem do środka. Na antresoli zatrzymał się na chwilę.

A potem, z walącym w piersi sercem, podszedł do drzwi pokoju Octavii i otworzył je.

Jego wzrok potrzebował chwili, by przywyknąć do ciemności i ogarnąć pograżony w mroku pokój. Ujrzał ogromne łoże z baldachimem i ciężkimi żółto-kremowymi kotarami. Tapety na ścianach też chyba były kremowe, we wzory. Czuł zapach kwiatów i perfum Octavii. Stał nieruchomo i myślał, że naprawdę musiał stracić rozum. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie zrobił – pomimo swej reputacji. Przestraszył się, że za chwilę zakrzusi się własnym ciężkim oddechem. Sięgnął ręką za plecy i wymacał klamkę. I wtedy ją zobaczył.

Nie leżała w łóżku. Octavia siedziała przy otwartym oknie, częściowo ukryta za toaletką i ozdobnym lustrem. To, co wziął za wiszący na przeciwległej ścianie portret, nagle okazało się żywą osobą. To była ona. Siedziała z rękami spokojnie złożonymi na podolku i wpatrywała się w niego.

– Przepraszam – powiedział szeptem. – Bardzo przepraszam.

Wstała. Miała na sobie jakąś inną koszulę, nie tak ozdobną jak tamta, którą widział rano pod płaszczem. Koszula była srebrzysta i szeleściła, kiedy Octavia podchodziła do niego.

Szeleściła jak niewyraźny szept. Kobieta zatrzymała się przy lustrze.

– Chodź tutaj – rzekła.

Zrobił, co mu powiedziała. Przeszedł przez pokój. Stanąwszy obok niej, spostrzegł, że jej grube ciemne włosy zwieszają się ciężko na plecy.

– Patrzyłam na ciebie w ogrodzie – mruknęła. – Długo tam byłeś, John. O czym tak rozmyślałeś?

– O tym, że powinienem wyjechać – wyznał zgodnie z prawdą.

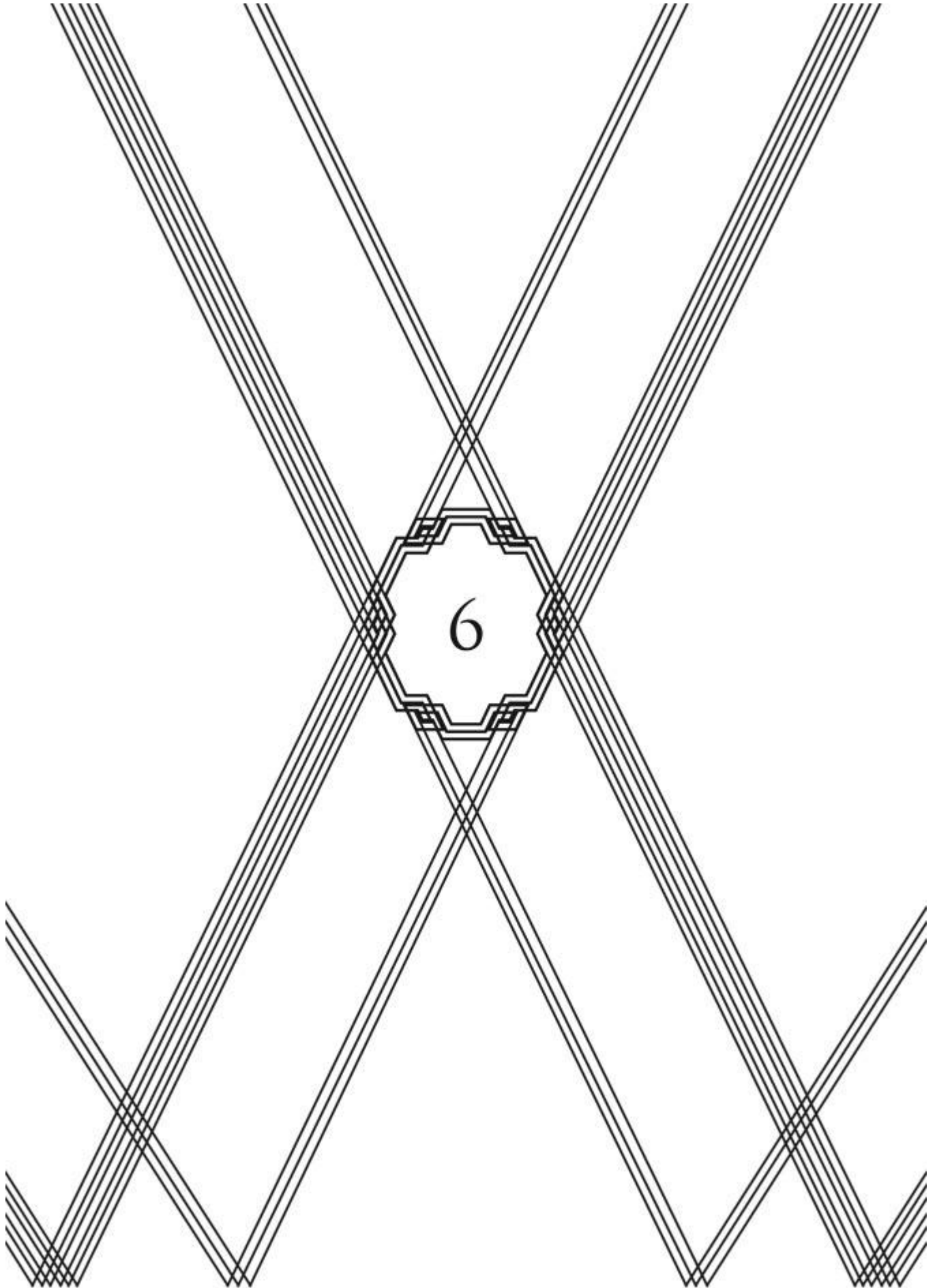
Z wahaniem sięgnął po jej rękę, a ona nieoczekiwanie wsunęła się mu w ramiona i przycisnęła policzek do jego policzka. Płakała. Czuł na jej twarzy wilgoć łez.

Potem pocałował ją i zdumiał się, jak namiętnie oddała pocałunek. Zupełnie nie pasowało to do wrażenia, jakie na nim zrobiła, gdy zobaczył ją po raz pierwszy – apatycznej i biernej. Nie spodziewał się po niej tej siły, determinacji, pragnienia. Wielkiego pragnienia. – Nie mogę jechać – szepnął, ujmując ją za rękę i całując jej dłoń, jej nadgarstek. – Nie mogę wyjechać bez ciebie.

Delikatnie ujęła go pod brodę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Więc weź mnie ze sobą – powiedziała.

3 Nawiązanie do wydanej w 1914 roku książki Gertrude Stein *Tender Buttons: Objects, Food, Rooms*, drukowanej we fragmentach w „Literaturze na Świecie” w 1979 roku, w przekładzie Anny Kołyszko.



Napier dowiózł lorda Williama i Harry'ego z Yorku do Rutherford o pierwszej po południu. Obserwując podjeżdżający samochód z okna porannego saloniku, Octavia wciąż trzymała w ręku list od Williama, który znalazła dyskretnie umieszczony obok talerza przy śniadaniu.

„Nie mogę się doczekać powrotu do domu – napisał. – Przekaż Jackowi, żeby wyjechał po nas samochodem”.

Nad dalszym odcinkiem alei dojazdowej Octavia zauważyła małe obłoczki kurzu. Poprawiła suknię, przyłożyła rękę do włosów, rozejrzała się po pokoju. Tego dnia wszystko było niebieskie: jaskrawoniebieskie niebo na dworze, niebiesko-biała chińska porcelana w przeszklonych kredensach, szerokie łany niebieskich ostróżek w ogrodzie, niebieskie i złote brzegi ogromnych kotar, teraz rozsuniętych. Spojrzała na swoje ręce, na pierścionek, który dostała od Williama. Błękitne szafiry – szafiry koloru błękitnika – i diamenty ciasno obejmujące palec tuż ponad obrączką. Dawniej tańczyła wokół tego pokoju w oczekiwaniu na powrót Williama do domu. Ile to było lat temu? Osiemnaście, dwadzieścia? Tanecznym krokiem poruszała się po obwodzie, ciągnąc za sobą niewygodną suknię z turniurą, a szafiry połyskiwały jej na palcu. Wtedy przy oknie wyczekiwała nadjeżdżającego powozu, a kiedy William wreszcie się zjawiał, wybiegała na schody i zarzucała mu ręce na szyję.

– Dobrze, już dobrze – upominał ją wtedy łagodnie. – Służba, kochanie. Służba.

Wówczas pokój ten urządzone był w kolorach czerwonym i złotym, i wszędzie, gdzie nie spojrzeć, zwieszały się ciężkie frędzle.

– To fotel po mojej babci – zaprotestował, kiedy razem robili obchód domu i decydowali, czego się pozbyć, a co zostawić. – A to stojak na gazety po stryjecznym dziadku. Na Boga, musi stać, jak stoi. – Zmarszczył czoło. – Octavio, nie ruszaj tego. – Wciąż i wciąż to samo. – Takie rzeczy są bardzo potrzebne.

– A to? – pytała błagalnym tonem, podnosząc jakąś pradawną, w połowie zjedzoną przez mole gobelinową poduszkę. – A to? – wskazywała na mebel, który wcale nie był tak stary, na jaki wyglądał – kredens niby „jakobiński”, a w połowie georgiański, w połowie wiktoriański. Stukała palcami w dziwaczny zegar zdobiony zastygłymi w wiecznej, złoconej walce wężami i cherubinami ze stopu miedzi i cynku. – A to, Williamie? Och, proszę, unowocześnijmy chociaż jedną rzecz. – On jednak pozostał zupełnie głuchy na jej potrzebę zmian. Pozwolił zmienić jedynie kolorystykę, i to wyłącznie pod warunkiem, że zastosuje kolor rodzinny: szafirowy jak błękitnik.

Była przekonana, że Rutherford na zawsze pozostanie urządzone w stylu Beckforthów i Cavendishów, a jeśli chodzi o nią, to kiedyś zdoła przystosować się do tego domu, by w końcu – stać się jego częścią. Próbowала, Bóg świadkiem, że próbowała. I od czasu do czasu nawet jej się udawało. Raz, bardzo dawno temu, William powiedział podczas kolacji, że Rutherford ją uspokoiło, i uśmiechnął się do niej pobłaźliwie z przeciwległego szczytu długiego stołu. Zabrzmiało to dość protekcyjnie, ale odpowiedziała uśmiechem, jak tego od niej oczekiwano. Oczywiście było to zamierzone jako komplement, nie wątpiła, ale zaiste wolałaby, by Rutherford dodało jej energii lub by ona tchnęła w nie więcej życia, oczywiście poza aspektem finansowym. Poza sfinansowaniem rozbudowy i remontu. Poza fizyczną stroną przebudowy – każdą położoną cegłą, na nowo urządzonym ogrodem, szerokimi przestrzeniami holu, inżynierską konstrukcją dwubiegowych schodów.

Marzyła, by Rutherford dało jej to, za czym tęskniła – wolność, swobodę wyboru, możliwość tworzenia i zarządzania. Zamiast tego dostała porządek i tradycję. Została obciążona wielkim ciężarem tradycji oraz mężem kurczowo uczeplonym swojego statusu. Szybko odkryła,

że wzmocnienie pozycji domu i rodziny Cavendishów musi stać się również jej wolą, jej życzeniem i udziałem. Żeby stać się Beckforthem z krwi i kości. Być spokojna. Spokojna. Wykrzywiła usta, cicho wymawiając ten chory komplement. William zawsze pragnął spokoju. Spokoju i porządku. Nade wszystko – porządku.

Tego dnia, kiedy położono fundament pod szklarnię, William odwrócił się do niej i powiedział:

– To wzbudziłoby podziw mojego ojca.

Kiedy to mówił, w jego głosie zabrzmiała prawie – ale nie do końca – wdzięczność. Być może ulga. Ulga, że udało mu się wreszcie zaprowadzić zmiany, których Rutherford potrzebowało. Nadbudowano szklaną część, zamontowano okiennice, żaluzje i wyciągi na bloczkach, poprowadzono kanały rozprowadzające gorące powietrze, tak by nawet zimą, kiedy wokół leżał śnieg, w środku było ciepło, jasno i przyjemnie. Wdrożenie tych cennych udogodnień było możliwe dzięki małżeństwu Williama z nią, Octavią. Jako podziękowanie musiało jej wystarczyć to jedno, z dumą wypowiedziane zdanie: „To wzbudziłoby podziw mojego ojca”. Była oczywiście zadowolona, że dzięki niej Rutherford przeżywa rozkwit, była zadowolona, gdy patrzyła na męża, który z dumą przechadzał się po swym królestwie i sprawował nad nim nadzór. Przyjemność posiadania. Jego przyjemność posiadania – posiadania Rutherford i posiadania jej.

Przez wszystkie te lata marzyła o... no, właśnie, o czym? Nie potrafiła tego nazwać, choć pielęgnowała w sobie to pragnienie. Nie umiała jednak go opisać, takie było ulotne.

Stała teraz i patrzyła, jak samochód podjeżdża pod drzwi. Stała bez ruchu. Dziś nie biegła się witać. Nie zarzucała mężowi rąk na szyję. Widziała, jak wysiada i mierzy wzrokiem dom. Widziała, jak Harry z trudem wydobywa się z ciasnego wnętrza. Widziała, jaki jest wysoki i niezgrabny – znacznie bardziej niż w Boże Narodzenie. Patrzyła, jak obaj podchodzą, William z irytacją na twarzy, a Harry z bez troskim uśmiechem. Dopiero ten uśmiech sprawił, że Octavia poczuła niepokój. W uśmiechu syna rozpoznała bowiem zuchwałość.

Powoli skierowała się do wielkiego holu.

– Moja droga – odezwał się William. Zatrzymał się przed nią i czekał, aż podniesie twarz do pocałunku, aż wreszcie, nieco zakłopotany brakiem jej zwyczajnej reakcji, sięgnął po jej dłoń i podniósł ją do ust. – Pięknie wyglądasz.

– Dziękuję – odparła i wyciągnęła ramiona do Harry’ego.

Przycisnąwszy twarz do jego twarzy, omal nie zadała mu absurdalnego pytania, które nagle przyszło jej do głowy: „Chciałbyś jechać do Ameryki?”. Przed oczami bez najmniejszego trudu pojawił jej się taki oto obraz: ona, Harry i dziewczynki siedzą w pociągu Pullmana do Kalifornii, stoją w San Francisco lub na ulicach Nowego Jorku. Wyglądają trochę inaczej, jakby chcieli zacząć życie zupełnie od nowa i stać się całkiem inną rodziną.

Harry wysunął się z uścisku i jakby czytał w jej myślach, zapytał:

– Podobno jest tu jakiś Amerykanin?

– Tak – odparła. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie za szeroko się uśmiecha. Harry rzucił jej spojrzenie pełne ciekawości i powiedział:

– Mam nadzieję, mam, że będzie coś dobrego na lunch. Można powiedzieć, że nie jedliśmy śniadania, bo ojciec tak się spieszył do domu, jakby się paliło.

Harry odszedł. Octavia spojrzała na Williama. Wydawało jej się, że noc z Johnem Gouldem jest wryta na jej twarzy, dla wszystkich oczywista. Czy mógłby jej nie odkryć? Pod skórą i na dłoniach czuła gorąco. Na usta cisnęły jej się oskarżenia: „Robił coś, czego ty nigdy nie robiłeś”. Tak, to była pełna i wstydliva prawda. Chciała wypowiedzieć ją na głos. Nie tylko doświadczyć, ale prosto z mostu oznajmić mężowi. Ta potrzeba wprost rozsadała jej

głowę. Chciała spytać, dlaczego William nigdy nie wykrzykiwał głośno jej imienia ani nie szlochał ze szczęścia. John Gould był człowiekiem całkowicie obcym, nie da się ukryć, a szlochał, ponieważ byli razem w łóżku. Poczwała nagle pragnienie, by potrząsnąć Williamem i wytrącić go z odrętwienia. Zapytała, dlaczego nigdy nie wysilił się, by kochać ją w tak obehwładniający sposób, by wszystkie inne sprawy zeszyły na drugi plan. Mój Boże, pomyślała przerażona, oto przekroczyłaś Styks. Równocześnie żyjesz i umarłaś. Chciało jej się śmiać i krzyczeć jednocześnie. Zamiast tego spuściła głowę i spojrzwała na swoje stopy, po czym wzięła głęboki oddech. A potem przybrała na twarz, jak przynajmniej miała nadzieję, wyraz obojętnego, chłodnego spokoju i podniosła wzrok na Williama.

– Chciałem już być w domu – powiedział. Służba stała ustawiona w rzędy za ich plecami. Pani Jocelyn zaróżowiona z wrażenia pilnowała szyku pokojówek i lokajów. William odwrócił się do nich. – Dobrze was wszystkich widzieć – rzekł. – Dobrze być znowu razem w Rutherford.

– Nie jesteśmy razem – sprostowała Octavia. – Louisa wróci razem z Charlotte jutro lub pojutrze. Więc połowy rodziny jeszcze nie ma.

Jeśli William był zszokowany – nigdy dotąd nie zdarzyło się bowiem, by poprawiała go w obecności służby – to nie okazał tego. Zawahał się tylko na ułamek sekundy, zanim przyznał jej rację.

– W takim razie niebawem będziemy – mruknął. – Całkiem niebawem.

Po lunchu Octavia poszła do pokoju, zostawiając Williama i Harry'ego pogrążonych w niekończącej się walce na słowa, którą sama ledwie śledziła. Odesłała Amelie, weszła do przylegającej do pokoju garderoby i stała tam oparta o parapet do chwili, aż ujrzała Johna Goulda wychodzącego ze znajdującej się poniżej biblioteki. Przemierzał właśnie patio, a potem dziarskim krokiem ruszył przez trawnik. Dopiero znalazłszy się jakieś pięćdziesiąt jardów od domu, przystanął na ułamek sekundy, spojrział prosto w jej okno i dotknął róna kapelusza. Przypadkowy obserwator pomyślałby, że tylko poprawia nakrycie głowy, by dostosować je do kąta padania słońca, ale Octavia wiedziała, że znakiem tym potwierdza ich umówione spotkanie. Uśmiechnęła się i zrzuciła buty, po czym rozwiązała szeroką szarfę sukni, odkręcając się do tyłu, by znaleźć zapięcia. Za dziesięć minut miała nadzieję iść przez ten sam trawnik do tego samego lasu, a potem ścieżkami na rozciągające się poniżej wrzosowiska pola.

Usłyszała, że otwierają się drzwi do sypialni.

– Wszystko w porządku, Amelie, poradzę sobie sama – zawołała. Bez odpowiedzi.

Chwyciła podomkę, wyjrzała do pokoju i stwierdziła, że stoi w nim William.

– Sądziłem, że odpoczywasz – powiedział.

– Wybierałam się właśnie na spacer.

Rzucił jej pełne zdziwienia spojrzenie.

– Naprawdę? W takim razie pójdę z tobą.

– Nie ma takiej potrzeby.

Podszedł do okna i wyjrzał. Musiał dostrzec Johna, bo odwrócił się i zapytał:

– I co sądzisz o tym Gouldzie? – Ponieważ nie odpowiedziała, mówił dalej. –

Przepraszam, że tu cały czas siedział ci na głowie. Zapomniałem, że go w ogóle zaprosiłem. List z potwierdzeniem, że przyjedzie, czekał na mnie w klubie i przeczytałem go dopiero po powrocie z Paryża.

– Nic się nie stało – uspokoiła go.

– Wygląda na życzliwego i wesołego.

Wzruszyła ramionami.

– Prawie go nie widuję.

Nie odpowiedział, wpatrywał się w nią tylko natarczywie.

– Octavio – zaczął. – Musimy iść do przodu, razem. Musimy iść dalej.
Rozłożyła ręce.
– Oto jestem.
– No tak – rzekł. A potem zapytał: – Uciekłaś, prawda?
– Owszem, wyjechałam z Londynu.
Spojrzał na swoje stopy, po czym przysunął sobie krzesło.
– Oczywiście nie weź tego za krytykę, ale żeby zostawić dziewczynki u znajomych, tak w środku sezonu...
– I żeby odwiedzać kochankę w Paryżu, a żonę zostawić samą tak w środku sezonu... – dopowiedziała tym samym tonem. Milczała przez chwilę. – Oczywiście nie weź tego za krytykę.
Zwróciła uwagę na ręce Williama, na jego palce rozstawione szeroko na kolanach, jakby siłą powstrzymywał się, by nie wstać.
– Pojechałem specjalnie zakończyć tę sprawę z Hélène – oznajmił.
– Może powinienes to zrobić wiele lat temu.
– W rzeczy samej, powinienem. – Marszczył brew, zwiesiwszy głowę w dół, ale zaraz podniósł na nią oczy. – Nie wiedziałem, że jest w ciąży, dopóki dziecko się nie urodziło – wyznał. – I nie spotykałem się z nią przez wiele miesięcy. Wtedy napisała mi tylko liścik, nic więcej. Była już z innym mężczyzną. To nie było... – przerwał, szukając właściwych słów. – Dziecko było dla niej ciężarem. Chłopaka wychowała niania. Nie sądzę, aby ten Bergerac kiedykolwiek widział Charles'a, a co dopiero go znał. Trzymała istnienie syna w tajemnicy.
– Nie dość starannie.
– Jak się okazało – zgodził się. – Nigdy jednak nie dowiedziałem się całej prawdy. Wszystko jedno, czy mi uwierzysz, czy nie – nie jestem powiernikiem Hélène. Nigdy nim nie byłem. Byłem po prostu jednym z wielu.
– Och, jaki śliczny malujesz przede mną obraz – zakpiła Octavia.
Nic nie odpowiedział.
Octavia wciąż stała przy drzwiach do garderoby. Oparła się o futrynę i utkwiała wzrok w mężu.
– Lecz mimo to nie masz żadnych wątpliwości, że Charlie to twój syn.
– O tym rozmawialiśmy już w Londynie, Octavio.
– Oczywiście – odparowała. – Hélène jest przekonana, że twój, a ty to przyjmujesz do wiadomości.
– Nieważne, czy jej wierzę, ważne, że nie potrafię udowodnić, że tak nie jest. Octavia przez chwilę przyglądała mu się chłodno.
– A więc płaciłeś jej przez ostatnich dwadzieścia lat. Dałeś się zaszantażować.
– Dawałem jej pieniądze, bo nie potrafiłem udowodnić, że nie jestem ojcem, i ponieważ ona należy do mojej rodziny. I ponieważ tak mi nakazywała uczciwość.
– Uczciwość! – wykrzyknęła Octavia. – Uczciwość nie ma z tym nic wspólnego, Williamie. Płaciłeś jej, bo miałeś nadzieję, że będzie siedziała cicho.
– To nieprawda – zaprotestował. – Jeśli nie było to uczciwe, w takim razie było to najmniej nieuczciwe, jeśli pozwolisz, że tak powiem. W świetle prawa nie mogła niczego ode mnie żądać.
– Prócz tego, byś przez dwadzieścia latłożył na jej syna. To dopiero precedens.
– Ale nie dowód.
Zaczęła się śmiać.
– Doprawdy?
– Dawałem jej pieniądze. I przyznaję się do flirtu z nią.

– I bywałeś u niej prawie co roku.

Mąż i żona nie spuszczała z siebie wzroku. Octavię rozpierała wściekłość, czuła ją w żołądku i w gardle. Nie była w stanie pohamować emocji. Tak jakby dotyk Johna otworzył w niej coś, co przez lata było szczelnie zamknięte – wszystko, co kiedykolwiek chciała wygarnąć Williamowi, cisnęło jej się teraz na usta i nie dawało się powstrzymać. Czuła się wolna. Czuła się tak, jakby nie miała nic do stracenia. I jeszcze tak, jakby w porównaniu z doświadczeniami ostatniej nocy jej małżeństwo było przykre i zgniłe – nie rozumiała, czemu tkwiła w nim przez tyle lat. Najchętniej odwróciłaby się na pięcie i pobiegła za Johnem przez trawnik. Walczyła z tym pragnieniem najmężniej jak potrafiła, ale szczerze mówiąc, sam widok Williama, jego ohydne wyznanie o Héléne, takie pretensjonalne, brudne, a także tandetny i przykurzony Paryż wraz z całym ciągnącym się od lat kłamstwem wydawały się nie do zniesienia.

– Powiedz mi prawdę – zażądała. – To niemożliwe, żebyś jeździł do niej rok w rok i nic między wami nie zaszło.

Oczy Williama otwarły się szeroko. Potem jego twarz przybrała bardziej obojętny wyraz, ale nie na tyle szybko, by udało mu się ukryć prawdziwe uczucia. Przejrzała jego przeszłość tak wnikliwie, jakby była tam razem z nim.

– Byłeś z nią po naszym ślubie – ciągnęła. – Nie zaprzeczaj.

– Jeździłem do Paryża na zlecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wiesz o tym. Nie specjalnie po to, by widywać się z Héléne.

– Ale się tam z nią widywałeś – naciskała. – Mieliście romans.

– Ja... – zaczął, nie mógł jednak zaprzeczyć. Wbił wzrok w podłogę. Octavia poczuła nagły, kwaśny smak triumfu. Miała rację.

– Jak często? – zapytała.

– Octavio, to było lata temu.

– Jak często? Co roku?

Zerwał się na nogi.

– Nie.

– Więc jak często?

Uczynił gest pełen rozpacz.

– Może to było... Nie mogę sobie przypomnieć... – Zgarbił plecy. – Może przez pierwszych pięć lat lub coś koło tego.

Octavia mierzyła go wzrokiem. Chwile pełne napięcia mijały wolno jak lata. W końcu udało jej się wydobyć z siebie głos, który zabrzmiał lodowato.

– I zapraszałeś ją tutaj. Ciekawe, czemu nie brała ze sobą chłopca.

– Sama się wpraszała – wymamrotał William.

– Ale ty w żaden sposób jej nie zniechęcałeś.

– Héléne nic nie zniechęci – odparł z pasją William. – Sama dobrze o tym wiesz. Jest odporna na wszystko.

– Powinieneś coś wymyślić, żeby nie dopuścić do mojego poniżenia.

Patrzył na nią, po czym przyłożył rękę do czoła.

– Tak – przyznał. – Mogłem postarać się o to bardziej. Źle zrobiłem.

– Pozwoliłeś jej spać pod tym dachem i w naszym domu w Londynie, choć kiedyś była twoją kochanką – choć wciąż nią była...

– Od dawna nie jest moją kochanką.

– A dlaczego mam ci wierzyć?

– Bo daję ci moje słowo, Octavio.

Stali parę stóp od siebie, wpatrując się sobie w oczy.

– Twoje słowo nic dla mnie nie znaczy – powiedziała cicho Octavia.

To było jak cios. William cofnął się o krok i chwycił za oparcie krzesła, które stało za nim. Ona pozostała w miejscu i wyprostowała się. Nie pochylała się już w jego stronę.

– Niezależnie od tego, co powiedziałeś czy czego nie powiedziałeś Hélène, co zrobiłeś czy czego nie zrobiłeś, ona z całą pewnością poinformowała syna, że jesteś jego ojcem i że nie potrafisz udowodnić, że to kłamstwo.

Zapadła długa cisza. William oblał się gorącym rumieńcem i z przerażeniem wpatrywał się w żonę, która mierzyła go piorunującym spojrzeniem. To nie była ta sama kobieta, którą znał. Kobieta, którą znał, od dawna już tonęłaby we łzach i zamiast podważać jego słowa, przyjęłaby je z pokorą.

– Co obiecałeś Charles’owi? – zapytała.

– Niczego nie obiecywałem.

– Uznanie ojcostwa, pieniądze, podarunek?

– Nic.

– I pogodził się z tym?

– Nie mam pojęcia, z czym się pogodził. Nie mieszka w domu, jest w Londynie. Nie wiem gdzie.

– Nie przebywa z matką?

– Nie wiem.

– Ale widziałeś się z Hélène, jak sądzę. I nie pytałeś jej?

– Owszem – przyznał. – Ale nic mi nie powiedziała. Gardzi mną.

– Cóż – podsumowała chłodno Octavia. – W takim razie tu się nie różnimy.

William potrząsnął głową.

– Octavio, proszę...

– Nie byłeś ze mną uczciwy od początku naszego małżeństwa – odparowała Octavia. – I nie sądzę, aby sprawa Charles’a kiedykolwiek się zakończyła. Ten chłopak jest niebezpieczny. A to dlatego, że został odrzucony.

– Matka nakładła mu głupot do głowy – zaoponował William. – Rozbudziła w nim oczekiwania, których spełnienia sama się nie doczekała. A teraz, kiedy się starzeje, kiedy ma coraz mniej kochanków i coraz rzadziej romansuje, każe chłopakowi żądać ode mnie części majątku. Po tym, jak przez tyle lat robiła ze mnie głupca!

– Robiła głupców z nas obojga – poprawiła go Octavia.

William skrzywił się.

– Tak – przyznał. – To prawda. To najbardziej diabelska kobieta na tym świecie.

Octavia odwróciła od niego wzrok i spojrzała w stronę okna.

– Muszę wyjść – mruknęła.

William podszedł do niej i odezwał się cicho:

– Octavio, uważam, że karanie mnie za coś, co wydarzyło się tyle lat temu, jest niesprawiedliwe.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w porośnięte lasem wzgórze za oknem.

– Jeśli nie jesteś w stanie mi wybaczyć przez wzgląd na mnie samego, to zrób to przez wzgląd na dzieci.

Przeniosła na niego wzrok.

– Powołujesz się na dzieci, broniąc się? – zapytała. – Przecież chodzi ci o siebie, Williamie, o nic innego, jak o spokój twojego własnego umysłu. To nie ma absolutnie nic wspólnego z dziećmi.

– Oczywiście, że ma – zaprotestował. – Odrzuciłem Charles’a ze względu na mojego

własnego syna. Naszego syna.

– Chronisz tylko swój autorytet.

– Chronię Harry'ego.

– Nie, Williamie. Odpychasz syna Hélène, by chronić siebie. Dlatego próbujesz go wymazać z życia. Jego i jego matkę.

– Czyż nie tego właśnie ode mnie oczekujesz? – zapytał William.

Rzuciła mu wymuszony, ironiczny uśmiech.

– Tak – powiedziała. – Bardzo bym chciała, żeby to wszystko dało się wymazać.

– No właśnie...

– Ale się nie da – dodała.

– Dlatego chcesz sprawić, by podzieliło nas to na zawsze? Chcesz zrujnować atmosferę tego domu, unikając mojego towarzystwa?

Zaśmiała się.

– Ja chcę zrujnować atmosferę? – powtórzyła z niedowierzaniem. Podniosła obie ręce w geście, który miał go powstrzymać. – Pozwól, że wyjaśnię ci jedną kwestię, Williamie. Nie karzę cię, jak twierdzisz, za coś, co wydarzyło się wiele lat temu. Zdaję sobie sprawę, że zanim się poznaliśmy, miałaś własne życie, którego ja nie miałam. Pogodziłam się z tym jeszcze przed naszym ślubem, choć nigdy nie utwierdziłeś mnie w moich domysłach. Zgadzam się, że mogłeś chcieć mnie w ten sposób chronić. Dlatego nie mam zamiaru karać cię za twoje poprzednie życie.

– Octavio... – zaczął.

– Jeszcze nie skończyłam – przerwała mu. – Nie chodzi o to, że nie byłabym w stanie ci wybaczyć, nawet tego, że spłodziłeś syna, jeśli tak się rzeczywiście stało, choć wybaczyć coś takiego byłoby dość trudno. – Przerwała. – Ale nie rozumiem, Williamie, nigdy nie rozumiem i nie wybaczę ci tego, że nie powiedziałeś mi prawdy. Co gorsza, upokorzyłeś mnie przed tą kobietą, prosząc, bym traktowała ją jak członka rodziny, mimo że wiedziałeś, że bardzo jej nie lubię.

– Nie miałem pojęcia, co robić – przyznał.

– Więc pozwoliłeś, by ta chora sytuacja trwała.

– Tak.

– W nadziei, że kiedyś rozwiąże się sama?

– Być może.

Po sposobie, w jaki zwiesił głowę, domyśliła się, że wyznanie, które właśnie uczynił – jawne przyznanie się do błędu, do słabości – było dla niego okropne. Dawniej świadomość ta natychmiast stopiłaby jej serce. Dziś odczuła tylko przelotny żal. Odczuwała nagłą, namacalną wręcz potrzebę, by wyjść z tego pokoju, nie patrzeć na męża, być z Johnem.

– Kiedy cię nie było, miałam mnóstwo czasu na przemyślenia – oznajmiła spokojnie. – Postanowiłam wprowadzić pewne zmiany.

Z początku zdawał się jej nie słyszeć, potem w roztargnieniu zmarszczył czoło.

– Zmiany? Jakie zmiany?

– Jutro jadę z Johnem Gouldem do Blessington. Mam spotkanie z Ferrowem. Chcę postawić nowe domy.

– Z Ferrowem? – powtórzył. – Ferrow to zarządca. Nie ma nic wspólnego z mieszkaniami.

– Zamierzam pobudować nowe domy mieszkalne za warsztatami przędzalniczymi.

– Ty zamierzasz?

– Tak. Sto nowych domów na wzgórzu. Będą się ciągnąć aż do Broughton Beck. Kiedy skończymy, każę wyburzyć stare domy na Town Row i odbuduję je, tym razem zachowując

podstawowe warunki sanitarne.

William wpatrywał się w nią, jakby nagle wyrosła jej druga głowa.

– Przecież nie masz pieniędzy – stwierdził.

– To prawda – przyznała. – Ale ty utworzysz dla mnie konto bankowe, którego będę jedynym sygnatariuszem.

– Nic takiego nie uczynię.

Wydawała się go nie słyszeć.

– Kiedy cię nie było – mówiła dalej – byłam zmuszona złożyć kondolencje jednej z naszych pokojówek, której siostra zmarła na błonicę. W mieście wybuchła epidemia. Postanowiłam sobie, że więcej do tego nie dojdzie.

– A na jakiej podstawie sądzisz, że błonica ma coś wspólnego z domami dla pracowników?

Patrzyła na niego lodowato.

– Nie sprzeciwiaj mi się, Williamie. To już postanowione.

– Decyzje finansowe nie należą tylko do mnie, nie mogę tak po prostu dać ci tych pieniędzy – tłumaczył. – Jest zarząd...

– Zarządem kierujesz ty i nie myśl, że jestem na tyle głupia, by o tym nie wiedzieć.

– I ty... ty to zaplanowałaś?

– Jutro spotykam się z Ferrowem.

– W takim razie pojedę z tobą.

– John Gould ze mną jedzie. Jeśli masz ochotę, możesz nam towarzyszyć.

Na twarz Williama wystąpiła wściekłość. Pohamował ją z widocznym wysiłkiem.

– Skoro jesteś taka zdeterminowana, pojedę z tobą do Blessington. Sama zobaczysz, co to za niedorzeczny pomysł – wycedził. – A jeśli chodzi o Goulda, to – jeśli wciąż będzie uważał za konieczne wtrącać się w nie swoje sprawy – to on może towarzyszyć nam.

Pani Jocelyn spędzała w swoim pokoju zaledwie jedną godzinę dziennie, a była to godzina przed końcem lunchu. Zwykle przymykała tylko drzwi, by w czasie, gdy jej stopy odpoczywały, nie spuszczać z oka kręcącej się po domu służby. Tego popołudnia było jednak inaczej. Po rutynowym zganieniu kilku pokojówek za kurz, który odkryła na górnej krawędzi drzwi do pokoju śniadaniowego, ruszyła korytarzem do swego pokoju, wyraźnie zapowiedziawszy, że nie życzy sobie, aby jej przeszkadzano.

Kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły, Esther Jocelyn padła na kolana i zaczęła się modlić. Złożyła przed sobą ręce, spuściła głowę i zamknęła oczy. Nad jej głową tykał czarny kamienny zegar ustawiony na złotym aksamitnym bieżniku. Pani Jocelyn przycisnęła palce do powiek i szeptała swój ulubiony fragment z Księgi Koheleta – ten sam, który przy wielu okazjach powtarzała swoim pracownikom: „Na co natknie się twoja ręka, abyś to zrobił, to zrób to według twojej możliwości, bo w krainie umarłych, do której idziesz, nie ma ani działania, ani zamysłów, ani poznania, ani mądrości”[4].

– Ani poznania, ani mądrości – powtórzyła cicho. – Ani działania, ani zamysłów...

Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół siebie. Przez ostatnie dwa dni nie rozmyślała o pracy. Rozmyślała o przyjemności. O przyjemności i jej straszliwych konsekwencjach, i o tym, że ona, Esther Jocelyn, być może jest mściwą duszą.

Pewnego niedzielnego popołudnia dawno temu i daleko stąd, widziała anioły. Miała cztery, najwyżej pięć lat, rodzice zabrali ją do Hunslet Moor i, powłócząc nogami ze zmęczenia, przeciągnęli setki stóp w mżącym deszczu. Jarmark było słychać z daleka – muzyka dochodziła do nich falami – a kiedy wreszcie doszli do wejścia, ojciec wziął ją na barana. Przeczytał jej napisy: Galeria Sztuki Pań Otyłych i Taniec Orientalny w Haremie. Ludzie

w tłumie mruczeli pod nosem na widok szokujących, bladuróżowych pończoch i kobiety o twarzy jak księżyc w pełni, ubranej w suknię o niezliczonych fałdach i falbanach. Esther zapamiętała nie tuszę tej kobiety, ale jej koloryt – czerwone usta, czarne oczy, cienkie blade włosy i krzykliwą, choć brudną, tartanową suknię z zieloną wstęgą, przecinającą potężną klatkę piersiową.

Matka poprowadziła ich dalej – przez alejki ze strzelnicami do drewnianej, rzeźbionej karuzeli, a potem – do służącego za scenę płaskiego wozu z kurtyną, na której wymalowane były góry. Aktorzy odgrywali tam sceny biblijne. Jako ostatni wszedł na wóz Noe, prowadząc na srebrnych smyczach dwa psy i niosąc na ramieniu dwa tresowane gołębie. Na końcu przedstawienia na ziemię zstąpiły dwa anioły opuszczone z dachu namiotu. Esther zdjęto już wtedy z ramion ojca. Siedziała między przesuwającymi się wciąż nogami widzów, a pod wozem, na mokrej trawie, zauważyła cekiny, które odpadły od anielskich szat.

Doszli do stoiska Królowej Spadochronów, gdy zapadał już zmrok. Był tam balon z szarego brezentu, a pod nim kwadratowy kosz, do którego wsiedli: mężczyzna w czapce kapitańskiej, chłopiec i kobieta w wysokich butach i zielonych pumpach. Balon uniósł się w powietrze, kobieta wymachiwała flagą, a Esther patrzyła, jak flaga robi się coraz mniejsza i mniejsza, aż wreszcie balon zniknął w nisko zawieszonych chmurze. Deszcz rozpadał się na dobre, błyskało, na jarmarku zapalono latarnie, a z chmury opadła na ziemię Królowa Spadochronów z wydętą powietrzem spódnicą i flagą w rękę.

W drodze do domu Esther nie przestawała myśleć o aniołach, które fruwały nad Noem, i o spadochroniarce w zielonym stroju. Kiedy w końcu zasnęła, przyśniły jej się anioły na spadochronach i psy na srebrnych smyczach kołyszące się w powietrzu, i cekiny z anielskich strojów lądujące na ziemi z wielkim łomotem, toczące się tak jak kosz balonu, zanim po wyładowaniu zatrzymał się wreszcie na samym końcu jarmarku.

Esther tak bardzo pragnęła być malowanym aniołem, że przez długi czas marzyła, by uciec z prowadzonego przez ojca sklepu spożywczego i dołączyć do wędrownej trupy występującej na jarmarku. W mgnieniu oka wdrapałaby się do kosza balonu i już mogłaby kołysać się na niebie, machając zamiast flagą – anielskim skrzydłem, i zstępować na ziemię w jasnym blasku chwały.

Kiedy skończyła czternaście lat, interes ojca był bliski upadku, a Esther otrzymała pieniądze na zakup fartuszka i poszła na służbę. Przez pewien czas harowała w pocie czoła w wielkim majątku w Dewsbury. Jego właściciel zajmował się handlem węgiem i w całym domu śmierdziało pyłem węglowym. Po roku znalazła posadę gospodyni u wdowy po proboszczu, zostając zarazem towarzyszką jej życia. Starsza pani mogła sobie pozwolić na zatrudnienie tylko jednej służącej, więc Esther miała prawdziwe szczęście, że do niej trafiła. Po jakimś czasie chlebodawczyni poprosiła ją, by zamiast tradycyjnego uniformu nosiła zwykłą sukienkę – ponieważ nie miała dzieci, traktowała ją jak przybraną córkę. To właśnie u niej u pasa Esther po raz pierwszy zawisł pęk kluczy do najważniejszych miejsc w domu – drzwi wejściowych, kredensu i ogrodowej furtki.

Nigdy nie wychodziła z domu, chyba że do kościoła. I tylko kiedy w nim klęczała, czuła dreszcz przypominający podniecenie wywołane w dzieciństwie przez panią spadochroniarce i anioły o zdobionych cekinami skrzydłach. Najmocniej przenikał ją, kiedy śpiewała psalmy. Serce rosło jej w piersi, a na ziemię wracała, dopiero gdy po zakończonym nabożeństwie jej solidnie podbite buty uderzały o chodnik przed kościołem.

Esther Jocelyn znalazła się w Rutherford już jako czterdziestoletnia kobieta. Nie miała rodziny – jej rodzice od dawna nie żyli, a jedyny brat wyjechał do Kanady. Kiedy trafiła do majątku, lord William, choć już nie najmłodszy, wciąż był kawalerem, więc natychmiast stała się

niezastąpiona. Jaśnie pan, jak się przynajmniej zdawało, był w Rutherford całkiem samotny i zachowywał dla niej wszystkie swe uśmiechy. Wiedziała, że podróżował do Paryża, słyszała też plotkę, że ma tam kobietę, ale nie wierzyła w to. Był na to za dobry. Od chwili kiedy ona po raz pierwszy przekroczyła próg Rutherford, sprawy domowe nie zaprzętnęły właściciela ani przez chwilę i nie przyprawiły go nawet o minutę niepokoju. Wszystko: zatrudnianie służby, organizacja uroczystych kolacji i polowań, zaopatrzenie kuchni – zostało zdjęte z jego barków.

Wiadomość, że lord William się żeni, była dla pani Jocelyn wielkim szokiem.

Pewnego ranka po śniadaniu poprosił ją jak zwykle do biblioteki. Stała tam z piórem i papierem w ręku gotowa zanotować wszelkie ważne sprawy i zmiany menu. Dwa dni wcześniej odbyło się niezwykle udane przyjęcie z kolacją, a dwunastu gości zostało na noc. Była więc nastawiona, że, jak zwykle, usłyszy pochwałę. Kiedy weszła, podniósł głowę znad biurka.

– Pani Jocelyn – zaczął i machnął ręką w stronę krzesła. – Zechce pani usiąść?

Była zszokowana – nigdy nie siadała w jego obecności. Uśmiechnął się do niej szeroko i czekał, aż umości się na krześle.

– Zapewne przypomina sobie pani naszych gości – powiedział. – Tych, którzy przebywali u nas ostatnio.

– Tak, oczywiście.

– Zwłaszcza pannę Bairnswick.

Panna Bairnswick. Krucha piękność, którą pokojówka – podobno, tak słyszała – musiała wydobywać z pałta w sypialni. Wielkie oczy, drżące ręce. Bradfield twierdził, że podczas kolacji nie odezwała się ani słowem. Esther była pełna podziwu dla lorda Cavendisha, że się nad nią zlitował, teraz, kiedy sama musiała zarządzać przedziałkami w Blessington.

– Ach, oczywiście – odparła Esther. – Biedne dziecko.

William Cavendish uniósł brew. Porządkował papiery na biurku i spuścił na nie wzrok.

– Doprawdy, to przykra sytuacja.

Czekała, nie pojmując, dlaczego jest zażenowany. Czyżby pokojówki zrobiły coś nie tak? Czy ta Bairnswick narzekała? Na pewno nie. Wyglądała na suchotniczkę. Sprawiała wrażenie, jakby całe życie trzymane ją w zamknięciu. Esther przyszło do głowy, że może lord Cavendish poczuł się za nią odpowiedzialny, bo przecież w branży, w której działał ojciec dziewczyny, odpowiedzialność była ogromna, a Blessington leżało prawie po sąsiedzku. Jaśnie pan okazał wielką uprzejmość, zapraszając w swoje progi osobę związaną z handlem, ale nie miała wątpliwości, że to jedynie przelotny gest.

– Spodziewam się, że panna Bairnswick odwiedzi nas ponownie – odezwał się William, wreszcie spoglądając jej w oczy. – I to niebawem.

Esther zmarszczyła czoło. Cóż za niedogodność, właśnie zaplanowała gruntowne sprzątnięcie w pokojach gościnnych. Był już listopad i chciała, by przed Bożym Narodzeniem w domu zapanował idealny porządek. Poza tym lord William jak dotąd jesienią nie zapraszał nikogo prócz dżentelmenów. Interesowało go tylko i wyłącznie polowanie i nie dopuszczał, by mężczyźni przybywali w towarzystwie żon. Zimne, pełne przeciągów Rutherford miało opinię typowo męskiego gospodarstwa.

Esther Jocelyn szczególnie sobie to ceniła. Dzięki temu dominowała zarówno w zapuszczonym ogromnym holu, jak i w urządzonych w stylu Tudorów pokojach na górze, gdzie przez wiele miesięcy w roku była jedyną kobietą, z wyjątkiem pokojówek, oczywiście. W sekretnych zakamarkach serca widziała się u boku lorda Williama jako jego żona, a przynajmniej – gospo dyni. Darzyła go cichym, bezkrytycznym uwielbieniem, była w pełni oddana jemu i Rutherford, a także przekonana, że sytuacja ta nigdy nie ulegnie zmianie. Dzielili ze sobą życie.

William stał teraz za biurkiem. Patrzyła na niego zaintrygowana.

– Panna Bairnswick i ja zamierzamy się pobrać – oznajmił. – Ślub odbędzie się za miesiąc w Londynie. Mam nadzieję, że możemy liczyć na pani błogosławieństwo, Esther.

Wówczas to po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Było to pierwsze, co przyszło jej do głowy, kiedy schodziła ze schodów. Nie zapamiętała, co mu odpowiedziała. Miała nadzieję, że coś stosownego i uprzejmego. Nie mogła sobie jednak przypomnieć ani jednego konkretnego słowa. Zapamiętała za to interesujące, niewidziane wcześniej światelko w oczach Williama i zdała sobie sprawę, że był po prostu... Zamierzała powiedzieć „szczęśliwy”, ale nie szczęście miała na myśli. To było spełnienie. Doszła do wniosku, że nie chodziło o romans, znała go na tyle dobrze, żeby wiedzieć to na pewno. Był jednak z całą pewnością w pełni usatysfakcjonowany. Na myśl, że trzeba będzie tolerować kruchą i piękną pannę Bairnswick i, zapewne, uczyć ją krok po kroku tajników funkcjonowania Rutherford, musiała zatrzymać się na zakręcie schodów za obitymi zielonym sukniem drzwiami i wziąć głęboki oddech.

Ruszyła do kuchni, gdzie przekazała kucharce jadłospis na tamten dzień, po czym przez destylarnię i pralnię skierowała się do spiżarni. Nie całkiem zdawała sobie sprawę, dokąd idzie i co robi, dopóki w pokoju kredensowym nie ujrzała pana Bradfielda, z zacięciem polerującego srebra, które obawiał się powierzyć podkuchennej. Zarządzający męską służbą stał odwrócony do niej plecami, jak zawsze zgarbiony.

– Żeni się – rzuciła w oszołomieniu.

Bradfield odwrócił się i spojrzał na nią, po czym nieznacznie skinął głową.

– A więc powiedział pani.

– A pan wiedział?

– Słyszałem od nich – wyjaśnił. – Mój brat jest na służbie w Blessington. Ona im powiedziała. Mnie na razie nie mówił.

Skinęli do siebie porozumiewawczo głowami. Odtąd pani Jocelyn nie myślała o Octavii inaczej niż ona. Nie panna Bairnswick i nie, przynajmniej przez pewien czas po ślubie, lady Cavendish, tylko ona. To ona pomieszała wszystkim szyki, ona była intruzem w Rutherford. Ona – ta mała, wystraszona kobieta, która miała – jak się wkrótce, raczej szybko i ku wielkiemu rozczarowaniu pani Jocelyn, okazało – własne zdanie.

I choć Esther Jocelyn nigdy i przed nikim nie zdradziła się ani słowem, to również ona – jej nowa pani – odebrała jej lorda Williama.

Esther Jocelyn klęczała teraz na piętach z rękami przyciśniętymi do klatki piersiowej.

Spojrzała na gzyms kominka, na dwie figurki ptaszków uwięzione pod szklaną kopułą. Dwa małe, śpiewające błękitniki przycupnięte na gałązce, omijające się wzrokiem. Dostała je w prezencie od lorda Williama z okazji jego ślubu. Kiedy wręczał jej upominek, wyraził wprawdzie nadzieję, że Esther zawsze będzie łaskawie spoglądać na dwa ptaszki o nazwisku Beckforth i że te figurki mają przypominać jej pana i panią, ona sama utożsamiała jednak mniejszego ptaszka z kimś innym. Wyobrażała sobie, że lord William podarował jej symbol ich dwojga – jego i jej – takich, jacy byli wobec siebie naprawdę – na zawsze zamkniętych pod kopułą pięknej przyjaźni, lecz patrzących w różne strony.

Pani Jocelyn powoli wstała.

Przez pewien czas wpatrywała się w to, co miała wokół siebie – najpierw w ptaszki, potem w cytaty religijne, które sama wyhaftowała i oprawione zawiesiła na ścianie. Patrzyła na obraz Elizeusza wskrzeszającego syna Szunamitki – ilustrowaną kartę z Biblii, którą kupiła sobie podczas swego corocznego dnia wolnego. Myślała o tamtym dniu, kiedy lord William oznajmił jej, że się żeni, o narodzinach dzieci jaśnie państwa, o spokojnym i przewidywalnym życiu w Rutherford, niezmiennym z roku na rok. O swoim obowiązku, by zapewnić temu domowi

sprawne funkcjonowanie. I o tym, że przyjemność – przyjemność podziwiania malowanych aniołów i unoszenia się wśród obłoków – jest pusta i ulotna. Malowane anioły spadają – oto, czym jest przyjemność. Przyjemność to widowisko, teatr, iluzja i niebezpieczeństwo. Jej obowiązkiem zaś było uchronić ten dom przed pożądaniem, obronić go przed działaniem diabła. A przede wszystkim – chronić Williama Cavendisha.

Wczesnym rankiem udała się do biblioteki, by dopilnować, czy wszystko jest aby w należyтым porządku na powrót jaśnie pana. Ociągała się chwilę, wodziła palcami po grzbietach książek, wyjęła chusteczkę z kieszeni, by nadać jeszcze większy połysk biurku i krzesła. Wycofawszy się do wielkiego holu tuż przed wejściem pokojówek, które o tej porze przychodziły pozamiatać, podniosła wzrok na portret Octavii pędzla Singera Sargenta.

I wtedy jej wzrok przyciągnął jakiś ruch na podeście powyżej.

O szóstej rano w letni poranek zobaczyła Octavię Cavendish, skradającą się korytarzem na górce. Widziała, jak ogląda się przez ramię, usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a po chwili ujrzała Johna Goulda. Ten powiedział coś do Octavii, przytrzymał ją za nadgarstek, a potem – pocałował.

Esther z całej siły przycisnęła plecy do drzwi biblioteki.

I potem cały dzień rozmyślała o sobie sprzed lat – kiedy jako czterolatka leżała na mokrej trawie i patrzyła, jak przez szpary między deskami służącego za scenę wozu spadają cekiny, i po woli docierało do niej, że każdy anioł prędzej czy później upadnie.

Louisa siedziała na ławce w cieniu drzewa nad jeziorem Long Water w Kensington Gardens. Jeszcze raz czytała list od ojca, w którym podawał jej godziny odjazdów pociągów do Rutherford i donosił, że Charlotte wraca niebawem z Brighton, gdzie spędziła lato ze znajomymi Stanningfieldów. Ojciec kazał jej przyjeżdżać natychmiast, nalegał, że to bardzo ważne, by cała rodzina jak najszybciej znalazła się razem w domu. Złożyła równo pojedynczą kartkę i schowała ją do koperty, po czym spojrzała poprzez wodę w kierunku Hyde Parku.

Przyprowadziła tu ze sobą Florence, ale kazała jej przysiąc milczenie.

– Muszę się spotkać z Maurice'em Frederickiem – wyznała przyjaciółce poprzedniej nocy.

Florence szeroko otworzyła oczy.

– Czy to rozsądne?

– Proszę, nie wpytuj mnie – odparła Louisa. – Proszę cię tylko, abyś ze mną poszła, a potem zostawiła mnie na kwadrans samą. To chyba niezbyt dużo?

Florence rozważyła prośbę przyjaciółki. Przez ostatnie dwa tygodnie zauważyła w niej znaczną zmianę. Po pierwsze, zachowywała się o wiele mniej frywolnie niż zazwyczaj. Jej słoneczna natura ustąpiła miejsca czemuś, co można by opisać jako mieszaninę irytacji i podekscytowania. Odzywała się mniej, ale za to częściej sprzeciwiała. Nie chciała jeździć na wycieczki z resztą rodziny, wymawiając się złym samopoczuciem. A mimo to Florence była przekonana, że Louisa spędzała wtedy czas poza domem – kucharka kilka razy napomknęła, że Louisa nie jadła lunchu albo że nie było jej w domu w porze herbaty. Zaniepokojona Florence ścisnęła Louise za rękę.

– Nie powiesz mi, o co chodzi? – zapytała. – Przecież mi ufasz.

Louisa przygryzła wargę.

– Nie mogę powiedzieć.

– Widzę, że pan Frederick jest przyczyną twojego zmartwienia, to jasne.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Wraca do Francji.

– Och?

– Obawia się, że wybuchnie wojna. Mówi, że musi jechać do matki. Ona jest tam sama.
– Sama? – powtórzyła Florence. – To znaczy, że on nie ma innej rodziny?
– Żadnej. – Louisa mocno chwyciła przyjaciółkę za rękę. – Muszę się z nim pożegnać, rozumiesz? – szepnęła. – Ojciec każe mi wracać do domu, a Maurice wyjeżdża. Innej okazji nie będzie. Wyjeżdża pojutrze.

Florence westchnęła.

– W takim razie chyba przejdę się obejrzeć ten nowy posąg Piotrusia Pana, który ustawiono w parku.

Louisa uśmiechnęła się i ucałowała przyjaciółkę.

– Dziękuję – szepnęła.

– Ale... – zaczęła Florence i przerwała. – Proszę, uważaj na siebie. Obiecay mi, że będziesz uważać.

– Tak, oczywiście – przyrzekła Louisa. – Oczywiście.

W ogrodach była nieduża kawiarenka – parę stolików na wolnym powietrzu, doskonale widocznych z ławki, na której siedziała Louisa. Pomiędzy drzewami widziała poruszającą się powoli sylwetkę Florence. Dziewczyna przystanęła przy poręczu mostka i obejrzała się za siebie. Louisa na moment uniosła rękę. Patrzyła, jak Florence kieruje się ku stolikom, siada i coś zamawia, po czym rozkłada parasolkę i ustawia ją tak, by zasłonić sobie widok na przyjaciółkę, dając jej do zrozumienia, że choć jest tak blisko, nie będzie zakłócać jej prywatności.

Maurice pojawił się punkt trzecia – właśnie gdzieś z oddali dobiegało bicie zegara. Kiedy się zbliżał, Louisa pomyślała sobie, że jego twarz nie zdradza nawet cienia niepokoju, czyli Maurice najwidoczniej doskonale panuje nad emocjami. Podziwiała go za to. Dotknął kapelusza i usiadł obok niej na ławce. Siedzieli tak ramię w ramię w milczeniu przez dobrą minutę, aż w końcu on odezwał się pierwszy.

– Przepraszam za to wszystko – mruknął.

– To nie twoja wina.

Potrząsnął głową.

– Och, oczywiście, że moja.

– Raczej nas obojga – sprzeciwiła się.

Mimo postanowienia, że tego nie zrobi, Louisa rozplakała się. Miała wrażenie, że za chwilę serce pęknie jej z żalu. Nie mogła oddychać. Widząc jej zdenerwowanie, wziął ją za rękę.

– Musisz jechać? – zapytała. – Nie mógłbyś przed wyjazdem pojechać ze mną do domu, poznać moich rodziców?

– Nie miałyby to sensu – odparł. – Wzgardziliby mną choćby dlatego, że w ogóle cię poznałem.

– To nieprawda. Sprawiałabym, żeby cię polubili.

Zmarszczył czoło.

– Louiso – powiedział cicho – nie wiem, co przyniesie przyszłość. Sądzę, że za parę dni rezerwiści dostaną powołanie do wojska...

– Nie – zaprotestowała. – Nie, jeśli zostaniesz ze mną w Anglii.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

– Kochana, jeśli mój kraj przystąpi do wojny, muszę walczyć. Nie mogę się tu ukrywać.

– Masz przecież pracę w ambasadzie. Z całą pewnością nie musisz jechać. – Odwróciła od niego oczy i zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu chusteczki. – Mój ojciec mógłby coś na to poradzić. Porozmawiać z kimś.

Na jego twarzy pojawił się blady uśmiech.

– Twoja wiara w ojca jest wzruszająca, ale nawet on nie sprawuje władzy nad

obywatelem francuskim.

– Naśmiewasz się ze mnie.

– Ależ nie, bynajmniej. Jesteś niewinna, najdroższa. Właś nie to Kocham.

Patrzyła na niego.

– Nie rozumiem, dlaczego musi być ta wojna. Co ona ma wspólnego z Francją? Co ma wspólnego z nami? – Westchnęła ciężko, z bólem. Uniósł jej dłoń i ucałował. – Moglibyśmy... – Przerwała zdenerwowana. – Nigdy nie byliśmy sami. Naprawdę sami. Chodźmy do hotelu.

Trwał bez ruchu, ze spuszczonego wzrokiem i jej dłonią wciąż uniesioną do ust. Następnie odsunął jej rękę i powiedział:

– Nie mógłbym tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo to byłoby złe, najdroższa, dla nas obojga. A zwłaszcza dla ciebie.

Patrzyli na Long Water, i dalej, na zakręt jeziora Serpentine. Alejką szła niania, prowadząc za rączki dwoje małych dzieci. Chłopczyk wyrwał się, pomknął naprzód, podniósł patyk i zaczął tańczyć z nim wokół niani i siostrzyczki. Hasał, śmiał się i udawał, że patyk to miecz. Louise ogarnęła fala chłodu – przecucie nadchodzących okropności.

– Co zrobi twoja matka, kiedy się zaciągniesz? – zapytała cicho. – Przecież i ją będziesz musiał zostawić samą.

– Tak. To prawda.

– Nie będzie się o ciebie bała?

Zastanowił się chwilę.

– Tak, myślę, że będzie – odparł w końcu. – Słyszałem, jak w ambasadzie ktoś mówił, że jeśli wybuchnie wojna, nieprzyjaciel od razu ruszy na Paryż. Taki będzie cel: zająć Paryż i zdominować Europę.

– Na pewno atak zostanie odparty.

– Będziemy próbować.

Pomimo upału Louisa zdrząła. Och, tylko nie Maurice. Wyobraziła go sobie w mundurze, z bronią w ręku, z karabinem. Boże, proszę, tylko nie Maurice. Może skończy się na barykadach, kijach i kamieniach – tak jak bawił się przechodzący przed chwilą chłopiec.

– Och, jak bym chciała znowu być dzieckiem – westchnęła. – Nad niczym się wtedy nie zastanawiałam. Nie było żadnych niebezpieczeństw. Tylko zabawa.

– Były, ale ciebie przed nimi chroniono – zauważył.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Opowiedział jej już o tym, jak to jego ojciec opuścił matkę i więcej nie pokazał jej się na oczy. Sam Maurice w ogóle go nie pamiętał. Dorastał w pełni świadom straty, jaką był brak ojca. Louisa uświadomiła sobie, że sama miała ojca na stałe. Powiedziała to Maurice'owi. A także to, że zawsze uważała się za jego faworytkę – tak ją rozpieszczał. Na twarzy Maurice'a na chwilę zagościła zazdrość, ale po chwili zastąpił ją smutek.

– Napiszesz do mnie? – zapytała Louisa.

– Nie mam pojęcia, czy listy do ciebie dojdą.

Alejką przechodzili jacyś ludzie, ale ani Maurice, ani Louisa, nie zważali na nich, kiedy objął ją ramionami i obsypywał pocałunkami jej czoło i palce. Pragnęła, by pocałował ją naprawdę, więc wtuliła się w niego, ale odsunął się z powrotem na skraj ławki. Patrząc na jego profil, Louisa pomyślała sobie, jaki musi czuć się samotny – tu, w Londynie – nikogo nie znając, nie będąc do nikogo zapraszany. Nie zgodził się – choć błagała – przyjść któregoś wieczoru do de Rayów, by mogła go przedstawić. Zdawało się, że za wszelką cenę chce trzymać się z dala. Czując z tego powodu niewymowny smutek – tak bardzo pragnęła zmienić jego samotne życie. Kiedy go o to zagadnęła, wzruszył tylko ramionami.

– Zawsze musiałem radzić sobie sam – odparł. – I wygląda na to, że to się nigdy nie zmieni.

Jego słowa zabolęły ją do głębi.

Zegar wybił kwadrans po trzeciej. Za chwilę wróci Florence, a Maurice sobie pójdzie. Na samą myśl o tym Louise ogarnęła panika i strach.

– Chcę z tobą jechać – powiedziała. – Chcę jechać do Paryża.

– Nie. To niemożliwe.

– To nie jest niemożliwe – protestowała. – Weźmiemy ślub w Londynie. Jeszcze w tym tygodniu.

– Nie – powtórzył. – Nie zrobimy tego.

Nie odrywała od niego wzroku.

– Nie kochasz mnie?

– Znasz odpowiedź. Ale tu nie chodzi o miłość. Tu chodzi o względy praktyczne.

– Czyżbyś tego nie rozumiał? Przecież jeśli się nie pobierzemy, być może już nigdy się nie zobaczymy. Pojadę do domu i... – Przerwała. Po raz pierwszy perspektywa powrotu do domu wydała jej się nieznośna. Odtąd nie będzie już umiała tkwić w Rutherford i prowadzić pustego życia. Wolałaby raczej umrzeć – taka była prawda. Wolałaby raczej jechać do obcego kraju. Francja leżała przecież blisko, raptem po drugiej stronie kanału. Maurice opowiadał jej o mieście – chciała je poznać, stać się jego częścią. Chciała stać się częścią życia Maurice'a. Wydawało się, że od dnia, kiedy opuściła Rutherford, minęły nie miesiące, lecz wieki.

Wystarczyło, że spojrzała na Maurice'a, a już wiedziała, że odtąd będzie bezpieczna. Z całą pewnością oboje będą. Nie wykorzystał jej i po ślubie na pewno o nią zadba. Może nie miał fortuny, myślała. Ale za to miał honor.

– Zostanę u twojej matki – zaryzykowała. – Będziemy czekać razem. Na pewno ucieszy ją obecność kogoś życzliwego.

Zastanowił się nad tym.

– Sądzę, że to twoja matka wolałaby cię częściej widywać – rzekł. – Louiso, jak sądzisz, co ona na to powie?

– Mama o wiele bardziej martwi się o Harry'ego. Jest jej pupilem.

– Tak czy inaczej, matka jest zawsze bardzo związana z córkami. Jeśli cię straci, serce jej pęknie.

– Nie – upierała się. – Choć może pęknąć ojcu.

Maurice patrzył w dal. Wydawał się rozważać jej słowa.

– Jeśli chodzi o moją matkę – rzekł w końcu – to gdybyś tam pojechała, na pewno nie chciałaby cię utracić. Byłaby tobą zachwycona.

– Sam widzisz, jak świetnie to się wszystko składa. Twoja matka potrzebuje kogoś, kto by jej towarzyszył. Moja mama ma męża, Harry'ego i Charlotte. Ma wokół siebie tyle osób. I służbę. A twoja jest sama. Obie czekałybyśmy na ciebie.

– Jeśli Paryż zostanie zajęty...

– Nie zostanie – przerwała mu stanowczo. – A nawet gdyby, to co by nam groziło?

Przynajmniej będziemy razem. Będę się o nią troszczyć, Maurice, obiecuję. – Louisa załamała rękę. – Przynajmniej bym się do czegoś przydała. Nigdy nie byłam nikim innym, jak... sam

wiesz... Jestem pewna, że w domu wszyscy uważają mnie za zabawną. Wiem, że przynajmniej tata ma mnie za taką. Wszyscy inni... Och, wiesz, Harry się ze mnie naśmiewa... – Jej głos

przeszedł w szept. – Jestem dla nich tylko niepoważną śmieszką. Mnie to nie przeszkadza, ale oni uważają, że nie można mi powierzyć żadnej decyzji. Nawet tej, za kogo powinnam wyjść. I mam okropne przeczucie, że zamierzają wydać mnie za męża, Maurice. Zostanę ulokowana nie

wiadomo gdzie, w jakimś ogromnym majątku, i tak mi upłynie całe życie. A nie mogę sobie wyobrazić... nie mogę nawet pomyśleć... zawsze będę myśleć tylko o tobie...

– Twoja matka ma rację – wtrącił. – Musisz dobrze wyjść za mąż.

– Ależ wyszłabym za mąż jak najlepiej – zaprotestowała. – Potrafię im to udowodnić.

Wyszłabym za dobrego człowieka.

Patrzył na nią przez chwilę ze smutkiem.

– Obawiam się, że nie masz zielonego pojęcia, w co się pakujesz, Louiso. Ja nie jestem dobrym człowiekiem.

– Oczywiście, że jesteś!

Znieruchomiał. W milczeniu wpatrywał się w jej twarz.

– Nadejdzie jeszcze chwila, kiedy pomyślisz o mnie źle. Tak się dzieje w każdej historii miłosnej. A wtedy pożałujesz, że oddałaś za mnie ten olbrzymi majątek... Nie wiadomo po co.

Zaczęła się śmiać.

– I mokre zimy, i tuzin psów, i lodowate pokoje, i wiatr pędzący przez Norfolk, i okropnego mężczyznę o spoconych rękach i bez taktu, jak... – Nie mogła znaleźć właściwego porównania. – Zupełnie bez taktu. – Wyprostowała się i obdarzyła go triumfalnym uśmiechem. – A więc jadę z tobą do Paryża – oznajmiła. – Tam weźmiemy ślub, a twoja matka będzie nam świadkiem. Prawda, jak to się świetnie składa? Czyż to nie znakomite rozwiązanie?

Odwrócił się i utkwiał wzrok w Long Water.

– Wraca twoja przyjaciółka – powiedział obojętnym tonem.

– Maurice – zawołała błagalnie. – Maurice, nie zostawiaj mnie tu.

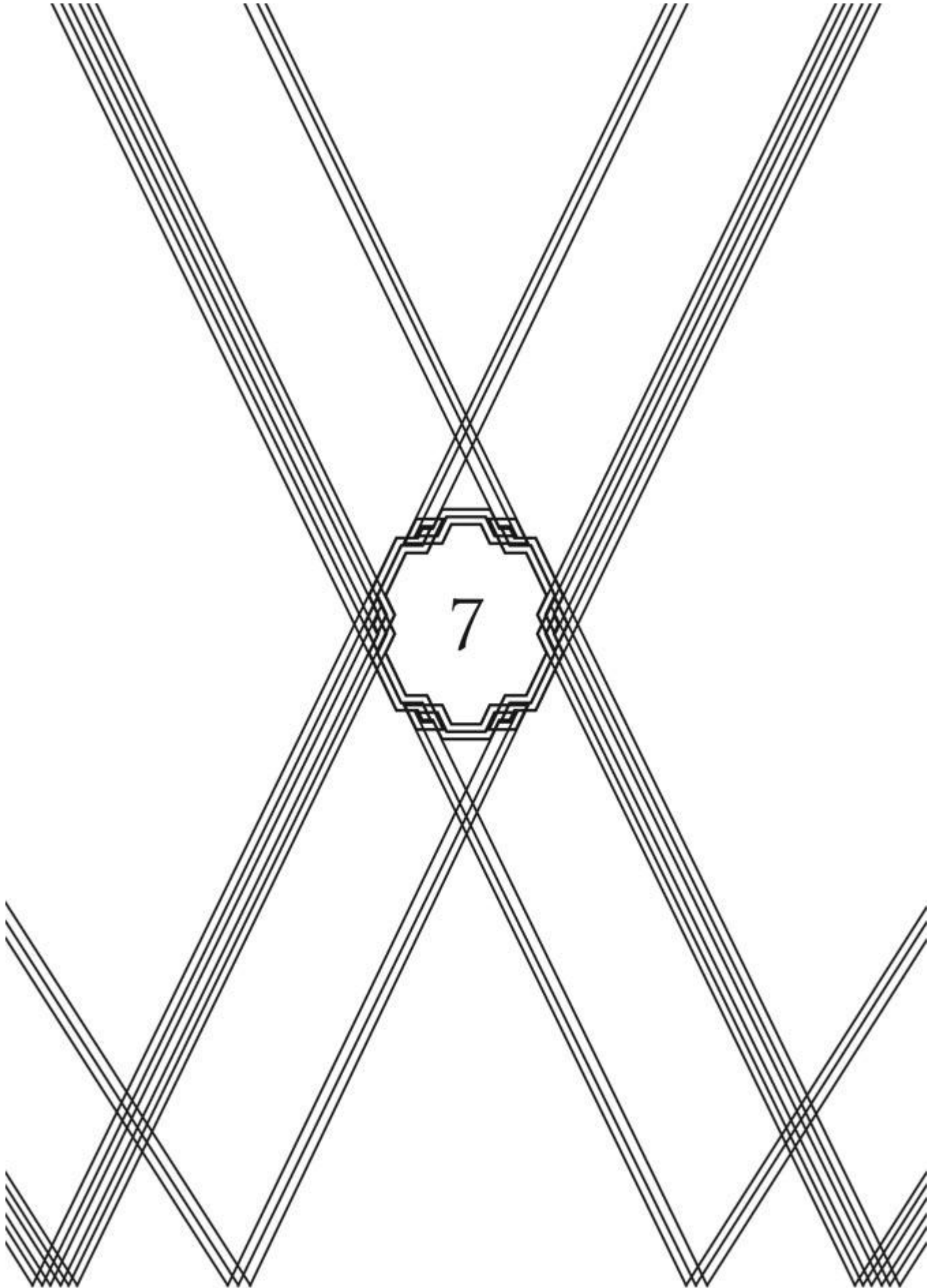
Obejrzał się na nią.

– Chcesz, abym złamał serce twemu ojcu? – rzucił. – Chcesz, abym to zrobił?

Drżała na całym ciele. Nie wiedziała, co powiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że nie panuje nad sobą, ale nie była w stanie nic na to poradzić. Przyszło jej do głowy, że kontrolę nad własnym życiem straciła w zasadzie już tego dnia, kiedy zobaczyła go na schodach teatru. Rutherford przybrało wymiary i koloryt snu, który coraz bardziej bladł, znikał, odchodził w nicość.

– Proszę, weź mnie do Paryża – wyjąkała.

A Maurice Frederick, zamiast odpowiedzieć, nieoczekiwanie chwycił ją za rękę.



Podczas Targów Rolniczych Hrabstwa York Harry stał w tłumie, ściskając w rękę egzemplarz magazynu „Flight”. Był ostatni tydzień czerwca i pogoda zmieniła się na pochmurną i deszczową. Harry kupił sobie „Flight” cztery miesiące wcześniej, w Londynie, po pokazach lotniczych w centrum wystawowym Olympia, i od tamtego czasu się z nim nie rozstawał. Od ciągłego czytania rogi kartek były już pozawijane, a całe pismo wyświechtane i ledwie czytelne. Na ziarnistym czarno-białym zdjęciu ilustrującym artykuł, widniał nowy jednopłatowiec Blackburna. Harry czekał właśnie na przybycie samej maszyny, a także jej konstruktora i pilota. Nawet przybierający na sile deszcz – równomierny i rzęśisty, typowy dla Gór Pennińskich – nie zniechęcił setek osób ustawionych wzdłuż szerokiej alei i wypatrujących pojawienia się samolotu.

Harry chciał porozmawiać z Blackburnem, ucisnąć mu dłoń. Na ułamek sekundy spojrzął na gazetę i poczuł ukłucie zazdrości. Już tyłu zdobyło licencję pilota w Aeroklubie Królewskim. Miał wrażenie, że szansa na latanie z każdym dniem coraz bardziej wymyka mu się z rąk. Diabli niech wezmą ojca, diabli niech wezmą przedziałnie w Blessington. W najmniejszym stopniu go nie interesowały. Nie interesowało go też to, co według ojca było dla niego najlepsze. Zależało mu tylko na lataniu. W razie potrzeby mógłby sobie nawet kupić jeden z samolotów typu Blackburn 1 i latać nim jako pasażer, tak samo jak doktor Christie. Christie, choć nie miał licencji, przeleciał blackburnem Anglię wzdłuż i wszerz. Ba, u boku twórcy i pilota tego samolotu brał nawet udział w zeszłorocznym wyścigu powietrznym Wojna Dwóch Róż. Bez trudu pokonali załogę z hrabstwa Lancaster, startującą dwupłatowcem Avro, który przy maszynie Blackburn 1 wyglądał jak wciśnięta w ciasno zasznurowany gorset wiktoriańska staruszka. Nowoczesny Blackburn 1, z eleganckim aluminiowym kadłubem i rozpiętością skrzydeł blisko czterdziestu stóp, prezentował się niczym piękny ptak. Wnętrze miało wygodnie wyłożone skórą, a w kokpicie samochodową kierownicę, więc Harry sądził, że siedzenie za jego sterami przypominało kierowanie samochodem.

Harry stracił mnóstwo czasu w Londynie na uporczywych próbach wymazania z myśli zdarzeń tamtej zimowej nocy w Rutherford. Były dziewczyny – wesole i nieprzyzwoite, wracające z nim ochoczo do domu z pubów na East Endzie, była modelka malarza, która swoją nieostrożnością omal nie przyprawiła go o utratę zmysłów, były wreszcie dwie mężatki, których nie musiał mamić, oszukiwać, wabić i które nie żądały zapłaty. Tkwiły zamknięte w martwych małżeństwach, głodne właśnie takiej fizycznej miłości, jaką im proponował. Głodne też – jak się później okazało – leż, które zdarzało mu się ronić. Przytulały go do piersi niczym dziecko i trzymały aż do chwili, kiedy przyduszony musiał się uwolnić. A nigdy nie wiedział, jak to taktownie zrobić. Często zdarzało się, że po prostu ruszał w noc, pełen niesmaku i poczucia odrzucenia. Sądził, że zachowuje się okrutnie wobec tych, które tak kurczowo się go czepiają. Po prostu nigdy nie wiedział, jak odejść, zachowując choćby odrobinę przyzwoitości. Wobec tego siłą zdzierał z siebie ich palce i trzaskał drzwiami. Nigdy nie znajdował właściwych słów. Łzy przychodziły same, a głębia uczuć, z której wynikały, pozostawała nierozpoznana, zamknięta na klucz w ciężkiej szkatule. Wmawiał sobie, że nie musi nic czuć, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Tymczasem krzyczał coraz głośniejszymi, upijał się szybciej, znosił więcej obcych pokojów, rąk i kurczowo zaciśniętych palców, uderzeń i jęków – wszystko po to, by zagłuszyć powracającą echem pustkę.

Oczywiście próbował pozbyć się dręczących myśli na wiele innych sposobów. Wybrał się na Wystawę Anglo-Amerykańską w Great White City i podziwiał eksponaty. Miał nadzieję, że zainspiruje go to do zajęcia się czymś poza wielogodzinnym przesiadywaniem w klubie White's

na St. James Street i przyglądaniem się przechodzącym za oknem kobietom. Widział więc ruchomy model Kanału Panamskiego, replikę Nowego Jorku oraz model Wielkiego Kanionu. Oglądał *Wild West Show*, na którym dziewczyny szalały na koniach. Choć na wszystkich pokaz wywarł niezapomniane wrażenie, on coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nic nie porusza go do tego stopnia, jak mała, nieostra fotografia samolotu Blackburn typ 1. Zapadła mu głęboko w pamięć i serce, tkwiła tam i śwędziała, wciąż domagając się podrapania.

Londyn go wykańczał – zabijał w nim duszę i serce. A raczej to, co mu z duszy i serca pozostało. Odkrył, że myśl o powrocie do hrabstwa York napawa go zadowoleniem. W zasadzie uczucie, że się dusi, towarzyszyło mu od dawna. Cały ten harmider – krzyki, westchnienia, odgłos własnych kroków po schodach i po podłogach tanich pensjonatów, uliczne pandemonium Londynu, pijackie wrzaski, szloch – stał się po prostu nie do wytrzymania. A gdzieś daleko, poza jego zasięgiem – ale jednocześnie tuż przy nim, kiedy się budził i nie mógł rozpoznać jej twarzy, lecz całym sobą wyczuwał jej obecność – była Emily ze złotym łańcuszkiem w dłoni i wyrazem bezgranicznego nieszczęścia na twarzy.

Czekanie w tłumie irytowało go coraz bardziej. Jak długo to jeszcze potrwa? Stał tu już prawie godzinę. Samolot miał zostać przeciągnięty aleją na łąkę, toczyć się niezgrabnie na kołach, chwiejąc się z boku na bok. Mówiono, że tak będzie wyglądał: niczym uziemiony łabędź niezdolny do lotu, z wyciągniętymi na boki skrzydłami, lub jak dziecko, które uczy się chodzić i dla równowagi rozkłada ręce. Z trudem, ale do przodu. A kiedy się uniesie, zmieni się nie do poznania – łabędź stanie się łabędziem, cudownym, niezapomnianym zjawiskiem. Jak dziecko, które pobiegło, jak ptak, który wzbił się w przestworza. A on chciał to zobaczyć. Poczuć. Pragnął unieść się z ziemi.

Deszcz spływał mu po szyi za kołnierz, a woń cisnących się wokół ludzi – przenikające się zapachy mokrego ubrania, piwa i tanich papierosów – przyprawiała o mdłości. W tłumie zaczęto żartować, tupać nogami, gwizdać jak lokomotywa.

– Trochę szybciej, tempo, tempo!

A potem: – Jest, jedzie!

Harry łokciami przepchnął się do przodu.

– Patrz, jak chodzisz! – warknął ktoś.

I oto samolot nadjechał, a sam Blackburn szedł obok niego, wymachując pilotką, śmiejąc się i gawędząc z jakimś dziennikarzem. Był przystojny, wyprostowany jak struna, ciemnowłosy. Kiedy znalazł się bliżej, Harry zdecydowanie wyszedł przed szereg i zaszedł mu drogę.

– Panie Blackburn – odezwał się i wyciągnął rękę. Blackburn zawahał się przez chwilę. – Nazywam się Harry Cavendish. I chcę latać.

Blackburn uśmiechnął się. Tłum napierał, każdy chciał zobaczyć przetaczany samolot i wypisane na ogonie, przesuwanym się właśnie gdzieś obok głowy Harry'ego, słowa: „The Blackburn Aeroplane Co., Leeds”. Harry otarł krople deszczu z oczu.

– Leci pan dzisiaj do Leeds – powiedział.

– Robię półgodzinny lot w tę i z powrotem – potwierdził Blackburn i ruszył żywo naprzód, tak że Harry, chcąc dotrzymać mu kroku, prawie biegł, odpychając innych ciekawskich.

– Niech mnie pan zabierze jako pierwszego – poprosił.

Blackburn zatrzymał się na chwilę i zlustrował go wzrokiem.

– Dostyc się panu spiesz.

– Tak samo jak panu – odparł Harry. – Proszę mnie zabrać na pierwszy lot do Leeds.

I z powrotem.

Blackburn uśmiechał się.

– To niemożliwe.

– Mam bilet.

Pilot poklepał go po ramieniu.

– W takim razie czekaj w kolejce, chłopcze – rzekł. – Moją pierwszą pasażerką, niech ją Bóg błogosławi, będzie szanowna pani burmistrzowa Leeds.

Kolej Harry'ego nadeszła o pierwszej po południu.

Deszcz przestał już padać, a chmury rozstąpiły się, odsłaniając blade słońce. Blackburn, który odbył już kilka lotów, zdjawszy skórzaną pilotkę, stał przy samolocie i wycierał szyję szalikiem. Harry podszedł do niego z biletem w ręku.

– Ach – odezwał się Blackburn – więc jest pan.

– Całe życie na to czekałem – wybuchnął Harry i natychmiast ugryzł się w język, wściekły, że entuzjazmuje się jak przejęty uczeń. Blackburn uśmiechnął się tylko. – Byłem w marcu na Olympii – mówił szybko Harry. – Widziałem wtedy ten samolot. Śledziłem to, co pan robi. Wiem, że w zeszłym roku latał pan po całym kraju. Chciałem przyjechać do Harrogate i Wetherby.

– Więc czemu nie przyjechałeś?

Harry zawahał się.

– Mój ojciec uważa, że to strata czasu. Poza tym nie było mnie w hrabstwie York. Musiałem... musiałem wyjechać.

Blackburn uniósł brew.

– Latanie to przyszłość – odpowiedział po prostu. – Wsiadaj. Lecimy.

Harry, zajmując miejsce pasażera, myślał, że serce z wrażenia wyskoczy mu z piersi – łomotało tak, jakby nie mogło znaleźć sobie miejsca. Potem Blackburn uruchomił silnik i postukał go w ramię. Harry włożył na głowę otrzymaną wcześniej pilotkę. Była za duża, więc zacisnął pasek, aby ją lepiej umocować. I już toczyli się naprzód, podskakując na nierównym terenie. Harry wiedział, że Blackburn zdobył licencję pilota na samolocie o konstrukcji skrzynkowej Bristol Boxkite, i uważał, że Blackburn typ 1 jest do niego zupełnie niepodobny. Teraz, kiedy siedział w kokpicie, pod nim przesuwiała się zamazana trawa, a w twarz uderzał wiatr, Harry pomyślał, że Blackburn, który nie był wówczas osłonięty kabiną, musiał czuć się dokładnie jak w starym skrzynkowym latawcu, takim samym, jakim bawił się w dzieciństwie. Siedział po prostu na ramie z drewna i brezentu, jak na krześle umocowanym byle jak w unoszącym się w powietrzu namiocie. Tu jednak było inaczej – znajdowali się w kabinie, stanowiącej integralną część samolotu. Harry rozejrzał się na lewo i na prawo. Wydawało mu się, że skrzydła to przedłużenie jego własnych ramion. Ogarnęło go pierwotne poczucie władzy, jakby nagle stał się nadczołowiekiem, który za chwilę wstąpi w niebiosa. Mocno chwycił się skraju kabiny.

A potem ziemia usunęła się spod kół maszyny. Wzniesli się w górę, w pustą przestrzeń pozbawioną znaków i dróg. Nic ich nie powstrzymywało. Byli sami. Zmagali się z wiatrem, który łagodnie nimi kołysał. Minęli postrzępioną chmurę. Harry spojrzął w dół i zobaczył ziemię jako układ kwadratów z białymi prostokątami namiotów na festynie. Drzewa i lasy wyglądały jak małe gąbki na chropowatej zielonej desce. Arena wystawy i aleja, na której przed chwilą stał, przypominały białe gryzmoły. Potem, daleko, zobaczył Bradford i Góry Pennińskie, smugę dymu nad przędzalniami, a potem samolot położył się na skrzydło, zasłonił widok i miasto zniknęło. Przez chwilę wydawało mu się, że pędząc, odbywa podróż nie tylko poza znane krajobrazy, ale, nieskrępowany i niczym nieograniczony, również poza samego siebie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł, jak napięcie w jego piersi słabnie, a potem zupełnie go opuszcza, a brzemię Emily znika z najskrytszych, najgłębszych zakamarków jego jestestwa. Nie było jej tu, w czystych przestworzach, została tam na dole, głęboko w rzece. Gdzieś pod ziemią, nigdy się

zresztą nie dowiedział gdzie. Nigdy mu nie powiedziano i nigdy nie zapytał, co się stało z dzieckiem. Nawet nie wiedział, czy przeżyło, czy umarło, i właśnie tą myślą pędzony zabrnął w długie londyńskie noce. Miał kiedyś dziecko, ale nie wiedział, czy żyło dzień, tydzień, czy godzinę. Tu w górze – po prostu był, a to wszystko, co stanowiło o winie – to ohydne, obrzydliwe poczucie winy, które zawsze tkwiło mu w gardle – nie miało do niego dostępu. Znajdował się poza zasięgiem wspomnień.

Zamknął na chwilę oczy. Czuł tylko wibrujący silnik i szerokie, podtrzymujące go niebo. Nie mogły go osiągnąć nocne koszmary – był za wysoko, poruszał się za szybko. Wiatr bił prosto w niego, kiedy samolot, biorąc zakręt, przechylał się na skrzydło. Szybował, unosił się i pędził. Najpierw po jego twarzy, a potem wzdłuż ramion i rąk rozeszło się łaskotanie – mieszanka lęku wysokości, radości, skrajności. Krzyknął. Obejrzał się na Blackburna i zobaczył, że mężczyzna się uśmiecha. Harry ze śmiechem pokazał mu kciuki w górę i przez następnych dwadzieścia minut nie robił nic innego, tylko śmiał się, krzyczał i czuł, jak lęk wysokości ogarnia go od głowy po czubki palców i odbiera mu dech w piersi.

Jack Armitage w padającej równomiernie mżawce zmierzał w stronę Rutherford. Był późny ranek. Gray, zarządca majątku, któremu towarzyszył podczas obchodu pierwszych pól za wioską, odesłał go z powrotem. Trzeci pokos siana leżał na łące zupełnie przesączony wodą. Gray powiedział, że zanim je zbiorą, poczekają na trochę wiatru. Na dalszą część dnia zapowiadano lepszą pogodę. Jack miał iść po Wencesława i wóz i wrócić po południu.

Idąc, podśpiewywał sobie pod nosem. Nie znał tytułu tej piosenki, ale zeszłego lata usłyszał jej melodię, dochodzącą, co dziwne, zza muru otaczającego sad. Było to tuż przed porą herbaty. Wyjrzał zza muru i stwierdził, że to Louisa i Charlotte siedzą przy nakrytym białym obrusem stole, pośrodku którego stoi gramofon. Louisa śmiała się, a Charlotte przyciszonym głosem krytykowała muzykę. Jack patrzył jak zauroczony – było już późne popołudnie i słońce oświetlało dziewczyny skośnymi promieniami. Louisa, nastawiając ramię gramofonu, wyglądała jak anioł w białej sukience przepasanej szeroką żółtą szarfą i w słomkowym kapeluszu z woskowymi kwiatami.

– Posłuchaj – mówiła do siostry – to bardzo łatwe.

– Nigdy się nie nauczę – odpowiedziała Charlotte. – Poproś Harry’ego. Albo mamę. Oni są w tym lepsi.

Louisa nagle podniosła wzrok i dostrzegła go, jak stał w miejscu, w którym nie powinien był się znaleźć – w furtce na podwórzu.

– Jack! – zawołała. – Chodź tu do nas!

Położył rękę na piersi.

– Tak, ty, Jack! – potwierdziła. – Nie ociągaj się! Chodź tu i zatańcz ze mną!

Zatrzymał się jak uderzony obuchem. Nie umiał tańczyć, a co gorsza miał wrażenie, że w tym momencie nie umiał się nawet poruszyć. Nie powinien był w ogóle na nie patrzeć. Louisa jednak nie zważała na to. Tupnęła nogą tak niecierpliwie jak dawniej, kiedy była dzieckiem i czekała, aż wsadzi ją na kucyka.

– Jack!

Podszedł nieśmiało, powłócząc nogami, nagle zdając sobie sprawę, że śmierdzi stajnią. Muzyka popłynęła znowu. Louisa wyciągnęła rękę.

– Znasz to? – zapytała. – To Al Jolson, ten Amerykanin.

– Niestety nie – bąknął.

Oparła obie ręce na biodrach.

– Doprawdy, jesteś równie beznadziejny jak Charlotte – powiedziała. – Chodź tutaj.

– Nie, muszę iść na podwórze.

– Nie bądź śmieszny – odparowała. – Potrzebuję cię tylko na minutkę.

Ujęła go za nadgarstek i pociągnęła do siebie, po czym wzięła jedną jego rękę w swoją, a drugą oparła na swojej talii.

– To nie ragtime – powiedziała. – Tylko coś innego. Wolniejszego. Słuchaj.

Słyszał jakieś słowa wydobywające się wśród trzasków z gramofonu, ale wydawały mu się przypadkowe. Nie odrywał wzroku od miękkiej tkaniny rękawa jej białej sukienki, a potem patrzył już tylko na własne, ogromne skórzane buty z grubymi brązowymi sznurówkami. Ponad nimi, między gałęziami drzew, wisiały owoce – zielone jabłka w falującym morzu liści. Louisa prowadziła go dokoła mniej więcej tak, jak sam prowadził niechętnego konia – używając łagodnego nacisku i zachęcających słów. Popychała stopą jedną z jego nóg.

– Do tyłu – nakazywała. – A teraz w przód. To tylko walc, Jack. – Podniosła na niego wzrok i zapytała ze śmiechem: – Czy ty w ogóle nie umiesz tańczyć?

Przebrała się miara. Złapał ją mocno i ruszył z nią w szaleńczego, galopującego walca pod drzewami, huśtając nią na boki i przyciskając mocno do siebie. Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła śmiać się jeszcze głośniejsze, a Jack po paru krokach poderwał ją z ziemi. Oszołomiony zapachem jej perfum, śliskim dotykiem materiału sukni między palcami, postawił ją na ziemi i odkrył, że wciąż trzyma w ręku skraj jej szarfę. Nagle zastygła w bezruchu naprzeciwko niego, a on trzymał szarfę w ręku niczym wodze. Nie spuszczając z niego wzroku, zrobiła piruet, tak że zakręcona wokół niej szarfa przyciągnęła ją jeszcze bliżej. Wtedy uniosła ku niemu twarz. Czuł, że więcej nie zniesie – była tak blisko i roztaczała wokół siebie aurę całkowitej niewinności.

Przypomniał sobie czasy, kiedy oboje byli dziećmi i Louisa wyjechała do Manchesteru, do państwa Stanningfieldów – znajomych jaśnie pani, właścicieli przedzalni bawełny. Wróciła – miała wtedy osiem czy dziewięć lat – i nie przebrawszy się nawet z miejskiego stroju, pędem przybiegła do stajni, wołając do niego:

– Nie uwierzysz, Jack! Tam są małe, malutkie domki, jeden obok drugiego, niektóre okna są posklejane papierem, i kobiety stoją w drzwiach.

Przerwał pracę i spytał, o kim też opowiada.

– O ludziach, którzy tam mieszkają! – odparła z buzią otwartą z wrażenia, zachwycona i przerażona zarazem. – Tam dzieci nie mają butów. I krzyczą na siebie, nawet dzieci. Domy są wysokie. – Wyciągnęła ręce nad głowę. – Taaaakie wysokie – jak na obrazkach w książce taty. W tej książce Dickensa – jak ona się nazywa? – och, jak w książce *Oliwier Twist*, Jack. Dokładnie takie same! – Wizja prawdziwego życia w gnoju i ubóstwie nie przestawała fascynować jej przez długie tygodnie. Jaśnie pan był wściekły, że Stanningfieldowie pozwolili, aby to zobaczyła. Ida Stanningfield objeżdżała jednak wtedy dzielnice robotnicze z jakąś misją miłosierdzia. – Tylko sobie wyobraź! – mówiła Louisa. – Wyobraź sobie!

I do tej pory się nie zmieniła. Przypominała wyrzutka w zwyczajnym, powszechnie akceptowanym świecie. Nigdy nie chciała wierzyć, że coś może być do końca złe, nie rozumiała, dlaczego są ludzie na wskroś zepsuci, do cna zdemoralizowani, nie przyjmowała do wiadomości powodów, dla których kobieta może stać żałośnie w drzwiach, a dziecko nurzać się w błocie. Dlatego bał się o nią. Wyobraził sobie, jak w Londynie chłonie wszystko, co miasto ma do zaoferowania – niczym pijak, który w barze pije do dna wszystko, co się przed nim postawi. Nigdy się nie zmieni. Na myśl o tym ścisnęło mu się serce.

Tamtego popołudnia w sadzie, gdzie poza ich plecami, głos z gramofonu powtarzał: „Ktoś przystojny, ktoś szczerzy”, a Louisa dośpiewywała resztę. „Lecz nigdy na myśl nie przyszedłeś mi ty”. Gwałtownie wypuścił szarfę z ręki. Wzięła ją i starannie zawiązała. Podśpiewywała sobie pod nosem, a on stał jak wmurowany. Na jej twarzy igrały promienie słońca, a Charlotte spoglądała na nich ciekawsko znad książki. Igła gramofonu zaczęła

podskakiwać na skraju płyty i Louisa odwróciła się. Patrzył za nią. Na sekundę przechyliła głowę tak, że ujrzał jej profil i stwierdził, że wciąż się uśmiecha. A potem odwrócił się i ruszył przez trawę, przez furtkę, ścieżką aż na podwórze. Wszedł do stajni, gdzie zastał na wpół śpiącego Wenceslasa, przytulił twarz do jego szyi i stał tak, z rękami zaciśniętymi w pięści po obu stronach głowy. W myślach w kółko rozbrzmiewała mu melodia: „Lecz nigdy na myśl nie przyszedłeś mi ty”. Wiedział o tym. Nawet za dobrze. On nigdy nie przyszedł jej na myśl.

Zatrzymał się teraz tuż za domem Graya przy wjeździe do Rutherford. Przed nim ciągnęła się brzozowa aleja, a za plecami słyszał głosy dwojga małych dzieci Graya, bawiących się w ogrodzie za murem, i łagodny głos ich matki. Mur otaczający park rozchodził się tu w obie strony, ale była i wąska ścieżka prowadząca nad rzekę. Ruszył nią. Dzień miał się ku końcowi, chmury wisiały nisko, jakby znowu zbierało się na deszcz. Oddalony o ćwierć mili dom przypominał różową zabawkę na wielkiej, zielonej przestrzeni. Idąc, Jack podśpiewywał sobie pod nosem. Ciekaw był, kiedy konkretnie wróci Louisa. Jej pobyt w Londynie trwał dłużej, niż oczekiwano. Nie było szansy na powtórkę sytuacji, sprzed roku, bo ani Louisa, ani Charlotte wciąż nie wróciły do Rutherford. Była tylko jaśnie pani i ten Amerykanin, ale oboje raczej przesiadywali w domu. Konie większość czasu stały bezczynnie w stajniach, z samochodu też nikt nie korzystał. Widywał czasem lady Cavendish i pana Goulda spacerujących po ogrodach czy parku, ale poza tym dom stał zamknięty jak podczas wiosennego sezonu, z pozasłanianymi kotarami i zamkniętymi okiennicami. Sprawiał wrażenie uspiętego aż do dnia, kiedy wrócili lord William z Harrym.

Na myśl o paniczu Jack przystanął. Przypomniał sobie głos chłopaka w samochodzie, kiedy wioził ich do domu – natarczywy, a zarazem zrezygnowany. Lord William mówił coś o Austrii i Serbii, wspominał o Paryżu. W pamięci Jacka utkwił raczej lekceważący ton niż słowa Harry’ego, który zdawał się nie zważać na zdanie ojca.

Jack z ogromną chęcią zatrzymałby samochód. Z przyjemnością otworzyłby drzwi jednym szarpnięciem, wywłócił Harry’ego z wygodnego fotela, wrzucił do rysztopka i odjechał. Mijali wiejski kościółek. Obok niego pochowano Emily – pod cisem, ale miejsce nie było oznaczone, nie postawiono na nim żadnej płyty nagrobnej. Chętnie pociągnąłby Harry’ego prosto przez furtkę na teren kościelny, przez trawę, i wsadził mu twarz prosto w zielsko, które zarosło miejsce pochówku Emily. Spoczywało tam skrzywdzone ciało i złamane serce – a sprawcą obu tych nieszczęść był Harry. Jack kipiał, słuchając głosu panicza, z każdą milą coraz mocniej zaciskał palce na kierownicy. Patrzył, jak w Rutherford Harry wysiada i pędem wbiega na schody, rzucając się do drzwi. Z całą pewnością stała za nimi jaśnie pani i czekała na niego z wyciągniętymi ramionami. Ciekawe, czy mu powiedziała, że ma córkę.

Nawet teraz, idąc krętą ścieżką, Jack wykrzywił twarz z obrzydzeniem. Wątpił, czy Harry’ego w ogóle obchodziłoby dziecko wychowujące się w mieszkaniu nad pubem. Wątpił, czy chłopak interesowałby się nim i chodziłby je widywać. Dziewczynka była do niego niewiarygodnie podobna. Za pięć miesięcy będzie obchodzić pierwsze urodziny, ale, co pewne, nigdy nie pozna swego ojca, a co jeszcze pewniejsze – nigdy nie będzie mieć matki. Jack kopnął leżący na ścieżce kamień i przyspieszył kroku. Dotarł do przełazu nad ogrodzeniem otaczającym las i wspiął się na nie energicznie.

Była to najdłuższa droga na podwórze, miała dobrze ponad milę. Po prawej stronie szerokimi zakolami płynęła rzeka, by wyrównać bieg dopiero na prostej, przed jeziorem i domem. Jack dziarsko szedł pod górę, ścieżką między modrzewiami i sosnami, gęsto nasadzonymi za czasów ojca lorda Williama. Panował tu mrok, a z wyższych gałęzi wciąż skapywały krople deszczu.

Zmierzał do miejsca, w którym ścieżka dochodziła do drogi prowadzącej w dół

z wrzosowiska, gdy nagle kilkaset jardów przed sobą dostrzegł jakiś ruch. Zatrzymał się przekonany, że to jelen. Cokolwiek by to było – a wciąż znajdowało się jakieś dwieście, trzysta jardów od niego – wydawało się potykać i upadać. Nie mógł rozpoznać konkretnego kształtu, a kolor wydawał mu się najpierw kremowy, potem brązowy. Zciekawiony zmrużył oczy i wyteżył wzrok.

Zwolnił kroku i tak doszedł aż do skarpy, gdzie teren lekko opadał. Tu kończyły się modrzewie, za nimi ciągnęły się już same sosny. Gdzieś w pobliżu ojciec lorda Williama zasadził sekwoje, kupiwszy kilka sadzonek od handlarza, który sprowadził je aż z Kalifornii. Posadzone w równej linii w dość dużych odstępach od siebie tworzyły małą plantację, ogrodzoną przed jeleniami wysokim drucianym płotem. Wiele lat temu, gdy Jack był jeszcze chłopcem, pan March zakazał mu tu przychodzić, mówiąc, że sekwoje są zbyt cenne, by wśród nich urządzać zabawy.

Teraz jednak ktoś tam był. Ktoś lub coś. Jack zszedł ze skarpy i posuwał się dalej, brodząc po kolana w rododendronach, które wprawdzie przycinano, ale z roku na rok słabły, żółkły i stawały się coraz rzadsze – z braku światła. Tu i ówdzie gałązkę zdobił mały bladofioletowy kwiatek. I wtedy zobaczył, co dzieje się przed nim, i stanął jak wryty.

Widział przed sobą lady Cavendish i Johna Goulda. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że lady się przewróciła, a potem przyszło mu do głowy coś strasznego – że Gould na nią napadł lub w jakiś sposób ją zaatakował. Już się nachylił, by zerwać się i czym prędzej biec jej na ratunek, gdy nagle stwierdził, że ani się nie przewróciła, ani nie została napadnięta, ale że coś mówi – oboje zresztą mówili – i że jej ręce otaczają szyję tego Amerykanina. I że żadna pomoc z jego strony nie była potrzebna. Stał tak na wpół schowany między dwoma drzewami, w pełni świadom, że jeśli tylko któreś z nich odwróci głowę, zobaczy go. Równocześnie nie wątpił, że nie odwrócą głów, nie usłyszą go i że na nic nie zważają.

Kiedy dotarł do stajni, nie było jeszcze pierwszej.

Zdyszany od biegu pochylił się do przodu i oparł ręce na kolanach. Trzasnęły drzwi i po chwili zawołał go ojciec. Jack podniósł głowę, ale nie poruszył się. Josiah podszedł do niego.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał. – Spóźniłeś się na obiad.

Jack wyprostował się i potrząsnął głową.

– Widziałeś się z panem Greyem?

– Tak.

– I czego chce?

– Żeby przyprowadzić zaprzęg na pole Brookerów.

John przyglądał mu się uważnie.

– Trochę ci to zajęło, chłopcze.

– Szedłem przez las. Widziałem ich.

– Kogo?

– Jaśnie panią i tego Amerykanina.

– Co? Byli na spacerze?

– Kiedy ich widziałem, nie spacerowali – wyjąwił Jack, rzucając ojcu znaczące spojrzenie.

Starszy mężczyzna raptownie wciągnął powietrze.

– Jaśnie pana nie ma. Pojechał do Kentów uzgadniać coś w sprawie polowania w sierpniu.

– Wiem o tym – odparł Jack. – Pojechał na cały dzień.

– Musiałeś się pomylić – odezwał się Josiah po chwili wahania. W jego głosie brzmiał sprzeciw. – Ona by tego nie zrobiła.

Jack pomyślał o Amerykaninie w spuszczonej do kolan spodniach, spółkującym na dworze niczym zwierzę gospodarskie. I o tym, jak ona go ścisnęła, a elegancki płaszcz, w którym ją wczoraj widział, leżał rzucony niedbale na ziemię.

– Mówię ci, ojciec – rzekł. – Widziałem ich. I wiem, co mówię.

Dwadzieścia pięć mil od Rutherford, w Richmond, William Cavendish stanął na Green Bridge i zapatrzył się na rzekę Swale. Było późne popołudnie. Słońce oświetlało świat skośnymi złotymi promieniami, dodając koloru rosnącym nad rzeką drzewom. William cały dzień spędził z Kentami i dopiero o piątej po południu pojechał napierem do Richmond, na rynek. Stąd postanowił odbyć spacer, który go zawsze uspokajał – wzdłuż rzeki, a potem w górę Ścieżką Zamkową, skąd będzie mógł spojrzeć na panoramę przebytej drogi.

Rozmyślał o porannych rozmowach. Zapytał mianowicie Hamiltona Kenta, czy Harry miałby szansę dostać się do pułku księcia Walii.

– Czy chłopak wykazuje zainteresowanie? – zapytał Kent.

– Powinien wstąpić do rodzimego pułku.

– To nie jest odpowiedź, stary – odparł z uśmiechem Kent, zapalając po lunchu cygaro. – Więc myślisz, że do tego dojdzie?

– To kwestia tygodni.

Kent uniósł brew.

– Oczywiście wiesz więcej niż ja, zaszyty tu, gdzie diabeł mówi dobranoc – zauważył i poklepał się po nodze, nawiązując do ran odniesionych w czasie wojny burskiej. – Ta noga wykluczyła mnie prawie ze wszystkiego.

– Nie minie miesiąc, a będziemy w stanie wojny.

– Tak sądzisz? Premier nie daje nic po sobie poznać.

– Na scenę wstąpi Churchill.

Kent prychnął drwiąco.

– I jak tu ufać parlamentarzystom?

– To człowiek wręcz stworzony do wojny – w przeciwieństwie do Lloyda George’a.

– No tak... – Kent sam miał dwóch synów, obu w armii. – A więc mobilizacja.

William wzruszył ramionami.

– Dwa dni temu Serbia otrzymała od Austrii ultimatum – nie do wypełnienia. Mobilizacja jest więc nieunikniona.

– Rozmawiałeś z premierem?

– Pokrótce, przez telefon.

Kent uśmiechnął się.

– A myślałem, że nie cierpisz tego wynalazku.

– To prawda – przyznał William. – Nigdy nie zdecyduję się go zainstalować w pokojach mieszkalnych. Mam go tylko w bibliotece.

Kent zaczął się śmiać.

– Widać, że do końca i za wszelką cenę będziesz bronił anachronizmu.

– Nienawidzę intruzów.

Kent ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Ale jesteś zdania, że już niebawem staniemy się ich ofiarami. Jako państwo. Czy Grey tak twierdzi?

– Obawia się tego. Austriacy zrobią wszystko, by zmiążdżyć Serbię. Churchill rozkazał flocie udać się do baz wojennych. W Rosji na granicy z Austro-Węgrami trwa mobilizacja. Jeśli Francja się w to włączy, my też będziemy musieli. Jesteśmy sprzymierzeńcami.

Kent syknął cicho.

– Trudno w to uwierzyć.

– Rzeczywiście, trudno – zgodził się skwapliwie William. – Wpadliśmy w cholerny, przeklęty wir. Diabli niech wezmą cesarza. Jest na łasce swoich doradców. Założę się o sto funtów, że sam nawet w połowie nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Stoimy na krawędzi. – Zniżył głos. – Przykro mi, stary. Z powodu twoich chłopaków i tak dalej. Spodziewam się, że ci powiedzieli.

– O niczym mi nie mówią, i całkiem słusznie. – Kent zastanowił się nad słowami Williama. – A jeśli chodzi o Harry'ego, to...

– Byłby z niego niezły oficer – przerwał mu William. W ciągu ostatnich dni doszedł do wniosku, że tego właśnie potrzebuje Harry: struktury, która utrzyma go w ryzach, narzuci mu dyscyplinę. Buntował się przeciwko woli ojca, ale William uważał, że podporządkuje się rozkazom innych. Prócz tego wiedział, że syn ma w sobie zapalczywość i determinację, które czynią z niego doskonały materiał na żołnierza. Równocześnie próbował zignorować cichy głos wewnętrzny podszeptujący, by zostawić Harry'ego w Rutherford i pozwolić mu za cenę bezpieczeństwa popadać w coraz większą bierność.

– A co o tym sądzi Octavia? – zapytał Kent.

– Jak większość ludzi w tym kraju, jest niczego nieświadoma.

– To dobrze – oświadczył Kent. Podobnie jak William należał do starej szkoły, wyznającej zasadę, że kobiety – a zwłaszcza żony – należy chronić przed rzeczywistością. – Ale Harry... jeszcze w grudniu, pamiętam, nie mówił o niczym innym, jak tylko o lataniu.

– Nie ma pułku dla pilotów.

– Jest Królewski Korpus Lotniczy. – Kent pochylił się do przodu i poufale poklepał Williama po kolanie. – Wojna nie będzie rozgrywać się wyłącznie na ziemi, sam wiesz. – Machnął cygarem w górę. – Przeniesie się tam. Podobnie jak każda następna.

– To zbyt ryzykowne, jeszcze za mało o tym wiadomo. Te maszyny to po prostu zabawki.

– Chyba nie jesteś zorientowany, Williamie. Technologia szybko skoczy do przodu, o ile jeszcze tego nie zrobiła – stwierdził Kent. – A latać nimi będą chłopcy tacy jak Harry.

William stał na moście zapatrzony w płynącą wodę. Ponad nim i ponad okolicą górowała potężna kamienna, prostokątna główna wieża zamku. Otaczały ją wąskie malownicze uliczki: Millgate, Frenchgate i Lombards Wynd. Zawsze uwielbiał to miejsce. Było jak sedno charakteru Anglii – kraju starych kościołów, średniowiecznych domów, mocnych więzów i trwałości. Sam zamek stał tu od XII wieku i trudno było sobie wyobrazić, że mogłoby się to zmienić, że mogłaby nad nim łopotać inna flaga lub że cokolwiek w ogóle mogłoby zakłócić pełną niezachwianego spokoju atmosferę tego miejsca.

Przychodził tu jeszcze jako dziecko, by brodzić w rzece – choć niepewny siebie, niechętny do zawierania znajomości, nigdy nie podchodził do rówieśników. Po kąpieli nie mogło się obejść bez tradycyjnego spaceru na wieżę Culloden. Historia Richmond była nierozłącznie związana z historią Rutherford, ponieważ gdzieś w głębi dziejów, dziewięćset lat temu lub jeszcze wcześniej – w sumie wiek mniej czy więcej, co to za różnica – ten sam książę Bretanii i hrabia Richmond, który wzniósł ten zamek, wyznaczył również granice majątku Rutherford. Wszystko stanowiło jedność. Było nierozzerwalne.

Zastanawiał się, czy Anglia znowu stanie się obiektem napaści wrogów. Wydawało się to niemożliwe, choć przecież niegdyś Francuzi rozparcelowali tę ziemię między siebie, czemu więc cesarstwo austro-węgierskie miało by nie zrobić tego samego? Oparł się na murowanej barierce mostu i wbił wzrok w płynącą wodę. Nie, to niemożliwe. To musi być niemożliwe.

Umówili się wprawdzie z Kentem na polowanie na ostatni tydzień sierpnia, ale w tonie obu czuć było powściągliwość. Nie mieli pojęcia, ilu uda im się zatrudnić naganiaczy – Kent był

zdania, że większość mężczyzn się do tego czasu zaciągnie.

– Nie będzie wcale tak łatwo – stwierdził. – Zresztą, jak nam wszystkim.

– Dlaczego tak uważasz?

Kent uśmiechnął się.

– A jak myślisz, skąd się wezmą? – zapytał. – Ochotnicy będą się zgłaszać tylko w miastach?

– Nie obawiam się, że rekrutacja i nas dosięgnie.

– Doprawdy? – Kent nie krył zdziwienia. – Ilu masz ludzi w Rutherford? Czterdziestu? Pięćdziesięciu? Wlicz w to i farmy. Sądziś, że będą woleli tkwić w domach czy zaznać przygody? Myślisz, że dalej będą z entuzjazmem polerować twoje srebra? Cóż to za atrakcja, jeśli zamiast tego mogą podziurkować tłustego Niemca i zasłużyć na miłe podziękowanie od dziewczyny?

– To dopiero atrakcja, też coś!

– Ale tak na to spojrz każdy chłopak z krwi i kości, przyjacielu. Obaj wiemy to równie dobrze. Twój Harry nie należy do wyjątków. Zapamiętaj moje słowa. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem punkty poborowe będą pękać w szwach.

– Może do tego czasu nawałnica już minie.

Kent nie odpowiedział, ale znowu znacząco uniósł brew.

William ruszył przed siebie. Z Green Bridge do zamku trzeba było iść ostro w górę i kiedy dotarł do drogi, był już mocno zdyszany. Starzeje się, pomyślał, i sam się zdziwił, bo nie należał do mężczyzn, którzy się nad sobą rozczulają. Zawsze był w zadziwiająco dobrej formie. A mimo to przy Octavii...

Na wspomnienie Octavii stanął jak wryty. Ona wciąż była młodą kobietą i nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wyglądała równie pięknie jak tego lata. W głowie się nie mieści, że człowiek może być dwadzieścia ileś tam lat żonaty i przestać zauważać najprostszą rzecz: urodę żony. Wiosną, kiedy pojawił się Charles, jej twarz utraciła swój blask, ale powróciwszy do domu, William z zadowoleniem stwierdził, że Rutherford jej go przywróciło, choć – niestety – nie przywróciło jej ciepłych uczuć do męża. Przypomniawszy sobie żonę pogrążoną w rozmowie z tym młodym Amerykaninem wczoraj przed kolacją, poczuł ukłucie zazdrości. Wyglądała znowu prawie jak młoda dziewczyna. Co za szczęście, że przyjechał ten Gould i podniósł ją trochę na duchu. Facet był w każdym calu czarujący, okazywał im obojgu wielki szacunek jako gospodarzom, a jego obecność łagodziła atmosferę, którą w przeciwnym razie można byłoby z pewnością nazwać oschłą i napiętą. Octavia znów się uśmiechała, tyle że nie kierowała tych uśmiechów w jego stronę. Tak czy inaczej, Gould idealnie odwrócił jej uwagę.

Mniej więcej tyle powiedział w przelocie Hamiltonowi Kentowi.

– Niezwykłe połączenie – bogactwo i poczucie humoru – zauważył łagodnie Kent. – Nieczęsto się zdarza, zwłaszcza w tego typu rodzinach. W moim pojęciu mężczyznę, który wszystko zawdzięcza samemu sobie, cechuje nieugiętość. Ma wzrok utkwiony w zdobyczy.

– Gould nie należy do tych, którzy wszystko zawdzięczają samym sobie. Do tych należał jego ojciec.

– Jak to mówią, równie świetny okaz. Oni wszyscy raczej łamią konwenanse. Podobno ten twój Gould ma przejąć interes po ojcu.

– Nie wygląda na człowieka, który chciałby do końca życia sprzedawać kapelusze nowojorskim damom – rzekł William, rozbawiony na samą myśl o tym.

– Z tego, co o nim słyszałem, mógłby sprzedawać nawet lód w Arktyce i dobrze by mu szło. Podobno jest czarujący. I do tego inteligentny.

– Tak – zgodził się William. – To prawda.

Wczoraj William odpoczął po lunchu, a potem wybrał się na spotkanie z Marchem i Grayem – zarządcą majątku. Octavia ostatecznie nie poszła na spacer – po ich rozmowie została w pokoju. Zostawił ją samą, nie chcąc przysparzać jej większego zdenerwowania, i zobaczył ponownie, dopiero kiedy zeszła na kolację.

Wyglądała doskonale. Oczywiście nic nie powiedział.

On nie, ale Amerykanin – owszem.

– Idealnie – mruknął pod nosem, kiedy Octavia stanęła w drzwiach do jadalni.

Miała na sobie coś, czego William nie rozpoznał – coś z brokatem i głębokim dekoltem w szpic. Spódnica we wzór z jaskraworóżowych i żółtych wachlarzy była przymarszczana po bokach. Zwykle nie zaprzętał sobie głowy komentowaniem jej strojów, ale w tej sukni było jej wyjątkowo do twarzy.

– Jakby orientalna? – rzucił, kiedy siadała.

– Mam ją od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, Williamie – odpowiedziała. – A ty zauważyłeś ją dopiero dziś. – Uśmiechnęła się, a on skinął głową. Nagle poczuł się w obecności Octavii i Goulda, obojga znacznie młodszych od siebie, bardzo oficjalnie. To prawda, w wełnianym garniturze było mu o wiele za gorąco. Gould rozparł się w fotelu w czymś, co zapewne pochodziło z kontynentu – białym, lnianym i pewnie modnym. Nosił też bardzo luźno zawiązaną muszkę – z jakiegoś gatunku jedwabiu, dość jaskrawą. William zajął swe zwykle miejsce przy gzymsie kominka. Czuł się jak staromodny belfer pilnujący klasy pełnej nastolatków. Octavia i Gould siedzieli zwrócenii twarzami do siebie. We własnym domu poczuł się nie na miejscu – jak intruz. Kiedy szli do jadalni, specjalnie podał Octavii rękę, nie ramię, ale palce, które złożyła w jego dłoni, były martwe, bezwładne. Przez całą kolację jego jedwabna muszka i jej obojętne palce niezmiernie go irytowały. Nie miał pojęcia dlaczego. Nie spuszczał spojrzenia z Goulda. Nie robiły na nim wrażenia jego chłopięce opowiadki o Nowym Jorku, którymi Octavia była najwyraźniej zafascynowana. William poszedł wcześniej się położyć, Octavia zaraz za nim. Gould z papierosem został na patiu, jego sylwetka niewyraźnie rysowała się w zapadającym zmroku pośród niebieskawego dymu.

William odczekał godzinę, wstał z łóżka, otworzył drzwi swojej sypialni i przeszedł na drugą stronę korytarza do sypialni żony. Choć światła były zgaszone, widział jej sylwetkę w łożu z baldachimem. Kiedy zbliżył się do łóżka, usłyszał jej głęboki oddech. Najwyraźniej spała. Wyciągnął rękę i pogładził ją po ramieniu. Obudziła się natychmiast.

– O, Boże. To ty – powiedziała szeptem.

– Oczywiście – odparł nieco urażony. Zaczął odsłaniać kołdrę.

Ku jego zdziwieniu złapała go za nadgarstek i powiedziała:

– Nie jestem przygotowana. To jest... źle się czuję.

Zaprzestał niezdarnych prób, by ją pocałować. To, co chciała mu powiedzieć, dotarło do niego z opóźnieniem.

– Rozumiem – westchnął.

Leżała tak blisko, że czuł jej ciepło. Choć nie byli ze sobą od wielu miesięcy, nie chciał jej zmuszać – to byłoby poniżej godności ich obojga. Wycofał się. Obok łóżka stało małe krzesło, przyciągnął je więc i usiadł. Octavia podciągnęła się trochę na poduszkach i szczerzej otuliła pościelą, jakby w odruchu obronnym. William walczył z poczuciem odtrącenia i samotności – wiedział, że to samolubne, lecz bardzo chciałby chociaż się przy niej położyć i wziąć ją w ramiona. Tymczasem jasno dała mu do zrozumienia, że to ostatnie, czego by sobie życzyła. Znalazł się w potrzasku między pożądaniem a starą, dawno wyuczoną zasadą, że należy za wszelką cenę zachować godność – nie błagać i nie łaścić się. Że musi ją szanować, odnosić się do niej z bezwzględnością i uprzejmością. Niemniej jednak w całym ciele czuł wręcz ból.

Wyciągnął z kieszeni kupiony pośpiesznie w Londynie prezent i położył go na pościeli.

– To dla ciebie.

Nie wykonała żadnego gestu. W mroku próbował rozpoznać wyraz jej twarzy, ale na próżno. Podniósł więc pudełeczko i otworzył je.

– Przyjmiesz to? – zapytał. – Na zgodę?

Przez chwilę milczała. Nie dotknęła też naszyjnika ani wisiorka, które kosztowały go tysiąc pięćset funtów.

– Szafiry – mruknęła w końcu.

– Do twarzy ci w nich, kochanie.

Skinęła głową.

– Dziękuję.

– Włożysz je?

– Może jutro – odparła. – Może.

Milczał. Przez cały dzień bił się z myślami, jak postąpić w sprawie zaproponowanej przez nią wizyty w Blessington. Odmówić byłoby grubiaństwem i świadczyłoby o skąpstwie. Mógłby przecież wykorzystać tę sprawę na własną korzyść – dzięki jej pozytywnemu zakończeniu Octavia pewnie otworzyłaby się i nastawiła do niego znacznie przyjaźniej. A jaką mogłaby przynieść szkodę? Zarządca przędzalni bez wątpienia przedstawi Octavii bardzo jasno i wyraźnie – oczywiście w myśl dyskretnej instrukcji Williama – powody, dla których budowa nowych domów byłaby nietrafionym przedsięwzięciem. Właściwie powinien wybrać się tam sam, przed ich wspólną wizytą, i sporządzić jakąś mapę, według której teren w miejscu planowanej inwestycji byłby zbyt podmokły, zbyt kamienisty lub jeszcze coś innego. Albo wmówić jej, że budowa nowych domów w tamtym miejscu spowoduje, że sytuacja na dole tylko się pogorszy lub że zakłóci pracę wodociągów przędzalni. Dałoby się wysunąć miliony argumentów przeciwko jej pomysłowi i rzucić jej niczym kłody pod nogi, a ona jest przecież żałośnie niedoświadczona. Gould zaraz sobie pojedzie, co oznacza, że Octavia utraci jedynego sprzymierzeńca – jeżeli w ogóle można go uznać za sprzymierzeńca. William był przekonany, że to tylko chwilowa zachcianka i że wymyśliła to wszystko, by zrobić mu na złość. Był więc z siebie zadowolony, kiedy wreszcie znalazł odpowiedź. Zamierzał ją udobruchać małą niezależnością finansową.

– Myślałem o tym twoim pomysłem dotyczącym Blessington – rzekł. – Wydam bankowi instrukcje w sprawie otworzenia rachunku. Każę przelać na niego pieniądze.

Octavia jednak nie rozplynęła się z zachwytem, jak oczekiwał. Jej ręce, kurczowo ściskające kołdrę, rozluźniły się tylko na ułamek sekundy. A potem powiedziała:

– Cieszę się, Williamie, że nie każesz mi się o to kłócić. Jesteś naprawdę uprzejmy.

William spoglądał teraz na przepiękny widok z zamku – na most, małe miasteczko, rozciągające się za nim w dalszej perspektywie pola, a później wzgórze. Zgodnie z obietnicą wydał dziś polecenia co do otwarcia rachunku, ale niebył mu się spodobało, że został nazwany „uprzejmym”. Uprzejmość była cechą babć i ciotek. On zaś pragnął być kochany – kochany miłością, jakiej oczekiwał od żony. W Octavii coś się jednak zmieniło. Zniknęła gdzieś jej dotychczasowa miękkość i kruchość, które, jak sobie ze smutkiem uświadomił, zawsze bardzo w niej lubił. Postarał się jednak spojrzeć na to bardziej obiektywnie i doszedł do wniosku, że oczekiwanie od żony jedynie uległości niezbyt mu się chwali. Kobieta musi mieć charakter, to jasne. Ale przecież nigdy dotąd nie cenił jej charakteru tak bardzo jak posłuszeństwa i uległości, które mu okazywała – bo nie widziała innego wyjścia. Poczuli, że właśnie coś traci, ale nie potrafił do końca określić co.

Louisa musi wrócić do domu, pomyślał. To wszystko zmieni. To im pomoże, zwiąże ich

na nowo. Oczekiwał powrotu obu córek, Charlotte i Louisy, nazajutrz. Miały przyjechać pociągiem, tak im listownie nakazał parę dni wcześniej. To niedobrze, że tak długo byli rozdzieleni, nawet mimo to, że dziewczynki najwyraźniej przedkładały towarzystwo przyjaciół, a w przypadku Charlotte koleżanek ze szkoły, nad własną rodzinę. Cóż, przynajmniej dzięki temu nie musiały być świadkami lodowatych stosunków między ojcem a matką. Podświadomie wyprostował plecy. Sprawę, która zagrażała jego związkowi z Octavią, należy odłożyć na bok, zapomnieć o niej, trzeba ją naprawić. Musi też jakoś pogodzić się z Harrym. Rodzina to jedność. Rutherford ma być niczym zjednoczony front – właśnie teraz, tym bardziej teraz. Trzymać się razem to ich obowiązek.

Stojąc tak wysoko nad rzeką, niespodziewanie doznał uczucia, że zaraz spadnie. Cofnął się więc nagle znad nieogrodzonego urwiska i cofał dopóty, dopóki nie oparł się plecami o potężną kamienną bryłę wieży. Przez kilka sekund nie mógł pojąć, skąd się wzięło to nieprzyjemne uczucie. Przecież nie cierpiał na lęk wysokości. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, czego się jeszcze obawia. Poczul to gdzieś z tyłu głowy, podczas gdy zmagał się z myślami o tym, że cudza ręka może wyrwać mu wszystko, co posiada.

Pamiętał młodziutką Octavię – pamiętał tak dobrze, jakby to było wczoraj – odwracając się do niego, kiedy po raz pierwszy po ślubie, tyle lat temu, wjeżdżali starym powozem do Rutherford. Patrzyła wtedy na niego z taką przyjemnością i podnieceniem. W pierwszym tygodniu, który razem spędzili, była w niego dosłownie wczepiona. Nie wypuszczała jego ręki – nawet przy śniadaniu ani kiedy chodzili po domu. Tego błysku w oku nie widział u niej już od lat. Myślał, że przeminął wraz z młodością, nie oczekiwał, że kiedykolwiek jeszcze go ujrzy.

Ale ujrzął. Ujrzał go wczoraj.

Ujrzał go, kiedy Octavia patrzyła na Johna Goulda.

W tym samym czasie Octavia siedziała w swojej sypialni, a pani Jocelyn słuchała jej poleceń. Do kolacji została jeszcze godzina, który to fakt ochmistrzyni uznała już za stosowne wytknąć swojej pani.

– Nie zamierzam pani niepotrzebnie fatygować – powiedziała Octavia, siedząc przed lustrem, podczas gdy Amelie układała jej fryzurę. – Chciałam tylko przypomnieć, że Louisa i Charlotte przyjeżdżają jutro w porze lunchu.

Pani Jocelyn stała przed nią z założonymi na piersi rękami.

– Pokoje są już gotowe, jaśnie pani, jak zwykle.

Octavia przechyliła głowę nieco na jedną stronę, by móc dojrzeć twarz pani Jocelyn, ton ochmistrzyni wydał się jej bowiem nieco zniecierpliwiony.

– Przyjadą porannym pociągiem, tak mi przynajmniej mówił lord Cavendish.

– Na pewno jaśnie pan wie najlepiej.

Octavia odwróciła się w stronę ochmistrzyni.

– Pani Jocelyn, czy coś się stało?

– Nie, absolutnie.

– Sprawia pani wrażenie zdenerwowanej.

Nie było odpowiedzi, służąca stała w milczeniu ze wzrokiem wbitym w swą panią.

– Czy chodzi o kogoś ze służby?

– Nie, jaśnie pani.

– Czy dobrze się pani czuje?

– Oczywiście. I wśród służby nie zaszło nic, co mogłoby być powodem niepokoju.

Octavia milczała chwilę, po czym powiedziała:

– Jutro powinniśmy poczynić ustalenia w sprawie jarmarku dożynkowego. Porozmawiam z Marchem o namiotach, a pani Carlisle...

– Z całym szacunkiem, jaśnie pani – przerwała jej pani Jocelyn. – Wraz z panią Carlisle co roku ustalaliśmy jadłospis i jak dotąd była pani zadowolona. Jeśli chodzi o dania dla dzieci, to od lat nie zmienialiśmy niczego. A resztę jaśnie pan uzgadnia z Marchem sam.

Słowa te zostały wypowiedziane tonem nieznoszącym sprzeciwu i kończącym dyskusję. Octavia usłyszała krótki, urywany oddech Amelie za swoimi plecami. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ochmistryni skinęła krótko głową, odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Znalazłszy się przy nich, odwróciła się raz jeszcze.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, jaśnie pani – oznajmiła – to byłabym zobowiązana, gdyby nie wzywała mnie pani podczas przygotowań do kolacji.

Octavia odsunęła rękę Amelie ze swoich włosów i odwróciła się.

– Będę panią wzywać, kiedy uznam za stosowne, pani Jocelyn.

Starsza kobieta nawet nie mrugnęła.

– W takim razie będę musiała porozmawiać z jaśnie panem – odparła niewzruszona. – Znam swoje miejsce w tym domu i swoje obowiązki.

– Nikt nie kwestionuje pani obowiązków ani pani kompetencji do ich wykonywania. A jaśnie pan nie podziękuje pani za zaprzatanie mu głowy sprawami domu. – Octavia zmarszczyła czoło. Czuła, że czerwieni się pod twardym, nieugiętym spojrzeniem ochmistryni, nie potrafiła jednak wyjaśnić dlaczego.

– Można wykonywać obowiązki dobrze i źle – stwierdziła pani Jocelyn. – Jestem przekonana, że swoją pracą nigdy nie dałam powodu do narzekania, i nie wątpię, że potrafię odróżnić, co znaczy dobrze, a co źle.

– *Mon Dieu* – szepnęła Amelie za plecami Octavii.

Octavia wstała.

– Obawiam się, że nie do końca rozumiem, pani Jocelyn – powiedziała. – Musi mi to pani jaśniej wytłumaczyć.

Złapała spojrzenie, które ochmistryni rzuciła Amelie.

– Ma pani coś do powiedzenia w sprawie Amelie?

– Nie, nie w sprawie Amelie – zaprzeczyła pani Jocelyn.

Nastała chwila grobowej, lodowatej ciszy. Octavia postąpiła krok do przodu, po czym zatrzymała się.

– Jeśli chciałaby pani coś dodać, chętnie posłucham – rzekła.

Pani Jocelyn otworzyła drzwi.

– Wszelkie niepokojące mnie sprawy zawsze swobodnie omawiałam z jaśnie panem – powiedziała.

– Ma pani na myśli czasy, zanim ja tu zamieszkałam.

Starsza kobieta skinęła głową.

– Dokładnie to mam na myśli – wyjaśniła. – I zawsze będę się troszczyć przede wszystkim o jego dobro.

– Troska o dobro jaśnie pana nie wchodzi w zakres pani obowiązków – zauważyła Octavia – ale moich. Do pani obowiązków należy zaś troska o dom. To pani sprawa, i nic innego.

Pani Jocelyn nie odpowiedziała.

– Czy to jasne? – zapytała Octavia. – Zrozumiała mnie pani?

– Tak, proszę pani – odparła w końcu starsza kobieta. – W samej rzeczy. Zrozumiałam.

William wrócił późno, tuż przed kolacją. Widok Goulda, który siedział już za stołem i zachowywał się nader swobodnie, od razu go rozdrażnił. Celowo więc nie włączał się do rozmowy, która zresztą w ogóle się nie kleiła. Naraz dostrzegł porozumiewawcze spojrzenie, jakie Gould rzucił Octavii. Harry jadł z pochyloną głową, ani trochę niezainteresowany resztą

towarzystwa. William upił łyk wina i powoli odstawił kieliszek.

– Rozmawiałem z Kentem o przydziale oficerskim dla ciebie, Harry – odezwał się.

Syn gwałtownie uniósł głowę i w zdumieniu wpatrywał się w ojca.

– Przydziale? Gdzie?

– W pułku księcia Walii. W Dziewiętnastym Pułku Piechoty.

Sztuńce Octavii brzęknęły o talerz.

– Przepraszam, co zrobiłeś?

– To znakomity pułk.

– Omówiłeś to wcześniej z Harrym? – zapytała Octavia.

– Nie omówił – wyjaśnił Harry i odsunął się z krzesłem od stołu. – Wszystko świetnie, ojcze – zaczął – ale ja nie chcę służyć w piechocie.

– Ale przecież nie ma potrzeby w ogóle iść do wojska, prawda? – zaproponowała Octavia. – Sam nigdy nie byłeś oficerem, Williamie. W naszej rodzinie nie było takiego precedensu. Twój ojciec nie znosił wojska.

– Mój ojciec pragnął, bym zasiadał w parlamencie – wytknął William. – Wywiązałem się z tego obowiązku wobec niego, jak również na inne sposoby wywiązuję się z obowiązków wobec mojego kraju.

– Harry nie ma obowiązku służyć w żadnym pułku.

– Mylisz się, kochanie – stwierdził William. – Musimy być przygotowani. Kraj wybiera się na wojnę.

– Nie. – Głos Octavii drżał. – To na pewno jakiś nonsens.

Harry rzucił serwetkę na stół.

– Czy mógłbym zostać włączony do tej rozmowy? – zapytał. – I również wyrazić opinię na temat swojej przyszłości?

– Nie musisz nic robić – zapewniła go Octavia. – Możesz po prostu zostać tutaj.

– Nie chcę zostać tutaj – zaprotestował Harry. – Wybieram się do Upavon, by zdobyć licencję pilota.

Teraz wpatrywali się w niego wszyscy, nie wyłączając Goulda, choć tylko on jeden się uśmiechał, a nawet pokazał Harry'emu uniesione w górę kciuki.

– Świetnie, Harry – mruknął.

Rozwścieczony William spojrzał na niego ostro, po czym zapytał:

– A gdzie, do diabła, jest to Upavon?

– W hrabstwie Wilt – poinformował Harry. – Jedzie tam Harold Blackburn. Będzie zdawał egzamin na licencję wyższego stopnia w Centralnej Szkole Lotniczej. Twierdzi, że jego licencja z Aeroklubu Królewskiego na nic się nie zda, w Siłach Powietrznych to za mało.

– A któż to taki ten Harold Blackburn? – dociekał rozgniewany William.

– Twórca nowego typu samolotu. Ma zakład produkcyjny w Filey nad morzem. Jest pilotem, mechanikiem, inżynierem. I do tego świetnym gościem.

– Wydajesz się w tym wszystkim wspaniale zorientowany.

– Latałem z nim – wyjaśnił Harry. – Pojechałem do Bradford i leciałem jego maszyną, i było to najwspanialsze przeżycie pod słońcem. Właśnie to zamierzam w życiu robić.

William rzucił Octavii oskarżycielskie spojrzenie, ale sprawiała wrażenie równie przerażonej – przyłożyła nawet rękę do ust.

– To przestanie wydawać ci się takie wspaniałe, kiedy wybuchnie wojna – powiedział cicho do syna. – Staniesz się łatwym celem. Zdajesz sobie z tego sprawę, chłopcze? Będziesz w zasięgu ognia artylerii.

– Nie, ojcze. Nie będę łatwym celem i zamierzam walczyć w każdej wojnie, jaka tylko

przyjdzie ci do głowy.

– Harry – mruknęła Octavia – to nie zabawa.

Harry wałnął pięścią w stół.

– Widzicie, w tym cały problem – zaczął i zwrócił się do Williama. – Nazywasz mnie chłopcem, ojcze, ale nie zauważyłeś chyba, że już przestałem nim być. Być może jestem młodszy od twojego drugiego syna, co nie oznacza, że jestem zbyt młody, by znać własne upodobania i podejmować własne decyzje. – Przeniósł wzrok na Octavię. – Mamo, musisz mieć świadomość, że nie będę chował się jak szczur. Muszę wnieść swój wkład.

– Nie uważam cię za dziecko, skądże – rzekła Octavia. – Jesteś mężczyzną, Harry, i powinieneś poczuwać się do odpowiedzialności.

William westchnął rozpaczliwie.

– Do odpowiedzialności? Przecież przez ostatnich osiem miesięcy nie robił nic innego, jak tylko trwonął pieniądze jak wodę. On nawet nie rozumie tego słowa!

Octavia zaczęła mówić, ale urwała w pół zdania.

– Ma się do czego poczuwać, i to bardziej niż przypuszczasz...

– Owszem, nie poczuwam się do odpowiedzialności, żeby powłóczyć nogami w jakimś pułku piechoty, nieważne, jak zaszczytnym.

– To absurd – protestował William. – Samoloty to za świeży wynalazek.

– Sądzę, że przy głębszym poznaniu uzna go pan za bardzo zaawansowany – ośmielił się odezwać Gould.

William rzucił mu spojrzenie pełne chłodnej pogardy.

– Nie przypominam sobie, abym prosił pana o zdanie – rzekł. – Co więcej, nie przypominam sobie, abym zapraszał pana na niekończącą się wizytę, a tym bardziej do udziału w prywatnych dyskusjach rodzinnych.

Gould przez chwilę patrzył na niego, po czym powoli odłożył serwetkę na stół.

– Nie bądź śmieszny – wykrzyknęła Octavia do męża. – John dotrzymywał mi towarzystwa. Był wspianiałym gościem.

– Cieszę się, że to słyszę – odpowiedział William. – Ale w tej chwili nie jest odpowiedni czas na gości.

– Nie rozumiem dlaczego – zaprotestowała Octavia.

– Ponieważ jutro wracają dziewczynki – wyjaśnił William, który sam nie potrafił wytłumaczyć, czemu chciał mieć obok siebie tylko rodzinę i nikogo więcej. Takie jednak żywił przekonanie.

– Dziewczynki nie zajmują pokoiów gościnnych – wytknęła mu Octavia, po czym zwróciła się do Goulda:

– John, bardzo mi przykro. William nie chciał być niegrzeczny. Oczywiście jesteście w dalszym ciągu mile widziany.

William był już na nogach.

– Pozwól, że ja będę decydował, kogo goszczę pod swoim dachem.

– Pod twoim dachem? – powtórzyła. – To dach całej rodziny. Wszyscy pod nim mieszkamy.

– To mój dom i moja decyzja.

Gould podniósł się z krzesła.

– Bardzo mi przykro, jeśli moja obecność spowodowała zamieszanie – rzekł. – Oczywiście, wyjadę.

– Nie – sprzeciwiła się Octavia.

To pojedyncze słówko zawisło w powietrzu niczym gład. William stwierdził, że Gould

uśmiecha się do niej i stara się przywołać na twarz wyraz współczucia, po czym podnosi lekko rękę, jakby chciał powiedzieć, że nie teraz. To był intymny gest, taki, jakie wymieniają między sobą bliscy przyjaciele, którzy dobrze się rozumieją. William poczuł, że się gotuje. Octavia w odpowiedzi uniosła lekko dłoń, którą Gould ujął i podniósł do ust.

– Była pani dla mnie cudowna – szepnął. – I bardzo dziękuję. – Delikatnie odłożył dłoń Octavii z powrotem na stół, po czym zwrócił się do Williama:

– Pan również był dla mnie bardzo uprzejmy, lordzie Cavendish – powiedział chłodno i formalnie. – Nadużyłem pańskiej gościnności, to jasne. Bardzo przepraszam.

Harry ze skrzyżowanymi na piersi ramionami przyglądał im się z rozbawieniem.

– A może pan, panie Gould – mruknął – chciałby spróbować latania?

– Może byłbyś tak dobry i choć na chwilę przestał robić z siebie idiotę? – rzucił cierpko William.

Harry zerwał się z krzesła.

– Idiotę? – spytał. – Bardzo ci dziękuję, ojcie.

– Przestańcie – błagała Octavia. – To wszystko niepotrzebne. Tak nie można. Harry, nie musisz iść na wojnę. Zresztą, wojny nie będzie. Ale... ale, wiesz, możesz latać. Oczywiście, że możesz. Jestem przekonana, że ojciec tak naprawdę nie ma nic przeciwko temu. Możesz nawet jechać do Wiltshire. Proszę bardzo.

Harry milczał ze wzrokiem utkwionym w podłogę i nieznacznym uśmiechem na ustach, jakby zastanawiał się, jak jej najuprzejmiej odpowiedzieć.

– Mamo – odezwał się w końcu – przepraszam, ale naprawdę nie potrzebuję twojej zgody. Zrobię to, niezależnie od tego, czy ją otrzymam.

William kipiał gniewem.

– Opanuj się nareszcie!

– Jestem opanowany – zapewnił go Harry z przesadnym spokojem. – Zauważ, że ani razu nie podniosłem głosu, ojcie. Po prostu stwierdziłem fakt.

Octavia była bliska płaczu. Nie patrzyła na Williama, wodziła wzrokiem od Goulda do syna.

– Może pan Gould pojechałby z tobą do Upavon – zasugerowała w końcu drżącym głosem – i dotrzymał ci towarzystwa. Zobaczył, jak się sprawy mają. Traktując to jako przysługę względem mnie. To jest, względem twojego ojca i mnie. Nas obojga.

– Na Boga, nie potrzebuję niańki – wypalił Harry. – To się po prostu w głowie nie mieści. Mamo, ja mam prawie dwadzieścia lat.

– Sądysz, że zapomniałam?

William obszedł stół dookoła, by znaleźć się bliżej żony i Goulda.

– Chcesz, aby ten człowiek towarzyszył naszemu synowi – rzekł cicho, ale w jego głosie wyczuwało się groźbę. – Obcy człowiek? Żeby doradzał mojemu własnemu synowi?

Gould spojrział na Harry'ego.

– Harry – powiedział spokojnie. – Pozwól, że chwilę porozmawiam z twoim ojcem.

Harry wyrzucił ręce w powietrze.

– Do ciężkiej cholery – wykrzyknął i ruszył w stronę drzwi. Harrison, lokaj, wyrwał się do przodu, by je przed nim otworzyć. Harry zatrzymał się przy nim i odwrócił na pięcie, by jeszcze raz zwrócić się do zebranych.

– Czy wiecie – powiedział nagle do rodziców – że mam już cholernie dość tego, że ludzie otwierają przede mną drzwi? Wszędzie? Czemu Harrison ma otwierać tu drzwi? Czemu Gould ma otwierać przede mną drzwi w Upavon? Sam sobie poradzę! – Odwrócił się znowu i wyciągnął rękę w stronę Harrisona, który uściśnął ją z komicznym wahaniem granicznym

z pogardą. – Porządny z ciebie gość – rzekł Harry. – Nie otwieraj już przede mną drzwi. I nie przychodź, żeby szykować mi ubranie. Na pewno znajdziesz sobie w życiu ciekawsze zajęcie. – I zniknął.

Lokaje, Harrison i Nash, podnieśli wzrok na Williama. W tej samej chwili z wielkiego holu dobiegły kroki Bradfielda, który szedł do salonu, by sprawdzić, czy jest odpowiednio oświetlony i ogrzany, zanim towarzystwo przeniesie się do niego po kolacji. Słyszeli, jak Harry prawie się z nim zderzył, zaklął pod nosem, a potem ruszył w górę po schodach. Bradfield wszedł do jadalni z ciekawością wymalowaną na twarzy.

– Bradfield – odezwał się William – bądź tak dobry i zostaw nas samych. Nash i Harrison także mogą odejść.

Przez chwilę trzech służący, niezdecydowani i zdezorientowani, wahali się w drzwiach, po czym Bradfield ponaglił ich do wyjścia. Drzwi zamknęły się za nimi z głuchym łomotem.

Octavia wstała. William spojrział na nią, na Goulda, a potem znowu na nią.

– Czy powinienem zapytać, co się tu działo podczas mojej nieobecności?

Zapadła straszna cisza. John Gould już otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, ale Octavia podniosła rękę, by go uciszyć.

– Myślę, że powinieneś wiedzieć, że kiedy wrócą dziewczynki, zabieram je za granicę – oznajmiła. – I Harry'ego również, jeśli zechce z nami jechać. Samoloty są też w innych krajach.

William patrzył na nią w osłupieniu. Oczekiwał rozmaitych odpowiedzi na swoje pytanie, ale nie spodziewał się tej, która padła.

– Za granicę? – zapytał. – Nie możesz jechać do Europy, na miłość boską.

– Nie zamierzam jechać do Europy – odparła spokojnie i stanowczo – ale do Ameryki.

William milczał przez chwilę. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie, które ustąpiło miejsca uśmiechowi. Zaczął się śmiać.

– Do Ameryki? – powtórzył. – Ameryki? – Potrząsnął głową.

– Nie żartuję – zapewniła go Octavia. – Przynajmniej Harry znajdzie się poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

William przestał się śmiać i westchnął ciężko, z irytacją.

– Nie zechce jechać – powiedział. – Słyszałaś przecież, co mówił. Nawet gdyby jego słowa były do zaakceptowania, choć nie są.

– W takim razie wezmę dziewczynki.

– Co zrobisz? – Patrzył na nią z niedowierzaniem, po czym skierował palec w stronę Goulda. – To pańska zasługa.

Gould wytrzymał jego spojrzenie.

– Nie zaprzeczę.

– Nie zaprzeczy pan! – wrzasnęła William. Przeszedł obok Octavii, odpychając jej rękę, które próbowały go powstrzymać. – Ty cholerny łajdaku!

Gould nawet nie mrugnął – stał niewzruszony. William, całkowicie tracąc panowanie nad sobą, rzucił się nagle naprzód i wymierzył Johnowi cios prosto w twarz. Młodszy mężczyzna nie próbował nawet się uchylić. Nastąpiła straszna chwila, kiedy William skierował na niego więcej uderzeń. Niektóre były celne, ale inne trafiły Goulda w ramiona lub klatkę piersiową.

W rezultacie William zrobił z siebie żalosne pośmiewisko. Nigdy nie był człowiekiem agresywnym, nigdy się nie bił. Teraz było to widać. Jego słabe ciosy nie przynosiły efektu. Na twarzy Goulda pojawiła się litość. William dostrzegł to, chwycił przeciwnika za poły marynarki i przyciągnął do siebie. Przez sekundę obaj stali twarzą w twarz. Następnie William opuścił rękę, uderzył Goulda jeszcze raz pięścią w pierś, zmuszając go tym samym, by postąpił krok do tyłu, po czym zwrócił się do Octavii.

– Ten człowiek? – zapytał. – Ten?

Octavia nie odpowiedziała. Drżała, ale niewzruszona, bez zmrużenia oka, patrzyła mężowi prosto w twarz.

William odszedł. Stał pod oknem i zapatrzył się w długi zielony trawnik i wysadzaną brzozaami aleję.

– Nie – szepnął. – Nie, nie, nie.

Odwrócił się do nich. Octavia i Gould stali teraz obok siebie. Dostrzegł rękę Goulda opadającą z talii żony i lekkie pochylenie jej głowy, którym aprobowała dotyk.

– Czy chcesz mi powiedzieć... – zaczął. Ale nie był w stanie skończyć.

Zza okna, gdzieś zza ogrodów, dochodziło poszczekiwanie psa i czyjeś słabe głosy. William położył rękę na parapecie otwartego okna, chcąc się wesprzeć. Octavia patrzyła na niego, po czym postąpiła w jego stronę.

– Williamie – powiedziała cicho – przepraszam.

– Przepraszam! – powtórzył. – Nie możesz tego zrobić.

– Mogę odejść, kiedy zechcę – poprawiła go. – Mogę wyprowadzić się i zamieszkać w Blessington do czasu, aż ustalimy szczegóły. W ten sposób będę mogła nadzorować początek prac przy przebudowie. A kiedy John zadecyduje, wyjedziemy do Nowego Jorku.

– Kiedy... kiedy John zadecyduje – powtórzył William, jakby chciał zrozumieć znaczenie słów żony.

– Ma zamiar postawić dom na Long Island – wyjaśniła. – Zabiorę tam dzieci. Wiem, czego pragnie Harry. Rozumiem, co chce robić. Ale może to robić równie dobrze w Ameryce. A Louisa może tam wyjść za męż... Towarzystwo w Nowym Jorku...

Wydawało się, że William słucha. Zwiesił głowę i zamknął oczy.

– I oczywiście – dodała – zdaję sobie sprawę, że Harry i Louisa za trzy, cztery lata będą już dorośli. Rozpoczną własne życie. Mogą wrócić. Nie będę ich zatrzymywać.

Nie było odpowiedzi.

– Williamie – nalegała Octavia. – Ta wojna... Jeśli w ogóle będzie wojna. Muszę ich stąd zabrać, jeżeli rzeczywiście ma do niej dojść. Musisz mi na to pozwolić.

Wciąż bez odpowiedzi.

– Williamie – nalegała. – Williamie.

Wreszcie William wydał głębokie, przeciągłe westchnienie. Otworzył oczy, uniósł głowę i spojrzał na nią.

– To wszystko stało się bardzo szybko – mruknął.

– Wcale nie szybko – odparła łagodnie. – Przynajmniej nie dla mnie. Ja chciałam cię kochać, Williamie, ale ty nigdy nie kochałeś mnie. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale teraz stoję przed szansą. Chcesz pozbawić mnie tego, czego sam mi nie dasz?

Wpatrywał się w nią intensywnie, chłonąc każdy szczegół jej twarzy. Powoli zaczął się uśmiechać. Octavia wzięła to za aprobatę, ale stojący za nią John Gould dostrzegł coś innego. Ruszył naprzód.

– Octavio! – ostrzegł.

William bez uprzedzenia chwycił ją za ramiona.

– Wyjedziesz, kiedy zechcesz? – krzyknął. – Dom na Long Island? Jaki przyjemny plan! Och, widzę, że owocnie spędziłaś lato. – Octavia próbowała wyswobodzić się z uchwytu, ale złapał ją za nadgarstki, po czym wygiął je tak mocno do tyłu, że musiała osunąć się na kolana.

– Zostawisz mnie? – wysyczał. – Na Boga, nie zostawisz tego domu! A jeśli chodzi o dzieci...

John Gould doskoczył do nich i próbował odciągnąć Williama od Octavii. William zamarł

z twarzą o centymetr od twarzy rywala.

– Zabiję cię, jeśli nie zabierzesz łap od mojej żony – wysyczał.

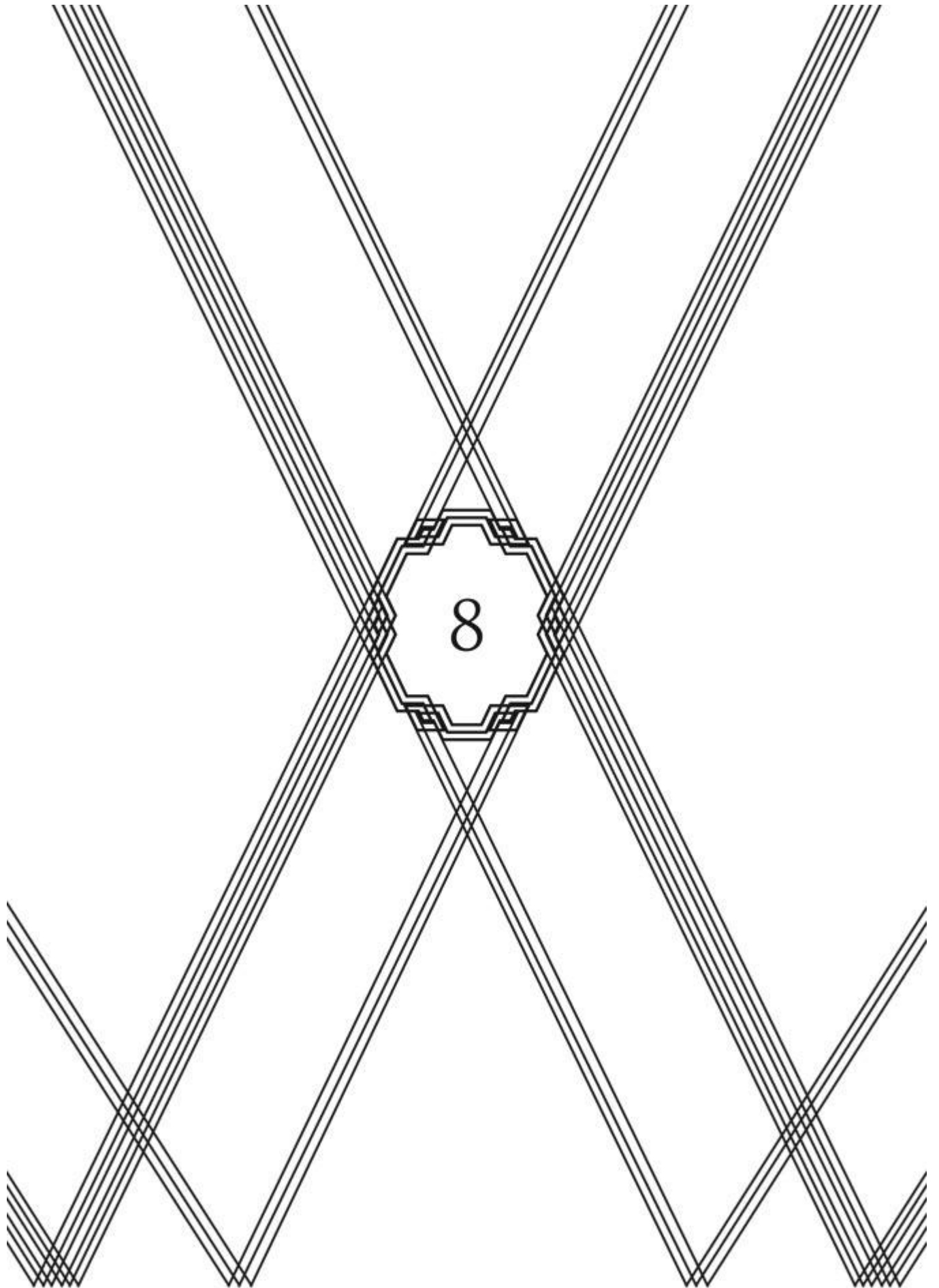
Gould odsunął się o krok.

William spojrzął w dół na Octavię, po czym ją puścił. Podparła się niezdarnie o listwę przypodłogową pod oknem. William przez chwilę patrzył na nią obłąkanym wzrokiem. Otwarte usta trzęsły mu się, jakby zamarły na nich słowa, zamknął je więc, minął Octavię i Goulda i podszedł do drzwi. Zatrzymał się tam i spojrzął na stół – ogromny stół z piękną kompozycją z letnich kwiatów, nakryty białym obrusem, rodowymi srebrami i szkłem, w którym odbijał się miękki blask wczesnego wieczoru. Na stół, przy którym przez tyle lat siadywał w samotności, zanim się ożenił. Na stół, przy którym przez tyle lat siadywał z Octavią. Był to piękny obraz. Dla niego jednak – mimo kolorów i światła – wyglądał jak ruina.

Odwrócił się.

– Myliłaś się. Myliłaś się całkowicie, mówiąc, że nigdy cię nie kochałem – powiedział łamiącym się głosem. Otworzył drzwi w mrok wielkiego holu. – I nie jest to jedyna rzecz, co do której się myliłaś, Octavio. – Odwrócił od niej wzrok, nie mogąc znieść jej widoku na podłodze i wyciągniętych szeroko rąk Goulda.

– Możesz jechać, dokąd zechcesz – oświadczył. – Do... Ameryki... lub gdziekolwiek sobie życzysz. – Zerknął na nich jeszcze raz. – Ale nie weźmiesz dzieci – dodał. – Na Boga, tego nie zrobisz. Już ja się o to postaram.



Następnego ranka w domu panowała cisza.

Śniadanie podano jak zwykle, ale nikt się na nim nie pojawił. Bradfield poczekał jakiś czas, po czym zszedł na dół i zapukał do pokoju pani Jocelyn.

– Proszę! – zawołała.

Staął w progu.

– Widziała pani jaśnie panią?

– Nie – odparła. – Wydała instrukcje co do lunchu bezpośrednio pani Carlisle. To samo z kolacją.

– Pani Carlisle? – powtórzył zdumiony. – Przecież widuje ją pani co rano.

– Prosiła, bym jej nie obsługiwała – odparła pani Jocelyn, nie patrząc mu w oczy.

Sortowała bieliznę pościelową, przeliczała komplety w ogromnych bielizniarkach stojących na ścianie przy drzwiach. Na stole obok niej leżały przygotowane prześcieradła i narzuty do sypialń Charlotte i Louisy.

Bradfield przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu. Zerknął w jedną, potem w drugą stronę korytarza, po czym wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Rzuciła mu spojrzenie pełne dezaprobaty.

– To prawda? – zapytał. – Ta historia z Amerykaninem?

– Jedno wiem na pewno: to nie moja sprawa.

– Dlaczego ona nie chce pani widywać?

Ochmistrzyni oparła ręce na prześcieradłach i westchnęła.

– To prawda – przyznała. – Powiedziałam to, więc może pan być zadowolony.

– I co, to trwało całe lato?

– Tak sędzę.

– Mój Boże. Harrison w kuchni twierdzi mniej więcej to samo. Mówi, że widziano ich w parku, w lesie. Któryś z chłopaków Marcha ich widział. A pokojówki coś wspominały?

– Pokojówki nie muszą mi nic mówić. Sama widziałam. To już nie ten sam dom. Jakby diabli objęli go w posiadanie.

Bradfield zmarszczył czoło.

– A co z jaśnie panem?

Pani Jocelyn odwróciła się twarzą do niego i oparła ręce na biodrach.

– Zostanie pan przy nim?

– Byłem tu, zanim ona nastąpiła. – Przez chwilę rozważał coś w milczeniu, po czym dodał:

– Wczoraj wieczorem wyprosił nas z jadalni. Między nimi trojgiem coś zaszło.

– Pokojówki mówią, że potem poszła do jaśnie pana. Widziały, jak przechodziła przez korytarz. Drzwi zostawiła otwarte na szerokość. Słyszały ich głosy w środku. Jej płacz. Krzyki. To było po północy, kiedy już szły na górę.

– A Cooper co mówi?

– Nic. Cooper ostatnio był z nim w Paryżu, ale milczy jak grób.

– Tak samo Amelie.

Oboje nieświadomie wydęli z dezaprobatą usta w identycznym grymasie. Kamerdyner jaśnie pana i pokojówka jaśnie pani rzadzili się swoimi prawami i rzadko spoufalali z resztą służby.

– Za wielkie mają o sobie mniemanie – podsumowała pani Jocelyn.

Bradfield potrząsnął głową, na chwilę wbił wzrok w podłogę, po czym wyprostował się.

– Dziękuję, pani Jocelyn.

– Cóż za fatalny dzień – westchnęła, kiedy otworzył już drzwi, żeby wyjść. – Nigdy nie

uwierzę w tę historię o madame de Montfort. Nie uwierzę, że jaśnie pan mógłby tak postąpić. Jaśnie pani w Londynie wpadła w histerię, ona należy do tego typu kobiet. Zresztą sam pan wie. Od samego początku była z niej nerwowa histeryczka, nigdy nie miała za grosz dostojności i nadal nie ma. W kółko tylko lata między nim a dziećmi. W lecie boso. Śmieje się przy kolacji. Sam pan widział, widział pan, jak się zawsze zachowywała. A teraz jeszcze młody panicz... – Przerwała. – Cóż, nie mogę powiedzieć, żeby był z tej samej gliny. Ośmielę się stwierdzić, że wyszumiał się za młodu, oj, wyszumiał. Jeszcze będzie tego żałował, ale cóż, tacy są mężczyźni. Ale młoda panienska Louisa... To dopiero wykapana matka. – Pani Jocelyn z pasją, jak zaślepiona, składała i rozkładała prześcieradła. – Prawda jest taka, że jaśnie pani nie dorasta do tego domu. Nic nie stoi na przeszkodzie, abym to powiedziała, więc powiem. Zresztą, jej powiedziałam mniej więcej to samo. Wie, co o niej sądzę. To ona wprowadziła do tego domu złe maniere. Nie wywodzi się z arystokracji. Nigdy nie umiała się odpowiednio zachować.

Bradfield nie skomentował jej tyrady. Przyglądał się tylko pani Jocelyn w niemym przerażeniu, a kiedy podniosła na niego wzrok, szybko przywołał na twarz zwyczajną obojętność.

– To wszystko przeminie – wymamrotał. – Przemienie.

– Przemienie? – powtórzyła. – To ona przeminie. Pójdzie za nim, za tym Amerykaninem.

Wspomni pan moje słowa.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedział Bradfield, wychodząc na korytarz.

Spojrzawszy za siebie, stwierdził, że pani Jocelyn wygraża mu palcem.

– Bóg patrzy – powiedziała z błyskiem triumfu w oku. – Bóg patrzy i mści się.

Harry wyjechał o brzasku. Wziął metza.

Od miesięcy, może nawet od roku, nie siedział za kierownicą, a mimo to samochód zapalił za pierwszym razem. Podejrzewał, że podziękowania należą się Jackowi Armitage'owi, choć nie miał najmniejszych złudzeń, że Armitage dbał o jego wóz ze względu na niego – prędeż z miłości do samego auta. Pokonawszy milę czy dwie, Harry przyzwyczyił się do prowadzenia. Potem, mknąc pustymi drogami o letnim poranku, zaczął podśpiewywać głupią, łatwo wpadającą w ucho melodię z rewii *Hello, Rag-Time! All they do is talk like babies, Hear the way they bill and coo! Poogywoo, poogywoo...* Wybuchnął śmiechem. Droga wiła się wzdłuż rzeki, potem wspinała trochę pod górę – już za chwilę, gdyby obejrzał się za siebie, zobaczyłby Rutherford – same kominy nad drzewami. Przycisnął gaz i w parę sekund minął wioskę. Widział chłopca z wtką pędzącego krowy na pole, a w domu przy kościele jakaś kobieta wieszala pranie. Świat za oknem zmieniał się błyskawicznie. *All night long he calls her snooky ookum, snooky ookums...*

Co za głupia piosenka. Cały ranek spędzony na beztroskim, bezcelowym szwendaniu się tu i tam był dokładnie taki. Wjeżdżając z powrotem w bramę Rutherford, do parku, Harry zwolnił, przestał się śmiać i śpiewać. Zajechał przed dom. Nie mógł pozbyć się myśli, że choć wszędzie wokół życie płynie wartkim strumieniem, to tu, w Rutherford, zatrzymało się. Wszyscy doskonale widzieli, że matka i ojciec są w niezgodzie, najpewniej wciąż z powodu tego przekłętego Charles'a de Montforta.

Harry wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Do diabła z tym Charles'em. Harry często przywoływał w pamięci jego twarz tylko po to, by sobie wyobrazić, że w nią pluje. Żył wielką nadzieją, że to, co mówił ojciec, jest prawdą, czyli że wojna rzeczywiście wybuchnie, a Charles de Montfort będzie zmuszony wziąć w niej udział. Francuzi powołają wszystkich rezerwistów i de Montforta, zanim zdąży się zorientować, wyślą na front. Harry miał nadzieję, że dostanie kulę w łeb – również zanim zdąży się zorientować. Jakąś cholerną, wielką austriacką kulę. Nie przyszło mu nawet do głowy zastanowić się, co na ten temat będzie sądził ojciec, ale, szczerze mówiąc, nie obchodziło go to.

On wybierał się do Upavon, by zdobyć licencję pilota, i tylko to się dla niego liczyło.

Matka i ojciec sami muszą wydostać się z tego przekłętego bagna, choć nie przeczył, że żał mu było zamkniętej w Rutherford matki. Jej sytuację można było porównać do sytuacji świń hodowanych na dzierżawionych od majątku farmach specjalnie na targi rolne. Lady Cavendish zostanie wystawiona na pokaz na dożynkach i zmuszona do wręczenia nagród za jakieś głupie najdorodniejsze ziemniaki czy inne cholerstwo. Postanowił, że spróbuje być dziś dla niej miły. Poświęcał jej za mało uwagi, doszedł do wniosku.

Otworzył potężne drzwi frontowe i stał przez chwilę, przyglądając się wielkiemu holowi. Kiedy miał trzy, może cztery lata, ślizgał się po całej długości posadzki na jakiejś indyjskiej macie, a Bradfield na niego za to wrzeszczał. Mama tylko się śmiała. Ojciec, zawsze odległy i nieobecny, nic o tym nie wiedział. Harry pamiętał, jak w pokoju dziecięcym, przy kominku, siedział u matki na kolanach, a ona głaskała go po głowie. Zdarzało się to tylko wtedy, kiedy ojciec był w parlamencie, a nigdy – kiedy wracał do domu. Wraz z jego powrotem życie stawało się znacznie bardziej formalne – Harry’ego z siostrami przyprawiano na spotkanie z rodzicami tuż przed kolacją. Stawali przed nimi w rzędzie, a mama mówiła: „Moje małe kwiatuszki”. Ojciec za każdym razem kazał mu się prostować. A on się prostował – tak, robił to, bo wtedy czcił ojca niczym bohatera – prostował się, by sprawiać wrażenie jeszcze wyższego i zasłużyć na poklepanie po głowie. Mama potajemnie, za plecami ojca, odsyłając ich z powrotem na górę, rozdawała całusy. Wtulał się w nią na ułamek sekundy, wdychał cudowny zapach róż i wanilii, po którym zawsze można było ją rozpoznać. Mama i kwiaty, mama i kwiaty. Uśmiechnął się do siebie, wszedł do środka i zamknął drzwi.

Octavia, niczym wywołana tajemną siłą podświadomości, właśnie wychodziła z salonu. W rękę trzymała jakiś list.

– Gdzie twój ojciec? – zapytała.

Harry podszedł do niej, zdjął rękawiczki i rzucił je na stolik.

– Nie wiem – odparł. Uśmiechnął się, ale kiedy dostrzegł wyraz jej twarzy, natychmiast zapytał:

– Coś się stało?

Spuściła oczy na kartkę, którą trzymała w rękę.

– Chodzi o Louise – odparła oszołomiona. – To od niej. – Wyciągnęła do niego rękę z listem. Wziął go.

– Myślałem, że ma dziś wrócić?

– Tak. Miała. Razem z Charlotte. – Octavia utkwiała wzrok w jakimś odległym punkcie poza nim. – Biblioteka – mruknęła. – Pewnie jest w bibliotece. – I ruszyła szukać Williama, a Harry spojrział na list.

Kochana Mamo,

Tak się zaczynał. Pismo było niedbałe, pospieszne.

Proszę, Mamo, och, proszę, czy wytłumaczysz mnie przed ojcem i czy mi wybaczysz? Nie przyjadę z Charlotte. Poznałam pewnego mężczyznę, który poprosił mnie, bym za niego wyszła w Paryżu. To wszystko stało się tak nagle i bardzo mi przykro, ale mamy nadzieję, że jak najprędzej wrócimy. Jego matka jest całkiem sama, a skoro ma wybuchnąć wojna, musimy się pobrać... Mamo, proszę Cię. Nie mogę go zostawić. Zostanę żoną Maurice’a Fredericka. Och, Mamo, proszę Cię, ciesz się wraz ze mną. Bądź równie szczęśliwa jak ja. Proszę, pobłogosław nam z całego serca i spraw, żeby ojciec to zrozumiał.

Wciąż Twoja,

Louisa.

Harry przeczytał list dwukrotnie.

– Dobry Boże – mruknął.

Ręka, luźno trzymająca list, opadła mu bezwładnie. Próbował przypomnieć sobie rozmowę z siostrą sprzed paru tygodni. Rzeczywiście – mówiła, że poznała jakiegoś Francuza. Wspominała nawet, jak się nazywał. A on obrócił to w żart. Jeszcze raz spojrzął na list. Sprawdził, kiedy był datowany. Wczoraj.

Matka przeszła prędko przez hol, ojciec tuż za nią. Wyciągnęła rękę po list, a kiedy William się z nią zrównał, natychmiast mu go podała. W miarę czytania twarz ojca oblewał głęboki ciemnoczerwony rumieniec. Gdy skończył, podniósł wzrok.

– Wiedziałaś coś o tym? – zapytał żonę.

– Nie, oczywiście, że nie.

William skinął głową.

– Bo cię tam nie było – rzekł.

Octavia nie spuszczała z niego wzroku. Głośno zaczerpnęła powietrza, a potem przygryzła wargę. Niezależnie od tego, jak bolesna, była to jednak prawda. William stwierdził fakt – nie oskarżał.

– Louisa mówiła mnie, nie mamie – odezwał się Harry.

Oboje rodzice spojrzeli na niego.

– Tobie mówiła? – zapytał nagłaco William. – Kiedy?

– Nie mówiła mi oczywiście, że zamierza uciec z jakimś gościem – odparł z oburzeniem Harry. – Mówiła, że poznała kogoś, kto twierdzi, że mnie zna. Jakiegoś Francuza.

– Który nazywał się...?

– Frederick – potwierdził Harry, kiwając głową w stronę listu. – Ale ja nie znałem żadnego Maurice’a Fredericka. I tyle jej odpowiedziałem.

– I spotykała się z nim? – William mówił to tonem pełnym zgorznienia. – Jak to możliwe?

– Odniosłem wrażenie, że spotykali się niejako przypadkiem.

– Podczas gdy znajdowała się pod opieką de Rayów. – Twarz Williama wykrzywiła się gniewem, odwrócił się na pięcie i odmaszerował w stronę biblioteki. Octavia i Harry ruszyli jego śladem. Harry przytrzymał przed matką ciężkie, obite skórą drzwi, które, puszczone luźno przez ojca, omal nie uderzyły jej prosto w twarz. William już był przy telefonie i podnosił słuchawkę, prosząc telefonistkę o połączenie z londyńskim domem de Rayów. Kiedy czekał, aż ktoś odbierze, trwała grobowa cisza. Chciał rozmawiać z samym de Rayem, ale, sądząc po głosie osoby, która podniosła słuchawkę, miał do czynienia z jego żoną. William słuchał niecierpliwie, odsuwając słuchawkę na pewną odległość od ucha. W końcu rzekł:

– Dobrze, proszę.

– O co chodzi? – wyszeptała Octavia.

– Daje mi córkę – odparł William.

Octavia wyciągnęła rękę po słuchawkę.

– Williamie – powiedziała – proszę cię.

Zawahał się, ale przekazał jej słuchawkę. Przycisnęła ją do ucha.

– Florence – powiedziała. – Mówi lady Cavendish.

– Nic mi nie powiedziała – odparła natychmiast Florence. – Dosłownie przed chwilą odkryłam jej liścik. Mieliśmy właśnie dzwonić do państwa. Wczoraj wieczorem mówiła, że Devenish odwozi ją na dworzec o szóstej i żebyśmy jej nie odprowadzali, bo po co mamy tak wczesnie wstawać. Ale ja i tak wstałam, żeby się z nią pożegnać. Była już w drzwiach, taka szczęśliwa, myślałam, że cieszy się, że wreszcie wraca do domu, do Rutherford. Devenish mówi, że zawiózł ją na dworzec Saint Pancras i wziął jej bagażowego. Ale nie dotarła do pociągu Charlotte, lady Cavendish. Po prostu się nie pojawiła.

– A Charlotte? Co z nią?

– Gardinerowie odwieźli ją na stację o siódmej. Czekali na Louise, a kiedy nadszedł czas odjazdu, Charlotte uparła się, że pojedzie sama.

– O, mój Boże! – wykrzyknęła Octavia.

– Proszę się nie obawiać – uspokoiła ją Florence. – Pan Gardiner wsiadł z nią do pociągu, nie puścił jej samej. Ma posiadłość w Leeds. Podobno powiedział swojemu kierowcy, że całkiem dobrze się złożyło. Kierowca dotarł tu do nas jakieś dziesięć minut temu z wiadomością, że Louisa nie pojawiła się na stacji. Właśnie wtedy pobiegłam na górę, do jej pokoju. Nie wiem... Miałam po prostu złe przeczucie, może dlatego, że była taka szczęśliwa. Nagle wydało mi się to... jakieś dziwne i znalazłam ten liścik. Jest zaadresowany do nas wszystkich.

– Przeczytaj mi go – poprosiła Octavia.

Treść była mniej więcej podobna.

– Kim jest ten człowiek? – zapytała Octavia. – Znasz go?

– On... – Florence przerwała i zaczęła szlochać. W słuchawce rozległo się szuranie i jakieś stłumione odgłosy. Następnie Octavia usłyszała głos Hetty de Ray – doniosły i rozzłoszczony.

– Octavio – rzekła – moja droga, czuję się za to odpowiedzialna, ale wierz mi, nie miałam o niczym pojęcia. Nikt z nas nie może uwierzyć, że Louisa zrobiła coś takiego.

– To nie jest niczyja wina – stwierdziła Octavia. William syknął z dezaprobatą. – Ale co jeszcze wie Florence?

– Twierdzi, że Louisa o nim opowiadała. Że spotykała się z nim potajemnie. Cztery dni temu Florence poszła z Louisą do Hyde Parku, żeby twoja córka mogła się z nim zobaczyć. Przysięgam, Octavio, że nic o tym nie wiedziałam, w przeciwnym razie absolutnie bym na to nie pozwoliła. Louisa jej powiedziała, że idzie się z nim pożegnać. Miał wyjechać z Anglii.

– Ale się nie pożegnała. Tylko wyjechała z nim.

– Tak – przyznała Henrietta de Ray. – Nie wyobrażam sobie, jak to możliwe. Nie mam pojęcia dlaczego...

– A co Florence o nim wie?

– Że pracuje w ambasadzie francuskiej. To paryżanin.

– Paryżanin? – Octavia poczuła, jak ogarnia ją i przenika do szpiku kości nagła fala chłodu. – W jakim wieku?

– Chyba w jej. Florence mówi, że chyba trochę starszy.

– Hetty, czy mogłabym jeszcze chwilę porozmawiać z Florence?

Słuchawka powędrowała z powrotem do rąk dziewczyny.

– Florence – zaczęła Octavia – powiedz, co to za człowiek? Co mówił?

– Nie wiem, co mówił prócz tego, że się żegnał – wyszeptwała Florence. – Louisa mówiła, że się rozstali.

– Zostawiła w tym liściku jakiś adres? Napisała, dokąd jedzie?

– Nie, lady Cavendish.

– Ale do Paryża.

– Mówiła... mówiła, że jego matka mieszka gdzieś na Montmartre. On twierdził, że jest... że zna malarzy...

– Ona jest malarką?

– Nie, nie. Nie pamiętam dokładnie. Może tak tylko mi się skojarzyło. Ale kiedy wracaliśmy do domu, wciąż powtarzała, że jego matka jest zupełnie sama i że gdyby Maurice poszedł na wojnę, chętnie dotrzymałaby jej towarzystwa. Wspierałyby się nawzajem, podczas gdy jego by nie było.

– O, mój Boże – wyszeptwała Octavia. Zasłoniła słuchawkę ręką i powiedziała do

Williama: – Pojechała do matki tego człowieka. Wracał do domu, więc pojechała z nim. – Nagle na jej twarzy pojawiło się bezbrzeżne przerażenie. Wyciągnęła za siebie rękę, wymacała krzesło i nie wypuszczając słuchawki, osunęła się na nie. – Montmartre – wyszeptała.

– Gdzie? – krzyknął William.

– O co chodzi? – wtrącił się Harry.

Podniosła oczy na syna.

– Widziałeś go kiedyś? – zapytała. – Tego Fredericka?

– Nie – odparł. – Nie przywiązywałem wagi do tego, co mówiła. Myślałem, że to jakieś przelotne zauroczenie... – Już kiedy wypowiadał te słowa, zdał sobie sprawę, jak głupio zabrzmiały. Oblał się rumieńcem.

William złapał syna za ramię.

– Pozwoliłeś jej paść ofiarą tego człowieka? – zapytał. – Nawet nie chciałeś wiedzieć, kim był? Nie zażądałeś, żeby ci go przedstawiła? Chodziło o twoją własną siostrę i obcego mężczyznę, który twierdził, że cię zna.

– Ja... – Harry nie znalazł słów na swoją obronę, spuścił więc oczy, by nie patrzeć na ojca.

– Nie – mruknął z poczuciem winy.

– Florence – powiedziała Octavia bardzo powoli do słuchawki. – Opisz, jak ten człowiek wyglądał.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. W tle Octavia słyszała, jak Henrietta de Ray podniesionym tonem wyprasza z pokoju jakiegoś służącego.

– Wyglądał raczej zwyczajnie – zaczęła z wahaniem Florence. – To znaczy, był zwyczajnie ubrany: czarny garnitur, szara kamizelka. Raczej tanio. Louisa mówiła, że nie miał dużo pieniędzy i że rodzice – to znaczy pani, lady Cavendish, oraz lord Cavendish – nie byłiby zadowoleni, że go poznała. Że nie spodobałoby się państwu, że się z nim zadaje. On jej powiedział, że jego matka została sama, kiedy on był małym dzieckiem. Że jego ojciec ich zostawił. Z tego, co wyznała mi parę dni temu, wnioskuję, że dość często widywała się z Maurice'em. Czasem nam mówiła, że źle się czuje, a tymczasem...

– Myślisz, że spotykała się z nim w pojedynkę?

– Tak – przyznała Florence. – Bardzo mi przykro.

– O co chodzi? – William zażądał informacji. – Co ona mówi?

Octavia podniosła na niego wzrok.

– Że spotykała się z nim sam na sam.

– Mój Boże! – zagrzmiał William. – Co za diabeł wstąpił w tę rodzinę!

Octavia odwróciła się od niego.

– Florence – powiedziała spokojnie – proszę, opisz, jak wyglądał.

– Raczej wysoki... na pewno co najmniej sześć stóp. Jasne włosy. Ale widziałam go tylko przez chwilę, z daleka. Louisa mówiła, że spotykała go przypadkiem – raz przed teatrem, raz na wyścigach. Rzeczywiście przypomniałam sobie, że ktoś się od niej odsuwał, kiedy podchodziliśmy.

– Nigdy nie słyszałaś jego głosu?

– Nie... – przerwała. – Ale coś wiem. Louisa mówiła, że on trochę... – Octavia usłyszała długie westchnienie. – Uważała, że to urocze. Przepraszam, ale tak właśnie powiedziała. Najwyraźniej nie potrafił właściwie wymówić jej imienia. Przedłużał „s”. Jakby kogoś uciszał. Sepłenił. Podobało jej się to.

– O, Boże – jęknęła Octavia. – O, mój Boże.

– O co chodzi? – William dopytywał się natarcywie.

Słuchawka wypadła Octavii na kolana. Dochodziły z niej głosy Florence i Hetty, pytające,

czy je słyszy. Octavia spojrzała na męża.

– To ktoś trochę starszy od Louisy – rzekła. – Ma jasne włosy, twierdzi, że ojciec opuścił jego i matkę, kiedy był mały. Jego matka mieszka na Montmartre...

– Boże, nie – mruknął William. – To niemożliwe.

– I nie umie prawidłowo wymówić jej imienia – dodała, po czym głos jej się załamał. – Nie potrafi dobrze wymówić imienia Louisa.

Harry przenosił wzrok z ojca na matkę i odwrotnie.

– O co chodzi? – zapytał. – Znacie go? Znacie Maurice’a Fredericka? Kto to?

William powoli opuścił się na krzesło po drugiej stronie biurka i wbił wzrok w leżące na nim książki – książki należące jeszcze do jego ojca, które dziś rano przygotował sobie do czytania.

– Nie nazywa się Maurice Frederick – szepnęła ze straszliwym niedowierzaniem w głosie. – Nazywa się Charles de Montfort. – Nie odrywał wzroku od biurka. Siedział nieruchomo, niczym rażony gromem. – Ojciec Héléne... – mruknął.

– Co – ojciec Héléne? – zapytała Octavia.

Spojrzał na nią.

– Tak się nazywał. To jego imiona. Maurice Frederick de Montfort.

Nastąpiła straszliwa cisza. Harry oparł rękę na ramieniu matki.

– O, Boże. To niemożliwe. Louisa jest... to znaczy, ona... – urwał w połowie.

Octavia nie odrywała wzroku od Williama.

– Nie wiesz? – wyszeptwała. – Naprawdę nie wiesz, czy on jest twoim synem?

– Nigdy nie miałem pewności.

– A Charles... miał pewność?

– Jak mógłby ją mieć?

– Może Héléne powiedziała jemu coś, co ukryła przed tobą? Na przykład, że na pewno jesteś jego ojcem? Czyż nie dlatego pojawił się w Londynie i zażądał tak wiele? Jeśli coś wiesz, Williamie, musisz mi to powiedzieć. Teraz.

– Ja... – zaczął William, marszcząc czoło. – Héléne nie była w stanie powiedzieć, kto był ojcem.

– A więc przez te wszystkie lata usiłowała ci to wmówić, kiedy tak jej było wygodnie.

– Tak. Tak właśnie robiła.

Harry stał i zbity z tropu próbował złapać sens ich rozmowy.

– Więc jest szansa... że to wszystko kłamstwo?

– Nikt tego nie wie. Prócz samej Héléne – odpowiedział William.

– Ale to wszystko, co zaszło w tym roku... Chcecie powiedzieć, że mogło być bezpodstawne? Że domagał się pieniędzy, mimo że nie jest twoim synem? – Harry wybuchnął histerycznym śmiechem, po czym dodał: – Chcesz mi, ojcze, powiedzieć że mam przyrodniego brata, a równocześnie, że być może wcale nie mam przyrodniego brata? Co za farsa – rzucił głosem pełnym sarkazmu.

– Nie odzywaj się tak do ojca – ostrzegła go Octavia.

Harry chciał odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili, widząc zmartwienie na twarzy matki, powstrzymał się. Przeniósł wzrok na ojca.

– Dobry Boże – zauważył – ta kobieta owinęła sobie ciebie wokół palca. Grała ci, jak chciała, a ty przed nią tańczyłeś, taka jest prawda. – William otworzył usta, by zganić syna lub zaprzeczyć, ale najwyraźniej nie znalazł słów. To, co usłyszał, było bowiem ewidentną prawdą. – Cóż – stwierdził Harry. – Jedno jest pewne. Nie możemy pozwolić, by ten cholerny łajdak wywiózł gdzieś Louise. Żeby sprawił, że biedna dziewczyna uwierzy... – przerwał i twarz mu

pobladała. – Wiem, dlaczego ją uwiódł. Żeby rzucić ci wyzwanie. Zemścić się na tobie – powiedział do Williama. – Przecież o to mu chodzi, prawda? Za to, że go odrzuciłeś. Że nie dałeś mu ani pieniędzy, ani nazwiska.

– Być może – przyznał William.

– Jeśli tak rzeczywiście jest, to postąpił okrutnie – mruknęła Octavia. – Biedna Louisa.

Harry zmarszczył czoło, myśląc intensywnie.

– Ale chyba jeśli nie wie, kim ona naprawdę dla niego jest – siostrą przyrodnią czy obcą osobą... nie ożeni się z nią? Nie zrobiłby tego?

Octavia wydała stłumiony szloch i zaczęła cicho płakać.

– Nie wiem, czym się kierował. – William westchnął bezradnie. – Nie mam pojęcia, jakie miał motyw.

Harry potrząsnął głową.

– Ale Louisa twierdzi, że mają zamiar się pobrać. On nie może przecież w Paryżu przyznać się, że to był spisek, i zostawić ją tam na łaskę losu?

– Nie wróciłaby przecież sama – wymamrotała Octavia. – Nie poradziłaby sobie.

– A więc porzuci ją – domyślił się Harry. – Jeśli ta kobieta mu powiedziała, że Louisa to jego siostra, zrobił to tylko po to, by się zemścić. Na przekór. By jej złamać serce, by ją porzucić.

– Tak samo, jak jego porzucono – dodała Octavia.

William w rozpaczy potrząsnął głową. Octavia spojrzała na męża.

– Hélène wie, kto był ojcem, czy sama nie jesteś pewna? – zapytała cicho. – Okłamywała cię, własnego syna czy siebie samą? Kogo?

– Nie wiem – powtórzył William. Ciągłe rozpatrywanie całej historii nie ułatwiało sprawy.

– W takim razie nie wiesz za dużo – zauważył Harry. Czekał, aż ojciec go zgani, pogrozi mu, ale w odpowiedzi ujrzał na jego twarzy tylko coraz głębszą rozpacz. Na widok słabości ojca, jego niezdolności do działania Harry tak bardzo się zdziwił, że nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

– Bawiła się z tobą w kotka i myszkę przez tyle lat – powiedziała niewyraźnie Octavia, nie spuszczać wzroku z Williama.

Ten nie odpowiedział. Wbił wzrok w podłogę.

– I oto teraz wszyscy przez to cierpimy, najbardziej zaś Louisa – ciągnęła Octavia bardzo cicho – która albo zostanie wciągnięta w kazirodcze małżeństwo, albo porzucona. Albo przyjdzie jej żyć w jakimś potwornym układzie z Hélène. – Zamknęła oczy, jakby chciała ukryć ten obraz w głowie, nie pozwolić mu wydostać się poza własną wyobraźnię. Pomyślała o córce w zasięgu Hélène i pod jej wpływem. Louisa nie będzie w stanie zmierzyć się ze skrzywionym charakterem Hélène. Do Octavii nagle dotarło, że właśnie o to mogło chodzić – Hélène chciała zawładnąć Louisą, wysłała Charles'a, by oczarował ją i ściągnął do Paryża, a wszystko po to, by oderwać ją od rodziców, osiąść, ukształtować po swojemu, zmienić i nastawić przeciwko nim.

– Ale dlaczego miałyby się mścić, gdyby Charles nie był twoim synem? – spytała. Prawda tej brzemiennej w konsekwencje uwagi zawisła między nimi grobową ciszą.

Harry próbował znaleźć odpowiedź.

– A może to nie ma nic wspólnego z Hélène – zasugerował. – Tylko po prostu Charles chce nam dokuczyć. Próbuje do ciebie dotrzeć, niszcząc Louisę. Tylko i wyłącznie z powodu pieniędzy. I dlatego, że odmówiłeś mu nazwiska Cavendish. Być może działał na własną rękę, a jego matka nie miała z tym nic wspólnego.

William ze ściśniętym sercem patrzył na cierpienie i niepokój żony. Chciał wyciągnąć do niej rękę, pocieszyć ją, ale wewnątrz miał jak z kamienia, a w piersi poczuł nagły, przeszywający

ból. Zaczerpnął powietrza i patrzył, jak Harry ramieniem otacza plecy matki.

– Nie płacz, mamó – szeptał. – Znajdziemy ją. Pojedziemy do Paryża. Przywieziemy ją do domu.

– Powinnam była zostać w Londynie – mówiła cicho Octavia. – Powinnam była zostać.

Harry wyprostował się. Ojciec i syn przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

W końcu William skinął głową.

– Pojedziemy tam – potwierdził. – I to natychmiast. – Podeszedł do drzwi i otworzył je przed Harrym. Kiedy syn go mijał, William obejrzał się na Octavię. Siedziała blada jak ściana, milcząca, a na jej twarzy malowało się wiele sprzecznych emocji.

– Nie opuszczaj mnie, błagam – rzekł.

Słowa te zostały wypowiedziane tak cicho i przejmująco – ledwie słyszalnym szeptem – że myślała, iż się przesłyszała – nawet, gdy drzwi się za nim zamknęły i słyhać było tylko jego kroki oddalające się po kamiennej posadzce wielkiego holu.

John Gould spędził cały poranek w swoim pokoju. Kiedy służba przyniosła mu śniadanie, był pochłonięty pisaniem listów do rodziców. Oznajmił, że wraca do domu, chciałby wypłacić zainwestowane fundusze i prosi ojca, aby się tym zajął. Napomknął, choć na razie pomijając szczegóły, że nie wraca sam, i zapytał o stan prawny ziemi na Long Island.

Siedział tak przez pewien czas i wyglądał przez okno na zielone trawniki Rutherford. Pozwolił sobie na fantazje o wspólnym z Octavią domu, a nawet o ich dzieciach biegnących po rozległych pagórkach raj, podobnie zielonego jak ten za oknem, lecz kończącego się plażą, oceanem i pomostem, przy którym kołysze się zacumowany jacht. Postanowił, że specjalnie dla niej zamówi nowy jacht i nazwie go jej imieniem.

Potem, już po śniadaniu, z dołu dobiegło go jakieś zamieszanie. Wyszedł na antresolę i nasłuchiwał głosów Harry'ego i Octavii w wielkim holu. Udało mu się wyłowić tyle, że nastąpiła jakaś kryzysowa sytuacja z udziałem córki, Louisy. Słyszał energiczne kroki Williama, jego stłumione pokrzykiwania, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi biblioteki.

Zaintrygowany, oparł się o balustradę. Nie miał okazji poznać Louisy – słyszał tylko, że była kochanym dzieckiem, ulubienicą ojca. Przypuszczał, że z obu córek jemu samemu bardziej przypadłaby do gustu tryskająca młodzieńczą świeżością Charlotte, która miała podobno, jak on, buntowniczą duszę. Wyobrażał sobie, że starszą z córek udałoby mu się skusić atrakcjami Nowego Jorku i prowadzeniem wielkiego, lukratywnego przedsiębiorstwa – potęgi handlowej ojca, ale dla młodszej, Charlotte, mógłby zostać mentorem – nauczyłby ją lub zachęcił, by żyła inaczej, podróżowała po świecie.

W swoich rozmyślaniach nie poświęcił choćby jednej myśli Williamowi Cavendishowi, wobec którego, jak wobec całego odchodzącego pokolenia, nie czuł niczego poza litością. Co do Harry'ego, przypuszczał, że ostatecznie zostanie przy ojcu, w Anglii, i wstąpi do Królewskich Sił Powietrznych – wydawało się, że nic nie jest w stanie go od tego odwieść. A potem, po wojnie... cóż, czekały na niego przedzalne. Był kolejnym Cavendishem, dziedzicem potęgi Beckforthów. Nie mógł od tego uciec, to była kwestia krwi. Takim prawami rządził się świat – przynajmniej jego świat, gdzie ziemię i majątek zachowywano, otaczano troską, przekazywano kolejnym pokoleniom. Harry Cavendish stanowił ogniwo tego łańcucha – łańcucha nie do przerwania.

John wrócił do swego pokoju. Ubrał się i ze zdziwieniem stwierdził, że pod drzwiami frontowe podjechał napier, a William i Harry wsiadają do niego z zaledwie jedną sztuką bagażu na ich obu. Wyskoczył szybko z pokoju, przeszedł kawałek antresolą i przez wschodnie okno śledził odjeżdżający samochód. Kamerdyner Williama jako jedyny ze służących odprowadzał pojazd wzrokiem. Pozostali – Bradfield, Nash i Harrison, dyskutowali zawzięcie, zbici w ciasną grupkę. John zmarszczył brew. Czegoś nie rozumiał. William i Harry dopiero wrócili do domu,

dlaczego więc wyjeżdżają znowu, i to prawie bez bagażu?

Ruszył na dół.

Zastał Octavię w salonie – stała przed wielkim paryskim lustrem, zdobiącym ścianę nad kominkiem. Wydawało się, że nie słyszała, jak wchodzi, podszedł więc do niej ukradkiem, objął ją w talii i pocałował w policzek. Drgnęła jak porażona prądem, odwróciła się i uśmiechnęła się do niego blade.

– Co się stało? – zapytał.

– Louisa z kimś uciekła – odparła głucho. – Wyjechała do Francji.

Uniósł brwi ze zdumienia.

– Wiesz, z kim?

– To... myślimy, że to może być Charles de Montfort.

Gwałtownie zaczerpnął powietrza, po czym wybuchnął śmiechem.

– Syn Williama? Jak to możliwe?

– Tego nie wiemy. – Przyłożyła rękę do czoła. – Nie jesteśmy pewni. Co do niego. Co do wszystkiego.

– To dlatego William pojechał? – zapytał. – Widziałem, jak wsiadają z Harrym do auta.

– Tak – mruknęła. – Pojechali do Paryża.

Pokręcił głową.

– Cóż, czeka ich trudne zadanie. – Trzydzieści sześć godzin temu we Francji ogłoszono powszechną mobilizację.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Francja przystępuje do wojny – wyjaśnił. – William nic ci nie mówił? Pisali o tym w porannych gazetach. Rosja zbiera wojska, Niemcy robią to samo, zażądały od Francji neutralności, a tymczasem Francja zagrała im na nosie i ogłosiła mobilizację. Wczoraj rano Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

– Więc William wiedział – wyjąkała.

– Tak, o ile czyta gazety. No i wczoraj w nocy z całą pewnością dowiedział się przez swoje kontakty.

– A tutaj? Co z nami?

– Cóż, w „Timesie” piszą, że Niemcy dziś wypowiedzą wojnę Rosji. Tak przypuszczają. A Rosja to wasz sprzymierzeniec, tak samo zresztą jak Francja. Austria idzie naprzód z nisko pochylonym łbem, niczym rumak bojowy, chce zrównać Serbię z ziemią. Wojska rosyjskie są na granicy austriackiej...

– Mój Boże – jęknęła Octavia. – To chyba zły sen.

– Wczoraj dostałem list od ojca. Píše, że ze względu na piekło, jakie rozpętało się w Europie, chcą zamknąć giełdę.

Octavia zamknęła oczy, podeszła do kanapy i usiadła.

– Co teraz dzieje się we Francji?

– Można przypuszczać, że trwa tam wielkie zamieszanie. Zakładam, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin Niemcy wypowiedzą wojnę również Francji. – Wzruszył ramionami. – To jak klocki domina. Jeden natychmiast popycha drugi.

– A potem...

– Jeśli Niemcy wypowiedzieli wojnę waszym sojusznikom, to co innego pozostaje Wielkiej Brytanii?

Octavia na sekundę przyłożyła rękę do ust.

– Miał rację – szepnęła do siebie, po czym uniosła głowę i spytała: – A czy we Francji

teraz... będą działały środki transportu, pociągi?

– Przypuszczam, że całe miasto chce się wydostać z Paryża na południe. W panice.

– Ludzie opuszczają stolicę?

– A ty byś nie opuściła?

– Nie wiem – szepnęła. – Louisa pojechała tam do matki tego człowieka. Czy oni też wyjadą? Pojadą dokądś? – Przerwała. – Do Bergerac? – zastanawiała się na głos. – Albo gdzieś indziej?

– Być może – zgodził się. Usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Była bardzo zimna.

Rozcierał jej skórę, by choć trochę ją rozgrzać.

– Nie martw się – powiedział. – Przynajmniej spróbuj, za wszelką cenę.

Spojrzała na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Mam się nie martwić? – powtórzyła.

Uśmiechnął się do niej.

– Rozmyślałem o naszych planach – oświadczył. – Co sądzisz o tym, żebyśmy zaprojektowali sobie dom? Możemy to zorganizować. Zatrudnić kogoś naprawdę dobrego. Nowoczesnego. Ładny, rozłożysty dom z widokiem na ocean. Chciałabyś?

– Mówisz o Ameryce?

– A o czym innym? O naszej przyszłości.

Wstała niespodziewanie.

– Nie mogę o tym myśleć.

– Dlaczego?

– Pytasz, dlaczego? – wykrzyknęła. – Nie zrozumiałeś ani słowa z tego, co mówiłam?

Louisa jest w niebezpieczeństwie. I to większym, niż przypuszczałam jeszcze pół godziny temu.

– Cóż, z pewnością ten chłopak nie zostawi jej na łaskę losu. A potem ojciec po nią przyjedzie, i to wszystko. Rozpęta się piekło, oni wrócą do domu... – Rozłożył ręce, gestem obrazując *fait accompli*, i uśmiechnął się.

Octavia otworzyła usta ze zdumienia.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

Podniósł się i stanął koło niej, próbując znowu wziąć ją za rękę.

– Nic im się nie stanie.

– Ale właśnie powiedziałaś...

– William ją odnajdzie, kto jak kto, ale on na pewno. W to nie wątpię. Zna właściwych ludzi, wszędzie ma dojścia, może załatwić rzeczy niemożliwe. Immunitet dyplomatyczny, specjalne prawa. Za trzy, cztery dni będą z powrotem.

Oczy Octavii zwęziły się.

– Próbujesz mnie udobruchać.

– Próbuję dodać ci otuchy, kochanie.

– Wszystko ci jedno? – zawołała. – Tu chodzi o moją córkę, mojego męża i mojego syna.

Nie znamy nawet adresu Louisy w Paryżu. Znamy tylko adres matki Charles'a.

– Więc pójdą prosto do niej, prawda? – John uśmiechnął się do niej. – A jeśli chodzi o to, czy mi wszystko jedno... To jeśli coś dotyczy ciebie, dotyczy i mnie. Twoje dzieci również.

Wyrwała mu się i zrobiła kilka chwiejnych kroków.

– To nie są moje dzieci – stwierdziła. – To dzieci moje i Williama.

John przysunął się do niej niepewnie.

– Tak, słyszałem, jak to mówił. Słyszałem jego groźby.

– Cóż, ja... – Zaczęła wyłamywać palce. – Nie wiem, czy mogę jechać. To znaczy, czy mam prawo je stąd zabierać. A może on ma rację? Czy kobieta w ogóle ma coś do powiedzenia?

Czy wolno mi wyjechać?

– Oczywiście, że ci wolno – odpowiedział zdumiony John. – Masz prawo robić, co ci się żywnie podoba i kiedy ci się podoba. Możesz wyjechać nawet w tej chwili.

– Nie – zaprotestowała. – Nie mam prawa opuścić dzieci. Muszę tu być, kiedy Louisa wróci.

– Cóż, oczywiście, że tak. Nie mówiłem tego dosłownie. Jesteś wolna.

Potrząsnęła niepewnie głową. Podszedł do niej, wziął ją za rękę i ucałował ją niespiesznie. Potem ciasno oplótł ją ramionami i przycisnął policzek do jej policzka. Opuściła głowę na jego ramię. Czuł, jak cała drży. Poglądził ją po włosach.

– To nasz świat – wymruczał. – Czujesz go? Nasz świat? Tylko na nas czeka. Louisa wróci i biorąc ją do Stanów, odciągniesz jej uwagę od tego, co się stało. Niech zobaczy Nowy Jork. I Charlotte też. To, co jej się przytrafiło, to żadna hańba, prawda? Pozwoliła się uwieść jakiemuś łajdakowi, i tyle. Jest po prostu młoda. Za rok czy dwa nikt nie będzie o tym pamiętał.

– Tutaj będą pamiętać – westchnęła Octavia. – W towarzystwie. W Londynie.

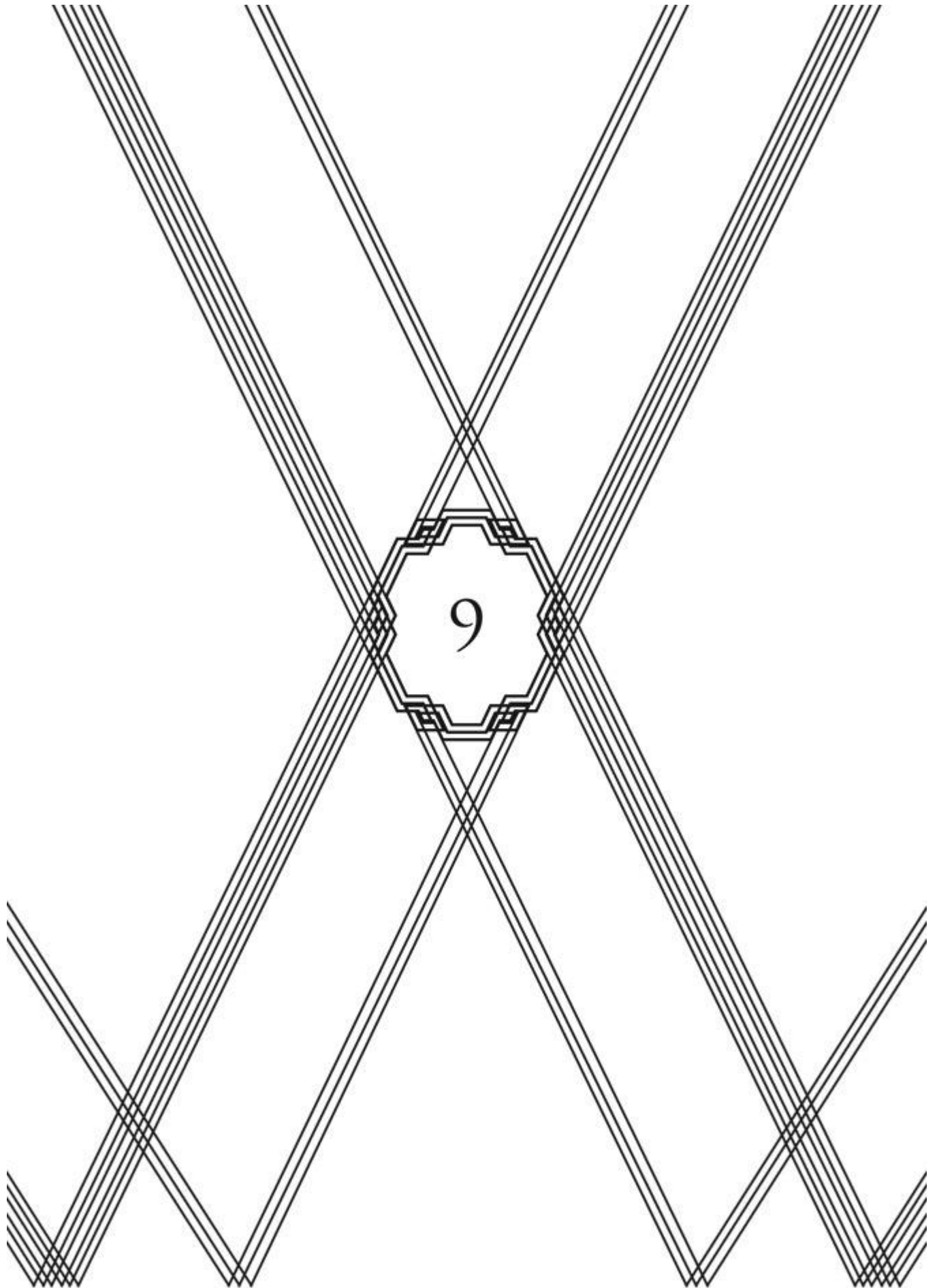
– A więc macie tym większy powód, żeby jechać do Nowego Jorku – rzekł. – Tam nie wybuchnie skandal. Nikt nie będzie niczego komentował. Louisa będzie chodzić z podniesioną głową. Przecież tego chcesz, prawda? Żeby mogła wychodzić, spotykać się z ludźmi, znaleźć przyjaciół – nowych przyjaciół, poznać nowych ludzi, którzy nie będą jej oceniać? Tylko pozwól dziewczynkom przyjechać, a ja pokażę im moje miasto. Pokażę im, ile tam powietrza, kochanie. Którym można oddychać.

Przemawiał głosem delikatnym, kuszącym, śpiewnym.

– To wielki kraj. Szeroki, pełen przestrzeni. Żadnych granic, tradycji, historii. Możemy napisać swoją historię. Własną.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił i powiódł opuszką kciuka po jej twarzy, od kości policzkowych wzdłuż szyi aż do gardła, a potem dalej w dół. Poruszyła się nieznacznie, jakby niechętna dotykowi. – Obiecuję ci to – powiedział i przytulił ją mocno. – Obiecuję tobie i dziewczynkom, że będziecie miały wszystko, czego zapagniecie, wszystko, czego potrzebujecie. A ja dotrzymuję obietnic.



Dwa dni później hałas ulicy przed hotelem na rue Théodule-Ribot obudził Williama o czwartej nad ranem. Przez chwilę rozglądał się wokół siebie zdezorientowany – do Paryża udało im się dotrzeć dopiero po czterdziestu godzinach podróży. Wstał, podszedł do okna, otworzył je i wyszedł na mały balkon. Dochodziły do niego odgłosy ruchu ulicznego z Boulevard de Courcelles – nieustanne trąbienie, do którego nie był przyzwyczajony.

Przyjazd na francuską ziemię przypominał gwałtowną zmianę pory roku – przejście z gorącego lata prosto w mroźną zimę. Wszędzie wisiały plakaty mobilizacyjne, większość pociągów wycofano z rozkładu i zarekwirowano na potrzeby armii. Kiedy William i Harry opuścili we francuskim porcie pokład wielkiego parowca, wynajęcie samochodu zajęło im dwie godziny, a w dodatku musieli bardzo słono zapłacić. Trzeciego sierpnia wczesnym rankiem wyruszyli w drogę do Paryża. Przemierzali wioski, w których na zamkniętych okiennicach sklepików nabazgrano kredą: „Właściciel stawiał się do armii”, a miejscowe kobiety stały przy drodze i gapily się na nich. Zrozumieli te spojrzenia, dopiero gdy dotarli na przedmieścia Paryża, ponieważ przed budynkami kompleksu Les Invalides stało co najmniej pięćset zarekwirowanych samochodów, a wszystko, co miało koła, było wyładowane bronią i amunicją. Mijali śpiące na stojąco konie ze zwieszonymi łbami, zaprzężone do wiejskich wozów pełnych karabinów. Co chwila ich zatrzymywano, a ledwie ruszali w dalszą drogę, zatrzymywano ich znowu i proszono o okazanie dokumentów.

W końcu William zatrzymał się i kupił flagę amerykańską. Tylko taką udało im się dostać – Bóg jeden wie, dlaczego kioskarcz miał ją na stanie, być może tylko ona mu została. W każdym razie dzięki niej jako tako przebili się przez tłumy. Mocując ją na przedniej szybie samochodu, William poczuł kolejny bolesny skurcz serca na wspomnienia rąk Goulda na ramionach Octavii. Mijali właśnie Gare d’Orsay. Grupa kadetów z Akademii Wojskowej Saint-Cyr zatrzymała się, by im zaszalutować. Siedzący na miejscu pasażera Harry osunął się nisko na siedzenie i w milczeniu spoglądał na budynki i na morze ludzkich twarzy.

Ulice ogarniał już gęstniejący mrok, ale widzieli więcej flag – coraz więcej flag, aż w końcu miasto zdało im się dosłownie obwieszone francuskimi, brytyjskimi i rosyjskimi kolorami narodowymi niczym długą falbaną. Grupkami przechodzili rezerwiści, zmierzając do wyznaczonych punktów poborowych, czasem otoczeni patriotycznie usposobionymi obywatelami śpiewającymi *Marsylianke*, czasem z naręczami kwiatów, które *midinettes* – szwaczki ze sławnych domów mody – rzucały im z okien, lecz najczęściej – w towarzystwie bladych z przerażenia żon i zdezorientowanych dzieci. Na którymś rogu znowu musieli się zatrzymać ze względu na tłum, i tuż przy oknie ich samochodu znalazł się mężczyzna. W jednym ręku trzymał paczkę zawiniętą w woskowany papier żywności, a drugą delikatnie wyswabadzał z zaciśniętych palców żony, którą po chwili pocałował na pożegnanie. Odwrócił się i odszedł, a kobieta spojrzała prosto na nich, potem na flagę na szybie, po czym oddała jej hołd, prostując drżące ramiona, a dziecko, które trzymała na rękach, głośno się rozplakało.

W hotelowej recepcji, zapytany o wolne pokoje *concierge* tylko wzruszył ramionami.

– Jest dużo pokoiów – odparł. – Ludzie wyjeżdżają z Paryża. Nie widział pan?

William wyraził swoje ubolewanie, przytaknął i złożył podpis w księdze gości. Razem z Harrym zanieśli bagaż do apartamentu z oknami na ulicę i przez chwilę podziwiali pograżony w mroku Paryż. William odwrócił się do syna.

– To niepojęte – mruknął. – Paryż w ciemnościach.

– Co robimy? – zapytał Harry. – Dokąd idziemy najpierw?

– Na rue de l’Abreuvoir – postanowił William. Nie zdjęli nawet płaszczy, a teraz obaj

zgodnie skierowali się do drzwi. – Tam ma dom – wyjaśnił. – W każdym razie miała, trzy lata temu.

William zamknął za sobą drzwi i przekreślił zamek. Z któregoś z pokoiów dobiegało pijackie chrapanie i damski głos, błagający o ciszę. William włożył klucz do kieszeni.

– Ostatnio nie miałem powodów tam bywać – dodał.

Ruszyli pieszo – inaczej nie miało sensu. Kilka razy zgubili się na pogrążonych w mroku uliczkach w pobliżu Sacré-Coeur. Szli niemal po omacku, ostrożnie stąpając po kocich łbach. Co raz w świetle księżycy ukazywała im się świeżo wykończona szara bazylika na czubku stromego wzgórza. W końcu odnaleźli małą restauracyjkę na rogu właściwej uliczki i skręcili z rue des Saules. Mimo że noc była parna, Harry drżał. Miał nadzieję, że Charles będzie u matki, a Louisa – z nim. Nie wiedział, co najpierw robić – uderzyć chłopaka w twarz czy wydrzeć mu siostrę. Na myśl, że, niczego nieświadoma, mogła już wziąć z nim ślub, poczuł mdłości. Wciąż o niej myślał – jak ze swą ufną, jasną twarzą wchodzi do domu Hélène de Montfort i dowiaduje się prawdy, wszystko jedno jakiej: albo że Charles nie jest jej przyrodnim bratem i ożenił się z nią tylko na złość ojcu, a w rzeczywistości wcale jej nie kocha, albo że jest z nią spokrewniony i nie ma zamiaru zostać ani jej mężem, ani kochankiem. Harry próbował nie brać pod uwagę trzeciej możliwości – że de Montfort rzeczywiście kocha Louisę i może wziąć z nią prawdziwy ślub lub już to zrobił. I że są szczęśliwi, a Louisa, uwięziona w mieście wojny, nigdy nie wróci do domu.

Kiedy, pomagając sobie rękami, próbowali znaleźć drogę między murami ogrodów na rue de l'Abreuvoir, wyraził tę ostatnią obawę na głos:

– A jeśli już wzięli ślub – zaczął – jeśli to możliwe – jeśli do tego doszło, i jeśli zostają...

William zatrzymał się i odwrócił twarzą do niego.

– W takim wypadku – odparł – musimy wrócić do domu i powiedzieć to mamie. A wtedy miej nas, Boże, w swojej opiece.

– Gdyby tak się stało, dzieci Louisy byłyby Francuzami – rozmyślał głośno Harry. – A Hélène – ich babcią.

– Jeśli Niemcy wygrają wojnę, to dzieci Louisy będą Niemcami – wytknął William. – Będą żyły w państwie niemieckim. Możliwe zresztą, że my wszyscy również.

– Do tego nie dojdzie.

– Nie – zgodził się William, biorąc głęboki oddech. – Nie, to rzeczywiście absurd.

Zatrzymali się wreszcie przed bramą ozdobioną dwiema kamiennymi kolumnami. Na jednej z nich widniał numer piętnaście.

– To tu – oznajmił William. Na murze był dzwonek. William nacisnął go. Nic nie było słychać. Spojrzał na pogrążoną w mroku ulicę. – Hélène zawsze chciała tu mieszkać – rzucił. – Pięć domów dalej mieszkał malarz nazwiskiem Renoir.

– Renoir? – powtórzył Harry. – Znała go?

– W latach osiemdziesiątych zeszłego wieku – tak, znała ich wszystkich. Wtedy to był zupełnie inny świat. Mieszkało tu tylu artystów i poetów. Pamiętam taką małą restauracyjkę tam, dalej – zaczął, ale nagle urwał zmieszany. – Nieważne – rzucił i znowu nacisnął na dzwonek.

– Może nie działa – zasugerował Harry.

Nacisnęli klamkę, furtka się otworzyła. Przez wysokie krzaki szli ostrożnie w stronę drzwi wejściowych okazałego dworku. William zapukał. Dźwięk rozszedł się echem po całym domu, a po chwili rozległy się czyjeś kroki. Drzwi otworzyła drobniutka służąca.

– Czy zastaliśmy madame de Montfort? – zapytał William.

– Nie mieszka tu nikt o tym nazwisku.

– Och, na miłość boską – mruknął Harry. – Proszę otworzyć drzwi.

– O co chodzi, Francie? – zawołał starszy mężczyzna z niewidocznej części holu. Zbliżył

się do drzwi i obrzucił dwóch Anglików podejrzliwym spojrzeniem.

– Szukamy madame de Montfort i jej syna – wyjaśnił William.

Mężczyzna w typowy dla Francuzów sposób prychnął lekceważąco.

– Nie mieszka tu już od pewnego czasu.

– Ale ten dom należał do niej.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Należał? – powtórzył. – Zajmowała w nim górne pokoje. Nic do niej nie należało.

William wyglądał na zszokowanego.

– A jej syn?

– Gdziekolwiek by byli, na pewno są razem.

William i Harry spojrzeli po sobie.

– Wie pan, gdzie ich szukać? – zapytał Harry.

– Gdzieś za kościołem – odparł starszy mężczyzna, machając ręką. – Na rue Foyatier, tak słyszałem.

– Pod którym?

– Skąd miałbym wiedzieć?

Służąca próbowała zamknąć drzwi. Dobiegło zza nich syknięcie mężczyzny:

– Cudzoziemcy.

William przytrzymał drzwi barkiem, ale zatrzęsnięto mu je przed samym nosem.

– Nie jesteśmy wrogami – zawołał głośno. – Jeśli jesteśmy cudzoziemcami, to takimi, którzy będą walczyć za Francję.

Nie było odpowiedzi. Usłyszeli tylko oddalające się kroki służącej i jej pracodawcy, a potem szcęk drzwi zamykanych w głębi domu. William oparł się czołem o framugę.

– A tysiące naszych obywateli będą za nią umierać – mruknął do siebie. Potem nagle przypomniał sobie, że ma u boku Harry'ego, wyprostował się więc i chwycił syna za ramię.

– Na rue de Foyatier – zarządził.

Wspinali się dalej na wzgórze. Było dziesięć minut po północy. Ogarnęli spojrzeniem długie schody i ciągnące się wzdłuż nich domy, których sylwetki ledwie rysowały się w świetle księżyca.

Nagle z mroku ulicy wyłoniło się dwóch żandarmów.

– Dokumenty – zażądał ten, który stał bliżej.

William wyjął paszporty.

– Jestem z ambasady brytyjskiej – powiedział.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w niego i w Harry'ego.

– Przepustki proszę.

– Nie mamy przepustek – wyznał William, po czym przedstawił się z nazwiska i wyjaśnił, że Harry jest jego synem.

– Co pan tu robi o tej porze?

– Przyjechałem z Anglii szukać córki. Zaginęła.

Żandarmi okazali swoje niezadowolenie, wzdychając głośno i kręcąc głowami.

– M'sieur, od ósmej wieczór obowiązuje godzina policyjna. Rozumie pan? Musi pan wracać do hotelu.

William i Harry uznali, że dalsze protesty nie mają sensu. Harry odwrócił się i powiedział:

– I tak nikt przy zdrowych zmysłach o tej porze nas nie wpuści. Nie wiemy przecież, pod którym numerem mieszka.

William przyznał się do porażki.

– Zaczniemy szukać od rana.

Czwarty dzień sierpnia wstał chłodny i deszczowy. Wiał ostry wiatr.

William i Harry szybko zjedli śniadanie w opustoszałej restauracji. Na ulicznej ławce siedziała wyniszczona kobieta o rumianej twarzy, trzymała w objęciach psa i rozdawała całusy przechodniom. Kiedy wyszli, również im przesłała całusa.

– Anglicy? – spytała. – Bardzo kocham angielskich chłopców – zawołała za nimi. – Od wielu lat. – I roześmiała się.

W trafice, gdzie William zatrzymał się, by kupić papierosy, zmartwiony sprzedawca załamywał ręce. Większość półek w sklepie świeciła pustkami.

– Muszę zgłosić się do wojska – powiedział. – Urodziłem się w Trieście, ale tu się wychowałem. Nie zmuszają mnie, żebym tam wrócił!

– A mogliby to zrobić? – zapytał Harry.

– Ależ tak! – wykrzyknął. – Mają władzę! Musimy jechać do domu, tak to nazywają. Ale ja jestem paryżaninem, rozumiecie? Nie znam Triestu. Nikogo tam nie mam – to jakiś absurd!

Wyszli, a sprzedawca powtarzał to samo każdemu następnemu klientowi. Ludzie tłoczyli się na ulicy. Na twarzach niektórych malował się niepokój, inne wyrażały dumę i zaciętość. Przechodnie przytłumionym głosem rozmawiali o pruskiej inwazji na Paryż.

– Postawię kolejną barykadę! – krzyknął jakiś stary człowiek do zgromadzonej na ulicy młodzieży, obstępującej go ciasnym kręgiem. Żołnierz w średnim wieku, w płaszczu wojskowym obwieszonym medalami, uspokajającym ruchem otoczył ramiona starego, ale na twarzach zgromadzonych wokół nastolatków rysowały się strach i dezorientacja.

William zmarszczył brew.

– Musimy iść do ambasady, po przepustki – powiedział.

– Teraz? – spytał Harry.

– Nie teraz. Najpierw do Héléne.

Powlekli się tą samą drogą, którą pokonali w nocy. Szli wolno, w końcu spali zaledwie parę godzin. Na rue de Foyatier zastukali do kilkunastu drzwi, zanim wreszcie znaleźli kogoś, kto słyszał o Héléne. Kazano im iść w dół ulicy – tam gdzie domy były coraz mniejsze. Zatrzymali się przed zielonymi drzwiami z rachityczną poręczą.

Zdawało się, że minęły całe wieki, zanim ktoś zareagował na ich uporczywe pukanie. W końcu jednak stanęła przed nimi Héléne we własnej osobie, ciasno owinięta szalem, z zaczerwienionymi oczami. Kiedy zobaczyła, kto przyszedł, szeroko otworzyła usta ze zdumienia.

– William! – zawołała. – Co ty tu robisz?

Przecisnęła się obok nich w drzwiach i wyjrzała na ulicę, jakby oczekiwała kogoś innego i obawiała się, że osoba ta może za chwilę nadejść. Potem jeszcze szczerzej otuliła się szalem, zadarła brodę i uśmiechnęła się po swojemu, kpiąco, przekrzywiając przy tym głowę, zupełnie jakby nie stała w progu w kapciach i z włosami w nieładzie, ale pośród gości na wytwornym przyjęciu, w centrum uwagi.

William nie był w nastroju do rozmowy.

– Gdzie Louisa? – zapytał bez ogródek.

– Louisa? – powtórzyła. – A skąd ja miałabym to wiedzieć?

– Jest w Paryżu – rzucił gniewnym tonem.

– W Paryżu? – Héléne spojrzała najpierw na Williama, potem na Harry'ego. – Dlaczego?

– Wpuść nas – zażądał William, mijając ją w progu i przeciskając się do ponurego przedpokoju. Szedł pierwszy, otwierając drzwi do nieumeblowanych pokoi. Na końcu korytarza, tuż przed schodkami prowadzącymi do kuchni, zatrzymał się.

– Co to za miejsce?
– Moje schronienie. – Wzruszyła ramionami.
– Przed czym się chronisz?
Odwróciła od niego wzrok.
– To tylko tymczasowe.
– Rozumiem – rzekł. – Ktoś cię wystawił do wiatru.
– Można tak powiedzieć. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, Williamie, to byłabym wdzięczna, gdybyś wyszedł. Czekam na kogoś.
William pokiwał głową. Zlustrował ją spojrzeniem od stóp do głów, unosząc przy tym brew. Oblała się rumieńcem i odwróciła.
– Cóż – rzekła. – Możesz się cieszyć, odniosłeś małe zwycięstwo. Jak widzisz, jestem sama.
– Nie znajduję przyjemności w odnoszeniu tego typu zwycięstw. Pragnę tylko odzyskać córkę. Gdzie Charles?
Znowu patrzyła mu w twarz.
– Musiałeś przejechać przez Paryż, jak przypuszczam, więc chyba się domyślasz?
– Wzięli go do wojska? – Harry nagle zdał sobie sprawę, co miała na myśli.
– Mobilizacja dotyczy wszystkich rezerwistów.
– Przecież pracował w Londynie.
Zmarszczyła czoło.
– Tak, właśnie to miałam na myśli. – Wrócił tu, ponieważ jest w rezerwie. Wrócił dwa dni temu, był tu i dziś rano poszedł.
– Dziś rano? Dokąd?
Znów spojrzała to na jednego, to na drugiego.
– Nie rozumiem, jaki masz w tym interes. Dlaczego nagle obchodzi cię, gdzie się podziewa Charles? – Wbiła w Williama pytające spojrzenie. – Nigdy cię to nie interesowało, aż do dziś, prawda?
Harry wysunął się naprzód. Jego oczy błyszczały gniewem.
– Pani syn porwał moją siostrę. Poznał ją w Londynie i oświadczył się jej.
Hélène wzięła urywany oddech, a potem zaczęła się śmiać.
– O czym ty mówisz, to absurd. – Louisy tu nie było. Nie przywiózł jej. Nawet o niej nie wspomniał. – Spojrzała na nich zwięzonymi oczami. – To kłamstwo. Żart.
– To nie żaden żart – oświadczył William. – Louisa zostawiła list, że jedzie z nim do Paryża. Mieli zamiar wziąć ślub.
Wszyscy troje stali w ciszy. Potem Hélène przez małe drzwi ruszyła na koniec domu, do pomieszczenia, które prawdopodobnie pełniło funkcję kuchni dla służby. Usiadła przy niewielkim stole, nakrytym do skromnego, wręcz żalostnego śniadania – tylko chleb, kawa i mała miseczka fig. Stały tam dwa nakrycia: dwa talarze, dwie filiżanki. Machnęła w ich stronę ręką.
– Wstał dziś o czwartej – mruknęła smutno. – Siedzieliśmy tu. Dostał bilet. Musiał się stawić.
Pokazała im małą kartkę z zapisanym numerem pułku i godziną odjazdu pociągu. Z czułością wzięła ją do ręki, po czym wydeła wargi i z nieszczęśliwą miną rzuciła ją z powrotem na stół. William sięgnął po nią.
– Ani słowem nie wspomniał o Louisie – powtórzyła Hélène sarkastycznie. Podniosła na nich wzrok. – Może to ona coś wymyśliła – rzuciła, wzruszając ramionami. – I rzeczywiście z kimś uciekła. W każdym razie nie z Charles'em.
– Nic nie wymyśliła – wybuchnął Harry.

Hélène uniosła brew.

– Jak go poznała?

– W Londynie.

– Och, czyżby? Widzieliście ich razem? – Spojrzała na Williama. – Ktoś ich widział?

– Nie – odparł William. – Ale mamy jego opis. I przedstawił się jako Maurice Frederick.

– Zmarszczyła czoło, ale nic nie odpowiedziała.

Schował do kieszeni kartkę z numerem pułku i godziną odjazdu pociągu. Następnie, po chwili wahania, odsunął jedno z krzeseł i usiadł naprzeciwko niej.

– Hélène – zaczął cicho – przez te wszystkie lata nie odpowiedziałaś mi na to jedno pytanie. Teraz jednak musisz to zrobić. Od tej odpowiedzi wiele zależy. Czy Charles jest moim synem?

Patrzyła na niego niewzruszona.

– Nie wiem.

Potrząsnęła głową.

– Myślę, że wiesz. To tobie zawdzięczam życie w ciągłej niepewności. Być może uznałaś to za zabawne. Być może podobnie zabawiasz się kosztem innych. Ja jednak muszę wiedzieć.

Milczała nadal. Usta zacisnęła w wąską linię.

– Mój Boże – mruknął Harry, odwrócił się i podszedł do okna, by wyrzucić na zmarniałe, spragnione słońca drzewa.

– Hélène – ponaglił ją William – Louisa nie ma pojęcia, z kim się zadaje. Uważa, że może poślubić tego człowieka. Jest w nim zakochana. Miej nad nią litość.

Na twarzy Hélène pojawił się błysk gniewu.

– Litość? – powtórzyła. – Dla twojego dziecka?

– Ma dopiero osiemnaście lat.

Hélène zaśmiała się cynicznie.

– Kochanie, odparła – a kiedy ty okazałeś mi odrobinę litości? – Machnęła ręką, jakby chciała odwrócić od siebie jego pytające, zdezorientowane spojrzenie. – Wiem, co o mnie myślisz, to prawda – ciągnęła szorstkim tonem. – Och, tak, zawsze mogłam liczyć na twoją gościnność. Pozwoliłeś mi bywać w swoim domu, choć nie sądzę, aby zaproszenie było nadal aktualne. I choć kiedy się poznaliśmy, z pewnością uznałaś tę znajomość za niezłą rozrywkę, to dopiero kiedy wiele lat temu odkryliśmy, że łączą nas więzy krwi – tak, dopiero wtedy – stwierdziłaś, że jestem dla ciebie wystarczająco dobrym towarzystwem, prawda? Skandalistka z Paryża. Z miasta, do którego przyjeżdżają mężczyźni twojego pokroju, żeby zaznać tego, czego nie dostaną od Angielek. O, tak, wtedy byłam dla ciebie najdroższa, Williamie. I nie możesz temu zaprzeczyć.

– Nie zaprzeczam – odrzekł William przytłumionym głosem.

– Bo to prawda – wykrzyknęła. Odczekała chwilę, po czym znowu pochyliła głowę. – Ale nawet wtedy nie byłam wystarczająco dobra, żeby się ze mną ożenić – dodała gorzko.

– Nigdy nie chciałaś brać ślubu!

Pochyliła się do przodu, opierając ramionami na stole.

– A ożeniłbyś się ze mną, Williamie? – Nic nie odpowiedział, ale spuścił wzrok.

Uśmiechnęła się chłodno. – Nie, nie zrobiłbyś tego. Za to ożeniłeś się z tym cichym, zadurzonym w tobie dzieckiem, z dziewczynką, która miała fortunę!

Zapadła cisza. Słyszając, jak Hélène nazywa jego matkę, Harry odwrócił się do niej powoli, ona zaś, ignorując jego złowrogie spojrzenie, nadal nie spuszczała wzroku z Williama.

– To ty zasługujesz na karę – powiedziała w końcu. – Za to, że traktujesz mnie z takim lekceważeniem.

William uderzył pięścią w stół tak mocno, że Hélène aż się skrzywiła.

– Z lekceważeniem? – wykrzyknął. – Przecież pomagałem ci, wspierałem cię. To ty nie robiłaś nic innego, tylko mnie szantażowałaś. To ty zawsze twierdziłaś, że Charles jest moim dzieckiem. Mów prawdę!

Na jej twarzy pojawił się nieznaczny triumfalny uśmiezek.

– A teraz straciłaś córkę – syknęła. – Proszę, jaki traf. Ja właś nie wysłałam syna na wojnę. Być może nigdy go więcej nie zobaczę. A twoje dziecko spotkała hańba.

Ich spojrzenia spotkały się i William wyłowił z jej oczu prawdę.

– Nie jest mój – rzekł.

– Nie jest – przyznała. – Nie jest twój.

– I przez te wszystkie lata...

– Nie chciałaś się ze mną ożenić.

– To ty nie chciałaś wychodzić za mąż!

– A pytałaś? – wykrzyknęła nagle. – Powiedz sam, pytałaś?

Gapił się na nią zupełnie zaskoczony.

– Zawsze mi mówiłaś... – zaczął. – Byli inni mężczyźni...

– Nie pytałaś. Tylko ożeniłaś się z nią.

Nieoczekiwanie dla obojga Harry wybuchnął śmiechem. Spojrzeli na niego.

– Więc to był syn kogoś innego – stwierdził. – Ale żaden z kochanków się z panią nie ożenił. Zemściła się więc pani na jakimś biedaku z Bergerac, doprowadzając go do śmierci, jak również na moim ojcu, wyłudzając od niego pieniądze.

Hélène zerwała się na nogi.

– Co ty możesz o tym wiedzieć! – krzyknęła. – Więc mnie nie obrażaj!

Harry posłał jej lodowaty uśmiech.

– Obrazić kobietę pani pokroju to chyba niemożliwe – wycodził.

Hélène zaczerpnęła powietrza, ale nie odpowiedziała. Jej twarz nagle straciła swój zacięty wyraz i kobieta bezsilnie osunęła się na krzesło.

– Mój syn jest wszystkim, co kiedykolwiek miałam – powiedziała ze łzami w oczach. – Jedyłą stałą wartością w moim życiu. A teraz musiał odejść.

Patrzyli, jak szlocha.

– Hélène – odezwał się po chwili William łagodnym tonem. – Czy mówiłaś Charles’owi, że jestem jego ojcem?

Wyciągnęła z kieszeni szlafroka chusteczkę i otarła twarz.

– Nie – mruknęła. – Powiedziałam mu prawdę. Od dawna wiedział. Jego ojciec zmarł, kiedy Charles był małym dzieckiem.

Harry spojrział na Williama z nagłym głębokim współczuciem. Instynktownie położył ojcu rękę na ramieniu, i natychmiast, w obawie przed obopólnym zażenowaniem, zdjął ją.

– Był artystą. Zmarł na gruźlicę – wyszeptala Hélène. – Był miłością mojego życia, jaką ty nigdy nie byłeś i nie mógłbyś być. Poznałam go w miesiąc po tym, kiedy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim wyjechałaś z Paryża. Spędziliśmy razem całe lato. Umarł w grudniu, a wkrótce urodził się Charles, o dwa miesiące za wcześnie. Na tyle za wcześnie, żebyś uwierzył, że jest twoim dzieckiem.

– W co pozwoliłaś mi uwierzyć.

– Tak.

Harry z niesmakiem i niedowierzaniem potrząsał głową.

– Dla pieniędzy – szepnął. – I dla zemsty.

Nie odpowiedziała. Oparła głowę na rękę i zapatrzyła się gdzieś poza nich, we wpadające

przez okno blade światło poranka.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy być sama, być kobietą, która idzie przez życie w pojedynkę, nie masz więc też prawa mnie potępiać – powiedziała, po czym wyprostowała się na krześle. – Zemsta to tandetna emocja. Ja po prostu byłam pragmatyczna. Robiłam tylko to, co musiałam robić, żeby przeżyć.

– A Charles? – zapytał William. – Wysłałaś go do mnie i do Octavii, żeby nas skłócić.

– Nie zrobiłam tego – odparła szybko. – Powiedział mi, co zrobił, ale nie dostał mojej aprobaty. Nie może mieć wobec ciebie żadnych roszczeń.

– Żądał części majątku.

– Mówiłam mu, że nie ma do tego prawa.

– A mimo to próbował.

– Tak... próbował.

Harry westchnął z irytacją.

– Miał się czego od pani nauczyć – rzekł. – Oszustwa. Zazdrości.

– Zazdrości o rodzinę? – zapytała cicho. – O to, by być czymś uznanym synem? Tak, być może. Być może zawsze tego pragnął.

– I przyszedł do mnie tego szukać, kiedy okazało się, że nie znalazł tego nigdzie indziej? – zapytał William.

Apatycznie wzruszyła ramionami.

– Aby należeć do rodziny... mieć coś, czego nigdy nie miał, coś, do czego ja nigdy nie zostałam dopuszczona? Możliwe. Takie rzeczy głęboko zapadają w serce. – Jej głos brzmiał tragicznie, był pełen współczucia dla samej siebie.

William pochylił się nad stołem i dotknął jej ramienia.

– Hélène – rzekł – on przekonał Louise, że się z nią ożeni. – Chyba wiedział, że nie jest z nią spokrewniony?

– Wiedział. Ale nawet mi o niej nie wspomniał.

– Nie zająknął się ani słowem, że się jej oświadczył?

– To bzdura. Nie zrobiłby czegoś takiego!

– Ale zrobił!

– Nie wierzę w to. Nie byłby do tego zdolny.

William wstał i obrócił się na pięcie, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu, jakby szukał przedmiotu, którym mógłby cisnąć z wściekłości. Po chwili się uspokoił.

– Zrobił to – powtórzył. – Louisa jest gdzieś w Paryżu, razem z nim.

– Nie – upierała się Hélène.

– Skąd ta pewność? – chciał wiedzieć Harry.

– Bo... – Bardzo starannie złożyła ręce na podolku. – Bo on nie lubi kobiet... w ten sposób.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

– Hélène – rzekł William – mamy wszelkie podstawy, by myśleć, że tak zrobił. Proszę, powiedz, gdzie go szukać.

Podniosła na niego wzrok i przez jej twarz przemknął cień dawnej kokieterii. William, patrząc na nią w tym momencie, miał niezbitą pewność, że trudna sytuacja, w której się znalazł ła, wkrótce minie. Że niedługo znajdzie się jakiś nowy opiekun. Że Hélène nie stanie się krzywda, nawet w wyniku działań wojennych. Że podniesie się z upadku i w przyszłości, któregoś dnia, jadąc przez Paryż czy Londyn, jeśli tylko któreś z tych miast przetrwa wojnę, William zobaczy ją znowu – ubraną według najnowszych trendów, idącą pod ramię z jakimś mężczyzną, jakby wojna, ubóstwo i rozczarowanie nigdy nie zdołały odcisnąć na niej swego piętna.

– Miał się stawić na Gare de l'Est – mruknęła. – O siódmej. Ale nie znajdziecie go tam. Pociągi ruszały o ósmej. Więc już pojechał.

W poczuciu klęski ruszyli do wyjścia. Harry nie obejrzał się za siebie i nie minęła sekunda czy dwie, a już był na ulicy, ale William zatrzymał się w pół drogi. Spojrzał na kobietę, którą znał tak długo.

– Hélène – rzekł. – Czy w ogóle widziałaś Louise? Czy z nim była? Powiedz prawdę.

– Nie było jej – odparła Hélène. – Powiedziałby mi. Znam swojego syna.

– Nikt z nas naprawdę nie zna swoich dzieci – westchnął William.

Wbiła w niego lodowate spojrzenie.

– Mylisz się – zaproponowała. – Być może Charles zachowywał się czasem nieprzewidywalnie. Ale koniec końców, jego serce i dusza są jak moje własne.

Wyszli, starannie zamykając za sobą drzwi.

Tymczasem w Rutherford poranek był upiornie spokojny. Służba zebrała się na dole na śniadanie, które upłynęło w iście żałobnej atmosferze.

– Ten dom tego nie zniesie – mówił Harrison.

– Zniesie – zaproponowała z irytacją pani Carlisle. Dawniej jaśnie pan mieszkał tu sam. Teraz też może. Ale do tego nie dojdzie. Ten Amerykanin wprawdzie jest, ale jest niegroźny.

– Nie rozstaną się – zawyrokował Nash. – Jaśnie pani nie odejdzie. Nie z tego miejsca. Nie stąd.

– Siedzi przy telefonie, w bibliotece jaśnie pana – oznajmiła Mary. – Zeszła zaraz po tym, jak skończyłam zamiatać.

– To wszystko przez panienkę Louise.

– A cóż ona takiego zrobiła? – chciała wiedzieć Mary.

– Nieważne – rzekł Nash.

Harrison zaśmiał się pod nosem, na co kucharka rzuciła mu złowrogie spojrzenie.

– Niech tylko pan Bradfield to usłyszy, a zobaczysz, co cię spotka. Więc lepiej jedz, nie gadaj – ostrzegła.

Harrison z brzękiem odłożył nóż.

– Mam dosyć tego, że każą nam siedzieć cicho – krzyknął. – Jak myszy pod miotłą. Tego nie wolno, tamtego nie wolno. Jak tylko wybuchnie wojna, wstępuję do Pułku Granicznego. Jadę do brata, do Carlisle, i zaciągniemy się razem.

– Naprawdę będzie wojna? – zapytała drżącym głosem Cynthia. – Skąd się wzięła? Dlaczego walczymy?

– Na razie nie walczymy – zapewniła ją Mary.

– Ale będziemy – wtrącił Harrison. – I wiesz co? Będzie wycieczka do Francji. Zgłaszam się na ochotnika, w każdej chwili. Przepędzimy ich jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Chcę tam być. O wiele bardziej niż prasować fraki i nosić talerze.

Drzwi otworzyły się. Na progu stał Bradfield, w ręku trzymał gazetę. Obszedł stół i ciężko usiadł u jego szczytu, na swoim krześle w stylu Windsorów.

– Słyszę, że nas opuszczasz? – zwrócił się do Harrisona. – Wszyscy odetchniemy z ulgą, jestem tego pewien.

Harrison uśmiechnął się.

– Zostanę bohaterem wojennym, panie Bradfield. Poślę cesarzowi kulkę w pańskim imieniu.

Pani Carlisle rzuciła mu piorunujące spojrzenie i pochyliła się nad stołem, wskazując na gazetę.

– I co tam piszą, panie Bradfield?

Bradfield rozłożył gazetę na stole.

– Belgowie odmówili Niemcom swobodnego przejścia przez swoje terytorium. W gazecie twierdzą, że dziś rano Niemcy najadą na kraje Beneluksu. Jeśli to zrobią... – zawiesił głos i zaczął czytać: „Obowiązkiem każdego poddanego brytyjskiego jest stanąć w obronie suwerenności Belgii i innych naszych sprzymierzeńców”.

– Mówiłem, że to wojna – odezwał się Harrison. – Już trwa tam, a teraz zaczęła się tu. – Przerwał. – Ciekawe, czy pan Gould będzie potrzebował kamerdynera, kiedy już zamieszkają razem w nowym domu? Po wojnie chętnie wyjechałbym do Ameryki.

– Zważaj na słowa! – wykrzyknęła pani Carlisle. – Skaranie boskie!

– Jakbym słyszał panią Jocelyn – zauważył Harrison ze śmiechem.

Pan Bradfield uderzył pięścią w stół. Głowy wszystkich zebranych odwróciły się w jego stronę – znany był z tego, że nigdy, w żadnym wypadku nie okazywał agresji. Cynthia zaczęła cicho płakać. Mary uszczypnęła ją pod stołem w nogę.

– Ciiii – szepnęła.

– Pani Jocelyn źle się czuje – oznajmił Bradfield grzmiącym głosem. – Proszę o zachowanie należytego szacunku – dodał i spojrzał na Harrisona. – Słyszysz mnie?

– Zachowuję należny szacunek – sprzeciwił się Harrison, ale w jego oczach błysnęła przekora. Bradfield przez chwilę patrzył po zaniepokojonych twarzach osób siedzących za stołem, po czym poprawił się na krześle.

– Nash ma rację. Jaśnie pani stąd nie odejdzie – orzekła stanowczo pani Carlisle. – I żebym w mojej kuchni nie słyszała żadnej odmiennej opinii.

– A czemuż to? – rozsądnie zapytał Harrison spokojnym tonem. Choć czuł na sobie rozgniewane spojrzenie Bradfielda, ciągnął: – To przystojny człowiek, majątny. Która kobieta by takiego nie chciała? Poza panem Gouldem ma jeszcze jeden powód – chce wziąć dzieci do Ameryki, bo w Ameryce nie ma wojny, i najprawdopodobniej nie będzie. Chce chronić dzieci – o to jej chodzi. Sama by pani tego nie zrobiła? Czy każda matka by tego nie zrobiła, gdyby miała choć połowę tej szansy, którą ma jaśnie pani?

Przy stole zagościła niepewność, wyrażona stłumionymi szeptami.

– Proszę czytać dalej, panie Bradfield, jeśli łaska. Żeby panie wiedziały. – Harrison założył ręce na piersi i oparł się wygodnie. – Proszę przeczytać o tym, że Ameryka zadeklaruje neutralność, kiedy tylko my wypowiemy wojnę.

W pokoju zapanowała cisza. Ze spuszczonego wzrokiem kończyli posiłek, unikając spojrzeń sąsiadów.

Po posiłku Nash wstał od stołu, ruszył korytarzem w stronę drzwi wejściowych. Wyszedł na podwórze i głęboko wdychał świeże powietrze poranka, spoglądając na szerokie połacie dachów Rutherford z pięknymi, zgrabnymi spiralnymi kominami w stylu Tudorów, na nierównomiernie wybarwioną cegłę ścian, na rzędy okien, w których odbijało się poranne słońce. Ktoś pociągnął go za rękaw.

Obok niego stała Mary.

– Pójdiesz na wojnę? – zapytała. – Jak Harrison?

– Spełnię swój obowiązek.

– Czyli co? – zapytała. – Zginiesz za nich? Za to wszystko?

– Tak – odparł. – Jeśli będzie trzeba, to tak. Za nich. I za to wszystko.

Octavia siedziała w bibliotece Williama od ponad dwóch godzin. Wprawdzie szansa, że William i Harry, znalazłszy się we Francji, zadzwonią, była nikła, Octavia nie odchodziła od telefonu dalej niż na parę kroków. Poprzedniego wieczoru rozmawiała znowu z de Rayami i dowiedziała się, że William wysłał do nich wiadomość z Folkestone, tuż przed wejściem na

prom do Francji. Od tego czasu nie było żadnych wieści, prócz plotek, że we Francji wrze.

John z samego rana wybrał się do Castle Howard. Tłumaczył, że nie może przegapić okazji, by zobaczyć słynny ogromny majątek Vanbrugh'a. Najpierw błagała, by został – po pierwsze, dom nie był otwarty dla zwiedzających, a po drugie – nie chciała, by John – jeśli zostanie zaproszony do środka – zdradził się, że spędził całe lato w Rutherford. Wiedziała, że w okolicy i tak będą krążyć plotki na temat jego wyjątkowo długiej wizyty i że niemądrze byłoby je podsycać. Za wszelką cenę pragnęła utrzymać ich związek w tajemnicy, dopóki wszystkiego nie zorganizują i nie będą gotowi do wyjazdu. Podejrzewała, że uważny rozmówca bez trudu wyczyta uczucia Johna z jego twarzy. Nie trzeba było zbytnej spostrzegawczości, by zauważyć, że całą swą osobą wręcz płonie od emocji i rozpierającego pragnienia, by natychmiast zabrać ją do Stanów. Za to ona czuła się jak dziecko postawione przed zadaniem, które jest zarazem straszne i podniecające, i nie mające pewności, czy mu sprostą.

– Zostanę, jeśli wolisz – zgodził się w końcu.

– Nie... Jedź. To nie miałyby sensu, gdybyśmy oboje czekali przy telefonie.

– Dasz sobie radę?

– Oczywiście.

Pojechał, obiecawszy przedtem, że ani słowem nie piśnie, kim jest.

– Przynajmniej przejdę się po Ray Wood. Słyszałem, że to wspaniały teren. A popołudnie spędzę w Yorku – oznajmił. – Wciąż jeszcze tam nie byłem. Kiedy już wrócimy do Stanów, chcę mieć świadomość, że nie przeoczyłem niczego.

Szczerze mówiąc, teraz była zadowolona z samotności – nie zniosłaby oznak niecierpliwości Johna w oczekiwaniu na wieści o Louise. John zawsze chciał załatwiać wszystko od razu – przywykł do stawiania na swoim i podejmowania nagłych decyzji. Pod tym względem stanowił zupełne przeciwieństwo stonowanego i upartego sposobu działania Williama. Jeśli chodzi o cierpliwość, to owszem – absolutnie – potrzebowała teraz cierpliwości i stałości Williama. Cierpliwości koniecznej, by odnaleźć Louise. Cierpliwości i stanowczości, by przywieźć ją do domu.

Octavia siedziała ze wzrokiem wbitym w oranżerię i patio za nią. Czuła się tak, jakby trwała w pustym i nierealnym świecie. Słyszała, jak Charlotte ćwiczy na pianinie w pokoju muzycznym, do którego wchodziło się z samego końca holu. Wytężyła słuch – Charlotte miała w sobie pewność i spokój, jak William, nic nie mogło wyprowadzić jej z równowagi. Wszyscy darzyli sympatią Louise – oczywiście, była taka śliczna i taka inteligentna. Lecz przyszłość pokaże prawdopodobnie, że to Charlotte jest prawdziwym skarbem. Na samą myśl o Louise Octavia poczuła skurcz żołądka. Zebrało jej się na mdłości. Powinna była zjeść śniadanie lub przynajmniej przegryźć cokolwiek. Nie mogła nic przełknąć, a w nocy ledwie zmrużyła oczy. Louisa musi wrócić. Musi wrócić. Octavia nie potrafiła skoncentrować się na niczym innym – to była jedyna myśl, którą umiała świadomie sformułować i zatrzymać choć na parę sekund.

Znowu zerknęła w okna oranżerii. Pogoda pogorszyła się, wiał ostry wiatr, a niebo pociemniało, jakby miało padać – na jeziorze w oddali dostrzegła już białe zmarszczki. Oparła brodę na rękę. Kiedyś mieli małą łódkę – ona i William – i wypływali nią na szklaną tafle. Urządzili raz przyjęcie, podczas którego na jezioro puszczano papierowe łódki ze świecami. Okazało się wielkim sukcesem, zresztą jak wiele innych przyjęć i pikników w Rutherford. I kiedyś... Przerwała i gwałtownie zacisnęła powieki. Nie miało sensu rozmyślać, co było kiedyś. To wszystko skończone. Żyła w zamkniętej klatce tak długo, że nie widziała już prętów ograniczających jej wolność. Teraz drzwi klatki stały otworem. Musiała tylko postawić krok i wyjść.

Wstała i zaczęła spacerować po pokoju, wodząc ręką po grzbietach książek. Tu William

trzymał te bardziej osobiste, a wielkie tomy ze złotymi literami na grzbietach – w drugim pomieszczeniu. W małych skórzanych okładkach przechowywał rachunki i rozliczenia, tak samo jak jego ojciec i dziadek. Otworzyła jedną. Dbałość i skrupulatność, z jakimi prowadził zapiski: naprawy domowe, rachunki z restauracji, kiedy był w podróży, zaproszenia na śluby, rzucały się w oczy.

Zauważyła wetkniętą z tyłu wyświechtaną kartkę o rogach pożółkłych ze starości. Rozłożyła ją ostrożnie i stwierdziła, że to rachunek za nabijaną mosiądzem obrożę. Zamówił ją kiedyś dla swego ulubieńca i wiernego towarzysza – mastifa o płowej sierści, którego miał w czasach, kiedy się pobrali. William go uwielbiał. Pewnego ranka podczas obchodu majątku ze swym panem pies położył się spokojnie i po prostu zdechł. William zauważył, że go nie ma, wrócił i znalazł zwierzę pod brzozą. Wziął je na ręce i zaniósł do domu, aż pojawił się Armitage i wyręczył go. Octavia ze smutkiem potrząsnęła głową. A oto proszę, rachunek zachował się przez tyle lat. Na odwrotnej stronie znacznie młodszy William zanotował: „Obroża dla Bridgetowna”. W tamtych czasach wszystkim psom nadawał imiona będące nazwami posiadłości Beckforthów na Karaibach. Westchnęła cicho, zamknęła notes, odłożyła go na miejsce i przeniosła wzrok na biurko męża.

Stał na nim duży srebrny kałamarz na ozdobnej podstawie – prezent od kolegów na zakończenie pracy w parlamencie. Był też dagerotyp z portretem jego rodziców. Na podkładce do pisania leżały równo poukładane papiery. Dotknęła ostrożnie jednego z nich, po czym wzięła do ręki jego pióro. Siadywał tu, zanim Octavia się pojawiła, i będzie tu siadywał, kiedy ona odejdzie, rozmyślając i próbując nadać jakiś sens temu, co się stało – nie miała wątpliwości. Na próżno będzie usiłował poukładać sobie życie tak równo i porządnie jak kałamarz, podkładkę, lampę i dagerotyp. Wyobraziła sobie jego ręce na długim mahoniowym, wypolerowanym blacie z drewna przywiezionego z Indii cztery wieki wcześniej. W tym pokoju – jak i w innych bez wyjątku – wszystko miało swoją historię, swoją opowieść. Z całą pewnością w latach, które dopiero nadejdą, jej imię zostanie wymazane z dziejów Rutherford. Imię Octavii położy się cieniem na historii rodziny – cieniem czarnym i pustym. Nikt o niej nie wspomni, a jej portret pędzla Singera Sargenta zostanie zdjęty ze ściany nad schodami.

Octavia przygryzła wargę, usiadła na krześle Williama i otworzyła szufladę jego biurka w nadziei, że znajdzie coś, co mogłaby wziąć sobie na pamiątkę. Ze zdziwieniem ujrzała dużą skórzaną teczkę. Zaciekawiona lekko zmarszczyła czoło, wyjęła ją i otworzyła.

Był to, ku jej zaskoczeniu, zbiór wszystkich portretów rodzinnych wykonanych od dnia ich ślubu. Te same zdjęcia, w nieco większym formacie i oprawione, stały na pianinie i na stolikach w różnych pokojach. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że William zaopatrzył się w ich kopie. Pierwszą stroną zdobiła fotografia Rutherford w pełnej krasie. Dom i jego otoczenie były na niej jeszcze bardziej wypielęgowane, niż sobie przypominała. Na drugiej stronie ujrzała ich portret ślubny z 1893 roku. Dotknęła go palcem. Ależ sztywną i duszącą miała suknię – same koronki i atłas. A tu, na następnej stronie, małe *cartes de visite* – fotografie Williama z czasów, kiedy wizytówki ze zdjęciem były ostatnim krzykiem mody. Najprawdopodobniej bardzo krępował się ich używać, bo nigdy przedtem ich nie widziała. Kolejne strony stanowiły kronikę ich wspólnego życia. Wśród portretów znajdowało się zdjęcie małego Harry’ego obejmującego za szyję swojego kucyka, a także pozowane zdjęcie Octavii z trojgiem dzieci. Pochodziło, jak głosił podpis z roku 1909. Harry za wszelką cenę starał się wyglądać bardzo dorośle przy Louisie, która tłumila psotny uśmiech, natomiast Charlotte miała poważną minę i szeroko otwarte oczy. A potem znowu, na jednej z ostatnich stron, Louisa w ogrodzie, wśród róż.

Przewróciła kartki, by wrócić na początek. Nagle za jednym ze zdjęć zauważyła wetkniętą małą kopertę. Wyjęła ją, otworzyła i w środku znalazła złożoną na pół cienką, niemal

przezroczystą bibułkę. Rozwinęła ją ostrożnie i jej oczom ukazał się zasuszony kwiatek i skrawek koronki. Kwiatek ten kiedyś był konwalią, a w koronce – mimo niewielkiego rozmiaru – natychmiast rozpoznała najznakomitszą brukselską robotę. Powoli przeniosła wzrok na ich ślubne zdjęcie, na którym siedziała obok stojącego Williama, a jego ręka spoczywała na jej ramieniu. Trzymała mały bukiet konwalii, a wokół nich obojga rozpościerał się wspaniały tren z brukselskiej koronki o wzorze splecionych winogronowych liści.

Octavia ostro zaczerpnęła powietrza. Nie miała pojęcia, że to przechowywał. Przez tyle lat ich małżeństwa nie zdawała sobie sprawy, że tamten dzień miał dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Nigdy o nim nie wspominał. Nigdy do niego nie nawiązywał, nawet jeśli kierował do niej czułe słowa. Trwała w przekonaniu, że dla Williama małżeństwo było zwykłym kontraktem zapewniającym mu stabilność finansową w przyszłości i odpowiednią, łatwą do ukształtowania, żonę. Jak widać, myliła się. William wyjął kwiat z jej ślubnego bukietu, zasuszył go i zachował na pamiątkę. Zawinął go w bibułkę i zatrzymał niczym cenne wspomnienie.

I to wszystko mieściło się tutaj, wszystko tutaj – uzmysłowiła sobie. Tu, na kartach zielonego skórzanego albumu. Wszystko, co ona i William razem osiągnęli, wszystko, co stworzyli.

I wszystko, co mieli utracić.

Nie zdejmując ręki z portretu Louisy, oparła czoło o biurko i zapłakała.

William i Harry zdołali przedostać się na Gare de l'Est dopiero koło jedenastej. Złapanie taksówki graniczyło z cudem, omnibusy nie kursowały, po drodze usłyszeli od kogoś, że zarekwirowano nawet rowery z salonu Peugeota na avenue de la Grande Armée – całe trzysta sztuk. Na rogach ulic słyszeli też inne plotki – że w tym tygodniu na wybrzeża Europy dotarło czterdzieści tysięcy żołnierzy amerykańskich i tyle samo brytyjskich, że w portach rozgrywało się piekło, a rozhisteryzowane tłumy siłą wdzierały się na i tak już przeładowane promy.

– Uciekają jak szczury – wybełkotał jakiś napotkany po drodze pijak. – Macie *permis de séjour*? – spytał groźnie, lustrując wzrokiem postać i strój Williama, roztaczającego wokół siebie nieodłączną arystokratyczną aurę. – Mieszkacie tu? Tu, w Paryżu, co? – Starali się jak najszybciej go wyminąć. – A może jesteście szpiegami? – krzyknął za nimi.

– Nie odpowiadaj – mruknął William do syna. – I nie oglądaj się za siebie.

O jedenastej przybyli na Gare de l'Est. Dworzec kipiał ludźmi. Mężczyźni z rodzinami siłą przeciskali się wejściem pod kutymi balustradami i wielkim, półkolistym oknem holu. W hali dworcowej duży napis informował o zamknięciu granicy francusko-niemieckiej. Co chwila jakieś dziecko gubiło się w tłumie, było deptane, popychane, przeciskało się w stronę peronu, na którym natychmiast siłą oddzielano je od ojca. Wciskano sobie do rąk kwiaty, zarzucano ramiona na szyję, unoszono w górę niemowlęta do ucałowania. Tu i ówdzie stała para starszych rodziców jakiegoś żołnierza. Kobiety odwracały się, niektóre płakały, a inne, oszołomione, wpatrywały się w dal przed siebie.

– Która to kompania? – spytał William, kiedy udało mu się dopaść bagażowego. – Jaki pułk? – William podetknął mężczyźnie pod nos otrzymaną od Héléne kartkę, a ten wnikliwie się w nią wczytywał.

– M'sieur, ci dawno pojechali. – Rozrzucił ręce, jakby chciał zobrazować beznadziejną niewiedzę Williama.

– Dokąd? – William biegł, dotrzymując kroku tragarzowi. – Wie pan, dokąd?

Mężczyzna wywrócił oczami.

– Na wojnę! – zawołał, przekrzykując tłum. – Na wojnę!

William dał za wygraną i zatrzymał się. Razem z Harrym stali teraz pośrodku hali dworcowej, ze wszystkich stron otoczeni tłumem. Po paru minutach rozległ się gwizd

lokomotywy, huk wielu zatraskiwanych drzwi, wagony drgnęły i ruszyły, wzmógł się lament odprowadzających. Pociąg przyspieszył i twarze mężczyzn w oknach nagle zniknęły. Na peronie zapadła straszliwa cisza. Przez pewien czas nikt się nie poruszył. Potem zaczęto wycofywać się tą samą drogą – pod ogromnym zegarem dworcowym, pod kutą balustradą, na drobny, jednostajny deszczyk, który właś nie zaczął siąpić.

– Może ona gdzieś tu jest – zasugerował Harry. – Może on odjechał, a ona została.

Pokonali całą długość budynku, zaglądając do każdego kiosku, na każdą ławeczkę, do każdej kawiarni. Nigdzie nie natrafili na żaden ślad Louisy.

– To beznadziejne – osądził William. – Ona może być absolutnie wszędzie.

Postali chwilę przed budynkiem dworca. Przed sobą mieli główną aleję Dziesiątej Dzielnicy, a dalej Jardin Villemin.

– Z tego dworca zawsze odjeżdżano na wojnę – wspominał William. – A tam w tysiąc osiemset siedemdziesiątym zorganizowano szpital dla rannych żołnierzy. Podczas ostatniej wojny z Prusami. Wszystko wskazuje na to, że kręcimy się w kółko, drepczemy po własnych śladach. Popelniamy te same błędy.

Bez celu ruszyli w stronę parku. Deszcz powoli wsiąkał w ich okrycia. Trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka dni wcześniej znajdowali się w Anglii – William nie mógł przestać myśleć o spacerze koło Richmond Castle. Wtedy jeszcze nic nie wiedział o Louisie. Ani o Octavii i Gouldzie. Przechodząc przez bramę, niegdyś prowadzącą na teren wojskowego szpitala, a dziś do parku, zwolnił kroku. W końcu zatrzymał się i ze wzrokiem wbitym w ziemię powiedział:

– Zawiodłem swoją rodzinę.

Harry spojrzał na niego zdumiony.

– Nie, ojciec – zaoponował. – To nieprawda.

William zareagował na to spojrzeniem pełnym goryczy.

– Niestety to prawda – rzekł cicho. – Nie zwracałem na nic uwagi. Nie zwracałem uwagi na twoje marzenia. Nie zwracałem uwagi na żonę. I oto mam. Proszę bardzo. Doigrałem się. To ja jestem architektem tego wszystkiego, co się zdarzyło. Zawiodłem was.

– Jeżeli ktoś zawiódł, to na pewno nie ty – sprzeciwił się Harry. – Już prędej ja.

William lekceważąco machnął ręką.

– Ty tylko chciałeś wyłamać się z tradycji. Każdy młodzik tak robi, nie jesteś wyjątkiem.

– Jestem wyjątkiem – sprostował Harry – bo złamałem słowo honoru.

– Złamałeś słowo honoru? Kiedy?

– W Boże Narodzenie – szepnął Harry. Zbladł. – Zadałeś mi wtedy pytanie. Poprosiłeś, żebym powiedział prawdę, a ja skłamałem.

– Jakie pytanie? – zapytał William. – I na czym polegało kłamstwo?

Harry próbował za wszelką cenę zapanować nad sobą, ale to było ponad jego siły. Drżał ze zdenerwowania.

– Dałem ci słowo honoru, że nie znałem dziewczyny, która wtedy umarła – wyjąkał w końcu. – Tej pokojówki, którą wyciąg nęli z rzeki. Emily. – Głos mu się załamał, Harry przygryzł wargę i gwałtownie zaczerpnął powietrza. – Ale ja ją znałem. To wszystko stało się przeze mnie. Porzuciłem ją. A dziecko było moje.

Ojciec i syn stali przez chwilę, mierząc się wzrokiem. Każdy chciał wyczytać z twarzy drugiego, co naprawdę myśli i czuje. A potem, mimo najszczerzych chęci i wielkiego wysiłku, by się opanować, Harry zaczął płakać. William nawet nie drgnął.

– Koledzy w Oksfordzie.... – zaczął Harry żałośnie – mówili, że... – Przerwał. – Ale to nie była ich sprawa. Nie powinienem był ich słuchać. Zostawiłem ją. Powiedziałem jej, że jest

wspaniałą dziewczyną, życzyłem jej szczęścia czy powiedziałem coś równie bezdusznego, a potem ją zostawiłem. Tamtego wieczoru, w Boże Narodzenie. Tej samej nocy poszła się utopić. Nie powiedziała mi o dziecku, ale szczerze mówiąc, nawet nie dałem jej szansy. – Harry był zbyt zawstydzony, by patrzeć ojcu w oczy. – A potem zrobiłem z siebie niezłe widowisko, kłamiąc tobie i mamie. A potem pojechałem do Londynu, żeby pić. – Milczał chwilę, potrząsając głową. – Ale to nie minęło. Równie dobrze mogłem ją sam zamordować. Takiego masz cudownego syna. Próbuję sobie wmawiać, że to się nie zdarzyło. Czasem udaje mi się na parę dni zapomnieć. Ale to się zdarzyło. A przyczyną byłem ja. Moja własna, cholerna, egoistyczna bezdusność. – Harry zdołał w końcu spojrzeć ojcu w oczy. – Właśnie takiego człowieka masz za syna, ojczcie. I bardzo mi z tego powodu przykro.

Wyrzuciwszy to z siebie, odszedł ze zgarbionymi plecami. Ojciec spoglądał na niego przez parę sekund, po czym ruszył za synem. Otworzyła się przed nimi delikatna zieleń parku. William doznał nierzeczywistego uczucia, że cały świat – tak bliski upadku i pogrążony w namacalnej, otaczającej ich zewsząd rozpacz – nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Jedynym, co się liczy, jest jego syn.

– Harry! – zawołał. – Harry!

Harry zwolnił kroku i obejrzał się za siebie. William zrównał się z nim i zapytał:

– Chcesz mi powiedzieć, że dźwigałeś taki sekret? Tak długo?

– Nie była to sprawa, o której miałem ochotę mówić.

– Ale, Harry – zaczął William. – Nie przyszło ci do głowy, żeby mi się zwierzyć?

– Tobie? – zapytał Harry z niedowierzaniem. Ton, jakim to powiedział, nie pozostawiał wątpliwości. Własny ojciec był ostatnią osobą, której chciałby się zwierzyć. Oczekiwał od niego kary, nagany i pogardy. Niczego więcej.

Serce Williama załopotano niespokojnie. Przyłożył rękę do piersi, jakby chciał je uspokoić, a potem wyciągnął ręce do syna i przygarnął go do siebie.

– Przepraszam – wyszeptał. – Przepraszam za twoją samotność. Przepraszam za to, co się stało z tą biedną dziewczyną. Ale najgorzej przepraszam cię za to, że nie mogłeś przyjść z tym do mnie.

Godzinę później dotarli do ambasady po przepustki, które, jak mieli nadzieję, ułatwią im przemieszczanie się. Deszcz rozpadał się na dobre. William miał oczywiście paszporty i list polecający od premiera, który zawsze nosił przy sobie. Ujrawszy długą kolejkę ciągnącą się wzdłuż ulicy przed budynkiem, nie kryli przerażenia.

– To nam zajmie cały dzień – powiedział Harry.

– Nie sądzę – odparł William. Ruszyli naprzód, mijając ustawionych rzędem ludzi, niektórych pod parasolami. Znajomi stali grupkami. Posuwając się, William i Harry słyszeli wciąż te same rozmowy: funta szterlinga już nie akceptowano, nie przyjmowano żadnych obcych walut – nie posiadając franków, nie można było kupić biletów ani zapłacić za nocleg. Panowała ledwie tłumiona, z trudem skrywana panika. Z ludzkich twarzy, które się ku nim odwracały, można było wyczytać bezradność i zagubienie.

Gdy doszli do wejścia do ambasady, William podał swoje nazwisko. Urzędnik oddalił się w głąb budynku, pozostawiając ich pod drzwiami.

– Kim pan jest? – zapytał Williama mężczyzna, który stał w kolejce – w garniturze i meloniku, spocony, rumiany na twarzy. – Stoimy tu od ósmej rano, panie – wysunął się naprzód, jakby chciał zająć Harry'emu drogę.

– Chwileczkę – ostrzegł go Harry. – Mój ojciec jest znajomym ambasadora.

– Może być znajomym nawet i samego króla, nic mnie to nie obchodzi – odburknął mężczyzna. – Wszyscy chcemy już iść do domu. Nie jesteście lepsi od nas.

Ciekawski tłum napał na ich rozmówcę, ale drzwi otworzyły się i Williama z Harrym wpuszczono do pograżonego w mroku, połyskującego złoceniami holu. Urzędnik, który ich wpuścił, zatrzymał się i spytał:

– Lord Cavendish? Z Rutherford Park?

– Tak.

– Z Rutherford w Yorkshire. Nie mylę się, prawda?

– Ma pan rację.

Urzędnik uśmiechnął się i skinął głową.

– Ambasador prosił, aby pana powitać. Niestety w tej chwili nie może zrobić tego osobiście.

– Rozumiem.

– Jest nieco zajęty, rozumie pan. – Wskazał ręką na wejście, jakby kilka ostatnich dni, w tym ogłoszenie stanu wojny, stanowiło zaledwie drobną skazę na niezakłócanym nigdy spokoju życia dyplomatycznego. – Oczywiście spodziewaliśmy się pana. Muszę przyznać, że zareagował pan nadzwyczaj szybko. Rozumiem, że był pan już w Paryżu? A teraz poszukuje pan możliwości, by przedostać się z powrotem do kraju?

– Jeszcze nie. Potrzebuję przepustki. Zamierzamy przynajmniej przez jakiś czas zostać w mieście. – William przerwał, nagle zdając sobie sprawę z tego, co przed chwilą usłyszał. – Spodziewaliście się nas? – powtórzył. – Zareagowałem? Nic nie rozumiem. Przyjechałem tu odnaleźć córkę. Wraz z synem przyjechaliśmy jej szukać. Może nam to zająć trochę czasu. Próbujemy właśnie się dowiedzieć, gdzie się zatrzymała w Paryżu.

– Ale... – zaczął mężczyzna – w takim razie zaszło nieporozumienie. – Usłyszeliśmy pańskie nazwisko przy drzwiach i... Sądziłem, że dotarła do pana nasza wiadomość.

– Jaka wiadomość? – wtrącił Harry.

– Telefoniczna, do ambasady w Londynie, dziś rano.

Nie spuszczała z niego wzroku. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Widzę jednak, że tak się nie stało. Proszę za mną.

Ruszyli za nim, spoglądając po sobie zdziwieni. Mężczyzna otworzył przed nimi niewielkie drzwi w połowie pierwszego korytarza.

– To najbardziej prywatne pomieszczenie, jakie udało nam się znaleźć – rzekł. – Pomyśleliśmy, że będzie odpowiednie, oczywiście biorąc pod uwagę okoliczności.

William i Harry weszli do środka. Salonik urządzone był wystawnie, a okna od ulicy osłaniały ciężkie kotary. Na niskiej kanapie przy oknie, przed tacą z nietkniętą kawą, siedziały dwie kobiety: starsza, w nieskazitelnej szarej sukni, już na pierwszy rzut oka wskazującej igłę paryskiego krawca, trzymała tę drugą za rękę.

Ta zaś – młoda dziewczyna – sprawiała wrażenie, jakby dźwigała najcięższe brzemiona tego świata. Włosy miała mocno ściągnięte z twarzy do tyłu, suknię podróżną okrywał pognieciony płaszcz, spod którego wystawały niegdyś śliczne, jasne, teraz poplamione kurzem i błotem buciki. Louisa płakała – być może od kilku dni – i sprawiała wrażenie zagubionej, niczym opuszczone dziecko oszołomione i zszokowane. Kiedy weszli, raptownie nabrała powietrza i mocniej ścisnęła rękę drugiej kobiety, po czym wstała z wahaniem.

– Nie gniewaj się na mnie, ojczy – wyszeptwała.

William podszedł do niej bez namysłu. Przez chwilę stał, trzymając ręce na jej ramionach i od stóp do głów lustrując ją wzrokiem, po czym przyciągnął ją do siebie. Ukryła twarz w jego ramieniu, z drugiej strony osłaniając ją ręką. Potem wysunęła się z uścisku i spojrzała na ojca.

– Nie rozumiem, co zrobiłam nie tak – wyznała. Drżała teraz na całym ciele. – Przyjechałam, by wziąć z nim ślub. Chciałam zamieszkać z jego matką. Ale on zabrał mnie do

jakiegoś okropnego hotelu i zostawił samą. A potem przyjechał dziś rano...

– To nie ma znaczenia – mruknął William.

– Ma! – wykrzyknęła Louisa i łzy popłynęły jej z oczu. – Ledwie dopłynęliśmy do Francji, przestał się do mnie odzywać. Dlaczego? Nawet nie zobaczyłam jego matki na oczy. Kiedy jechaliśmy pociągiem, cały czas tylko wyglądał przez okno! Wysiedliśmy w Paryżu i poszliśmy do hotelu... – Jej twarz okrył ciemny rumieniec. – Myślałam... – Trzęsa się i pociągała za kołnierz płaszcza, jakby chciała się nim zasłonić.

William pogładził ją po włosach.

– I wtedy – wyszeptła. – Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy... że coś jest nie tak. Że się do mnie nie odzywa, że umieszcza mnie w pokoju hotelowym. Pytałam go, o co chodzi, ale nie chciał powiedzieć. Tylko... uśmiechał się do mnie. Takim okropnym, cynicznym uśmiechem. Chciałam spotkać się z jego matką, zapytałam... kiedy się pobierzemy... a on...

Harry stanął obok ojca i siostry.

– Wszystko dobrze, Louiso – powiedział kojąco. – Wszystko dobrze. Mów dalej.

Louisa spojrzała na brata i na jej twarzy pokazał się nikły uśmiešek.

– Harry, on się wtedy zaśmiał. Powiedział, że wkrótce zrozumiem ten żart. – Patrzyła na ojca i brata, jakby z ich twarzy chciała wyczytać odpowiedź. – Ale to nie był żaden żart, prawda? – zapytała. – Coś takiego nie jest przecież śmieszne – skończyła szeptem. – Nie dla mnie.

William i Harry wymienili nad jej głową spojrzenia pełne rozpaczy, a zarazem gniewu. Louisa zwiesiła głowę i wpatrywała się w podłogę. Po chwili podjęła opowieść:

– I wtedy on sobie poszedł. A ja zostałam tam na całą noc. Nie śmiałam tknąć jedzenia, siedziałam w ubraniu. Myślałam, że wróci. Ale nie wrócił. Nie wrócił ani wieczorem, ani następnego dnia. Zeszłam na dół do recepcji. Zapytałam, czy go znają. Wzruszyli tylko ramionami i spojrzeli na mnie, jakby... – przerwała. – Jakbym była głupia. I mieli rację. Jestem głupia. – Wierzchem dłoni otarła kapiące łzy. – Wrócił dziś rano, wziął mnie pod rękę i zaprowadził na dworzec. I dopiero kiedy tam doszliśmy, zobaczyłam... Zrozumiałam.

Głos jej się załamał. Z trudem zaczerpnęła powietrza.

– Było mnóstwo żołnierzy. Powiedział, że też musi się stawić. Nie miałam pieniędzy. Błagałam go. Czy to źle, że go błagałam? – Utkwiła w bracie żalosne spojrzenie. – Czy to źle, Harry? A on powiedział, że mam przekazać wiadomość. Nie wiem, co to miało znaczyć. – Przyłożyła rękę do głowy. – Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

William objął ją ramieniem i poprowadził do krzesła. Czekali, aż zapanuje nad płaczem. Francuzka pocieszająco poklepywała ją po dłoni. Harry spojrzął na ojca, po czym pochylił się nad Louisą.

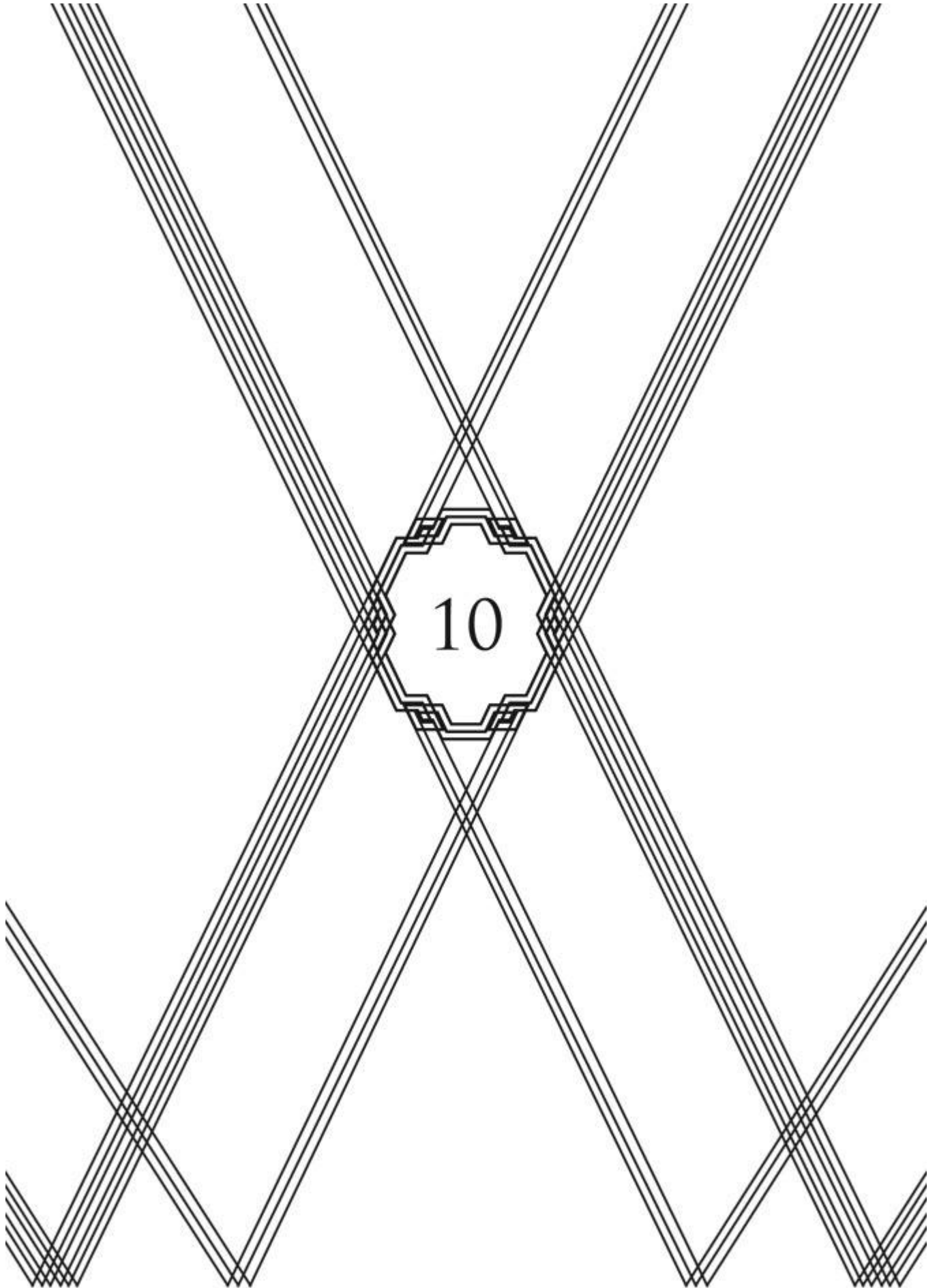
– Co to za wiadomość? – zapytał łagodnym tonem.

Podniosła na niego spojrzenie, po czym skierowała je na ojca.

– Powiedział, że to wiadomość dla taty – odparła powoli. – Ale ja właśnie tego nie rozumiem. Mówił, że poznał mojego ojca w Londynie, w tym roku. – Zmarszczyła brwi. – Ale to niemożliwe, prawda? Bo za każdym razem, kiedy go prosiłam, aby poznał mojego ojca – bo chciałam ci go przedstawić, tato – on twierdził, że to niemożliwe. Że jeszcze nie teraz. Mówił, że ci się nie spodoba. Że go nie zaakceptujesz. Ale wtedy, na dworcu... – dokończyła przyciszonym głosem i widać było, że odgrywa sobie tę scenę w pamięci – stał na stopniach pociągu i powiedział, żebym przekazała ojcu, że... że dotrzymał obietnicy, którą złożył mu w Londynie.

Spojrzała teraz na Williama pustym wzrokiem. Usta jej się trzęsły.

– Powiedział... – dodała cicho – że teraz mój ojciec zrozumie, co znaczy zostać doprowadzonym do ruiny.



W ostatnim tygodniu sierpnia na łąkach poniżej Rutherford zebrano ostatni pokos.

W upalne popołudnie przez wieś toczył się obciążony wóz wyładowany suchym, słodko pachnącym sianem. Jack Armitage trzymał lejce luźno między palcami i patrzył na drogę, która ciągnęła się przed łbem idącego miarowo i spokojnie Wenceslasa. Patrzył na drogę, ale myślami był gdzie indziej – w domu, za drzewami, które zasłaniały mu widok. W sadzie, gdzie dla ochłody przed południowym słońcem rozpięto białe, płócienne namioty. Tam, przy długim stole, siedziała dziś rano Louisa z dzieckiem na kolanach.

Jack był świadkiem powrotu jaśnie pana i jego syna przed trzema tygodniami. Ze stacji przywiózł ich samochód ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Armitage stał niezauważony na skraju patia, podczas gdy skulona Louisa pospiesznie wchodziła, a właściwie była wprowadzana niczym inwalida, do domu. Według lekarza cierpiała na załamanie nerwowe. Pokojówki twierdziły, że nie wychodzi ze swojego pokoju, a matka i ojciec nie odstępują od niej. Kilka dni temu, wieczorem, zeszła wreszcie na kolację i widziano ją poza sypialnią. Była zupełnie odmieniona, mówiły pokojówki. Spokojna, nie uśmiechała się, nie podśpiewywała i nie biegała, jak zwykła robić to dawniej. Trzeba ją było zachęcać, żeby się w ogóle ubrała. Pytał, czy płakała, ale nikt nie potrafił odpowiedzieć. Miał wielką nadzieję, że nie płakała, ale kto wie, może ten spokój był jeszcze gorszy?

Kobieta z pubu przyszła dziś z małą dziewczynką – w zwyczaju było, że podczas przygotowań do dożynek kobiety nakrywały do stołów, a mężczyźni przywozili i ustawiali beczki z piwem. Małą Cecylię posadzono na kocyku. Przez nikogo niepilnowana wyciągnęła rączkę i chwyciła brzeg zwisającego prawie do ziemi obrusa. To błada i rzekomo na wszystko zobojętniała Louisa, dostrzegłszy ruch, bez słowa pojawiła się pod markizą, pochyliła i ujrzała wpatrzoną w siebie małą buzię.

Wenceslas sam z siebie skręcił w aleję przez park i pokonywał teraz długą prostą do domu. Jack zadarł głowę i patrzył na brzozy, na błękit prześwitujący między ich gałęziami. Gdzieś tam, w powietrzu, był teraz Harry Cavendish, gdzieś na południu Anglii, w Wiltshire. Podobno szybko uczył się sztuki latania, miał znaleźć się na liście pilotów Królewskich Sił Powietrznych i zostać wysłany do Francji. Myśl ta błąkała się po głowie Jacka leniwie – jak kołysanie gałęzi i ciężki chód pociągowego konia. Dziś na myśl o Harrym Cavendishu nie czuł już nic. Chyba tylko życzył mu powodzenia. Życzył im wszystkim powodzenia – szczęśliwych lotów. Pierwsze samoloty już wyleciały, a żołnierze brytyjscy wylądowali we Francji dwunastego sierpnia. Teraz nie mówiło się o niczym innym, jak o noszących romantyczne nazwy miejscach jak: Liège, Louvain czy Dinant, o których jeszcze przed paroma tygodniami nikt nie słyszał.

W gazetach pisano, że armia niemiecka, przechodząc przez Dinant, zamordowała brutalnie sześćset osób. Podobno paliła wioski, zbiory średniowiecznych rękopisów, a nawet kościoły. Jack nie wiedział, czy dawać temu wiarę. Nie był w stanie sobie czegoś takiego wyobrazić. Nie potrafił wyobrazić sobie armii wkraczającej w bramy Rutherford, pałacej kościół lub księdza czy dziecko – na przykład takie, jakie trzymała na kolanach Louisa. Wydawało mu się, że to niemożliwe, ale podejrzewał, że jednak jest w tym coś z prawdy. A Harry Cavendish będzie nad tym wszystkim w powietrzu, będzie patrzył na zabijających się nawzajem ludzi. To też nie wydawało się możliwe.

Przeniósł wzrok na wygiętą szyję Wenceslasa, na cierpliwy, miarowy ruch końskiego łba odmierzający jego powolne kroki. Ojciec mu mówił, że konie też są rekwirowane na potrzeby wojska i że Kentowie wysłali już kilka swoich do Carlisle, a londyńczycy oddają nawet swoje konie do polowań – te same, na których odbywali codzienne poranne przejażdżki na Rotten Row.

Jack prychnął drwiąco, kiedy o tym usłyszał – nie, to w ogóle było nie do pomyślenia. Przecież takie nerwowe, wrażliwe stworzenia nie wytrzymają wysiłku, nie nadają się do chodzenia w zaprzęgu, spłoszy je najmniejszy hałas, a co dopiero mówić o wystrzałach. Nie, tego typu konie... Rozmyślając o tym, instynktownie zacisnął palce na lejcach. Nie, Wenceslasy nie wezmą. To byłoby absurdalne. Był potrzebny tutaj, jak wszystkie inne zwierzęta pociągowe. Ten koń był prawie jak człowiek, miał wrażliwe serce, rozpoznawał głos Jacka, nikogo innego by nie posłuchał. Pomyśleć, jaką drogę musiałby pokonać. A kanał La Manche? A co dopiero załadować tak potężnego konia pociągowego jak Wenceslas do pociągu lub na statek – przecież to niewykonalne! Jak nakłonić biedne zwierzę, żeby zechciało tam wejść? Przeraziłoby się na śmierć, nie rozumiałoby, czego się od niego żąda. Prócz tego osobiście gotów był zabić człowieka, który tknie tego konia choćby palcem. Nawet teraz rzuciłby się na każdego, kto chciałby zaprząć Wenceslasy do armaty w jakiejś ohydnej Flandrii czy w Paryżu lub gdziekolwiek indziej, wszystko jedno. Nikt nie odbierze mu Wenceslasy, już on tego dopilnuje. Koniec, kropka.

Jack specjalnie starał się myśleć o najrozmaitszych sprawach. Na przykład o Harrisonie, który zgodnie z tym, co obiecywał, pojechał do Carlisle i na razie nie zanosilo się, by miał wrócić do Rutherford. Dwóch chłopców – pomocników ogrodnika – również stawilo się w punkcie poborowym w Catterick. W pierwszym tygodniu sierpnia na witrynach sklepów w Richmond pojawiły się afisze zachęcające do wstępowania w szeregi armii: „Wezwanie lorda Kitchenera”, głosiły i zapraszały ochotników. Harrison zaciągnął się i wyjechał jeszcze tego samego popołudnia, nie uprzedzając nawet – ku przerażeniu Bradfielda – lorda Cavendisha.

W tych samych oknach wystawowych w Richmond zawisły też obwieszczenia o ograniczeniu swobód „cudzoziemców”, choć nikt nie był do końca pewien, co należy przez to rozumieć. Potem podpalono sklep de Reszknaka w Yorku, sklep spłonął w mgnieniu oka, sam de Reszknak stał na chodniku i płakał, a spaloną witrynę nakrył brytyjską flagą. Mówili, że de Reszknak to „cudzoziemiec”, ale przecież mieszkał w Yorku całe życie, przed nim zaś jego ojciec. Protestował, że owszem, byli imigrantami węgierskimi, ale przyjechali osiemdziesiąt lat temu. Nikt ze służby nie orientował się, gdzie dokładnie leżą Węgry, lecz wszyscy wiedzieli, że na pewno bliżej Niemiec niż Anglia.

Oczom Jacka ukazało się Rutherford. Szarpnął lejcami, by skrócić w boczną drogę. Normalnie nigdy nie jeździł wozem aleją wjazdową jak teraz, ale musiał zrzucić siano obok namiotów rozstawionych na dożynki. Zostało powiązane w kostki, które teraz rozłożyły się wzdłuż stołów jako siedzenia. Dobrze pamiętał poprzednie jarmarki, kiedy, mimo że było już po zmroku i dzieci drapały się od ukąszeń rozmaitych owadów, które wyszły z trawy, nikt na nic nie zważał. Tańczono, w sadzie świeciły lampiony, grała muzyka.

Wątpił jednak... tak, bardzo wątpił, czy Louisa Cavendish w ogóle będzie jeszcze tańczyć. Octavii tego ranka nie było w Rutherford.

Wyjechała o świcie. Mąż odwiózł ją na stację. Oboje milczeli, kiedy William parkował napiera przed budynkiem dworca. W ciszy czekali na pociąg. Kiedy przyjechał, Octavia wysiadła z samochodu i sama ruszyła na peron.

Była teraz w Yorku. Stała pod Wielkim Zachodnim Oknem katedry i czekała na Johna Goulda. Podniosła wzrok na ogromny witraż i niemal jednocześnie usłyszała, że na zewnątrz zegary zaczynają bić południe. Okno miało sześćset lat i nazywano je sercem hrabstwa York, ale Octavia w tej chwili czuła się tak, jakby to jej własne serce zamieniło się w szkło i stało równie kruche jak okno, pod którym stała. Słyszała, że wszystkie witraże z katedry w Yorku mają zostać zdemontowane i złożone w bezpiecznym miejscu na przechowanie, a na swoje miejsce wrócić dopiero po zakończeniu wojny. Robota, zdawałoby się, nie do wykonania, wymagająca

niebываłej ostrożności. Cóż – to, co niewykonalne, najwyraźniej musi stać się wykonalne, pewne zadania po prostu trzeba zrealizować. Innego wyjścia nie ma. Spojrzała przed siebie i zobaczyła nadchodzącego Johna Goulda.

Pocałował ją w policzek i odsunął się, ogarniając spojrzeniem jej twarz. Przeniósł się do Yorku tego samego dnia, kiedy Octavia dowiedziała się o przeżyciach i chorobie Louisy. Uznał za rozsądne usunąć się na bok. Octavia i William musieli zażegnać domowy kryzys. Był cierpliwy. Dużo czasu spędził na samotnym oczekiwaniu.

– Wszystko załatwione? – zapytał z uśmiechem pełnym niepokoju.

– Tego nie da się załatwić – odparła cicho.

– Mój Boże – rzekł. Pełen nadziei optymizm, którym promieniował, idąc na spotkanie do katedry, teraz powoli odpływał z jego twarzy. – A więc to wszystko? Jechałaś taki kawał, żeby mi to powiedzieć? Powiedzieć, że nic nie da się zrobić? – Nic nie odpowiedziała. Ujął jej dłoń i mocno ścisnął. – Wszystko da się załatwić. Ja to zrobię.

– Nie, John – szepnęła cicho. – Nie dasz rady. Nie mogę rozłączyć Louisy z ojcem i nie mogę wyjechać bez niej.

– Dopilnuję, by miała wszystko, co tylko zechcesz. Najlepszego lekarza. Kochanie, ona wyzdrowieje.

– Tak – zgodziła się Octavia. – Wyzdrowieje. Ale nie z dala od domu. Ona musi być tu, w Rutherford, i William też pragnie, aby tu była. – Spojrzała na niego, po czym spuściła wzrok na ich splecione ręce.

– A więc na tym stanęło? – zapytał. – Więc to tak? – Tym razem podniósł głos tak, że jeden z kościelnych rzucił im spojrzenie pełne dezaprobaty. John pociągnął Octavię za rękę. – Chodź ze mną – poprosił. – Przejdziemy się trochę.

Główną nawą wyszli z kościoła i ruszyli do miasta. Słońce rozświetlało wąskie uliczki.

– Poczekam jeszcze kilka tygodni – zaproponował. – Do tego czasu Louisa lepiej się poczuje.

Doszli do ławek ustawionych wzdłuż cichej alejki. Dłuższą chwilę namawiał ją, by usiedli. W końcu zgodziła się.

– Octavio – poprosił z bólem. – Proszę, odezwij się do mnie.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz, że przyjedziesz na Boże Narodzenie. Albo na wiosnę. Zaczekam tu albo w Londynie. Zaczekam gdziekolwiek. – Do oczu napłynęły mu łzy. Chcąc nad nimi zapanować, odwrócił od niej twarz.

Patrzyła na mijających ich przechodniów. Zazdrościła im ich światów, w których na pozór panowały spokój i harmonia. W niej samej coraz mocniej zaciskał się nieruchomy węzeł bólu. Miała wrażenie, że zawładnął nią cała, że przejął nad nią całkowitą kontrolę.

– Gdybym miała wyjechać, musiałabym wziąć Louise i Charlotte. I chciałabym wziąć Cecilie. – Utkwiła w nim twarde spojrzenie. – Nasz wspólny wyjazd to jedno, a zabieranie ze sobą trzech innych osób, z których jedna jest maleńkim dzieckiem, nieznanym nawet swego ojca, to drugie – rzekła.

– Robisz to, co ci William każe. Postępujesz tak, jak on chce.

– Nie – zaprzeczyła. – William nic mi nie mówił. Ale...

– Ale co?

– Nie jestem pewna, czy dobrze się czuje. Sprawia wrażenie, jakby od pewnego czasu zmagał się z bólem.

– Z jakim bólem?

– Wydaje mi się, że serca. Nie przyzna się, oczywiście.
– Więc może nic go nie boli. Może to ty czujesz ten ból. Czujesz go, bo myślisz, że wpędziłaś go w chorobę. Octavio, to poczucie winy. Twoje poczucie winy, nic innego.
Rozmyślała, marszcząc czoło.
– Nie jestem pewna.
Wpatrywał się w nią, próbując odgadnąć jej myśli.
– Nie kochasz mnie – mruknął. – Nie chcesz mnie. Choroba Williama to tylko wymówka. Jej oczy płonęły.
– Myślisz, że nie pragnę żyć tak, jak żyliśmy tego lata? – spytała gwałtownie. – Że gotowa jestem to utracić? Nigdy więcej tego nie doświadczysz?
– Wobec tego wyjedźmy od razu – ponowił prośbę. – W tym tygodniu. Zarezerwuję bilety na statek dla ciebie i dziewczynek. Niczego im nie zabraknie. Wezmę najlepszą kajutę. Zbuduję wam cudowny dom. – Rozpaczliwie starał się mówić rażno, dziarsko i z uśmiechem. – Zatrudnię opiekunkę. Kupię pianino. Jeśli chcesz, nie będę nigdzie wyjeżdżał. Będę czyścił kominki i doglądał gospodarstwa. – Jego udawany optymizm nie trwał długo – wystarczyło, że na nią spojrział, a na jego twarzy pojawił się głęboki smutek.
– To wszystko na nic, prawda? – zapytał. – Nie pojedziesz?
Nie potrafiła odpowiedzieć. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.
– Nie wiesz, jak bardzo cię kocham? Powiedz, co mam zrobić. Tylko powiedz.
Upłynęła długa chwila.
– Nie mogę ci powiedzieć czegoś, czego sama nie wiem – wyszeptała.
W milczeniu patrzyli na przechodniów. W końcu usłyszeli, że zegar wybija pół godziny. Posłała mu długie, baczne spojrzenie, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół. A potem wstała.
– O pierwszej mam pociąg.
John również się podniósł.
– Odprowadzę cię na dworzec.
Kiedy później wspominała te pół godziny, próbowała odtworzyć sobie w myśli przebieg wydarzeń: co robili, co widzieli, czy był duży tłok, ile czasu stali obok siebie – aż rozległ się gwizd nadjeżdżającego parowozu. Próbowała przypomnieć sobie, czy coś mówił, pomagając jej wsiąść do przedziału. W pamięci nie zostało jej jednak nic prócz słów:
– Ja wrócę. Nie miej złudzeń, Octavio. Wrócę po ciebie.
Nie była to ostatnia trudna sytuacja, której Octavia musiała stawić czoło tego dnia.
W drodze powrotnej, w pociągu, zdecydowała, co powie Williamowi. Mąż czekał na nią na stacji. Wpatrywał się w jej twarz równie intensywnie, jak niedawno John.
Zapуścił silnik i ruszyli w kierunku Rutherford, lecz zanim dojechali do wioski, Octavia położyła rękę na kierownicy.
– Mógłbyś zatrzymać się na chwilę? – poprosiła.
Kiedy stanęli, skinęła głową w stronę kościoła. Mąż uniósł brwi w zdziwieniu, ale ona po prostu wysiadła z samochodu. Poczekała, aż on zrobi to samo, po czym przeszła przez bramę na teren przykościelny, minęła podwórko i klucząc między starymi grobami, odnalazła skrawek trawy.
– Widzisz to miejsce? – zapytała męża.
William, zdezorientowany, rozejrzył się wokół siebie – dostrzegł tylko lekką wypukłość gruntu z paroma łodygami zielska.
– Mogę wiedzieć, czego szukamy?
– Nieoznaczonego grobu – odparła. – W którym leży Emily Maitland. Dziewczyna, która próbowała się utopić. I która umarła w Boże Narodzenie, w zeszłym roku.

William spojrział w ziemię.

– I chciałabyś jej postawić jakąś płytę? – zapytał. – Pomnik?

– Tak. To byłoby właściwe.

William oczekiwał, że tego popołudnia poruszą wiele tematów, ale tego się nie spodziewał.

– Przecież nie mamy w zwyczaju stawiać płyt nagrobnych służbie – zauważył. – To sprawa rodziny.

Octavia nie spuszczała z niego wzroku.

– Właśnie – zgodziła się. – Ta dziewczyna była matką twojej wnuczki. Urodziła dziecko. Córkę Harry’ego. Mała żyje. Dziś po południu ma być w Rutherford.

Nawet jeśli William był wstrząśnięty, nie dał tego po sobie poznać. Z wyrazu jego twarzy Octavia wyczytała, że od dawna skrywał pewne podejrzenia.

– Harry powiedział mi w Paryżu... – zaczął i przyłożył rękę do czoła. – Ale tylko tyle, że znał tę dziewczynę i... – Podniósł oczy. – Dziecko przeżyło, a ty nic mi nie powiedziałaś?

– Dopilnowałam, by się nim opiekowano. W Nowy Rok pojechałam ją odwiedzić. Po prostu wiedziałam... Nawet nie musiałam pytać Harry’ego. W sercu czułam to już w tej samej chwili, kiedy usłyszałam, że Harry był tam, nad rzeką, i że Jack Armitage go uderzył. A gdyby ktoś potrzebował dalszych dowodów, to wystarczy jedno spojrzenie na to dziecko. To wykapany Harry, kiedy był malutki, Williamie. Nie ma cienia wątpliwości.

– Harry wie?

– Jeszcze nie.

– Mój Boże – mruknął i potrząsnął głową. – I nigdy nie uznałaś za stosowne mi o tym powiedzieć?

– Wiele było tematów, których nie poruszaliśmy – zauważyła spokojnie.

– Ale że też nie powiedziałaś nawet Harry’emu?

– Harry’emu? W takim stanie, w jakim on był w Londynie? Nie, nie mogłam. – Pokręciła głową. – A zresztą, nie mogłam powiedzieć Harry’emu, zanim nie powiedziałam tobie. To sprawa, którą powinniśmy mu przedstawić wspólnie, ja i ty, i z którą najpierw sami musimy się pogodzić. Tak uważam. – Zawiesiła głos. – To wchodziłoby w grę, gdybyśmy byli ze sobą blisko, Williamie. A nie byliśmy.

– Winisz mnie za to.

Zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała:

– Nie, niekoniecznie potępiam za to ciebie. Ale Harry nie mógł z nami o tym rozmawiać, kiedy już raz dał słowo honoru. Szczerze mówiąc, zawiedliśmy go oboje. – Zamyślona spojrzała na porośniętą zielskiem ziemię. – Próbowaliśmy dać mu przykład i oboje zawiedliśmy.

– A ja złamałem własne zasady. Zapewne tak myślisz. – Octavia nie odpowiedziała, William zaś uczynił niepewny, niemal rozpaczliwy gest w jej stronę. – Charles nie jest moim synem. Powiedziałem ci wszystko, czego dowiedziałem się od Héléne w Paryżu. Co jeszcze mogę zrobić, by cię w tym upewnić?

– Nie potrzebuję więcej zapewnień. Przyjmuję twoje wyjaśnienia. Nie poróżniło nas to, czy Charles jest, czy nie jest twoim synem, ale to, że wszystko przede mną zataiłeś. Że pozwoliłeś Héléne de Montfort zbliżyć się do naszej rodziny, wkroczyć między nas – mimo że czyniłeś to z rozwagą, ostrożnie. A koniec końców... wzruszyła lekko ramionami – wyszło na to, że to mnie trzeba uczyć, jak się zachować – dokończyła ze smutną ironią.

– Nigdy, ani przez chwilę nie postawiłaś mnie w kłopotliwej sytuacji, Octavio.

– Och, wydaje mi się, że jednak postawiłam. I że oboje raniliśmy się nawzajem, Williamie. Robiliśmy to bardzo umiejętnie.

Na chwilę zapadło między nimi milczenie – każde z nich pozostało sam na sam ze swoimi myślami. Ciszę przerwała Octavia.

– Zostanę w Rutherford, by wypełnić swój obowiązek wobec dzieci – rzekła.

Uderzyło go, że nie wspomniała o powinności wobec niego jako męża. Zastanawiał się, czy to znaczy, że już na zawsze zamknęła przed nim serce, czy wyklucza szansę, by kiedyś na nowo obdarować go swą miłością.

– Zostanę w domu i dopilnuję, by Louisa wyzdrowiała, będę z Charlotte, aż dorośnie – ciągnęła. – Będę w Rutherford, kiedy wróci Harry. Dzieciom nie zabraknie stabilizacji, ciągłości. Poczucia bezpieczeństwa.

Twarz Williama okryła się rumieńcem.

– A John Gould...

Patrzyła teraz na kościół i ciągnącą się za nim drogę.

– Nie wiem, co zrobi John Gould – mruknęła. – Bo już nigdy go nie zobaczę.

Williamowi, który za wszelką cenę pragnął zachować godność, nie udało się ukryć swoich prawdziwych uczuć. Rozluźnił ramiona, a wyćwiczona przez lata maska pełnego wyższości opanowania zniknęła z jego oblicza. Ukazał się spod niej człowiek ogarnięty niewymowną ulgą: płynącą z głębi serca, desperacką ulgą i wdzięcznością. Nie poruszył się wprawdzie, ale nie odrywając wzroku od Octavii, uśmiechnął się – bardzo powoli i z wielkim wahaniem.

– Czuję, że ostatnio spadło na mnie trochę za dużo wiadomości – odezwał się nieśmiało. – Ciekaw jestem, czy mają one swój kres.

Odpowiedziała mu smutnym uśmiechem i słowami:

– Przynajmniej pod tym względem czujemy się podobnie, Williamie.

Po czym szybkim krokiem odeszła w stronę samochodu. Dopiero po chwili był w stanie ruszyć za nią.

Około dziewiątej wieczorem w sadzie było już prawie ciemno. Na gałęziach, między liśćmi i jabłkami, wisiały lampiony. Przycichł wiatr, który wiał przez cały dzień, a orkiestra dęta z wioski zaczęła grać.

Tańce rozpoczęły się formalnie. Jak to było w zwyczaju, pierwsi na parkiet wyszli Octavia i William. Octavia miała na sobie bladożółtą staromodną suknię do samej ziemi przewiązaną szeroką białą szarfą. Tańcząc z nią, William pomyślał, że z obnażonymi ramionami i bez biżuterii wygląda bardzo młodo. Zastanawiał się, co przyniesie im wojna, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy żonę taką jak dziś, czy też niepokój, strach i smutek odcisną swoje piętno na nich obojgu. Próbował o tym nie myśleć. Zlustrował ustawioną na skraju sadu służbę, klaszczącą w rytm muzyki, a równocześnie posłusznie oklaskującą swych państwa.

Zobaczył, jak Nash bierze Mary za rękę, jak pochyła się i szepcze jej coś do ucha. Dawniej, w czasach, kiedy William odziedziczył Rutherford, coś takiego byłoby nie do pomyślenia – lokaj nie miał prawa rozmawiać z pokojówką, a już na pewno nie na oczach pana domu. Patrząc na Mary, William uśmiechnął się do siebie – była jasnowłosa, niska, szeroka w ramionach i zupełnie nie pasowała do wysokiego, smukłego i ciemnego Nasha. Ale – pomyślał – czy w tych dziwnych, mrocznych czasach coś w ogóle do siebie pasowało? Mężczyzna do dziewczyny, ręka do zadania? Kto wie? Świat, który William rozumiał i który uważał za właściwy, właśnie się rozwiewał – niczym plewy oddzielane od ziarna w młynie. W tym młynie się właśnie znajdowali, a koła młyńskie nabierały tempa.

William i Octavia zeszli z parkietu, co było sygnałem dla służby, że może zaczynać własną zabawę. William przez chwilę namawiał Charlotte, by z nim zatańczyła, ale córka, wymówiła się ze śmiechem, że ma dwie lewe nogi, odwróciła się i ruszyła w stronę kobiet, które

otaczały wianuszkami Cecilie i zachwycały się małą. Podszedłszy do nich, spojrzała znacząco na ojca, a potem na Octavię. William przyglądał się chwilę, jak chłopcy z wioski spieszą na parkiet, każdy pod rękę z dziewczyną, a muzycy przytupują do rytmu na deskach. Ruszył w ślad za Octavią.

Wyszli na świeżo skoszoną trawę pod jabłonią. Octavia obejrzała się przez ramię i dostrzegła Louise, która właśnie podnosiła głowę, by spojrzeć na wyciągniętą ku niej rękę. Córka patrzyła prosto w twarz stojącego obok niej zatroskanego Jacka Armitage'a, potrząsnęła głową, a potem drżącą ręką wskazała miejsce obok siebie na ławce. Jack usiadł koło niej nieśmiało. Potem tańczący przesłonili Octavię widok.

– Czy Harry przyjedzie, zanim wyślą go do Francji? – zapytała Williama.

– Postaram się o to – odparł. – Choć trudno powiedzieć, moja droga, czy jeszcze mam na cokolwiek wpływ.

– Musi przyjechać – szepnęła cicho. – Żeby kogoś poznać.

Spojrzeni po sobie. W milczeniu odeszli nieco dalej, pozostawiając w tyle tańczących, jabłonie, chwiejne światła lampionów na tle ciemności.

– Pamiętasz, – zaczął William – jak poszłaś kiedyś z Harrym nad rzekę? I wracałaś wtedy przez trawę, a ja wyszedłem wam na spotkanie?

Octavia pamiętała. Tego dnia mąż pouczył ją, że nie należy chodzić boso. Powiedział, że jej zadaniem jest odgrywać konkretną rolę: dbać o reputację własną i tego miejsca.

– Tak – odparła. – Trudno byłoby to zapomnieć.

William uśmiechnął się w ciemności. Puścił jej rękę.

– Szedłem wtedy pewnie z tysiąc razy – rzekł. – A może pięć tysięcy, dziesięć, kto wie? Ale nigdy nie dotykałem trawy.

Ku jej zdziwieniu pochylił się nagle, rozwiązał sznurowadła, zdjął buty i skarpetki. Następnie wziął buty do rąk, po jednym, i ruszył – najpierw wolno i niepewnie, przesadnie wysoko unosząc stopy. Stłumiła uśmiech. Przyspieszył kroku, komicznie przeskakując z nogi na nogę. W końcu, otulony miękką zasłoną ciemności, puścił buty i zaczął biec. Po parunastu jardach zatrzymał się, odwrócił i obejrzał na żonę. Brakowało mu tchu, śmiał się.

– Coś niezwykłego! – krzyczał. – Naprawdę powinnaś spróbować!

Nawet gdyby działało się to w samo południe, nie potrafiłby nic wyczytać z jej twarzy. Stała jak wmurowana. Widział tylko zarys jej sylwetki na tle potężnych złotawobrazowych ścian domu, wznoszących się za jej plecami.

Walczył z przemożnym, instynktownym pragnieniem, by do niej wrócić, złapać ją w pasie i pociągnąć za sobą. Oparł się jednak pokusie.

Zamiast tego ruszył dalej przed siebie – z odrzuconą w tył głową, wpatrując się w coraz gęstszy mrok, i modlił się, by poszła za nim.